

Helena Sekuła

Siedem domów Kuny



To był Grązel.

Malarz, dekorator wnętrz, mierny talent z fałszywym dyplomem, druh Słodana, kuplera z Pigalle, szaleństwo wielkiej śpiewaczki i niedobra miłość Nonny.

Leżał nieżywy obok samochodu.

Przy Płonej Skale leśna droga skręca ostro. Auto między czubem wzgórza a stromizną zbocza wyskoczyło z łuku i runęło na głazy pozostawione w kotlinie przez ustępujący lodowiec w czasach, kiedy ziemia była młoda.

Wóz, zanim zarył pyskiem w dno parowu obijał się o stok, ciśnienie giętego metalu wyparło drzwiczki, mężczyzna wypadł i roztrzaskał się na kamieniach.

Poznałam go od razu, chociaż jego piękna twarz nie była już piękna. Leżał, jakby mu wyjęto stos pacierzowy, zniekształcony i płaski, pośród uronionych klejnotów, które jak wnętrzości wysnuły się z pęknięcia w mieszkcu zamykanym ściągnięciem długiego łańcuszka.

Pamiętałam ten woreczek z miękkiej złoconej skóry, z dużym N wyszytym pająkami. Niedawno miałam go w rękach. Należał do Nonny.

Przyjechała bez uprzedzenia. Pod dom wtoczył się nowy, nie znany mi jeszcze samochód. Wsiadła z niego Nonna w wiśniowych, bardzo eleganckich kozakach i wciętej zamkowej kurtce, obszytej czarnym lisem. Za nią wygramolił się Dziadek.

Nie widziałam ich od przeszło roku.

– Pelka, ja do ciebie na wywczas. Przyjmiesz na jakie dwa tygodnie? – pod dziarskim tonem ukrywał skrepowanie.

– Na ile zechcesz. Dziadku.

– A twoja gospodyni co powie?

– Gość w dom, Bóg w dom.

– Potrzebne tylko łóżko. Pościel i wszystko przywieźliśmy.

Nonna wytaszczyła walizę.

– Zawołaj kogoś do pomocy – zażądała wskazując wiklinowy kosz z wiekiem, przytroczony do bagażnika samochodu.

– Nie mam kogo, Nonna.

– A twój Wilk?

– Mieszka po drugiej stronie Jeziora.

– A nie mówiłam! Warto ci było za chłopem gonić, na takim zatylcu się zakopać.

Milczałam.

– Tu w ogóle nie można chodzić – sarkała.

Niosłyśmy spleciony z łozy kufer, w wiosennie rozmiękłą ziemię zapadały się wysokie obcasy jej żurnalowych bucików.

– A więc tak mieszkasz! – ogarnęła wzrokiem izbę.

Nie miałam się czego wstydzić. Wyblyszczona po paście podłoga z niemalowanych, złocistych dech. Na bielonych ścianach nieśmiertelniki i wiązki rośliny o czerwonych strąkach, w kącie dar Babki, kępa zielonego asparagusa pędami sięgającego już ciemnej powały. Stół na krzyżakach, zydzel i taka sama półka z litego drewna, Doroszewski kupiony za niesamowitą cenę na warszawskim wolumenie i kilka książek. Maszyna do szycia, krawiecki manekin, stojąca lampa i prawdziwy przedmiot zbytku, pokryte rzeźbą krzesło zrobione przez Wilka. Królewskie karło z czarnego dębu z wysokim oparciem i poręczami. Szydełkowa poduszka, dziana grubym, węzlastym ścięciem z nie farbowanej wełny o szlachetnym tonie słoniowej kości, ciepło kontrastowała z barwą drewna, podkreślała kształt i snycerski kunszt. Taka sama narzuta mojej roboty osłaniała materac z gąbki kupiony w Pewexie.

Babka wróciła z kościoła, powitała nas pochwalonym, dla wygody starszego pana oddała alkierz, gdzie kazała przestawić paradną wersalkę przeznaczoną do reprezentacji i dla gości, ucięła głowę najstarszej kurze, która przestała się już nieść, i wszystkich zaprosiła na rosół.

– Grażel przyjechał – powiedziała Nonna, gdy wieczorem zostaliśmy same.

– Masz kłopoty?

– Można to i tak nazwać.

– Nie grałaś z nim czysto, wtedy gdy wyprawiałaś go do Paryża.

– Nie ja go wysyłałam, musiał jechać. A ciebie nie wpuściłam w maliny, chociaż po dziś dzień tak uważasz.

– Mniejsza o mnie.

– Szukać ci Grażela nie kazałam. Wyraźnie mówiłam, co masz robić, ale ty zawsze chcesz być mądrzejsza, zawsze!

– Nie warto wspominać, dawne sprawy.

– Nie warto! Znów go mam na karku.

– Oddaj, co jego.

– Jemu nic się nie należy! Kardynałowi, tobie, owszem. Pamiętam! Ale Grażela zawsze rozliczałam od ręki.

Niedobrze. Jeśli Nonna przypomniała, że jest mi coś winna, ma powód, a powody Nonny przeważnie nie wychodziły mi na zdrowie.

– W takim razie, o co mu chodzi?

– Uważa, że gdyśmy się kochali, dzieliłam niedokładnie.

– A dzieliłaś niedokładnie?

Pomineła moje pytanie.

– Przyjechał za tą twoją maman! – Nonna zaczęła się śmiać, jakby było z czego. – Babsko zdarło gardło i co tam jeszcze po świecie, teraz przyleciało chrypieć do Warszawy. Tu wszystko strawią, byle zagraniczne. I Grażel przyciągnął za starym pudłem.

Nie wiedziałam o Jej przyjeździe.

– Ma chyba ze sto lat. Obraza boska taki związek – ziała Nonna.

Każda z nas ma swój godowy lot, dzień jętki – powiedziała Wera na Gare de L'est, kiedy Paryż stał się dla nas dwóch za ciasny, i Ona chciała koniecznie zobaczyć, jak wsiałam do warszawskiego pociągu. Pozostała w mojej pamięci piękna, z makijażem tak doskonałym, że aż niedostrzegalnym, w świetnym kostiumie z Comtessy i pantoflach z jakiegoś egzotycznego gada, na bardzo wysokich obcasach, wydłużających zbyt krótkie i zbyt tęgie nogi.

– Ale do rzeczy. – Nonna sprawdziła szczelność zasłon na oknach.

Dopiero wtedy wyjęła z podróżnej torby pękaty mieszek ze złoconej skóry z dużą literą N, naszytą pająkami po jego obu stronach. Rozsupłała ściągający go łańcuszek i poczęła dobywać małe woreczki z grubej flaneli, a z nich przedmioty kosztowne i piękne. Niektóre znałam.

Trzy ogniwa Orderu Świętego Andrzeja. Złoto, emalia, czterdzieści osiem gramów, próba pięćdziesiąt sześć – pochodziły z kolekcji wiekowego pedała, który przepadał za Grażelem.

Brylantowe butony, wielkie jak ziarna bobu, niegdysiejszej roboty, miały czystość źródlanej wody, oszłamiającą ilość karatów, amsterdamski szlif, po dziewięćset faset na powierzchni, warte wielozerową sumę w zielonych. Od ponad stu lat należały do kobiet z rodziny niemłodej pani z zagranicznego poselstwa. Dla rodziny zostały bezpowrotnie stracone, gdy dama poznała Grażela.

Pięciolistne koniczynki ze szmaragdów, połączone złotymi ślimacznicami. Jajeczko wielkanocne, baranek, zając z platyny i lokaty: ciężkie, niezdarne sygnety, złote afrykanery,

kruszcowe numizmaty, zwykłe sztabki i dentystyczne krążki.

– Po co to pokazujesz?

– Ładny grosz!

– I pomyśleć, ja nie mam nawet na radio! – poczułam żal.

Zaczął działać zatruty czar cennych lśniń i błysków, rozłamanych barw tęczy. Zatęskniłam za minionym czasem, gdy byłam wolna od takich pokus, kiedy jednakowo traktowałam klejnot i groszowy pierścionek.

– Musisz przechować, póki Grażel nie pociągnie z powrotem za swoją mumią.

– Taka jesteś pewna, że nie skusi mnie wasze bogactwo?

– Schowamy z Dziadkiem. Ty nie dostaniesz namiaru.

– A więc dlatego przyjechał!

– Jedno przy drugim. Naprawdę lekarz zalecił, aby zmienić mu na trochę klimat.

– Nie, Nonna! Tutaj niczego nie będziesz ukrywać.

– Umiesz się człowiekowi odwdzięczyć, nie powiem.

– Mogę was karmić, odziewać, utrzymywać, lecz żadnego przechowywania facjantu.

– Utrzymywać, ty! Nie rozśmieszaj mnie. Chwała Bogu nic od ciebie nie potrzebuję, ale skarbczyk muszę zamelinować.

– Grażel ci grozi?

– Gorzej. Stara się wyszperać kosztowności. My je tu sobie zamaskujemy, o miejscu nie potrzebujesz wiedzieć.

– Nie! I rano zabieraj się razem ze swoją skarbonką. Ani godziny dłużej.

– Ja ciebie nigdy nie wyganiałam.

– Nie dam sobie zmarnować życia, nawet tobie; Nonna, nawet Wilkowi.

– Ty nazywasz to życiem!

Ze złości drżały jej ręce, gdy z powrotem ukrywała walory w torebkach. Otulone w miękką flanelę zagarnęła do mieszka i ściągnęła łańcuszek. Nie odezwała się do mnie więcej ani słowem, odjechała bez pożegnania, kiedy tylko się rozwidniło. Moje serce nie przeczuło, że widzę ją po raz ostatni.

Cierpiałam, żałowałam Nonny, bolał sprawiony jej zawód, jednocześnie czułam ulgę. Już nigdy nie będę walczyła z pokusą posiadania swojej części.

Teraz ten sam trzos ze złoconej skóry, obszyty pająkami w kształcie litery N, leżał wśród rozsypanych klejnotów obok martwego Grażela.

Wygląda jak komiwojażer Jablonexu – pomyślałam i podniosłam najbliższej leżący bicz czerwonych paciorków prześwieconych słońcem. Posypały się koraliki z zerwanego sznurka,

ich fasety nie rozszczepiły promieni. Dopiero zauważyłam, że to szlifowane kolorowe szkło i oprawa może nawet pozłacana, lecz nic ponadto. Przejrzałam resztę. Ani ogniów Orderu Świętego Andrzeja, ani butonów arystokratycznej damy z dyplomacji, ni przynoszących szczęście koniczynek. Tylko jubilerski chłam, zwykle naśladownictwo kruszcowej biżuterii.

Świecidełka!

Aż tak się dać nabrać! Pewno Nonna zamieniła je, gdy patrzył jej na ręce. Stary trik cyrkowych prestidigitatorów i oszustów. Kiedy się połapał, doszedł do wniosku, że prawdziwe klejnoty ukryła u mnie, i dlatego znalazł się tutaj, tylko kto podał mój adres, Nonna? Boże! Czy Grażel nie zrobił jej krzywdy!

Muszę zawiadomić o wypadku.

Wspięłam się ku drodze, podniosłam rower i zawróciłam do Mikołaszy. Najbliżej.

Dlaczego właśnie ja musiałam na niego trafić! Gdybym wcześniej wybrała się do Sarniej, gdybym później wybrała się do Sarniej, gdybym nie straciła gazety.

W gazecie przeczytałam o jedynaku wdowy z naszej wsi. Piękne opowiadanie: o walce z losem uosobionym przez żywioł i zachowaniu człowieczej godności mimo klęski.

A tak naprawdę, to napity bełtem syn wdowy poszedł nocą stawiać sieci i utonął na płyciźnie w blasku Wielkiej Niedźwiedzicy, obojętnej przewodniczki kłusowników i złodziei.

Gdy Gwiezdny Wóz wytacza się na niebo, osierocona matka schodzi na brzeg, zlorzeczy i przeklina bezlitosną wodę: – Oby wygniła w tobie wszelka roślina, wymarła ryba, byś wyschła!

Zbiegłam ku Jezioru. Rozjaśnione słońcem, huczało w wiosennym sztormie.

Wiatr wyszarpnął mi płachtę pisma, uniósł, zakręcił i posadził na grzbiecie grzywacza, upodobniając do jakiegoś dziwnego ptaka, dopóki nie przykryła go fala.

Zbierałam ten tygodnik. Aby odzyskać utracone stronicę, musiałam jechać do Sarniej. Tam pięć egzemplarzy pisma sprzedawano w kiosku i sześć w prenumeracie. Brali doktor, proboszcz, dentystka, nauczyciele.

Nie dotarłam do Sarniej, pod Płoną Skałą natknęłam się na martwego Grażela. Podjechałam do sołtysa, w Mikołaszy poza leśnictwem jedyny telefon we wsi, dom zamknięty, w obejściu pusto, wszyscy w polu. W leśnictwie to samo. Pozostawała poczta w Sarniej, położona najdalej, ale najpewniejsza. Zawróciłam.

Na Płonej Skale spotkałam już ludzi.

Obok wraku samochodu tłoczyli się robotnicy leśni ze Steyera wiozącego papierówkę z odległej poręby na bindugę w pobliżu Sarniej. Jakiś mężczyzna na motorze pognął zawiadomić posterunek w Wigajnach. Wieść o wypadku niosła się z szybkością podążającego

motocykla. Zaczęli ściągać ciekawscy. Zatrzymał się i leśniczy z żoną, wracali z ośrodka zdrowia.

– Jakem hamował, ktoś dał dęba w młodniak zarastający kotlinę – opowiadał szofer ze Steyera.

– Mężczyzna, kobieta? – dowiadywała się dziewczyna na motorowerze.

– Chłop.

– Tutejszy?

– A kto jego wie. Z bliska ja jego nie widział, on zara uciekł.

– Może co brał, ludzie tera takie na wszystko chciwe.

Tknęło mnie. Zeszłam na dół, na kamieniach wciąż leżał nieżywy Grążel. Świecidła znikły co do jednego. Znikł i rozdarty mieszek z wytartej pozłacanej skóry, ozdobiony literą Nonny.

– Odsuńcie się, ślady do cna zadcpeczecie. Jakże tak można, toż zdawałoby się myślące som! – zboczem śpieszył milicjant.

Pochodził z tych okolic, od lat zasiedziały w Wigajnach, łączyła go z miejscowymi pewna zażyłość, mimo to pogwarki o rabusiu ucichły. Nikt o nim milicjantowi nie wspomniał. W ogóle nie pytani wprost, nie kwapili się z wyjaśnieniami. Z pokolenia na pokolenie dziedziczyli ową powściągliwość. Byle dalej od świadkowania, wezwań, sądów. Wyznawałam podobne zasady, jednak powiedziałam mu, że byłam tu już i wróciłam do Mikołasy, aby powiadomić o wypadku. Tak było bezpieczniej, mógł mnie ktoś widzieć, podobnie jak człowieka spłoszonego przez Steyera. O woreczku z biżuterią ze strachu nie wspomniałam.

Milicjant celebrował nakładanie rękawiczek, potem obszukał kieszenie martwego. Znalazł portfel, wyciągnął z niego dowód.

– Olchowiak Marcin – wyskandował. – Mówi co komu jego familia?

Nikt się nie odezwał.

Dla mnie nazwisko Grążela też zabrzmiało obco, w ogóle słyszałam je niewiele razy, a przez całe lata znałam go jedynie z ksywy.

– Może kto jego rozpoznaje? – zachęcał do rozmowy milicjant, skracając sobie czas oczekiwania na śledczych.

Milczałam. Nie miałam zamiaru przyznawać się do Grążela.

– Ja podobnego widział z jednym warszawiakiem, co wystawił sobie dom nad Jeziorem. Rybę razem łapali, na kaczkę chodzili, a też i na co grubszego, ale czy to ten sam, trudno powiedzieć.

Skwapliwie poświadczono. Bezpieczny, daleki temat. Z tego nie mogła pójść smuga na kłusowanie, ścinę w lesie bez asygnaty, na łapówki dla dyrektora centrali nasiennej za zawyżanie klasy dostawianego przez nich siewnego ziarna, na ukrytego buhaja, bo ich krowom czemuś nie służył sztuczny byk, po nim rodziły cieleta cherławe, marne albo i wcale.

Wieczorem ten sam milicjant przyszedł po Dziadka.

– Muszę was bez zwłoki wyprawić do Warszawy, dom wam się spalił!

Dziadek opadł na oparcie krzesła, jakby się skurczył, zmałał. I mnie poraziła wiadomość, złękłam się o Nonnę.

– Co z moją wnuczką?

– Przecież jest tutaj – nie zrozumiał milicjant.

– Ona nie jest moją wnuczką, moja została tam!

– Dowie się obywatel na miejscu, ja otrzymałem telefonogram, żeby takiego i takiego, co przebywa tu i tu, wyprawić.

Rozmiary klęski ogarnęłam dopiero, gdy stanęliśmy u powalonej bramy, skąd wiodła czarna od sadzy, rozjeżdżona przesieka pośród stratowanych i zwarzonych gorącym roślin. W głębi ogrodu jeszcze dymiło osmalone rumowisko.

Nonny już nie zobaczyłam.

Zginęła gwałtowną śmiercią, a dom spłonął do fundamentów. Pośród nocy nagle ogarnął go ogień. Niczego nie udało się ocalić. Żar nie pozwalał nawet podejść bliżej. Strop runął, nim przybyła straż pożarna. Ruina nadal gorzała jak stos. Stos Nonny. Chociaż nie było już nadziei na jej uratowanie, strażacy w azbestowych skafandrach z osłoniętymi twarzami przeszukiwali prażące zgliszcza.

Podpalenie zbrodnicze – orzekły protokoły.

Wnętrze zostało oblane benzyną. Ze składziku, stojącego w kącie ogrodu za osłoną wysokopiennych róż, znikły wszystkie zapasy paliwa. Szerniałe szczątki pojemników walały się pośród skruszałej cegły.

Nonna nic już nie czuła, gdy zamknęły się nad nią płomienie podsycane łatwopalną substancją. Nie żyła. Podpalono dom, aby ukryć albo przynajmniej utrudnić stwierdzenie przyczyny jej śmierci. Znaki, jakie zachowały się na czaszce, świadczyły, że takich obrażeń nie zadał żywioł; tylko metalowe narzędzie kierowane ręką człowieka.

Zabójstwo – stwierdzono urzędowo. O sprawcy nie wiadomo nic. Wprawdzie pożar nie zatarł dowodu czynu, jednak zniszczył wszelkie inne ślady po mordercy.

Wydarzenia nie znane obcym przede mną były odkryte. Od lat działały się na moich oczach. Mogłam sobie wyobrazić to, czego nie wiedziałam.

Pokłócili się, może szamotali z Nonną, i Grażel zabił ją przypadkiem albo chciał zabrać wszystko i zamordował z rozmysłem. Do zagrabionego mieszka ze złoczonej skóry może nawet nie zajrzał. Znał go i pewno od dość dawna domyślał się, co Nonna tam przechowuje. Dopiero gdy znalazł się w bezpiecznej odległości i trochę ochłonął, rozpoznał falsyfikaty. Właściwie garść strasu z Jablonexu, tylko każdy oddzielnie zaszyty we flanelowy futerał, co bardziej niż wszystko inne sugerowało cenną zawartość.

Zamordował i podpalił dla jubilerskiego chlamu!

Popelnić taką omyłkę. Nie do naprawienia. Nieznośna świadomość. Desperacko uczeplił się myśli, że kosztowności Nonny zostały ukryte u mnie. Mógł być świadom jej wyjazdu do Mikołaszy. Teraz te fakty powiązał. Dlatego tu jechał.

Tylko ja zdaję sobie sprawę, kto zabił Nonnę, lecz nigdy się nie dowiem, co dla mnie gotował Grażel. Z pewnością nic dobrego. Nie osiągnął. Na siedem kilometrów przed celem jego auto wyskoczyło z zakrętu.

To, co wiem, zachowam dla siebie.

Nonny nie da się wskrzesić, zabójca niewiele ją przeżył, rozbił się o głązy w kotlinie pod Płoną Skałą. Rachunek między nimi zamknął los.

Milczałam.

Wyłącznie ja i rabuś z Płonej Skały wiedzieliśmy o mieszkach ze złoczonej skóry z inicjałem Nonny, ale tylko mnie coś mówiła ta litera i tylko ja wiedziałam, że był to jedyny, trudny zresztą ślad, który mógłby połączyć dwa oddzielne wydarzenia. Jednak miałam się bardzo na baczności, gdy ten sam milicjant z Wigajny, po zawiadomieniu Dziadka o pożarze, powiedział:

- A od was, panno, muszę spisać zeznanie względem wypadku drogowego.
- Chciałam pojechać razem ze starszym panem.
- A jedź, dziewczyno. Zakazu nie ma. Adres i familia? – zrobił się urzędowy, wyciągając długopis i formularz.
- Pelagia Warega.

Pelagia. Odkąd zaczęła rozumieć i porównywać swoje imię z innymi, nie chciała go mieć i długo nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nie może go odrzucić jak niechcianą zabawkę,

bo tylko w wyborze zabawek miała swobodę. Już ściągnięcie fartucha, kapci czy rajstop wywoływało starcia.

– Pelka! – o kadencję podnosił się głos stopniujący zdrobnienia, których też nie lubiła.

Nieruchomiała. Mogła tak trwać bardzo długo z nie dzieciinną cierpliwością, nienaturalnie spokojna, jak owad udający nieżywego, dopóki uwaga opiekunki na dobre nie odwróciła się od niej ku innym dzieciom, co prędzej czy później musiało nastąpić. Wychowawczyni zajmowała się trzydziestoma malcami, z których żaden nie przekroczył jeszcze czterech lat, i właściwie trudno powiedzieć, żeby ich wychowywała.

Ściągnąć majtki, wysadzić, podciągnąć, zmienić pajacyk, bo się zmoczyło, rozdzielić gryzących się, szarpiących, kopiających, umyć twarze, ręce, pupy, zasypać talkiem.

Przez wiele godzin w tym kieracie, zmęczona, otepiała, ledwo nadążająca z podcieraniem, zmienianiem śliniaków, zasikanych rajstop, myciem, pudrowaniem, karmieniem.

Niewłaściwa waga, bladość, otarty tyłeczek, zaprzały siusiak – to konkrety. Zauważy każda kontrola, dojrzy lekarz i higienistka, przypilnuje kierowniczkę.

Zgaszone oczy, otepienie, nieruchoma twarz, niedostateczny albo zupełny brak kontaktu ze światem zewnętrznym, choroba sieroca, nieprzystosowanie – za to nie można obarczyć odpowiedzialnością wychowawczyni, nie sposób jej rozliczyć, za to nie pisze się złych opinii, za to się nie wyrzuca.

Mały człowiek jest istotą skomplikowaną, niepodobną jedna do drugiej, chociaż na wszystkie w mniejszym lub większym stopniu niekorzystnie oddziałują opieka instytucjonalna. Syndrom dręczy zbiorowość, choroba Domu, trawiąca społeczne sieroty wychowywane z urzędu. Na te cierpienia jest tylko jedna niezawodna rada. Matka! Matka, choćby niedoskonała, a jeśli to niemożliwe, kobieta spełniająca wszystkie funkcje, tamtej.

Wychowawczyni, nawet najlepsza, jest marną namiastką matki. Opiekunka, chociażby bardzo dobra, nie jest nawet surogatem matki dla trzydziestu małych dzieci. Ludzkie szczenięta potrzebują miłości, jednostkowej uwagi i bliskości kobiety, bliskości fizycznej, jej głosu, ciepła, zapachu. Ciało przy ciele.

Cierpiący na niedobór kochania malcy są zawistni o najmniejszy gest wychowawczyni. Pogładzenie po głowie, przytulenie, obdarzenie pieśczołą jednego sprawia, że trzy dziesiątki istnień rzuca się na opiekunkę, wspina, pełźnie, przywiera, kurczowo obejmuje.

Kobieta niknie pod opasującymi ramionami, zaciśniętymi łapkami, kłębiącymi się ciałami. Małe walczą ze sobą bez pardonu, odpychają, gryzą i szarpią, a wszystko w krzyku,

we łzach, w rozpacz i wściekłości.

Doznania ponad siły człowieczych ziaren.

Więc rozpleść duszące ręce, oderwać przyciśnięte twarze, otrząsnąć żywe grona; ugina się kobieta pod ich fizycznym ciężarem, pod naporem zmasowanego łaknienia miłości. Więc trzeba odsunąć je wszystkie, czułość zaś odmierzać jak krople – równo wszystkim. Takie sprawiedliwe, jednakie porcje uśmierzają, są znieczuleniem.

Dławiąca litość targa serce, ale litość nie jest kochaniem, one bardziej niż chleba potrzebują uczucia, intymnego kontaktu, bez przerwy. Ty – ja – my. Uwagi świadczonej nie grupie, a jednostce, niepowtarzalnej istocie, tylko mnie.

Rzadko która kobieta jest zdolna poświęcić się cudzym dzieciom jak własnym. Z miłości do rodzonych niewiele zbywa obcym. A dom dziecka nieczęsto jest powołaniem, przeważnie miejscem zatrudnienia, gdzie są urlopy, zwolnienia lekarskie, zastępstwa, zamiana dyżurów, praca na trzy zmiany.

Za pensję bywa się nawet sumiennym, rzetelnym, chociaż też nie zawsze, ale nie można za wynagrodzenie kochać. Pracą w domu dziecka jest, podobnie jak wszędzie, przeważnie środkiem do życia, rzadko sposobem na życie. Jeśli dla kogoś stanowi również i potrzebę serca, człowiecze okruchy utrzymywane społecznym kawałkiem chleba mają szczęście, mają wielkie szczęście. Ich dzieciństwo jest mniejszą niedolą.

– Pelka!

Mała, wyzwolona z wilgotnych rajtuz i burego fartucha, bosko ugania po sali łyskając spod koszuliny gołym zadkiem. Ucieka przed wychowawczynią, przewraca się, podnosi i znowu nurkuje w kłębiącej się masie, dopóki nie schwyta jej opiekunka.

– Znowu się złałaś! – klaps w chude pośladki, na delikatnej skórze wykwita czerwone odbicie palców.

Mała krzyczy bez jednej łzy.

– Żeby taka duża dziewczyna robiła w majtki!

Dziecko zanoszą suchym szlochom. Do piekącego bólu podrażnionego moczem tyłeczka dołącza się jeszcze rozdzierające uczucie żalu. Nikt więcej nie dostał, tylko ona. Kara dosięga indywidualnie, już o tym wie. Takie wyróżnienie przyjmuje jednak jako ciężką niesprawiedliwość, skoro pieczyoty dzieli się między wszystkich.

– Pelka, dlaczego nie wołasz! Sika się w nocnik, nie po nogach, ty zwierzaku! – potrząsa nią pod strumieniem wody pomocnica wychowawczynie.

– Nocnik śmierrrdzi – dzieciak dopiero niedawno opanował literę „r” i wciąż od nowa zachwyca się świeżą umiejętnością.

Trzydzieści nocników stoi w jednym pomieszczeniu, przeznaczonym tylko do tego celu, wciąż siedzą na nich jakieś dzieci, zagęszczeniu powietrza nie zapobiega wadliwa wentylacja, izbę wypełnia smród. Pelka do ostatniej chwili broni się przed wejściem w zaduch, a kiedy wreszcie decyduje się tam iść, często jest za późno, majtki są już mokre. Żeby uniknąć kary, ściąga z siebie ubranie, upycha za kaloryferem albo w inny kąt i ucieka jak najdalej od miejsca ukrycia dowodu nieporządku.

– Striptizerka! – długo wlecze się za nią owo przezwisko, towarzyszy jeszcze wówczas, gdy dawno ustały przyczyny. W kolejnych Domach, dokąd trafia, będą domyślać się zupełnie innych powodów powstania owego przydomka, znieawidzonego przez dziewczynkę jeszcze bardziej niż imię.

Istnieje i druga przyczyna.

Na Pelkę, drobną i najmniejszą z rówieśników, pasowały wszystkie rzeczy sprane, skurczone, z których inne dzieci wyrosły. Zniszczone, po przeróbce zawsze jeszcze dały się przystosować dla niej. I Pelka bardzo rzadko, najrzadziej ze wszystkich, otrzymywała coś nowego.

Kochała kolory. Przygnębiało ją wyblakłe, pocerowane ubranie, dostrzegała też, że pozostali malcy znacznie częściej dostają nową, nie używaną odzież. To bolało. Naznaczało odmiennością, sieroctwem wśród sierot.

– Gryzie – mówiła i zdejmowała z siebie odziedziczone łauszki.

Nikt nie zastanawiał się nad przyczynami. Wrażliwość na barwy? Wszystkie dzieci są na nie wyczulone. Dlatego w sypialniach jest kolorowo. Wiszą Kaczory Donaldy i Mickey Mouse, i pół Disneylandu, wiszą reprodukcje najlepszych rysunków dzieci, nagrodzonych na konkursach. Wychowankowie Domu otrzymują też kredki i różnobarwne papierki do wyklejanek, chociaż wszystko wkładają do ust i dodatkowo trzeba uważać, aby się nie udławiły, nie wyłamały zębów, nie wydłubały innym oczu.

– Brzydkie! – wyjaśniała Pelka, gdy zdobyła wreszcie właściwe słowo.

– Patrzcie ją, smark jeden! – denerwowała się wychowawczyni. No bo żeby takie nieodrosłe od ziemi, utrzymywane społecznie, miało jeszcze wymagania.

Przecież jest umyte, podtarte, nakarmione, ma dach nad głową i opiekę. A w Domu obowiązuje budżet i trzeba się w nim zmieścić, i kto słyszał wyrzucać zdatną jeszcze do użytku odzież. Nawet w prawdziwych rodzinach tego się nie robi.

Prawda. Szkopuł w tym, że Dom nie był prawdziwą rodziną.

– Pelka, niedobra, krnąbrna dziewczyno!... Paskudny szczeniaku, ja ci postawię na swoim! – opiekunka zaczyna energicznie wtłaczać małą w wytarty dres.

Dziecko nie chciało się ubierać. Walczyło z każdą szmatką wrywając się, wierzgając z krzykiem, we łzach, aby spocone i wyczerpane wreszcie ulec przemocy.

Później zaszywało się gdzieś w kącie i cierpiało samotnie wśród gromady. A jeszcze później przestało się zmagać przy porannym ubieraniu. Samo wyciągało ręce do łątanych rękawów.

– Grzeczna, miła maleńka! – jak słodczyce łasowała pochwały i czułości opiekunki, nigdy nie syta. Kobieta odrywała ją od siebie nagłona złąknionymi spojrzeniami stojących w łóżeczkach i niecierpliwie drepzczących w oczekiwaniu swojej kolei.

Wyłudzała pieszczotę należną posłusznym dzieciom i ukrywała się w najmniej widocznym miejscu w pokoju dziennego pobytu. Najchętniej wciskała się za regał z zabawkami i tam mściła na rzeczach, darła na sobie owe brzydkie, smutne ubrania, perfidnie zaczepiając je o wystające gwoździe.

– Wandal!

– Szkudny zwierzak!

– W destrukcji przejawia inteligencję.

Inteligencja. Formowanie osobowości. Niedostatki a nierzadko klęski w tej dziedzinie to najgroźniejsze zło towarzyszące instytucjonalnemu wychowaniu małych dzieci. Podopieczni Domu byli opóźnieni w rozwoju. Dzieci oddane rodzinom nadrabiały różnicę. Ale rzadko które trafiało do adopcji. Osamotnione, podrzucone na społeczny garnuszek, lecz nie sieroty. Ich rodzice żyli, nie chcieli się zrzec praw, a pozbawienie pod przymusem jest ostatecznością i sięga się po nie tylko w przypadkach drastycznych.

Zawsze jest nadzieja na podjęcie obowiązków przez najbliższych. Różne są przyczyny ich rodzicielskiej niewydolności. Choroba, alkoholizm, niskie zarobki przy braku własnego kąta i bez żadnego rodzinnego zaplecza, więzienie, egoizm, presja otoczenia na niezamężną młodą dziewczynę, brak uczuć wyższych, niezdolność kochania przez matki z okaleczoną osobowością. Nierzadko kobiety naznaczone obojętnością wobec własnego potomstwa swoje dzieciństwo spędziły także w Domach.

Zawsze jest nadzieja na współdziałanie rodziców, zwłaszcza matki, istoty nie do zastąpienia. Niektóre przychodzą z potrzeby serca, tylko ciężki losowy przypadek sprawił, że oddały tu malca. Te po jakimś czasie przeważnie zabierają dzieci. Inne groźbą, prośbą, perswazją Dom zmusza do systematycznych odwiedzin, przeciwdziałając syndromowi wychowania instytucjonalnego.

– Pelka! – przed porą odwiedzin mała wczepiła się i nie daje oderwać od stojaka na buty w hallu.

Tu goście zmieniają obuwie na klapki nie zbierające kurzu, dające się łatwo dezynfekować i nie niszczące wypielegnowanych parkietów.

Odwiedzający muszą wkładać fartuchy. Bez białych chałatów byłoby bardziej rodzinnie, lecz mniej septycznie.

W Domu z pozoru błahe dziecięce niedomaganie grozi chorobą zwielokrotnioną, grozi powikłaniami, grozi epidemią. Przy każdym kompromisie traci się coś istotnego. Wybór przebiega niemal stale między złym i gorszym. Trzeba wybierać mniejsze zło.

– Pelka! – mała na długo przed wizytami waruje najbliższej wejścia.

Miejsce ma niesłychane znaczenie, często trzeba staczać o nie walki z innymi, którzy chcą cię z niego wypchnąć. Pelka jest drobna, słaba, zwinna i zdeterminowana. Gryzie, kopie, tka palce w oczy, wydziera włosy i drapie do krwi.

Budzi strach, respekt, nienawiść. Ale pozostali bywają równie zdeterminowani i silniejsi i wtedy Pelka zostaje wyrzucona na szary koniec.

Szansa stracona.

Do niektórych przychodzą mamy. Szczęściarze! Taka mama nigdy się nie myli i zawsze z całej gromady wyłuska własne dziecko, nawet jeśli ono nie precyzyjnie się pierwsze, nawet jeśli zgaśnie światło, prawdziwej Mamie to nie przeszkodzi. Rozpozna swoje po głosie.

Pelka nie pojmuje, co one robią, że trafiają bezbłędnie do swoich dzieci, jednak tak jest. Pelka przeczuwa związek ze słowem rodzona, chociaż samej istoty tego określenia nie rozumie.

Na prawdziwą Mamę taki ktoś jak Pelka nie może liczyć. Nawet nie warto próbować wkręcić się za własną córkę do autentycznej Mamy, od razu orientuje się, że Pelka jest cudza. Owszem, nawet pogłodzi po głowie, ale to i tyle, bo trzyma na rękach rodzone, które zawsze odróżni, a jak się tylko Pelka zbliży, rodzone zaczyna wyć i odgania Pelkę kopiąc albo sięgając do włosów czy oczu.

Niektóre mają też rodzone babcie. Zresztą innych babć nie ma, w każdym razie Pelka takich nie widziała. Prawdziwą babcie też dobrze mieć, jest prawie jak mama. Dzieci z babciami to także szczęściarze.

Pelka nienawidzi szczęściarzy, chociaż rozumie, że nikt nie chce się Mamą dzielić. Ona też by się nie dzieliła. Połowa Mamy to nie to samo, co cała Mama. Od rozmienionej cudzej Mamy Pelka woli całą ciocię. To taka gorsza Mama.

Cioci też nie są jednakowe. Bywają ciocie, podobnie jak Mamy, bezbłędnie wynajdujące swoje dziecko, i ciocie, które zajmują się dziećmi bez wyboru. Te ciocie Pelka ceni najmniej, chociaż z takich cioci czasami robią się ciocie mamopodobne, co jest jedyną

szansą Pelki.

Pewno, Pelka chciałaby mieć stałą ciocię, ale z jakiegoś powodu nie ma, więc zawsze musi być najbliżej drzwi, aby zagarnąć dla siebie nie zajętą ciocię, gdyż ciocia nie starcza dla wszystkich.

Nie zawsze się Pelce udaje.

– Pelka, chodź do nas! – woła taka cudza ciocia obwieszona dwoma albo i trzema bachorami.

Inne dzieci, jak nie zdobędą własnej cioci, to się godzą na wspólną i nawet nie biją, tylko odpychają. Pelka nigdy. Nienawidzi takiej cioci i przyklejonych do niej szczeniaków.

– Gówna, diupa, szkodne zwierzęta, pindy, bezdzielne – mamrocze litanię uskładanych słów szkaradnych, za jakie jest karcona, i innych, które sama uznała za brzydkie. Przy czym czynnie torpeduje każdą próbę przygarnięcia przez nie zajętą ciocię. Krzyczy, kopie, gryzie. Przy następnych odwiedzinach Pelka już stroni od cioci zbierającej małe, którym nie udało się zdobyć kogoś tylko dla siebie. I może dlatego Pelka nie ma stałej cioci.

– Trudne dziecko – świeci za Pelkę oczyma wychowawczynie, a chora z rozczarowania i zawiści, samotna Pelka popada w najcięższe zmartwienie i zaszywa się w najciemniejszy kąt, twarzą do ściany, żeby nie widzieć szczęśliwców.

Wtedy przychodzi pani kierowniczka i jest tak, jakby Pelka miała własną ciocię, chociaż pani kierowniczka jest stąd. Pelka zgodziłaby się na panią kierowniczkę na zawsze, ale ona należy do wszystkich dzieci, najbardziej zaś do tych, których nic nie obchodzi.

Są takie.

One nie czekają, nie kłębią się w gromadzie, nie tępią konkurentów i nie rzucają się na nadchodzące kobiety. Leżą albo siedzą jak porzucone zabawki, patrzą też nieruchomo nie bardzo wiadomo na co. Niektóre kiwają się w przód i w tył, w przód i w tył, w przód i w tył i robią tak ciągle.

Pelka nawet próbowała zatrzymać jedno takie wahadło. Owszem, przyciśnięte ustawało, ale gdy je puszczała, kiwało się znowu. Starła się też coś zrobić z tym jego szklanym spojrzeniem, przypominającym lalkę z ruchomymi powiekami, ale na tych usiłowaniach przyłapała ją wychowawczynie.

– Pelka!

– Tylko chciałam poprawić oczy chłopcykowi.

– Nie wolno tego robić. Grzesio jest chory.

Pelka nie rozumie. Chore dzieci są zabierane nawet ze wspólnej sypialni i zdrowym nie wolno do nich wchodzić, a te huśtające się jak koń na biegunach albo zastygłe w bezruchu

niczym klocki tkwią na sali zabaw i opiekunki częściej niż inne biorą je na ręce, pieszczą, chociaż tamtym wcale na czułościach nie zależy i może dlatego nie wzbudzają zbyt silnej zazdrości.

– Pelka ma gorączkę – mała wlepia ślepką w ścianę i w podpatrzonym u Grzesia rytmie zamienia się w fotel bujany, ale nie wywołuje pożądanej reakcji. Nie udaje się wyłudzić od wychowawczyni dodatkowego zainteresowania, znudzona przestaje naśladować Grzesia. Zastanawia się tylko, skąd wiadomo, że ona nie ma tego samego co chłopczyk.

Grzesio cierpi na brak miłości, chorobę groźną, okaleczającą osobowość na zawsze, Pelka z braku miłości. Wielka różnica. Niedobór kochania nie niszczy nieodwołalnie. Tak że Pelka nie jest mimo wszystko najuboższą pośród ubogich, chociaż nie ma nawet babci.

Pelka była znajdą. Nie potrzebowano nikogo niczego pozbawiać, by ją adoptować, ale jakoś nie znaleźli się chętni na jej przybranych rodziców. Kandydaci na ojców i matki są bardzo różni.

Najlepsze z najlepszych są matki prawdziwe. Zdarzają się rzadko. Prawdziwa nie ocenia urody dziecka, nie dba o wiek ni płeć, nie niepokoi się o choroby przebyte i skłonności do mogących się zdarzyć, nie rozważa groźby obciążeń ukrytych w genach niewiadomego pochodzenia. Bierze dziecko pierwsze, jakie się nadarzy, bez wyboru, tak jak się przyjmuje własne, oczekiwane, urodzone we krwi i cierpieniu, nie wiedząc, czy będzie ładne, czy brzydkie, chłopiec czy dziewczynka i czy ujawnią się złe skłonności po jakimś niewiadomym przodku.

– Mama przyjechała cię zabrać – wyłuskuje z gromady swoje dziecko, jak każda mama. Tak zaczyna się szczęście.

– Dlaczego nie przychodziłaś?!!!

– Byłam daleko, a później bardzo długo cię szukałam.

– Urodziłaś mnie – to jest stwierdzenie, nie pytanie. Najcenniejsze słowo Domu.

– Urodziłam – wydaje go na świat teraz, w uścisku ramion aż do bólu, we łzach, we wspólnym rytmie serca.

Pelce nie trafiła się taka mama.

– Pelka, pewna mama chce cię poznać.

– Rodzona?

– Nie. Jeśli się pokochacie, będzie twoją mamą – kierowniczką nie może kłamać. Jeśli Pelka nie spodoba się kandydatce na mamę, cios byłby najokrutniejszy z okrutnych. Obudzić i zawieść nadzieję, to jakby wydrzeć serce.

Pelka się nie podoba.

– Co jest z tym dzieckiem? – dziwi się nieco już rozczarowana kandydatka.

Mała od pierwszej chwili sprawia niekorzystne wrażenie. Stoi jakby połknęła kij, łypie spode łba i nie sposób wydobyć z niej choćby słowo. Nikt nie wie, a najmniej sama Pelka, dlaczego nie rzuca się w ramiona tej kobiecie, ona, taka łasa na czułości.

– Pelka, przywitaj się!

W dziewczynce wszystko zamiera. Z prezentacji robi się kompromitacja. Pelka zlewa się w majtki.

– Czy to dziecko nie chore? – sztywnieje mama in spe, podejrzewając, że chce się jej wcisnąć brak.

Kiedy Pelki nie uprzedzają o ewentualnej mamie, a kandydatka pojawia się jako jedna z nowych cioc, też nic z tego nie wychodzi. Pelka nie jest przylepna ani miła, tylko zaborcza, trudna, bez wdzięku i nieładna. Pewno dlatego nie ma szczęścia.

Pięknym dzieciom jest łatwiej. Ale jeśli już nieefektywne, niechaj przynajmniej będzie niemowlak. Kandydaci na rodziców najbardziej wolą kilkudniowe albo takie do roku. Już odchowane z pieluch, a jeszcze potrafiące zapomnieć swój pobyt w Domu. Ale takich brakuje, czeka się na nie w długiej kolejce, obstawia szpitale położnicze i płaci pośrednikom.

Pelka dawno wyrosła z oseska. Ma blisko cztery lata, gdy je ukończy, opuści dom małego dziecka. Zostanie przekazana placówce zajmującej się dziećmi starszymi.

– Jest opóźniona w rozwoju – wycofuje się kandydatka za pomocą faktu, z którego nikt nie robił tajemnicy.

– Jest. Ale nasi wychowankowie, gdy tylko znajdą się w rodzinie, szybko nadrabiają braki – kierowniczka wyjaśnia przyczyny hamujące kształtowanie osobowości dzieci Domu.

– Teek! Niezbyt rozgarnięta i nieładna. Wygląd jest bardzo ważny u dziewczynki. Teek.

– Proszę sobie coś ładnego kupić. Srebro, stylową komodę albo chiński wazon, ale lepiej nic żywego. Żegnam!

Jednak rodzone mamy są najlepsze.

Zdarzają się także, chociaż rzadko, rodzeni tatusiowie. Tatuś różni się tylko tym od męża pani kierowniczki, że jest pijany. Pelka jeszcze nigdy nie widziała nie pijanego tatusia. Może i są tacy, ale ci inni tutaj nie zagląдают. Pani kierowniczka nie wpuszcza napitych tatusiów, chociaż niektórzy z nich są bardzo wysocy, a pani kierowniczka niska, tak że musi zadzierać głowę, kiedy mówi do pijanego tatusia.

– Prosimy, kiedy pan będzie trzeźwy.

– Mam prawo zobaczyć moje rodzone dziecko! – wyje, krzyczy, kwiczy, a zdarza się i

płacze taki pijany tatuś.

Wtedy pani kierowniczką woła bardzo silną panią Fełę, salową, i pani Fela wyrzuca za drzwi pijanego tatusia.

Pelka nie ma wyrobionego zdania, czy chciałaby mieć takiego awanturującego się, chwiejącego na nogach tatusia, który jakby dopiero co uczył się chodzić.

Z pierwszym swoim Domem Pelka rozstaje się bez dramatu. Przyjeżdża po nią nigdy nie widziana ciocia, Pelka ma ją tylko dla siebie.

– Pojedziemy do dzieci.

– Pelka nie chce do dzieci! – jeszcze czego, żeby jakieś bachory kleiły się do jej własnej cioci. Przywiera do niej zachłannie i kopie każdego, kto znajdzie się w zasięgu jej nóg.

Wielki ryk następuje w nowym Domu. Pelka czuje się oszukana, pełno tu maluchów i starszaków i wszystkie mają prawo do cioci, która wcale nie jest ciocią, tylko zupełnie cudzą panią kierowniczką.

– Szkudne zwierzaki, diupa, bezdzietne! – przeklina Pelka i uruchamia kończyny.

3

Pelka najbardziej lubi przebywać w kuchni, dokąd dzieci przyprowadza się w określonym czasie. W pierwszym Domu Pelka też chodziła do kuchni w grupie, gdzie pokazywano im różne niezwykle rzeczy, które, jak się okazywało, widniały na obrazkach w sali zabaw. Jednak w rzeczywistości przedstawiały się zupełnie inaczej i pasjonująco.?

– To jest marchew! A jej warkocz nazywa się nać – wychowawczynie wysoko unosiła za zielony kudłaty czub jaskrawy balasek zwięzający się ku dołowi.

Pelka nieruchomiała ze zdumienia. Proszę, włosy marchwi mają oddzielne imię. Niezwyczajnie było oglądać taki balasek podobny i niepodobny do tego z obrazka, wprost wierzyć się nie chciało.

Pelka знаła marchewkę, gęstą papkę w zbliżonym kolorze, którą pluła, gdy była nieszczęśliwa albo zła albo kiedy nie chciała jej jeść. Pojawiała się też w miseczkach jako różowawa kupka z cieniutkich niteczek, ale wówczas nazywano ją surówką. Więc jak to jest, czy marchew, marchewka i surówka stanowią jedność i czy można je także nazywać jarzyną?

Albo taki chleb, też bardzo tajemnicza sprawa. Chlebem dla Pelki była porcja równo

pokrajanych kromek. Okazało się jednak, że najpierw ma całkiem inną postać. Bywa obły, okrągły, z formy, z koszyczka – też naczynie do nadawania kształtu, tylko inne, plecione – i można o nim mówić pieczywo.

Tutaj wszystko było odmienne od potraw pojawiających się na stole, gotowych, rozdrobnionych, przetartych.

Infrastruktura tak oczywista, aż niezauważalna. Dziecko wychowywane w rodzinie przyswaja ją podobnie jak oddycha. Podopiecznym Domu przystępna tylko jako lekcja. Odwiedziny w małych grupach, żeby je można było upilnować, i nie za często, bo kuchnia musi pełnić swoje obowiązki.

W drugim Domu Pelkę spotyka szczęście.

– Wejdz se, chudzino – zaprasza Kucharka czającą się pod uchylonymi drzwiami Pelkę. Pozwala jej tu przesiadywać, kiedy tylko chce, chociaż inne dzieci przegania, jeśli nie są pod opieką wychowawczyń.

Przyjaźń z Kucharką dobrze robi Pelce.

– To jest żyto – kobieta przyniosła z domu garść ziarna tylko dla oświecenia Pelki. Miele je w młynku do kawy, demonstruje, jak robi się mąkę.

Pelka jest wniebowzięta.

– Na wiosnę zobaczysz, jak sieją zboża – obiecuje Kucharka. W pobliskiej wsi jej krewni mają gospodarstwo.

Drugi Dom Pelki znajduje się za miastem, w dużym ogrodzie z sadem i warzywnikiem przylegającym do strugi. Pierwszy Dom Pelki stał przy wielkowiejskiej, ruchliwej ulicy, ciasno obwarowany wysokim murem z cegły, miał splechotki trawnika i trzy drzewa.

– Za blisko komina nie podchodź, możesz se siedzieć przy szabaśniku, ogień widać, a od garów je daleko. Jak jesteś u mnie, ja nad tobą opiekę, tak obiecałam kierownicze. No to się słuchaj, inaczej pójdiesz precz.

Niczego nie musi Pelce dwa razy powtarzać. Pelka nie może sobie pozwolić na utratę przychylności Kucharki i wygnanie z rajku.

Pod czarną płytą wspartą na zrębie z białych kafli ogień z chrzęstem zjada węgiel, iskry skaczą z rusztu wprost na dno popielnika, odbłask oświetla prostokąt podłogi, obity blachą wybieg dla gorącego żaru, w swojej mowie ugwarzają wielki sagan z grubym czajnikiem, na ścianach wiszą rzędami różne rondle, chochle, patelnie, durszlaki i cała rodzina statków, których przeznaczenie Kucharka stopniowo objaśnia Pelce.

Tajemnice kształtów, zapachów, barw i zastosowań odsuwają w cień mające wspomagać rozwój Pelki kolorowe książeczki, układanki i testy towarzyszące jej od zarania.

Ale żywego kota widzi po raz pierwszy dopiero tutaj.

– Malwa!

Kot w krótkich nawrotach przechadza się na puentach, z wygiętym grzbietem i pręgą postawionej w igielki sierści. Ogon w pionie z drgającym koniuszkiem. Ślepia w szparki, poirytowane miauknięcia. Najwyższe niezadowolenie.

– Odejdź, człowiecze kocie, zajmujesz moje miejsce.

Ale intruz nie rozumie mowy kotów, niby skąd Pelka ma ją znać, i popełnia kolejny nietakt. Chwyta zwierzę. Tego już Malwa nie może znieść. Syczy jak imbryk pełen wrzątku i pac, pac, pac, otwartą łapą wali na odlew; przejeżdża po ręce Pelki redląc poczwórną bruzdę, która zabarwia się krwią.

– Drapie! – mężnie stwierdza Pelka. Nawet się nie skrzywiła, bała się narazić także tutejszemu kotu.

– Podła kocica! – przygania Kucharka, odmuchuje rękę Pelki i zalepia plastrem ślad pazurów. Podtyka dziecku jakiś łyse kąsek i całuje w czoło, chociaż jest powściągliwa w uzewnętrznianiu uczuć i raczej szorstka w obejściu. Przy niej Pelka stopniowo bezboleśnie wytraca swoją natrętną czułość.

Kot siedzi nieruchomo. Przednie łapki skromnie zsunięte jedna przy drugiej, owinięte ogonem, nastawione uszy, w skośnych oczach kresczki tęczówek. Sama delikatność.

– Nie chowaj urazy do Malwy, przywykła sypiać przy szabaśniku i trochę jest o ciebie zazdrosna – mięknie Kucharka. – Weź i nalej jej mleka, zaznajomicie się.

Któż lepiej od Pelki rozumie tego kota. Był tu pierwszy, miał dla siebie Kucharę, a teraz musi się nią dzielić. Ale Pelka nie czuje niechęci do stworzenia, bo jest kotem, bo nie zważając na niego oddano jej miejsce przy piecu, bo liczy na jego przyjaźń.

Jak się zaskarbia sympatię kota, mlekiem?

– Przyjdź, kocie – zaprasza uprzejmie.

Ani drgnie. Byłby aż tak zły na Pelkę? Dopiero Kucharka uczy ją starego jak świat zawołania.

– Kici, kici, kici – wabi Pelka i kot przybliża się wcale nie obrażony. Dziecko siada w kucki i patrzy, jak kot pije mleko. Gdy miska jest pusta. Malwa ociera się Pelce o kolana, pod rękę nadstawia grzbiet. Pelka nieśmiało gładzi pręgowane futro i wstrzymuje oddech z przejęcia.

Szczęście. Pelce jest dana chwila dzieciństwa.

Malwa to znakomitość, osobistość, łowczyni niedościgniona, matka generacji wytrawnych myśliwych, na kocięta od niej zawsze oczekują chętni.

Malwa kocha łowy i Kucharkę.

W Domu, imperium drapieżcy, nie ma śladu gryzoni, nocą grasuje więc po okolicy i sieje mord. Rano przed progiem kuchni leżą wyciągnięte w rzędzie ciała szczurów, nornic, myszy.

Kotka w ukryciu czeka na Kucharkę, a gdy ją dostrzega, wybiega zza węgła na puentach. Baletnica. Żąda podziwu i mleka. Bo Malwa, nieustraszony myśliwy, nie zjada upolowanej zwierzyny, przynosi ją tylko Kucharce w darze albo swoim dzieciom ku nauce.

– Niebывały kot! Dziękuję ci, Malwa – mówi Kucharka dumna z przyjaźni takiej indywidualności. Umie też ocenić jej gest i poznać się na wartości prezentu.

Pelka całym sercem bierze udział w podziwianiu niezwykłego stworzenia.

– Musisz wiedzieć, rzadko który kot ma odwagę porwać się na szczura, a Malwa przynosi wypasione, wielgachne basiory – Kucharka wtajemnicza Pelkę w nieprzeciętną osobowość Malwy. – W nagrodę dostaje wołowinę. Jest warta, gdyby tu hulały myszy, toby więcej zniszczyły, bo gryzoń nie tylko zje, ale i marnuje!

Malwa nieomylnie pojawia się w kuchni na dźwięk rozbijania mięsa. Z godnością odbiera daninę, sprawia się elegancko i opuszcza izbę każąc sobie uchylić okno. Malwa jest kotem mądrym.

Zmienia się w czas godów.

Zaniedbuje łowy. Kucharkę, śpiewa wieczorami, staje się rozpasaną zalotnicą i kocha tylko łaciatego kocura z licznymi śladami walecznych potyczek na pysku, który przybywa nie wiadomo skąd, jedynie wtedy gdy Malwa pragnie miłości.

– Marcuje – mówi Kucharka i z prostotą ludzi bliskich natury opowiada Pelce o małych kotach, których jeszcze nie ma, lecz za sprawą łaciatego zawiązą się i urosną w brzuchu kotki.

– W krowie tak samo?

– Tak samo u wszystkich rodzących żywy miot. A później krowa się cieli, klacz źrebi, koza parkoci, a kobieta...

– Dzieciaczy – odgaduje Pelka. – A kim byłam, kiedy mnie nie było? – dowiaduje się przy okazji.

– Ziarnem.

– Gdzie rosło ziarno?

– Ludzkie ziarno rośnie w kobiecie – jak kocięta w kotce.

Szczyście Pelki kończy się nagle. Kucharka odchodzi i zabiera Malwę. Ostatniego dnia próżno wygląda Pelki.

– Niewdzięczne dziecko!

Pelka, zaszyta w krzakach malin, siedzi jak martwa i nie może nawet płakać. Odnajdują ją dopiero wieczorem, już po odjeździe Kucharki. Pelka nie daje się wyciągnąć spośród bylin, wścieka się i na oślep rozdaje razy, chora z rozpacz.

Strasznie ciężko jest Pelce.

Zjawiła się nowa kucharka i nastał nowy kot. Pelka nawet nie zajrzy do kuchni, chociaż nikt jej tego nie wzbrania. Kuchnia stała się dla Pelki najgorszym miejscem na ziemi. Boli ją w dołku na samą myśl o izbie z kafłowym szabaśnikiem, po której spaceruje kot. O bólu w dołku ze zgryzoty też wie od Kucharki.

Pelka snuje się osowiała, zamknięta w sobie i zupełnie nie sprawia kłopotów, tylko lepiej jej nie zaczepiać, bo rzuca się na ludzi i zachowuje okropnie. Pelka protestuje, Pelka nie daje zgody na świat bez Kucharki i Malwy.

– Na wiosnę pojedziesz do niej w odwiedzin. Obiecuję ci – rozmawia z Pelką kierowniczką. Dobrze wie, co dzieje się z Pelką. Oto odebrano jedyną owieczkę ubogiemu. Ale nie może nic poradzić. Kucharka najęła się do sanatorium bardzo daleko od Domu. Tam znacznie lepiej zarabia.

– Nienawidzę jej – gada przez Pelkę nieszczęście. Nie umie sobie poradzić ze swoją osieroconą miłością.

Nie wiadomo drogą jakich skojarzeń i zasłyszzeń Pelka ustaliła ten fakt. Kucharka porzuciła Pelkę dla wyższej pensji. Wobec lepszej zapłaty przyjaźń nic nie znaczy. I dalej, wynagrodzenie pobiera pani kierowniczką i pani psycholog, i wychowawczyni, i oni tu wszyscy. Więc jeśli dostaną gdzie indziej więcej, opuszczą Dom i dzieci. To znaczy, całe gadanie, że są jedną dużą rodziną, jest kłamstwem.

Pelka przestaje ufać ludziom zajmującym się nią za pieniądze. Chwieje się grunt, Pelkę opuszcza poczucie bezpieczeństwa, obumiera więź uczuciowa. Pelka traci serce dla Domu.

Ma siedem lat.

Przed Bożym Narodzeniem warszawska gazeta zainicjowała kolejny „Uśmiech dziecka”. Pomysł chwycił. Ludzie chcą być dobrzy, zwłaszcza od święta. Zaprosić sierotkę do wigilijnego stołu, jakież to piękne i wzruszające, i zgodne z tradycją.

Wśród nocnej ciszy, dwa dni nie tak długo, biedne dziecko przynajmniej wzbogaci się o szczęśliwe wspomnienie i wiedzę o przyzwoitej rodzinie, dobry przykład i dobre jedzenie, i podarunek pod drzewkiem, nie mówiąc już o nieustającej radości pośród tatusia, mamusi, dzieci, babci, psa i gości. Niepowtarzalna atmosfera, jakież nie znają te biedactwa z domu

dziecka.

Kierowniczką przeżywała rozterkę, czy wydać w ręce miłosiernych osób dzieci Domu, ale presja była ogromna. Jej dzieci też oglądały telewizję, apel i wielkie gadanie na ten temat nie przeszły niezauważone.

– Czy nas też zaproszą? – nadzieja, wyczekiwanie, niecierpliwość i obawa, że nikt nie przypomni sobie o nich.

Napłynęło więcej zgłoszeń, niż było dzieci, i kierownicze nie starczyło przekonania, by przekreślić radość jednych i odepchnąć przyjazną dłoń drugich.

Niepokój pozostał.

Zbyt hałaśliwa akcja przyciąga nieczyste intencje. Reklamiarstwo, snobizm, ambicje, chęć pokazania się, czułośćkowość, okazjonalną litość, powierzchowną dobroć, tanią filantropię. Zapewne. Nie zawsze ludźmi kierują szlachetne, niczym nie skażone pobudki. Już ona o tym coś wie. Trzeba brać bliźnich takimi, jakimi są i co zdolni są ofiarować, jeśli tylko jej podopiecznym wyjdzie to na dobre.

Właśnie, czy wyjdzie na dobre. Co później? Przeważająca większość tych dzieci nie wie o życiu w rodzinie. Nie tęskni się za nieznanym, lecz jeśli go już doświadczy, czy Dom nie wyda się jeszcze gorszy, jeszcze smutniejszy, jeszcze bardziej instytucjonalny.

Pelka nie zagrzała miejsca u dobrego państwa. Odstawiono ją ciupasem w wigilijny wieczór.

– To dziecko ma złe skłonności – pani jest głęboko dotknięta i wcale urazy nie ukrywa. Pan oddał inicjatywę żonie i nie odzywa się, tylko nerwowo bawi się kluczykami od samochodu. Nawet one brzęczą oskarżycielsko. Pelka też milczy, wcisnęła się w kąt, najdalej jak mogła od miłosiernej pary, i ponuro łypie spođe łba.

Pelka od rozstania z Kucharką jest mruk i skrytek, ale tego grudniowego dnia jakby wychynął w Pelce rąbek słońca. Bez napominania odszorowała się jak nowa, uładziła strzechę w dwa porządne kucyki, ubrała w odświętną sukienkę w granatowo-białą kratkę z białym kołnierzykiem i nowusieńkie rajstopy, dobrane kolorem przez panią kierowniczkę.

– Pelka, wyglądasz jak z pełnej rodziny! – zaczepił ją w świetlicy chłopak, też czysty i zadbany. Dom robił, co mógł, żeby jego dzieci czuły się jak najmniej gorsze.

– Spadaj – mruknęła bez złości. Dzisiaj Pelka do niczego nie miała głowy, nawet porządnie odgryźć jej się nie chciało, cała była oczekiwaniem.

Pelka nie знаła umiaru ni w smutkach, ni w radościach, we wszystko pograżała się z uszami, a potem, gdy dostawała po krzyżach, nie miała, gdzie nawet oprzeć łokcia, żeby się, wydobyć z dołka, no to siedziała w nim i tylko robiła się gorsza.

Po Pelkę przyjechali najwcześniej. Oboje państwo, samochodem zagranicznej marki. Pani pachnąca, w pierścionkach i czerwono-niebieskiej szubie futrem do środka z puchatym kapturem, opuszczonym na plecy, obuta w komagry, to takie lapońskie trzewiki. Kurtka również była oryginalna, lapońska, i owo dwubarwne wyszywanie na niej też oryginalne, lapońskie, o czym wyczerpująco poinformowała Pelkę córka państwa, niewiele starsza od Pelki.

Pelka wstydziła się przyznać, że nie wiedziała, co to takiego, lapońskie, ale tamta domyśliła się i wyciągnęła z biblioteki wielki tom. Atlas narodów, plemion i kultur. Wspomagając się olbrzymim obracającym na pochyłej osi globusem, opowiedziała Pelce o ludach dalekiej północy, reniferach, psich zaprzęgach, wiecznej zmarzlinie i łowach na fokii.

Kolorowe plansze w księdze zaciekały Pelkę.

– Barwy i godła różnych państw – objaśniła córka domu.

– A co to jest? – wtrąca pani, która, między karpim a makiem z bakaliarnymi pod jej okiem przez gosposię, zajrzała do dziecinnego pokoju, by podeprzeć działalność oświatową swojej pociechy.

Pelka milczy.

– Nie wiesz?! – dziwi się pani. W tonie już czai się nuta zgorznienia. W Pelce coś rejestruje takie zmiany w głosie, czuje nadciągającą katastrofę, jeży się wewnątrz siebie, gotuje do obrony.

– Herb państwa pol... – w podpatrzonej u nauczycielki manierze podpowiada córka domu.

– Symbol naszej ojczyzny! – pani dosiada wysokiego tematu, z czego wywodzi wniosek, że ojczyznę powinno się czcić i kochać.

Pelka nie kocha.

– Coś ty powiedziała?!

– Nie Kocham – szemrze Pelka. Nic nie czuła do tego wymalowanego ptaka z nienaturalnie rozkraczonymi łapami w portkach z piór, złotymi szponami i odwróconą bokiem twarzą. Nie rozumiała, dlaczego miałyby szanować i darzyć go uczuciem, skoro nawet nie był do niczego podobny.

Dzieci Domu raz pojechały na wycieczkę do zoo w Warszawie, gdzie Pelka zobaczyła żywego orła. Rozczarowała się, bo ten z portretu i ten w wolierze wyglądały jak dwa zupełnie różne ptaki, a wyjaśnienie, że tamten na rysunku jest stylizowany, niczego w uczuciach Pelki nie zmieniło.

Personifikacja ojczyzny przez orła nie trafiła do Pelki, bo samo pojęcie ojczyzny było

dla niej sprawą mglistą. I skąd niby miała w sobie wziąć owo duże kochanie, skoro nie starczało go nawet na Dom, skoro nie starczało go już nawet na jednego choćby człowieka, odkąd uwiędło po odejściu Kucharki. Po tym Pelka miała już tylko siebie. Dotychczas jest jeszcze szczerą, ale też goni już ostatkami.

– Jak ciebie wychowują w tym Domu! – świętą zgrozą napęła panią Pelczyny poziom świadomości obywatelskiej.

Skąd mogła wiedzieć, że ustała komunikacja z jałowym sercem Pelki i wszelkie słowa osuwają się po nim jak po polerowanym szkłe.

– Niech się pani nie czepia Domu! – i tak Pelka musiała się przemóc, żeby utrzymać w sobie znacznie gorsze podsumowanie, ale robi się nieprzyjemnie.

– Nie gniewaj się, Pelka! Nie powinnam poruszać dzisiaj tak poważnych spraw. Cieszymy się świętem! – pani rozładowuje napięcie i nastrój się skleja.

Później jest pięknie.

– To Pelka – przedstawia pani i nawet nie dodaje, że przywieźli ją z domu dziecka.

Goście są tak samo zadbani i elegancy jak państwo. Obsiadają duży stół w jadalni pod strojnym wieńcem z jedliny uczepionym żyrandola. Pelce wskazują miejsce między córką a babką domu.

– Jedz, proszę – dba o nią pani starsza i ładuje takie porcje na talerz, jakby Pelka miała dwa żołądki.

Po kolacji pani w długiej sukni z kremowej koronki, jaśniejąca niczym wróżka, otwiera dwuskrzydłowe drzwi salonu, bo w tym domu jest świetlica nazywana salonem, w głębi goreje choinka pod sam sufit, a pod nią ślicznie opakowane paczki. Pelkę aż boli w dołku z zachwytu, czuje się jak w kinie. Film dzieje się wokół Pelki i z jej udziałem.

Czarodziejka w gipiurach koloru é cru i pantoflach ze złotej siatki rozdaje prezenty złożone pod drzewkiem. Najpierw otrzymują swoje Pelka i córka domu, dwa jednakowe pudełka zawinięte w zagraniczną bibułkę całą w jedlinki i wyłacane aniołki, przewiązane błyszczącym sznurkiem.

Nawet kartony pod papierem są identyczne, ale spoczywające w nich lale już nie. Owszem, obie są duże, jednakowego wzrostu, lecz na tym kończy się wszelakie podobieństwo, tylko jeszcze lepiej widać różnicę, chociaż obie mają jasne loki i wyprawkę. Lalka córki domu to kosztowne zagraniczne cacko, a Pelka otrzymała lichą zabawkę.

Znowu Pelka jest gorsza.

Jak nitrogliceryna eksploduje zawiść, zawód, żal, upokorzenie i szczególna drażliwość dzieci Domu. Pelka robi skandal. Wypuszcza flaki obu lalkom. Drze, depcze, rozbija i córka

domu dostaje po karku, gdy próbuje wyrwać ze szponów Pelki swoją własność, zanim dorośli zdążyli unieszkodliwić szalejącą Pelkę.

– I za co nas to spotkało, za co?! – żali się pani. Ma zbyt wiele smaku, by dodać: za naszą dobroć, ale to się rozumie samo przez się więc tylko wyklada przed kierowniczką dwa szkaradnie okaleczone trupki, niechaj one oskarżają Pelkę.

– Przykro mi – mówi kierowniczka. Stanowczo za mało jest wstrząśnięta widokiem ciałek z zakłętymi brzuchami, beznogich i łysych.

– Do widzenia – mówi pani w przestrzeń i odchodzi głęboko zraniona, bez nijakiej satysfakcji. Pelka nie została publicznie skarcona, nie kazano jej przeproszać, nawet nie zapytano, dlaczego tak postąpiła, chociaż wątpliwe, czy ten potwór powiedziałby choć słowo.

Kierowniczka jest głęboko zatroskana. Jakże miała żądać od tych ludzi: – Macie dawać takie same prezenty swoim i moim dzieciom, albo nie dawajcie ich wcale! I jakże ma uczyć Pelkę stosowania się do przysłowia o darowanym koniu, któremu nie należy zaglądać w zęby.

– Falszywcy! – wszystko, co ma Pelka do powiedzenia na pytania i perswazje kierowniczkę.

Lecz na tym nie koniec starań ludzi dobrej woli, jak powracająca lala biją o Dom. Spada inspekcja, rozmowy, sprawdziany, przesiaduje obserwator właściwego resortu. Interesuje się wychowaniem obywatelskim podopiecznych.

Personel Domu chodzi podenerwowany, dzieci są wyciszone, tylko rozszepcane po kątach. Pelkę otacza szczególna aura milczącego potępienia, nieufności, izolacja.

– Pelka, na miłość boską, powiedz, coś nagadała u tych państwa? – wreszcie wprost pyta kierowniczka.

Pelka znękana otaczającą atmosferą, czymś, z czym nie da się walczyć środkami, jakie zna, rozpaczliwie pragnie ludzkiej życzliwości, oparcia i obrony przed niechęcią, podejrzliwością, rezerwą, więc przemaga swoją niemotę i mówi, mówi prawdę.

– Powiedziałam, że nie kocham ojczyzny.

– Och, Pelka, Pelka! – wzdycha kierowniczka. Jest smutna, zmęczona i przybita, Pelka wolałaby, żeby ją skrzyczała.

Pelka zaczyna się bać. Teraz przytłacza ją uczucie ciężkiej przewiny i przysięga sobie nigdy więcej nie skusić się na gościnę u miłosiernych ludzi. Podobnie postanawia kierowniczka względem innych dzieci, ale tymczasem spławia Pelkę.

Nie, żeby żywiła niechęć do Pelki, czy szczególnie urazę za tę nieszczęsną wypowiedź u wpływowych państwa, tylko chce mieć święty spokój, czego z Pelką z pewnością nie zazna,

przeto ulega opinii wychowawczynie i sugestii obserwatora resortu.

– Dziecko jest trudne.

– Dziecko jest konfliktowe.

– Dziecko zbyt rażąco różni się na niekorzyść od innych podopiecznych Domu, może mieć na nich niedobry wpływ.

Kierowniczka ma nieczyste sumienie, nie jest zadowolona z siebie. Kierownicze jest żal Pelki i z jakichś powodów zależy jej, żeby Pelka nie zachowała do niej urazy. Osobiście szykuje ją do przeflancowania. Pakuje rzeczy, sprawdza akta.

Pelka przez siedem lat życia obrosła papierami składanymi w kartonowej okładce wiązanej na tasiemki, na co dzień zamkniętej w żelaznej kasie, od której klucze pani kierowniczka nosi przy sobie i nikomu ich nie powierza, jedynie zastępstwu, lecz wówczas przekazuje wszystko komisyjnie. W sejfie, poza upchniętymi w rzędkie szarymi teczkami zawierającymi curriculum vitae wychowanków, przechowywane są depozyty należące do dzieci. Rzadko jakie domowe dziecko ma depozyt. Pelka ma. Nie byle co, taka własność. Atut nie do przebiccia w utarczkach z dziećmi, zwłaszcza tymi, na które nic podobnego nie czeka w pancерnej szafie.

Depozyt. Słowo niezwykle, brzmiało tajemniczo, Pelce nie kojarzyło się z niczym, innym dzieciom też nie. Posiadające czuły się równo, sprawiedliwie uprzywilejowane, nie posiadające jednakowo wyzute, i tym bardziej nie chciały nawet myśleć o mieniu tamtych.

Pelka nigdy dotychczas nie starała się dowiedzieć, co kryje niezrozumiała nazwa, nawet się nie zastanawiała, wystarczyła świadomość, że owo niewyobrażalne, należące do niej, istnieje. Teraz niepokoiła się, czy depozyt odeślą razem z nią do innego Domu.

– Przekażę go osobiście – zapewniła kierowniczka.

– Chcę zobaczyć – żąda Pelka.

Kobieta bez słowa wyjmując kopertę, z niej pudełko po herbacie Ulung, skąd z bibułkowej otuliny wyłuskuje nanizany na łańcuszek złoty, owalny wisior.

– Medalion – objaśnia i składa przedmiot w nadstawione dłonie Pelki.

Depozyt, błyszczący bardziej niż pierścionki na palcach pani kierowniczki, ozdobiony jest na elipsach rytymi w kremowej kości niewieściami profilami, osadzonymi na długich szyjach z włosami zwiniętymi w ciężkie węzły nad karkiem. Całość trochę przypomina Pelce muszlę małża. Składa się z dwóch połówek złączonych zawiasem i zamkniętych na zameczek. W środku spoczywa podobizna kobiety. Twarz o pospolitych rysach wysubtelniona kunsztem makijażu, gładkie włosy z przedziałkiem zebrane przy uszach i ufryzowane w anglezy, pęk białych kwiatów, przy dekolcie odkrywającym ramiona.

– Kto jest na tej fotografii?! – Pelce zapiera dech w przeczuciu rozwiązania tajemnicy swojego istnienia.

– Nie wiem. Ale to nie zdjęcie, tylko ilustracja wycięta z gazety – mówi pani kierowniczką, podważając paznokciem kawałek wiotkiego papieru. Na odwrocie Wizerunku widnieje zwyczajny druk.

– Moja matka! – Pelka nigdy jeszcze nie widziała tak uczesanej i ubranej kobiety, ale podoba jej się niezwykle portret.

– Nie sędzę.

– Pani kłamię!!!

– Nie kłamię. Gdy będziesz starsza, zrozumiesz.

Co tu jest do rozumienia! Kierowniczką robi sekret z tego, o czym wie każde dziecko Domu. Wieść o pochodzeniu Pelki przywędrowała za nią, chociaż jej akta leżą pod kluczem u pani kierowniczką, tak samo jak leżały w pierwszym Domu.

– Znajda, podrzutek! – przezywają dzieci. Pelka nie musi czekać, aż urośnie, od niepamiętnych czasów wie, że znaleziono ją pod progiem pierwszego Domu. Podniosła ją z kamiennego schodka silna pani Fela, postrach pijanych tatusiów, najwcześniej z całej zmiany przychodząca do pracy. Był wówczas wczesny marcowy ranek i padał gruby, mokry śnieg.

– I miałam depozyt, becik z pierza i nazwisko – opowiada sobie Pelka. Z napięcia aż się jąka, gotowa skakać do oczu o swoją biedną legendę.

– Tak – przyznaje pani kierowniczką, za co Pelka czuje dla niej wdzięczność, ale i niedosyt. Chciałaby usłyszeć coś więcej o najważniejszym dla siebie wydarzeniu, niż tylko to suche stwierdzenie.

– Będę nosiła mój medalion – postanawia Pelka zdesperowana i gotowa na wszystko.

Wisior z kameami już nie wraca do żelaznej szafy. Pelka założyła go na szyję i jak szkaplerz wpuściła pod koszulę. Kierowniczką wyrzuca sobie nieostrożność, lecz nie decyduje się odebrać go siłą, gdy zawodzą słowne argumenty.

– Nie oddam, jeszcze się kto złasi i ukradnie, zanim zdążę być duża.

Doprawdy, trudno do tego dziecka mieć serce. Kierowniczką milknie, cichnie jej niepokój sumienia, wreszcie czuje już tylko ulgę, że pozbywa się Pelki. Niechaj się z nią użera kolejny Dom, i wychowawczynie stamtąd kwituje odbiór Pelki wraz z medalionem na szyi.

A Pelka ogrzewa własnym ciałem zimne złoto, a zimne złoto, wewnątrz którego spoczywa nadzieja, rozgrzewa zziębniętą duszę Pelki. Teraz ucieka do gazetowej podobizny, ilekroć jest nieszczęśliwa.

Mamo!

Pelka łąduje w trzecim Domu i od razu jest afera. Na Pelce nie ma medalionu. Opiekunka, co Pelkę pokwitowała, cała w nerwach, teraz rozzuwa ją i rozbiera do golasa, ale ni śladu po złotym małżu na łańcuszku.

– Przecież nie mógł się zerwać, ani zapięcie nie mogło puścić. Bawiłaś się nim, zdejmowałaś?!

– Mhy – Pelka zwiesza głowę, chlipie i zamienia się w pień.

Nie straciła medalionu. Oplatany przez nią gęstwą włosów, wewnątrz nasady kucyka zebranego gumką i zapinką, unika zaborczych rąk dorosłych. Nareszcie przydała się na coś Pelce jej grzywa, na której łamią się grzebienie.

Dziedzictwo Pelki już nigdy nie trafi do depozytu. Pelka bezbłędnie wynajduje kryjówki i w żadnym z Domów nie wyjawia swojej tajemnicy.

W trzecim Domu rządzi z jakiegoś powodu nie kierowniczką, tylko Dyrektor, surowy i sprawiedliwy – według oceny resortu – dlatego też ściekają tu ze wszystkich placówek wychowankowie przysparzający kłopotów, nieprzeciętni. W nowym miejscu panuje surowa dyscyplina formalna, z początku Pelka często podpada i w ogóle chodzi przegrana przez swoją hardość.

Na koniec roku szkolnego Pelka przynosi dwóje od góry do dołu i czwórkę ze sprawowania.

– Martwisz mnie, Pelka – wzdycha wychowawczyni.

– A co, potracą pani z pensji?! – beczelnie odszczekuje się Pelka.

Prędko przycierają jej uszu i Pelka pokornieje. Staje się w miarę ucywilizowana, grzeczna, fałszywa i kłamie równie łatwo jak oddycha. Schlebiać, nie dać się złapać, a jeśli już, udawać skrucę i przytakiwać. Oni to lubią, często dają się nabrać, zwłaszcza dziecku potulnemu, zuchwałe ma ciężkie życie.

Oni to wychowawcy Domu. O opinię nauczycieli w szkole Pelka nie dba. Pelka nie cierpi szkoły. Nauka idzie jej opornie, właściwie w ogóle nie idzie, bo wcale ją nie obchodzi. Pelka nie ma żadnej ciekawości do podręczników ani do tego, co mówią nauczyciele.

Pelka nie ma się dla kogo uczyć. Dzieci w wieku Pelki uczą się dla rodziców. Taka jest rzeczywistość. Dla kogoś, kogo nie chce się zmartwić niepowodzeniem i kto się serdecznie ucieszy z sukcesu dziecka.

Z osiągnięć Pelki nikt się nie cieszy serdecznie, Pelka to czuje, a pochwały domowej wychowawczyni – ona nawet czasem wyraża uznanie, chociaż powodów jest coraz mniej – są mdłe jak wystygła herbata i nijakiej radości Pelce nie sprawiają, tak naprawdę nic ją nie

obchodzą.

A znowu złymi ocenami sama Pelka wcale się nie przejmuje, odkąd uświadomiła sobie, że Dom niewiele jej może zrobić. Owszem, przykre jest odebranie niedzielnego deseru, zakaz oglądania telewizji czy pozbawienie wycieczki, jednak to cena niewarta wysiłku ślęczenia nad nauką.

Nie nauczyła się czytać. Ledwo duka i tylko głośno, poruszając ustami, bo nie umie czytać myślą, jej zeszyty są wymięte i poplamione, a książki podarte z oślimi rogami.

Pelka w ogóle nie dba o rzeczy, chociaż akurat pod tym względem nie wyróżnia się szczególnie wśród wychowanków Domu.

– Dzisiaj ty i ty, i ty pobieracie odzież! – mówi opiekunka i prowadzi do magazynu. Pelka, między innymi, otrzymuje odpowiednią rozmiarami, zupełnie nową i nawet niebrzydka sukienkę.

– Niczegowata – powiada z nonszalancją, nakłada, ogląda się w lustrze przymierzalni i naprawdę cieszy. Ale radość jest krótka. Pelka prędko zapomina jej smaku. Po kilku dniach nowe ubranie przestaje być nowe, Pelka go nie szanuje, czasami wręcz bezmyślnie niszczy. Podobnie traktuje wszystkie służące jej przedmioty.

Może dlatego że gorsze czy lepsze rzeczy zawsze dostawała, zawsze pobierała. Branie i otrzymywanie nigdy nie łączyło się z pracą ojca, wysiłkiem matki, radością obojga ze sprawionej dziecku przyjemności, a przykrość z marnowania przez Pelkę dotyka ludzi jej obojętnych. Zresztą, jaka tam przykrość. Przedwcześnie zużyte, obszarpane i reperowane byle zbyć i tak Pelka nosiła przez czas objęty przepisem, a potem zwracała do magazynu, gdzie wydawano jej całe, zaś tamte spisywano ze stanu.

Gdyby je oszczędzała, czas używania zostałby przedłużony, w czym Pelka nie widzi żadnego interesu. Jeśliby kochała magazynierkę, to co innego, ale nie kocha i nic ją nie obchodzą kalkulacje Domu. Dlatego też Pelka na ogół wygląda tak, jak i jej przybory szkolne.

– Pelka, kotlety smażyłaś na zeszytach? – nauczycielka już zrezygnowała z Pelki. Pozbawiona ambicji, niechlujna, leniwa, zła uczennica, coraz częściej służyła za odstręczający przykład dla innych.

Pelka znowu jest gorsza, ale już się tym nie przejmuje, tylko zniechęciła Panią.

Na radzie pedagogicznej nauczycielka coraz częściej napomyka, żeby Dom zabrał Pelkę z ich szkoły, bo takie jak ona ciągną klasę do tyłu.

– Dlaczego dzieci zdolne i pilne mają być karane obniżaniem poziomu nauczania tylko dlatego, że przebywają wraz z nieukami pozbawionymi ambicji, tępymi, zdemoralizowanymi – mówią na wywiadówkach niektórzy rodzice.

Oni w ogóle nie chcą tu dzieci Domu, które, prawda, raczej nie błyszczą, chociaż zdarzają się wyjątki. Co gorsza, mówią o tym w mieszkaniach przy swoich pociechach, to podkreśla ich wyższość i krzywdę wyrządzaną przez motłoch. Pewni poparcia najbliższych, przenoszą ich opinie na teren klasy:

- Podrzutki, dziedzicznie obciążone!
- Młotki!
- Szarańcza z domu dziecka!
- Bastruki, bachory!

Pelka nie odwzajemnia wyzwisk, od razu bije. Ją także biją. Ale Pelka jest zwinna jak jaszczurka i rzuca się w bójkę z desperacją. Rozbija nosy, rozcina wargi, wrywa włosy i orze paznokciami do żywego mięsa.

– Potwór! – rodzice poszkodowanych skarżą w szkole, skarżą w Domu. Surowy i Sprawiedliwy ujął się tym razem za Pelką. Może i szkoda, że ona o tym nic nie wie. W każdym razie rozmawia z nią poważnie, kary nie wymierza. Ale Pelka już się nie odkrywa. Jej nadwrażliwość stępieła, porasta coraz grubszą skorupą, a może po prostu rogowacieje, z czasem ochronny pancerz pochłonie to, co miał osłaniać.

Dzieje się rzecz najgorsza.

Dzieci zostają podzielone na dobre i liche, te naznaczone Domem. Szerzy się szczególna ksenofobia. Po jakimś czasie hasło może stać się wymienne. Wystarczy, zamiast dzieci Domu, podstawić każde inne.

Ale rodzice lepszych dzieci nie dostrzegają niebezpieczeństwa lub nie uważają tego za zło, nie widzą też krzywdy wyrządzanej dzieciom Domu, dzieciom dotkniętym przez los, dzieciom z najtrudniejszym startem. A przecież nie każdemu z nich wszystko już Zobojętniało jak Pelce, bo Pelka aż do tego doszła. Chociaż nie, jeszcze coś się tli!

Pelka biegnie najszybciej z całej klasy. Nawet większość starszych od niej nie potrafi jej doścignąć. Pelka jest wiatronoga, kiedy biegnie, ogarnia ją radość, staje się szczęśliwa i prawie dobra. Ale nikt tego nie dostrzega, bo Pelka przestaje być dobra, gdy tylko przestaje biec, no i dzieci, zwłaszcza te lepsze, którym Pelka chce najbardziej zaimponować, trzymają się od niej z daleka, pomne guzów i rozkwaszonych nosów, i trochę zazdroszczą Pelce opinii najlepszego bieguna w szkole.

- Świetnie, Pelka! – pani ód gimnastyki chwali Pelkę.

Pelka lubi wychowanie fizyczne i pochwały. Panią od gimnastyki nawet też lubi, ale jakoś tak błado. Można powiedzieć, że najmniej jej nie znosi ze wszystkich nauczycieli. Nie, nie dlatego, że ona bierze pensję. Ludzie muszą z czegoś żyć, Pelka już to rozumie. Owo

zastrzeżenie dotyczy wyłącznie ludzi Domu. Jak mogliby egzystować bez wynagrodzenia, Pelka się nie zastanawia.

Może i zaczepiłaby swoje serce o panią od gimnastyki, ale ona rzadko poświęca Pelce czas dłużej niż od dzwonka do dzwonka. Jest chłodna i rzeczowa, odnosi się przyjaźnie, lecz nie pragnie przywiązania Pelki.

– Doskonale, Pelka!

Pelka zręcznie ćwiczy na macie, na przyrządach, biega coraz lepiej i dorabia się czegoś na kształt szacunku wśród kolegów.

– Ona jest z naszej szkoły! – chwalą się Pelką nawet lepsze dzieci, kiedy, zajmuje pierwsze miejsce na zawodach międzyszkolnych.

Nareszcie z czegoś nie jest najgorsza, ale efekt niweczą inne przedmioty.

Na koniec roku Pelka ma same dwóje okraszone dwiema czwórkami. Z zachowania i wychowania fizycznego, z którego należną piątkę utracił stopień za sprawowanie.

Pelka swoje świadectwo ugniotła w kulę, a zapytana o nie w Domu, podała wychowawczyni papierową pigułę. I nikt nie chce uwierzyć, że nie przez złośliwość. Jednym, słowem rogi jej urosły, bo kroi na sportową gwiazdę.

A Pelka po prostu poważnie zamyśliła się nad życiem. No, bo w bieganiu, w gimnastyce została kimś, i to jest bardzo przyjemne uczucie, ale w ogóle mają ją za cioła, czyli za nic. Te kolumną wypisane „niedostateczne” zaczęły ją uwierać, czego nie doznała nigdy dotychczas i jakoś tak bezwiednie urobiła w bombę trzymaną w rękach cenzurę.

– Nie pojedziesz na letnie zawody – zapowiada Surowy i Sprawiedliwy.

Pelka jest zdruzgotana, takiego ciosu nie spodziewała się, bo chluba jej rekordów spływała przecież i na Dom.

– Panie Dyrektorze, ja się poprawię! – obiecuje z rozpaczą, po raz niepamiętny.

Decyzja jest nieodwołalna, skoro zakomunikował ją sam Dyrektor. Postanowienia, które można jeszcze zmienić, czasami podejmują wychowawcy. Wie o tym każde dziecko Domu.

– Ani jednej dwójki i bardzo dobry ze sprawowania. Wówczas zezwolę na sport – taki jest warunek. Karę pomyślano jako wychowawczą, bo na Pelkę nie pozostało już prawie żadnego sposobu, lecz ona zamiast zmobilizować, przygniata Pelkę. Wie jedno, odebrano jej wspaniałą imprezę i wygląda, jakby jej kto umarł.

– Jeśli zapracujesz przynajmniej na dostateczne, pomyślimy dla ciebie o szkole wychowania fizycznego – obiecuje Surowy i Sprawiedliwy. Nie wspomina, że już próbował wcisnąć im Pelkę, ale się nie udało. Kto z dobrej woli chce sobie brać na łeb mola z takimi

ocenami i życiorysem, użerać się na zajęciach i w internacie.

Pelka z umarłą nadzieją, bezsilna, zije nienawiścią i pragnie już tylko zemsty. Nie znajdując nic lepszego na podporządku, zapowiada, że nie będzie się uczyć.

– Utrzymuje cię państwo, jesteś mu coś winna! – wchodzi na koturny Dyrektor.

– Chromolę ojczyznę! – wścieka się Pelka i cieszy złą radością. Wie, jak im dojechać. Może jej głośny brak patriotyzmu zaszkodzi i temu Dyrektorowi, skoro narobił kłopotów kierownicze drugiego Domu. Najlepiej niech go zdejmą ze stanowiska, a Pelkę przeniosą gdzie indziej.

Pelka jest tak rozgoryczona, że zupełnie przestaje się liczyć z obowiązującymi regułami i wciąż się naraża, i znowu brnie w nowe przewiny, i zalicza kary, jakby je składała na książeczkę oszczędnościową. Traci desery, telewizję, niedzielne ciasto, świąteczne kino. Nie zabierają jej na wycieczki ani nawet nad rzekę, gdzie domowe dzieci spędzają wakacje. Pelka jest pozostawiana w ogrodzie, bo nikt nie ma sumienia ryglować jej w sypialni, chociaż nie na wiele to by się zdało. Pelka wspina się po gzymsach, parapetach, drzewach tak pewnie jak kot.

Kiedy chce, wymyka się z Domu, i nie dba, co będzie, gdy się wyda, że wychodzi bez pozwolenia, ale widać Bóg czuwa nad desperatami, Pelka nie podpada. A może Dom znużył się zmaganiem i nie chce wiedzieć o Pelczynej samowoli, tym bardziej iż większość wychowawców, w tym i Dyrektor, są na urlopie.

Trzeci Dom znajduje się na peryferiach Miasteczka, które rozsiadło się przy międzynarodowej drodze. Kiedyś biegła ona przez Rynek, ale zbudowano obwodnicę, a przy niej stanął motel. Od tej pory, zwłaszcza latem, centralny deptak przenosi się z ulicy Kościelnej na pobocze szosy okrążającej Miasteczko. Pociągnął i lodziarz, i wytwórca cukrowej waty, i ci, co mają do zbycia owoce ze swoich ogródków, i jedna pani, która potrafi gotować lizaki, karmelki i landryny z komercyjnego cukru, a cukiernik nawet zaczął się tam budować, na razie sprzedając swoje wyroby pod parasolem.

Tam jest życie!

Zatrzymują się różne samochody, wysiadają z nich nieraz całe rodziny z dziećmi i wszyscy idą do motelowej restauracji, gdzie śpiewa szafa. Gdy się zapłaci, można sobie wybrać płytę grającą trzy minuty. Pelka tak zazdrości tym szczęśliwym bachorom, że w żaden sposób nie może się powstrzymać, żeby im nie pokazać języka.

Pelka potrafi godzinami stać tutaj i patrzeć na życie, jakie ją omija. Nawet nie może kupić sobie loda, jednej, jedynej porcji za trzy złote, bo nie ma ani grosza.

Na kieszonkowe dzieci Domu pracują. Zbierają makulaturę, złom, szkło użytkowe.

Pelka nie otrzymuje wypłaty. Za karę, dopóki się nie poprawi, wyłączono ją z podziału dochodu. Pelka się nie poprawia.

Nawet gdybym dostała tygodniówkę, już bym ją przejadła w niedzielę – pociesza się Pelka i patrzy, jak inni liżą lody. Raz spotkało ją szczęście. Lodziarz ją zawołał i dał trzy kulki, dwie śmietankowe i jedną truskawkową.

– Częstuj się – powiedział ładnie.

Ale to zdarzyło się dawno. Pelka już któryś raz z rzędu nie zarobiła swojego udziału i nie może lodziarzowi włożyć w oczy. Jeszcze by kto pomyślał, że się przymawia o darmowy poczęstunek. Nie jest dziadem jak ci starzy, co wysiadują pod kościołem. Podpiera więc ścianę za węglem motelu, brzydka, chuda, z nastroszoną nad czołem strzechą, istny strach na wróble, i patrzy, jak dzieci turystów z eleganckich samochodów, jadących ze świata w świat, jedzą ciastka, piją oranżadę i napierają się lizaków, a ich mamy mówią:

– Nie wiadomo, z czego je robią. Niedobre!

– Niehigieniczne!

– Zostaw, takie świństwo!

– W wozie mamy czekoladę i orzeszki, i sezamki.

Ciągną za ręce opierające się dzieci albo je biorą w ramiona, albo ulegają ich zachciankom i kupują wielkie czerwone, zielone lub żółte słodkie dyski na patykach, i przechodzą obok Pelki, jakby jej wcale nie było, i wsiadają do swoich aut, i znikają za horyzontem, pozostawiając Pelkę z dotkliwym uczuciem, że tyle ją omija.

– Wracaj, Pelka, do domu – przegania ją bufetowa.

Pelka się nie stawia. W Miasteczku wszyscy wszystkich znają i wiedzą, że ona jest z Domu. Jakby się odszczekiwała albo nie słuchała, mogliby naskarżyć i Pelka długo albo wcale nie mogłaby już przyjść na krzyżowanie pod motel. Więc odlepia się od ściany i całkiem przegrana wlecze noga za nogą.

Jak się już zacznie, to, żeby nie wiem jak wolno iść, zawsze się dojdzie do Domu. I już jest początek ulicy, a właściwie nie ulicy, tylko drogi z jednej strony graniczącej ze szczerym polem, na środku której iska się pies.

I tu, prawie pod samym Domem, kiedy już niczego po życiu się nie spodziewała, Pelkę spotyka szczęście.

– Jesteś z domu dziecka? – zaczepia ją elegancka pani w dużych lustrzanych szklach. Pelka wie, takie okulary są modne, nosi je większość samochodowych ludzi zatrzymujących się pod motelem.

– Mhy.

– Chcę się zobaczyć z dziewczynką nazywającą się Pelagia Warega. Możesz ją zawołać?

Pelka nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Stoi jak słup, patrzy na elegancką panią i ani be, ani me. Po raz pierwszy w życiu ktoś chce ją zobaczyć, nie będąc ani wychowawcą, ani higienistką, ani lekarzem, ani psychologiem, i Pelkę przytłacza nadmiar radości.

– No idź, powiedz jej, żeby wyszła, ale nie mów nikomu innemu – elegancka pani trzaska zamkiem białej torebki z mięciutkiej skóry i szeleści banknotem.

– Nie, nie – odpycha Pelka rękę z pieniędzmi, jakby nigdy nie istniały lody i ciastka, lizaki i cukrowa wata. – To jestem ja, proszę pani – wreszcie udaje jej się wydukać.

– Ty jesteś Pelka Warega?! – w tonie eleganckiej pani rezerwa i źle ukrywane rozczarowanie. Kładzie Pelce dłoń na ramieniu, na palcach z różowo umalowanymi paznokciami ma więcej złotych pierścionków niż pani kierowniczką z drugiego Domu.

– Mhy – potwierdza Pelka i zwiesza głowę. Zna tę barwę głosu, prawie wszyscy ludzie podobnie reagują na Pelkę, nawet jeśli nic nie przeszkobała.

Ale zaraz jest bardzo pięknie. Dzieje się jak w filmie. Elegancka pani zaprasza Pelkę do samochodu i jest tak, jakby Pelka była dzieckiem któregoś z tych turystów, co kupują smakołyki pod motelem w swej drodze ze świata w świat.

– Mów mi Nonna – przedstawia się elegancka pani, gdy zasiadają na tarasie prawdziwej kawiarni w Mieście leżącym przy tej samej szerokiej autostradzie i Pelka dostaje takie lody, jakich nigdy nawet nie oglądała. Zamrożone w czekoladzie z bakaliami i biszkoptem.

– Skąd mnie znasz, Nonna? – dąży Pelka, ale przede wszystkim chce wypowiedzieć na głos to śliczne imię.

– Usłyszałam o tobie od ludzi z poprzedniego twojego Domu i chciałam cię poznać bliżej.

Aha, jedna z miłosiernych osób, które przeważnie zajmują się najmłodszymi, rzadko poświęcając uwagę starszym dzieciom. Ale Nonna różni się od dobroczynnych pań nawiedzających Dom. Tamte pojawiają się holowane przez wychowawców, ważniejsze przez samego Dyrektora, a najważniejsze, małżonki osobistości, w asyście czynników – miejscowych, wojewódzkich, a nawet najwyższych.

Przybycie małżonek poprzedza atmosfera napięcia i nerwów oraz generalne pucowanie Domu, sprzętów i dzieci. Ale wszystkie społeczne kobiety zachowują się podobnie. Przynoszą łakocie i egzotyczne owoce, nudzą, zasiadają z dziećmi do podwieczorku, nudzą, zabierają do kina, nudzą, prawią morały, zawożą do domów na święta.

Najmniej dokuczliwe z owych kobiet są małżonki. Nie ciągną na poranek filmowy już kilkakrotnie oglądany, nie zapraszają do siebie, nie gędzą, bo zajęte są rozmową z czynnikami, przeciągają przez Dom, jakby ćwiczyły do wyścigu w chodzie, wręczają podarunki, i zaraz trzaskają drzwiczki aut.

Nonna nie pasuje do żadnej ze znanych kategorii.

– Odwiedzę cię znowu – obiecuje na pożegnanie i zastrzega zachowanie w sekrecie ich znajomości. Pelka przyrzeka, Pelka gotowa przysiąc i dotrzymać nie takie rzeczy, żeby nie zrazić sobie jedyne go człowieka, który niczym nie przymuszony okazał jej zainteresowanie.

– Kiedy przyjedziesz? – Pelka już zaczyna żyć drugim spotkaniem.

– Nie prędzej niż za miesiąc, może nawet trochę później.

Dla takiego kogoś jak Pelka miesiąc oczekiwania na przyjaźń to bardzo długo. Bezmiar, pustynia czasu.

– Bądź mi zdrowa – Nonna zatrzymuje wóz za krzyżówką, przy której jest motel.

Pelka posłusznie wysiada. Zgaszona, ze zwieszoną głową, nie patrzy na Nonnę, nie może, tak boli ją rozstanie, tym bardziej że nie wierzy w powrót Nonny.

– A nie bądź łatwowna, nie wsiadaj do samochodu z nieznajomymi, żeby ci nie wiem co obiecywali – przestrzega Nonna i mówi o złych ludziach, którzy robią krzywdę podstępnie zwabionym dzieciom. – Będziesz ostrożna, przyrzekasz?

– Mhy – Pelka może obiecać wszystko, aby chociaż na chwilę odwlec odjazd Nonny. Bezdomne serce Pelki czepia się kobiety, chociaż Pelka robi, co może, to znaczy udaje słup, żeby tamta nie odgadła jej uczuć. Już wie, nic tak nie odstrasza jak niechciana miłość.

Nonna widzi rozpacz Pelki, z trudem panuje nad własnym wzruszeniem, i nie jest w stanie odjechać, dopóki mała stoi jak wyrzut, nieruchoma i niema na poboczu.

– Napisz do mnie list, skróci nam oczekiwanie – daje Pelce nadzieję, pieniądze na znaczek i zaprzyjaźniony adres, chociaż nawet tego adresu nie zamierzała ujawniać.

Pelka odżywa.

– Tylko nikomu ani słowa, bo jak się dowiedzą, nie pozwolą nam się widywać. A teraz wracaj.

– Klnę się w capa, żeby mnie krajali! – przysięga Pelka i posłusznie odchodzi, oglądając się tylko i machając na pożegnanie.

– Aleś zwinna, istna kuna! – mówi z zachwytem kobieta i patrzy, jak Pelka prześlizguje się między kratami w piwnicznym okienku.

Pelka nie wierzy przyjaznemu głosowi, lecz na razie nic innego nie może zrobić, tylko wyleźć wprost na kobietę, bo pół Pelki jest jeszcze w piwnicy, a pół już nad chodnikiem. W tej sytuacji cofnąć się, to pozostać w zamkniętej suterenie jak w łapce. Pelka wolała na ulicy stawić czoło zagrożonej wolności.

– Niefart – Pelka wydobywa się na powierzchnię i mówi cokolwiek, żeby zyskać na czasie i przejrzeć zamiary tamtej. Pelka, zajadły rajzer i włóczęga, nigdy nie traci nadziei na szansę ucieczki.

– Zmywamy się – kobieta wyciąga dłoń i Pelka, chociaż niechętnie, wkłada swoją umorusaną i zziębniętą rękę w tamtą delikatną i ciepłą. Ruszają z kopyta, bo w górze pustej ulicy z nielicznymi latarniami narasta szmer samochodu i ukazują się światła.

Kobieta powiewając połami długiego kożucha wiedzie przez jakieś podwórka i przechodnie bramy, w mroku Pelka nawet nie może przyjrzeć się jej dobrze. Z płataniny skrótów wynurzają się pod sklepioną sienią secesyjnej kamienicy przy śródmiejskiej magistrali biegnącej z północy na południe, ruchliwej mimo późnej wieczornej pory.

Wreszcie Pelka orientuje się, gdzie jest.

Okolice Dworca Centralnego i najwyższej budowli, nazywanej pałacem, w środku miasta pośród gigantycznego trawnika, obróconego czterema skrajami ku czterem różnym archipelagom Warszawy.

Po stronie stacji kolejowych w cieniu nie młodych i nie wiekowych lip, po przeciwległej, za jezdnią, pod domami niepodobnymi do bloków, chodzą dziewczyny i zupełnie niemłode kobiety, także nazywane dziewczynami, które po melinach, po bramach i za żywoplotem sprzedają miłość.

Zaraz po pierwszej ucieczce Pelka przywędrowała w tę okolicę gnana ciekawością i głodem. Zanim jeszcze od praskiego brzegu przekroczyła most, widziała łunę po drugiej stronie rzeki, jakby w tym miejscu żarzyła się złotawo sama czerń nocy.

Z bliska, kiedy szła Alejami, trochę się rozczarowała, wyglądały zupełnie zwyczajnie i wcale nie tak świetliście i pięknie, jakby otrząśnięto nad nimi słoneczny pył, jak to się wydawało z tamtej strony Wisły.

Po raz pierwszy Pelka nawiała, żeby zobaczyć świat i Nonnę, bo Nonna nie pokazała

się ani za miesiąc, ani przez całą zimę. Dotarcie do Warszawy zajęło jej dwie doby, a minęło pół dnia, zanim odnalazła zapamiętany adres, poszczerbioną czynszową kamienicę, szczątek niegdysiejszego miasta, w pobliżu ulicy Żelaznej.

– Nonny nie ma, a ty kto jesteś? – badała ją kobieta wsparta o framugę. Światło padało z głębi mieszkania, w ciemnym korytarzu Pelka nie widziała jej dobrze. Zapamiętała tylko pękaty kontur i głos z chrypą.

– Pelka, miałam napisać...

– To zrób, jak ci kazała – powiedział gruby kształt zionąc papierosowym cuchem i przed nosem zamknął Pelce drzwi.

Nonna przecież musi kiedyś przyjść – nie traciła ducha Pelka i znów powędrowała na prawy brzeg rzeki. Po tej stronie, na dalekim skraju Pragi, wydawało jej się bardziej swojsko. Koczowała kilka dni unikając ludzi i znów wróciła do tamtego mieszkania, ale nikt nie otworzył.

Pelka powlokła się pod ścianami wypatrując czegoś jadalnego. Nie wybredzała. Mogło ta być nawet suche pieczywo z pojemników, które jak zamię tamtego czasu pojawiły się nagle w miejskich domach, ale w tej dzielnicy nie spotkała skrzynek ze starym chlebem. Wtedy, zupełny nowicjusz w rajzie, do tego pierwszy raz w takim dużym mieście, bała się zakradać na klatki schodowe, bała się szukać w kubłach na śmieci.

Trochę jej było śpiąco i trochę zimno, wiosenne noce wiały jeszcze chłodem i Pelce trudno żyło się na swobodzie. Zastanawiając się, co robić dalej, przytuliła się w załomie bramy, prawie niewidoczna, tam natknęły się na nią dwie kobiety idące z głębi podwórza.

– Co tu robisz? – wyciągnęła ją z kąta starsza z kobiet i oglądała jak parszywego kota. Prawda, Pelka włóczyła się już od kilku dni, nocowała, gdzie popadło, byle z dala od ludzi, nie widywała prysznicu ni pralni, ani igły z nitką, więc prezentowała się mocno sfatygowana, ale to nie powód, żeby ją trzymać za kołnierz i oglądać niby glistę.

– Człowieka nie widziałas – zjeżyła się Pelka.

– Co masz na głowic, człowieku?!

– Zapomniałam grzebienia – wyjaśniła Pelka i przejechała palcami swoją strzechę stroszącą się nad czołem niczym wiecheć.

– Ona zapomniała grzebienia, skonam! – obie zaczęły się śmiać i nie mogły przestać. Zalatywało od nich pachnidłem, alkoholem i papierosami.

– Skąd dałaś nogę? – chciała wiedzieć młodsza.

– Daj spokój, Luśka. Uciekła skądś, gdzie jej było źle. Chodź, mała, pewno jesteś głodna.

– Zwariowałaś, Ramona? – obruszyła się Luśka.

– Ofiaruję Panu Bogu za moje. Żeby moje nigdy nie musiało się tak błąkać.

– Myślisz, że stara wpuści cię na metę z dzieciakiem!

Meta mieściła się na parterze. Wejście, które Ramona otworzyła sobie własnym kluczem, prowadziło wprost z podwórka do korytarza z parą drzwi pomalowanych na białą.

– A to co?! – z przodka wersalki, amerykańskiego fotela okrytego schludnym dywanikiem, unosi się wysuszona starucha, cała złożona z ostrych kątów.

– Za lokal leci podwójna taksa – mówi Ramona i, nie czekając na odpowiedź geometrycznej wiedźmy, znika z Pelką za jednymi z tych lakierowanych drzwi.

Pelka rozgląda się po obszernej izbie: kuchnia rozdzielona na dwie części kotarą z bordowego pluszu. Obok za ścianą znajduje się łazienka, pomieszczenie z resztką poutraconych stiuków na suficie i wysłużoną różową wanną, wspartą na lwich pazurach. Ramona zdjęła z Pelki ubranie, w całości zatopiła je w różowej umywalni, głębokiej czaszy w kształcie pokarbowanej muszli, osadzonej na grubej, kręconej nodze z żyłkowanego marmuru.

– Głodzili cię czy co? – Pelce sterczą obojczyki i żebra, jakby połknęła obręcz. Nigdy nie była tłusta, ale na rajzie zniknęło z niej ciało.

Ramona szoruje zamorka, jakby się paliło, z takim samym pośpiechem przepiera szmaty Pelki i rozwiesza na kaloryferze pomalowanym tandetną srebrną farbą.

– Czesz włosy, prędzej wyschną – rzuca jej grzebień.

W pierwszej połowie kuchni przegrodzonej aksamitną tkaniną Ramona mości Pelce posłanie na skrzyni, przysuwa taboret, na nim stawia talerz pełen duszonego mięsa, pasztetu i sałatki, jakiej Pelka nigdy nie kosztowała. A nad wszystkim góruje trójkątny kawał czekoladowego tortu z rozduzonym kremem i zmęczonym kandyzowanym rajskim jabłuszkiem.

– Przekąś!

Pelka rwie jedzenie jak młody pies i dostaje czkawki. Ramona nalewa do kubka trochę wody z kranu i każe Pelce wypić małymi łykami.

– Najlepszy środek na szczygutkę – zachwala Ramona i Pelce rzeczywiście przechodzi.

Ramona wkłada sukienkę, którą zdjęła do pławienia Pelki, maluje się przed lustrem i zastawia kąt z Pelką parawanem. Pelka nie ma już żadnego widoku na resztę kuchni Ramony, gdzie stoi tapczan z pościelą na wierzchu i niski stolik sprzęgnięty z wysokim lustrem, co Ramona nazywa tremem.

– Nie chcesz sikać?

Pelka nie chce.

– Jak przyjdę z klientem, a jeszcze nie będziesz spać, żebyś mi zza parawanu nosa nie wyściubiła. I masz być cicho jak tresowana mysz, jakby cię wcale nie było. Pamiętaj!

– Z klientem, a co będziesz sprzedawać, Ramona? – pyta Pelka, nie z ciekawości, tylko aby choć trochę zatrzymać śpieszącą się Ramonę, bo Pelce jest nieswojo, nie dowierza tamtej starej za drzwiami, czy nie wyrzuci jej pod nieobecność Ramony.

– Nie wiesz? – Ramona mierzy małą spojrzeniem.

Pelka nie wie.

– Sprzedaję miłość. A ty śpij! – na pełne ramiona narzuca puchatego lisa ze szklanymi oczyma, trzymającego w pysku własną nogę, i gasi światło. Dziecko klęcząc na posłaniu odprowadza ją spojrzeniem znad odgradzającej krawędzi.

Pelka zostaje sama. Z małej lampki pełgającej pod świętym obrazem sączy się purpurowa poświata i wydobywa z lśniących, czarnych płaszczyzn parawanu zgarbione ptaki na długich nogach, domki z podwiniętymi ku górze dachami, kwiaty i skośnookie twarze ze szpilkami wpiętymi w koki na czubku głowy. Tajemniczo połyskuje czerwień, złoto, kobalt i zieleń. Pelka myśli o płatnej miłości.

Widziała miłość Malwy z Łaciatym, widziała na podwórzu psy, z których natrzęsały się dzieci, a one zdawały się wstydzić i cierpieć przez ich szyderstwo.

– Z czego się śmiejecie, głupięta! Patrzycie na cud natury, tak powstaje życie! – nadbiegł wychowawca, przygarnął zmartwione zwierzęta i rozdzielił je, bo same nie potrafiły się rozłączyć.

Starsze dziewczyny Domu, przeganiając młodszaków, szeptały po kątach o kochaniu, ale Pelka nie podsłuchiwała, bo czego jeszcze mogła się dowiedzieć ponad to, że miłość dzieje się między dwojgiem istot.

Ale jak się handluje miłością?

Pelce sprzedaż kojarzy się ze sklepem, wagą, ekspedientką. Tym bardziej że. Pelka nigdy jeszcze nie robiła zakupów. Wszystko, czego potrzebowała do życia, otrzymywała do ręki, jak milioner lub żebrak.

Wreszcie zasypia, a gdy się budzi, wciąż purpurowo płonie lampka pod obrazem Świętej Rodziny i coś się dzieje w części za parawanem, i coś się dzieje po drugiej stronie ciężkiej kotary. Kuchnia zmaga się, szamocze, ciężko oddycha i szepcze. Kuchnia rozmawia, płacze, przeklina, dźwięczy szkłem i znowu ucicha.

Ramona sprzedaje miłość – myśli Pelka i płynie w łódeczce snu nad godziną płatnych

dziewczyn, uśpionych dzieci, pijaków, milicjantów, dręczonych lękami starców, bezpańskich kotów, złodziei, samotnych kobiet i smutnych mężczyzn.

Kiedy Pelka znowu otwiera oczy, lampka pali się bez zmian, ale nie ma czarnego parawanu w garbate ptaki, a zasłona z bordowego pluszu została zsunięta na bok. I Pelka widzi wielką, mroczną izbę z wysokim oknem, przez które ledwo się sączy odcedzona czworobokiem oficyn jasność i nie wiadomo, czy świta, czy ma się ku wieczorowi. Przez uchylony oberluft podmuch wiatru tarnosi firankę, rozrzedza zapachy pokoju i miesza z podwórzowymi.

– Już się wyspałaś? – dziwi się kobieta w szlafroku i z nakręconymi na wałki włosami. Ma trochę obrzękłą twarz, głębokie cienie pod oczyma i zmęczony podbródek. – Nie poznajesz mnie? Jestem bez makijażu, a to zmienia – nie tyle Pelce tłumaczy swój wygląd, co pociesza siebie.

– Ramona! Jesteś sama?

– Luśka już poszła do domu. Fajerant. Zaraz powinna przyjść Zyza. O trzeciej zamykają jej knajpę. Zjemy coś gorącego. Należy się nam – mówi Ramona i poprawia strojne jaśki na przykrytym narzutą tapczanie, w nocy oddzielonym aksamitną portierą. Natomiast posłanie Ramony ma zupełnie inną pościel niż nocą i przygotowane jest do spania.

Zjawia się Zyza z olbrzymią wypchaną torbą przewieszoną przez ramię i emaliowaną bańką w ręce. Pelka spostrzega, że kobieta weszła nie z tej strony kuchni, co Ramona z Pelką minionego wieczoru. W takim razie, gdzie się podziały tamte drzwi. Aha, zastawia je parawan.

– Jak się masz, mała! – mówi Zyza, lecz nie wiadomo, czy ma na myśli Pelkę czy Ramonę, bo jej spojrzenie rozbiega się w różne strony, zwłaszcza jedno z oczu spogląda ostrym skosem i Pelka jest ciekawa, na co patrzy to niezależne oko.

– Co masz dzisiaj dobrego, Zyza?! – zaciera ręce Ramona.

– Brandy, reszta jak zwykle i... wytrawne Nebbiolo.

– Zyza nadzwyczajnie zna się na winach, smak ma niezwykle wyrobiony, jak prawdziwy kiper – podkreśla Ramona zalety koleżanki, ogląda butelki i zaraz nalewa sobie kieliszek koniaku.

– Mocne, czerwone Nebbiolo z Piemontu, jedno z najlepszych włoskich win! – mówi Zyza aż pojaśniała od pochwał Ramony.

– Ho, ho! – Ramona podziwia etykiety na flaszkiach, w miarę jak Zyza opróżnia swoją przepastną torbę. – Aleś się nastarała, większy bankiet?

– Nie. Dziewczyny trafiły dzisiaj na nafcianych Arabów.

– Tu trochę i tu trochę, nie mogłaś tego zlać w jedną. Po co dygujesz tyle szkła. Ręce na loterii wygrałaś? – napomina dobrotliwie Ramona, żeby sprawić przyjemność przyjaciółce.

Zyza jest stara, brzydka i samotna. Pracuje po całych nocach jak muł, sługa sług pośród pomyj i resztek jedzenia, i wszystko, co posiada, to te poranne uczyty, podczas których może błyszczeć znawstwem przejętym od piwniczego.

– Orvieto białe słodkie, Orvieto wytrawne. Veuve Clicquot. Tamto z Umbrii, owo z Szampanii musujące, wszystkie takiej dobroci, że nasz sommelier – tak wytwornie z francuska nazywa kelnera win – prawie klęka, gdy je otwiera. A ty je chcesz mieszać! – gorszy się Zyza. Przelewa zupę z kanki do garnka i zapala gaz.

Wydobywa z torby piramidę menażek nastawianych na siebie i połączonych wspólnym pałakiem. Jedne lokuje na płycie, inne w lodówce, z jeszcze innych wyklada różności na półmisek.

O piątej rano jak zwierciadlana replika w krzywym lustrze pyszni się stół pomywaczki kunsztem kucharzy, paszтетników, garmażerów, cukierników z drogiego nocnego lokalu.

– Pularda w maładze, wyjątkowo udana – poleca Zyza, naśladując podziwianego kelnera, i nakłada Pelce na talerz płat białego mięsa z trzęsącą się resztką galarety.

Pelka obiecuje sobie dowiedzieć się, co to takiego pularda, bo teraz ma pełne usta owej wspaniałości.

– Do tego odrobinę Moët chandon – radzi Zyza i nalewa Pelce trochę bladozłotego napoju, w którym skaczą i pękają bąble. Lekko kłują w język, płyn jest chłodny, przedtem Zyza nieco oziębiła butelkę w lodówce. Smakuje Pelce, chociaż nie jest słodki.

– O świcie dawać wino dziecku! – ma wątpliwości Ramona.

– Może to jej jedyna okazja skosztowania szampana najprzedniejszej francuskiej marki! – obrusza się Zyza.

– Lepszy niż sodowa z sokiem – chwali Pelka i kobiety wybuchają śmiechem, a Pelka dostaje jeszcze kropelkę na dno kieliszka. Resztę, prawie pełny pucharek, wypija Zyza, Ramona trzyma się brandy.

– Mleka by jej kupić – bez przekonania mówi Ramona, bo przecież nikt nie ma chęci ruszyć się od stołu.

Pelka nie chce mleka. Zajada jakiś kolejny wykwinny kąsek z namysłem wybrany przez Zyzę, jedyny w swoim rodzaju. Zresztą większość porcji występuje pojedynczo, a wszystkie wyglądają na jakby trochę zmęczone. Z niektórych odpadło albo rozmazało się przybranie, inne są okrojone i niekompletne.

– Pracujesz za jedzenie, Zyza? – taktownie dowiadyuje się Pelka.

Pierwszy raz w życiu jest traktowana jak prawdziwy gość, bo tamtej nieszczęsnej Wigilii u miłosiernych państwa w ogóle nie liczy, i za nic nie chce zrobić Zyzie przykrości, ale martwi się o nią i bardzo pragnie przestrzec, żeby nie wpadła jak gospodarcza z trzeciego Domu, którą wyrzucono, ponieważ zrobiła się bezczelna i za dużo brała.

Tak mówiono, Pelka słyszała na własne uszy: za dużo. Wniosek narzucał się sam. Gdyby tamta mniej kradła, nie miałyby złamanego życia. I tę złotą zasadę chce teraz podpowiedzieć Zyzie, życząc jej jak najlepiej z całego swojego samotnego serca.

Po aresztowaniu gospodarczej Dyrektor zabronił nawet pracze i i pomocy kuchennej w jednej osobie zabierać ze sobą należny jej obiad, tylko kazał jeść na miejscu. Od razu chciała odejść i Dyrektor musiał ustąpić. Ona swoje wyżywienie zносиła dziecku, a sama, zanim umyła kocioł, wyjadała resztki zupy, której zawsze zostawało.

– Delikates mam ekstra, a za robotę pobieram gażę – nie chwytając intencji Zyza śmieje się z dziecinnej naiwności małej i tak przekrzywia głowę, że jej niezależne oko kieruje się wprost na Pelkę.

Pelka chce wiedzieć, co znaczy gaża.

– Pensja – z przyjemnością objaśnia Zyza. – Ale brzmi wytworniej.

– Czy ja też otrzymuję gażę? – zastanawia się Ramona, nazwa jej również bardzo się podoba.

Kobiety popijają alkohol po trochu, lecz bez przerwy.

– W Domu była jedna, co za wiele wynosiła, i ją zwolnili – desperacko włącza się Pelka, nie może dopuścić do zguby Zyzy.

Zapada milczenie i Pelka zwiesza głowę. Znowu się naraziła.

– Ona się o mnie boi! – domyśla się Zyza i ma łzy w swoich niezależnych oczach, gdy, z zaprawioną wódką czułością, całuje Pelkę.

– Zyza pracuje w knajpie lux – zapewnia Ramona i stwierdzenie jest tylko z pozoru od rzeczy.

W lokalu lux wykwintne potrawy podawane są w wazach i na półmiskach. Co pozostaje na tacach i w butelkach, należy do kelnera, z resztek na talerzach, z kieliszków i szklanek może, ile zechce, wziąć podkuchenna, awansuje siebie Zyza, bo tytuł przypadający jej z rangi zajęcia uważa za mało szacowny.

– Jeszcze się i bidule przy mnie pożywią! – wzdycha miłosiernie.

W następnej kolejności Zyza pamięta o swoich starych koleżankach, które nie urządziły się tak świetnie jak ona i wciąż uprawiają zawód. Lecz w ich wieku niełatwo o klienta i często są głodne. Jeśli coś zarobią, przede wszystkim wydają na alkohol i przeważnie

nie starcza już na jedzenie.

– A jeśli, to na suche, o gorące im trudno – mówi Zyza.

Wybierając kąski dla siebie, trochę gorsze odkłada dla nich. Resztę dostają świnię. Owe bogate zlewki kontraktuje hodowca spod miasta i co rano po nie przyjeżdża. Zyza musi się uwinąć przed nim, by chociaż bańkę lub menażkę zupy zachować dla dawnych koleżanek.

– Straszna z nich nędza – uzala się Zyza. Żeby jej nie narazić, one nigdy nie pokazują się pod kuchennym wejściem lokalu. Jedzenie od Zyzy przekładają do swoich naczyń w bramie, obok której ona i tak przechodzi wracając do izby dzielonej z Ramoną i Luśką, której nigdy nie ma w dzień. Ona ma własne mieszkanie, tutaj tylko pracuje.

– Nie mogą być podkuchennymi? – Pelce okropnie szkoda starych koleżanek Zyzy, od jakich już nikt nie chce kupować miłości.

– Mają złą aparycję, znaczy zdemobilizowany wygląd – wzdycha Zyza i jej niezależne oko zasnuwa się smutkiem.

– Dobra jesteś, Zyza – Pelka wcale się nie przypochebia, mówi, co czuje.

– Dla mnie też ludzie bywają dobrzy.

Do knajpy lux przychodzą dziewczyny lux. Mają tylu klientów, że mogą nawet wybierać, jakich chcą. Ale na ekstra dziewczyny stać tylko bogatych mężczyzn, przeważnie cudzoziemców, bo one biorą wyłącznie wymienialną walutę. I właśnie te świetne dziewczyny pachnące najlepszymi perfumami, ubrane zagranicznie i komisowo, postrojone w prawdziwą biżuterię, pamiętają o Zyzie, pamiętają o koleżance, która uprawiała zawód, kiedy one jeszcze robiły w pieluchy.

Jedzenia i picia zamawiają więcej niż trzeba i nie pozostawiają na półmiskach ni w butelkach. Przed odejściem z gościem od stolika do hotelowego numeru żądają świeżych nakryć i na nie wykładają nietknięte potrawy i nalewają nietknięte alkohole.

– Tu dziabnie widelcem garnir, tam przyklepie krem, że niby ruszane, a kieliszki naumyślnie porysuje szminką, żeby kelnera brzydziło. Kelner nie palcem robiony, wie, co jest na rzeczy, ale od dziewczyn zależy jego napiwek, więc słowa nie mówi, tylko na skinienie podmienia talerze i co tam zechcą – opowiada Zyza.

Zresztą kelner i tak z talerza nie weźmie, choćby było świeże jak fiołek, jemu nie wypada, a dość mu pozostaje z półmisek po gościach. Zyza otrzymuje też trochę i tych kelnerskich resztek, w zamian za posprzątanie rewiru, czasami też trochę alkoholu.

Tylko dla win Zyza robi wyjątek i zlewa każde, choćby naparstek, do osobnej butelki. Do innych trunków ma tylko trzy flaszki. Na brandy, na wódki wytrawne i na wszystko, co słodkie.

– Kto może zostać dziewczyną lux? – chce wiedzieć Pelka.

– Musi być uczona, gadać w różnych mowach. Za moich czasów jedna taka była, Iza. O mało królową piękności na całą Warszawę i prowincję nie została, ale polikarpy świnię zakapowały ją przed Jurą, że najpiękniejsza kandydatka jest taka, i ją skreślili.

– Za brzydka jesteś na dewizową – mówi Pelce w oczy Ramona.

– Nigdy nie wiadomo, co z małego wyrośnie, z takich zamorków, bywa, rozkwitają kwiaty – nie zgadza się Zyza, ale obie nie polecają swojego zawodu Pelce.

Życie nawet, dziewczyn lux ma swoje ciemne strony.

– Jak one muszą doły zdzierać, żeby nastarczyć tym nienażartym draniom! Opłacają się na wszystkie strony. Portierom, kelnerom, kierownikom sali w lokalach. Płać, bo nie wejdiesz! Płać, bo nie podam do stolika! Płać, bo przepędzę z restauracji. Dla nich na wszystko ceny są podwójne, nawet pudełko papierosów o sto procent drożej, nawet taryfiarz za normalną takse dziewczyny nie podwiezie, tylko na umowę albo za zielone. A i niejedyn polikarp swój udział bierze – opowiada Zyza.

– Przydałby się solidny biznesmen, który za sprawiedliwy procent chroniłby nas przed takim zdzierstwem – marzy Ramona. – Ale przy naszym fachu z każdego chłopa wylezie alfons.

– Jakby nie musiały płacić tym różnym draniom, miałyby spokojne życie, prawda, Ramona? – Pelka z całego serca pragnie sprawiedliwości dla dziewczyn lux i wszystkich, które sprzedają miłość.

– Jakie tam spokojne! – wzdycha Zyza.

– Dewizowe też spadają do rynsztoka. W naszym zawodzie człek prędko się niszczy. Popatrz na mnie, jak wyglądam, a jeszcze parę ładnych lat brakuje mi do czterdziestki. I dziecka nie mogę przy sobie mieć, i kto wie, czy się matki nie wyprze, jak dorośnie. Nigdy nie zostań dziwką! – odradza Ramona.

– Masz dziecko w domu dziecka? – Pelce robi się strasznie nieprzyjemnie i pęka piękny obraz Ramony. Dla kobiet, porzucających swoje dzieci na łaskawy garnuszek, Pelka ma serce z kamienia.

– Wyglądam na wyrodną matkę! – oburza się Ramona. – Moje jest u Babki, a ja w nich pcham, żeby mieli wszystko ekstra, jak do nich przyjeżdżam, wyglądam na wielką panią. Ubranie skromne, ale gatunkowe i maluję się tylko aby-aby. Sam szyk! Nawet moja matka nie ma pojęcia, po naprawdę robię. Jestem akwizytorem w firmie u fotografa i dlatego stale w rozjazdach, tyle wiedzą – Ramona płacze.

– Nie pij więcej, Ramona – prosi Zyza. – Od wódki czarno widzisz, a wcale nie jest

tak źle. Spójrz na mnie, nie mam nawet kota ni własnego kąta. A na ciebie czeka rodzinna habenda. Uzbierasz pieniędzy, wrócisz tam, ożenisz syna i wnuki będziesz niańczyć.

– Jestem biedna stara kurwa! – szlocha Ramona.

– Nie wyrażaj się przy dziecku. Ramona. Z ciebie osoba na poziomie, a nie jakaś niekulturalna flądra.

– Jakbyś nie stał, dupa z tyłu. Dziwka pozostanie dziwką! – upiera się Ramona.

– Ona jest z natury delikatna i nie używa wyrazów, tylko się rozgoryczyła. I wcale nie jest byle kim. Nie wystaje po bramach, nie szwenda się po ulicy, nie przesiaduje w nędznych mordowniach. Ma stałych klientów, samych porządnych ludzi. Niektórzy żyją samotnie i wtedy Ramona do nich chodzi jak jaka pani z wizytą, a inni przychodzą do niej. Wszyscy jej płacą ładne pieniądze, można powiedzieć gażę!

– Jeszcze mieliby źle płacić! Niewydarzeńcy, co ich za wcześniej mamusia odstawiła od cycka. Muszę ich pocieszać i wykazywać im życiowe perspektywy, a oni sobie płaczą, ile chcą. To ma być życie, taka łzawa klientela.

– Ale zdrowa – zauważa Zyza.

I oto Pelka dowiaduje się o przerażających chorobach, czyhających na dziewczyny sprzedające miłość, bez względu na lux czy zwyczajna z bramy, i cieszy się, że przynajmniej nie grożą Ramonie ni Zyzie.

Pelka baluje u nich przez dwa dni, trzeciego kategorię interweniuje geometryczna starucha i Pelka musi odejść. Odszorowaną, oblataną i w nowych pantoflach, bo własne z Pelki spadły, ze starą torbą Ramony wypchaną przysmakami Zyzy, Pelka zostaje wyprowadzona inną drogą, niż tu weszła, przez przedpokój na zwyczajną klatkę schodową wiodącą na nieznajomą ulicę.

– Wracaj do domu, dziecko – radzi Ramona, całując Pelkę na pożegnanie. Wciąż jest to ta sama okolica. Pelka trafia w Aleje i zatrzymuje ją hangar Dworca Centralnego. Zostaje i bawi się z drzwiami, które ulegle poddają się rozkazom.

– Otworzyć się przed dziewczyną lux. Zamknąć, bo idę do stałego klienta – rozkazuje drzwiom bardzo ważna Pelka, a one słuchają rozsuwając i zwierając szklane skrzydła.

I wpada. Pelka nowicjusz nie wie, że wytrawny rajzer omija dworce jak zarazę.

Ponieważ jeszcze nigdzie nie figuruje jako jednostka zdemoralizowana. Pelkę odstawiają do pogotowia opiekuńczego, skąd odbiera ją domowa wychowawczyni.

Pelka wyraża skruchę, potulnie znosi obostrzone rygory, jest układna i grzeczna, jakby się poprawia. Skończył się rok szkolny, opinie rady pedagogicznej nie zaciemniają obrazu nowej Peli. Nie za często, ale daje się widywać nawet z książką, czasami, w kominie zapisać,

prosi wychowawców o wyjaśnienia.

– Chcę, brać udział w przyszłorocznej olimpiadzie – zapytana, tłumaczy uprzejmie swój nagły pęd ku odrodzeniu. Jest wiarygodna. Najpierw bunt, ucieczka, następnie załamanie i wreszcie zgoda na wysiłek konieczny, warunkujący osiągnięcie celu.

Pelka łże jak pies.

Obnosi się z podręcznikami na pokaz. Pytania dla dorosłych ma obmyślane zawczasu. Sama przewrotność gnieździ się pod skórą Pelk. Buduje sobie osłonę z kłamstw i pozorów, jej jedyna nauka to wykucie na pamięć nazw miejscowości leżących na samochodowej trasie do Warszawy. I kto by posądził o tyle sprytu i przebiegłości tego klasowego głąba, do którego, zda się, nie dociera ludzka mowa.

U schyłku nocy Pelka rozbija i okrada skarbonkę, do jakiej składane są pieniądze zarobione przez wychowanków Domu ze sprzedaży makulatury, butelek i „złomu. Z tego funduszu dzieci otrzymują kieszonkowe.

Zanim w Domu odkryto jej nieobecność, Pelka jest już daleko i na niekonwencjonalnym szlaku. Teraz już unika dworców, pociągu, autobusu, fascynujących, podstępnych, zdradliwych miejsc, gdzie uciekinier obojętnie z jakiego domu, zwłaszcza małego, rzadko ujdzie uwagi.

Tym razem Pelka wybrała szosę. Schludne dziecko uczesane w kucyki, z zawiniątkiem w torbie, zatrzymuje na drodze samochody i prosi o podwiezienie do najbliższej osady, miasteczka, wsi. Nie więcej niż dziesięć, piętnaście kilometrów. Bezbłędnie wymienia nazwę, nawet odległość, po to je wkuwała symulując poprawę. Jedzie do cici, do babci, zwrócić książki w bibliotece, do sąsiedniego sklepu, bo w jej miejscowości czegoś akurat zabrakło.

Na każdym następnym odcinku zawsze jest miejscowa, tutejsza, nikt nie podejrzewa rajzera, ludzie przeważnie zatrzymują się na widok podniesionej ręki szczupłej dziewczynki drepczącej skrajem szosy.

Przed wieczorem Pelka wysiada w Warszawie w Alejach Jerozolimskich pod pamiętną bramą i biegnie do Ramony. Rozpoznaje żeliwne pachołki w kształcie brzuchatych krasnali z opuszczonymi głowami strzegących krawędzi muru. Czatuje w podwórzu pod obitymi blachą znajomymi drzwiami, ale zamiast Ramony wychyla się geometryczna starucha i woła Pelkę do środka.

– Już tu nie mieszka ani Ramona, ani Luśka, ani nikt – mówi stara i nie przeszkadza Pelce rozejrzeć się po wnętrzu. Korytarz wygląda inaczej. W zakratowanym okienku prezentują się drewniaki i kapcie, pomieszczenie przedziela lada i odgradza amerykański fotel starej, a regały z sabotami i domowymi pantoflami zasłaniają lakierowane drzwi.

– Nie wierzę pani!

– A mnie nie zależy na twojej wierze. Masz się tu nie pętać, rozumiesz!

– Nic się nie zmieniło – Pelka spostrzega, na czym polega różnica. Przesunięto półki, umieszczono na nich towar, z kąta na środek wystawiono krytą szafkę. Na wystawce szyldzik informuje: czynne od jedenastej do osiemnastej. Później znika sklepik i zamienia się w wejście dla płatnej miłości.

– Na co jeszcze czekasz! – starucha uchyla drzwi.

– Leci podwójna taksa – przypomina sobie Pelka magiczną formułę wypowiedzianą tamtym razem przez Ramonę.

W starą jakby piorun trząśł.

– Ty szczytu sakramencki, ja ci dam takse. Jeśli cię jeszcze raz blisko zobaczę, zaprowadzę na milicję! Jazda stąd – wyrzuca Pelkę.

– Obyś się w trumnie zesrała! – życzy jej Pelka i bierze nogi za pas.

Do drugiego wejścia Pelka nie może trafić, nie wie też, gdzie szukać knajpy Zyzy, i daje za wygraną. Smutno jej tylko, że już ich nie zobaczy. Chciała je zaprosić na lody albo na ciastka, bo również i dlatego ukradła pieniądze, ale nie martwi się. Przecież jest Nonna.

W poszczerbionej kamienicy, zza znajomych drzwi, tym razem wychyla się inna kobieta, szczupła i o zwyczajnym głosie.

– Nonny jeszcze nie ma, ale wejdź – zagarnia Pelkę ramieniem.

Pelkę płoszy ta bezceremonialność, wywija się spod ręki i ucieka. Od pamiętnej wpadki na dworcu Pelka ma się na baczności i nie ufa nieznajomym usiłującym ją zatrzymać.

– Mała, nie bój się, wracaj! – woła za nią tamta, z dudnieniem zbiegając po drewnianych schodach, co tylko nadaje Pelce przyśpieszenia. Z równym powodzeniem kobieta mogła ścigać dzikiego kota.

W pogoni za kryjówką i jedzeniem Pelka trafia na wysypisko za miastem. Nie pachnie, ale jest gościnne. Daje schronienie i egzystencję. Przytula i żywi także bezpańskie dziecko. Pelka zbiera różne użyteczne rzeczy i zanoszi do stojącego na skraju hałdy barakowozu, gdzie mieści się skup.

Wyspa.

Człowiecza fauna żyje na śmietniku i ze śmietnika. Ludzkie wraki szczęśliwe na swój kaleki sposób, spokojne już o swój kaleki los, bo cóż gorszego jeszcze może je spotkać. Trwają tam z dnia na dzień, grzeją się przy ogniskach ze śmieci, odziewają w szmaty ofiarowane przez wysypisko, wygrzebane w pokładach odpadków nory moszczą i osłaniają wyrzuconymi gratami, zbierają tyle, aby starczyło na butelkę, nawet alkoholu nie potrzebują

już zbyt wiele.

Pijają płyn do mycia okien i wszelkie preparaty spirytusowe. Z Pelką żyją w zgodzie, nie zazdroszczą jej zdobyczy. Śmietnisko jest wielkie, bogate i hojne, każdemu użyczy na szkło, na chleb i na gorącą polewkę.

Lecz Pelka z daleka omija mordownię na przedmieściu, jedyne miejsce, gdzie mogłaby czasami kupić zupę. Prawie stale są tam naloty milicji. I dlatego Pelka rzadko jada gotowaną strawę. Przy wyka do wody z hydrantu, smrodu i wrzasków deliryków; wraz z cuchem wiatr przynosi je do starej karoserii ciężarówki, gdzie Pelka urządziła sobie legowisko.

– Chodź, zagrzejesz się – czasami zagląda do niej szerniała starucha z kołtunem siwych włosów wijących się wokół głowy jak węże.

Fauna baluje. Wspólnie.

Święto urządzają wówczas, gdy z miasta przybywa transport resztek wyjątkowo bogaty w metale, wełnę, papier. Zdarza się, po takim wieczorze ktoś umiera. Z zatrucia, z wycieńczenia, z zimna.

– Na, jedz. Z baru przyniesłam. Nie możesz wciąż żyć suchym, skapiejesz – stara podsuwa na skorupie talerza skibę chleba z plasterkiem kaszanki. W pogietej aluminiowej bańce stojącej w popiele dymi zupa.

Stara popija denaturat w poszczerbionym kubku bez ucha i zwała się w nieprzytomną nirwanę, podobną do śmiertelnego snu.

Alkoholem Pelki nie częstują. Nie dlatego, żeby uważali za nieodpowiedni dla dzieci. Jest drogi i trudny do zdobycia. Mieszkańcy wyspy niechętnie przekraczają granice śmietniska, nie zapuszczają się w ludniejsze dzielnice. Ich wygląd zwraca uwagę, ich dokumenty, jeśli je w ogóle mają, dawno nieważne, ich adres wysypisko pod Miastem, i rozbrat ze społeczeństwem. Zupełny. Z ciężkiego musu ocierają się o to społeczeństwo tylko w punkcie skupu odpadków i jeszcze w mydlami, gdzie kupują to, co piją, w sklepie z chlebem i kaszanką, i rzadko w melinie z alkoholem. To wszystko.

Pelka niebawem musi omijać też i barakowóz.

– Pan się pomylił – upomina się dyplomatycznie, gdy facet zza lady któryś raz z rzędu wypłaca Pelce mocno okrojona należność.

– Mam zawołać dzielnicowego? – spoglądają na Pelkę przekrwione nieludzkie oczka i mała ucieka.

Odtąd urobek Pelki sprzedaje za nią zwałowiskowa fauna. Za fatywę też bierze połowę, ale przynajmniej dyguje ciężar za Pelkę i nie straszy milicjantem.

Na wyspie Pelka spotyka dwóch wyrostków z dziewczyną. Na drobną, małą Pelkę

patrzą z góry.

– Co tu robisz?

– To samo co wy – Pelka domyśla się w nich rajzerów, chociaż są znacznie od niej czyściejsi.

– Żyjesz w tym smrodzie, pacanie?

– Coś ty! W piwnicach. Kompoty, soki sobie pijam – chełpi się Pelka, wypierając przynależności do wysypiskowej rodziny.

– Włamujesz się do piwnic, ty! Taką ciemnotę wciskaj swojej babci.

– Wchodzę przez okienka, kraty dla mnie nie istnieją. Mogę wam pokazać – przechwala się Pelka, chociaż dopiero w tej chwili przyszedł jej do głowy ów pomysł.

– Jest taka chuda, że ja jej wierzę – odzywa się dziewczyna.

– Jestem silna i sto butelek potrafię wygrzebać i umyć. Jak się uprę – dodaje, bo czuje, że trochę przesoliła.

– Kto by tam zbierał szkło! Ale ty powinnaś się umyć, wyglądasz, jakby cię wyciągnęli z kubła na śmieci.

– Nie wiesz, jak biegam, nawet ciebie prześcignę. Chcesz spróbować? – walczy o swoją godność Pelka.

– Iiii... mogę wam postawić lody – rzuca na szalę swój ostatni walor. Posiada całe sto złotych zamknięte w blaszanej puszcze po herbacie, ukrywanej w kącie wraku.

Przewodzący trójce chłopak, rosły szesnastolatek, wpada na pomysł, jak spożytkować gotowość Pelki, i robi się łaskawszy.

– Schowaj swoją forszę, nie jesteśmy biedni. Jestem Wilk, on Żbik, a to Magda – prezentuje. Pozostali są od niego młodsi, ale starsi od Pelki. – Chcesz z nami iść?

Pelka chce.

Tamci są urządzi w rozległym sadzie jabłoni. Przełazą przez dziurę w siatce. W gęstym maliniaku-rosnącym przy płocie mają miejsce wydeptane i wymoszczone resztkami słomianych mat służących do otulania na zimę młodych sadzonek. Kryjówka jest dobrze zamaskowana pośród bujnie pieniających się bylin.

– Nocujemy w szopie – objaśnia Magda.

Jest to składzik na narzędzia, znajdują się tam różne przydatne rupiecie, także dery, którymi się okrywają.

Magda myje Pelkę pod hydrantem mydłem z nowego opakowania, wyciągniętym gdzieś z kąta. Polewa strzechę Pelki szamponem tataro-chnielowym, do rozczesania włosów daje nowiutki grzebień i nie napoczęte pudełko kremu Nivea, żeby sobie posmarowała

podrapane nogi.

– Aleście zastarani – podziwia Pelka.

– Wczoraj załatwiliśmy kiosk z różnymi towarami. Była i żywność. Jedzenia mamy w bród. Zobacysz. Ale ni słowa chłopakom, będą się wściekać, że nie utrzymałam tajemnicy – zwierza się Magda i nie żałuje proszku na łąchy Pelki, które mała pierze pod strumieniem wody.

– Nie boicie się tutaj siedzieć?

– Czego! Byliśmy na podobnym zadupiu, ale po drugiej stronie miasta. Zresztą, w najgorszym razie Wilk nie pozwoli nas zgnoić. Jest kimś!

– Kim?

– Jego ojciec wszystko może. Każdy Wilkowy numer załatwi. Z czarnego zrobi prawie białe. Rozumiesz?

– A jak nie zechce?

– Zechce, zechce. Zawsze kruszeje. Nie pierwszy, nie ostatni, o swoją markę musi dbać.

– Bogaty?

– Ważny i skumplowany z najważniejszymi. Bogaty też.

– Za nic nie uciekłabym od takiego ojca, nawet jakby nie był mocny i nadziany.

– Co ty wiesz. Starych trzeba trzymać krótko, inaczej się rozbestwią. Wilk wie, co robi. Bo widzisz, stary nie chciał mu kupić malucha.

– Jejku, malucha! Może nie jest aż taki bogaty.

– Dla niego to całkiem malutkie piwo. Ostemplować talon, a rzęcha przecenić. Ale on w zamian chciał wytargować od Wilka cenzurę, a jak nie wyszło, ścisnął kabzę. Nawet kieszonkowe przestał wypłacać i cofnął chłopaka na honorze. Popędził kota jego kolegom, wyrzucił ich z domu, a Wilkowi pozamykał magnet, kamerę i w ogóle wszystko.

Rzeczy Pelki suszą się na słońcu, wszyscy się wylegują i zjadają wczorajsze łupy. Konserwy i chleb, suchą kiełbasę, herbatniki, czekoladę i cukierki.

Następnego wieczoru Pelka bierze udział w zuchwałej kradzieży.

Jedzie z chłopakami na inny skraj miasta. Wreszcie wie, po co tak się musiała szorować. Nie razi wyglądem w środkach komunikacji. Głowa i ubranie nie cuchną wyziewami śmietnika, tylko wiatrem i szamponem tataro-chmielowym. Wilk trzyma Pelkę za rękę i udaje starszego brata, Pelka czuje, że zyskała przyjaciół, i gotowa jest zrobić wszystko, co jej każą.

– Żbik na lipo, Pelka na pozoranta – rozdziela zadania Wilk.

Zaciąga wczesny wieczór.

– Kiedy ja się włączam, ty pryskasz – kończy instruowanie Wilk. – Powtórz, Pelka!

Pelka, ten klasowy głąb, co na pytania w szkole zwiesza tylko głowę i najwyżej dłubie palcem ławkę, teraz recytuje, co ma robić, kiedy, jak uciekać i gdzie oczekiwać chłopaków.

– No, to startuj – lekko popycha ją Wilk.

Na willowym przedmieściu Pelka idzie sobie chodnikiem wzdłuż szpaleru drzew przetykanych gdzieniegdzie świecącymi się latarniami. Na gwizd naśladujący kosa Pelka zatrzymuje nadchodzącą z przeciwka starszą kobietę.

– Zabłądziłam iii... – Pelka tak się przejmuje swoją rolą, że naprawdę chlipie.

– Nie płacz, zaraz coś zaradzimy, tylko mów wyraźniej – pochyla się nad nią kobieta.

W tym momencie z rozbiegu, mocno potraça ją Wilk. Jego ofiara wyciągniętymi rękoma usiłuje chwycić równowagę. Na próżno. Zanim pozbięła się z ziemi, nie ma już nieuważnego wyrostka ani zabłąkanej dziewczynki, nie ma też torebki.

Gdy obok starszej pani wynurzył się Wilk, Pelka uskakuje w cień lip, wbiega w przecznicę i dalej, aż do umówionego miejsca w pobliżu pętli autobusowej. Tuż za nią śpieszy Żbik, w powrotnej drodze on udaje brata Pelki.

Wilk wybiera pieniądze i odrzuca torebkę. Wszyscy bez przeszkód docierają do swoich jabłoni, gdzie oczekuje Magda, i Wilk przynosi z meliny alkohol.

Balują w szopie. W świetle latarki zagarniętej wraz z bateriami podczas włamania do kiosku, zasiadają wokół odwróconej do góry dnem skrzynki na owoce. Jedzą i chwają Pelkę.

– Już dawno po dobranocce – po jakimś czasie znacząco mówi Magda i wychyla kolejkę.

Pelka zajada skumbrię w pomidorach, popija wodą z malinowym sokiem, kosztuje nawet trochę wódki, ale jej nie smakuje, i opowiada przyjaciółom o Mœt chandon pitym na wykwintnej biesiadzie u Zyty i Ramony. I sama sobie jest winna, bo nie chce zrozumieć, że przeszkadza. Ale wprost nie może się ruszyć do swojego kąta z derą, siedzi bowiem w Pelce wielka żądza poznania i dręczy uczucie, że wciąż ją coś omija. Dlatego nic nie chce stracić z tego wieczoru.

– Napij się, Pelka, i idź się zdrzemnąć – mówi wprost Wilk.

Ale Pelka nie daje się zagonić spać i nie chce pić. Niesyta pochwał, chce smakować swoje zwycięstwo, pławić się w sławie świetnego pozoranta. Lecz chłopaki nie mają już ochoty powracać do wydarzeń na willowym przedmieściu i opowiadać Magdzie, jaka Pelka była dobra.

Żbik w ogóle zamilkł, siedzi ponury, wlewa w siebie kolejkę po kolejce i z każdą

następną robi się coraz bardziej posepny.

Magda daje Wilkowi znaki oczyma, co Pelka widzi, i Wilk zaczyna Pelkę przymuszać do picia.

– Nie chcę – Pelka pluje wódką, krztusi się i dostaje czkawki.

– Cholerny bęben – złości się Magda.

Żbik od czasu do czasu pociąga już prosto z butelki i właściwie tylko ten ruch odróżnia go od pieńka, o który się opiera.

– Niech siedzą – Wilk bierze do kieszeni nie napoczętą flaszkę i wychodzą z Magdą.

– Wiem, co będziecie robili! – woła mściwie Pelka. Czuje się oszukana. To ma być obiecany bal? Zamiast oczekiwanej jakiejś niewyobrażalnie pięknej zabawy, beznadziejna balanga, prawie taka sama jak na wysypisku. I tych, i tamtych Pelka tak samo nic nie obchodzi.

– Dziwka! – ożywia się Żbik, otwiera na oścież drzwi szopy i chwieje się uczepony framugi. Wyraźnie zazdrości Wilkowi Magdy. Nasłuchuje. Ciepła letnia noc nawiewa zapachy, poszumy i szelesty. Wraca wspierając się o ścianę, pociąga z butelki i nagle robi się okropny.

– Albośmy gorsi – mamroce, obłapia Pelkę, traci równowagę i wali się na nią.

Pelka gryzie, bez litości tka Żbikowi palce w oczy, tłucze pięściami po nosie, wije się jak krocionóg, ale nie może wydostać spod ciężkiego wyrostka. Przestraszona uruchamia płuca do granic możliwości i słyszy własne wycie, jakby należało do kogoś innego.

Nadbiega Wilk, wyciąga Pelkę i kopie Żbika nieruchomego jak worek z piaskiem.

Pelka dygocze i krzyczy, Pelka nie może nie krzyżeć, przez Pelkę krzyczy żal, strach i wódka.

– Łajzy, alfonsy, franca – wyzywa językiem Wyspy. Nie będzie z nikim robiła tego, co Malwa z Łaciatym, bo w ogóle nie ma zamiaru się kocić, znaczy dzieciaczyć. Po co, żeby jej, Pelki dziecko, miało takie samo straszne życie jak Pelka. Nigdy! Głośno zarzeka się nie urodzić dzieci jedenastoletnia pijana Pelka.

– Zamknij się – Wilk przestaje maltretować bezwładnego Żbika i z tą samą wściekłością uderza Pelkę.

– A nie mówiłam, żebyś szła spać! Wszystko przez ciebie, gnojku! – dogaduje Pelce rozmemłana, wsparta rękoma o biodra Magda.

Pelka cichnie. Poprzez bużującą w niej wódkę rozumie, że nie ma tutaj przyjaciół. Musi uciekać. Zwija się w kącie jak szczeniak i zaraz fala mdłości podnosi się gdzieś z głębi Pelki, wydziera kiszki.

– Daj się skunksom napić – z pogardą mówi Wilk.

Ze Żbikiem jest jeszcze gorzej. Wymiotuje, nie budząc się ze straszliwego, podobnego do śmierci snu, takiego jaki Pelka niejednokrotnie widywała na Wyspie.

– Przewróć go na bok, żeby się nie udusił własnym pawiem – między skurczami żołądka przekazuje Pelka doświadczenia z wysypiska.

Wilk wywleka kompana za nogi i pozostawia pod szopą, układając go według zaleceń Pelki.

– Chodź i ty na powietrze – Magda wyprowadza zataczającą się Pelkę do kryjówki pośród maliniaku.

Wreszcie zalega cisza.

Pelka robi, co postanowiła. Ucieka. Zamroczone, zmordowana przeżyciami i buntem swoich wnętrzności, ledwo trzyma się na nogach, ale wlecze się trzymając płotu, a gdy parkan się kończy, pelza na czworakach, ryjąc nosem pod załamującymi się rękoma. Nie płacze, nie wzywa pomocy. Raczkuje z myślą o zwałowisku, które niertężwej Pelce wydaje się utraconą ostoją bezpieczeństwa.

Majaczy jej się skraj Wyspy i zardzewiała samochodowa karoseria z kłaczącym się materacem i strzępem kołdry. Spita Pelka zasypia na środku ulicy. Natyka się na nią taksówkarz wracający z dalekiego kursu i zabiera na pogotowie.

– Dzieciak pijany jak bela! – mówi ze zgrozą, wnosząc Pelkę do lekarskiego gabinetu.

Tym razem bilans Pelki jest fatalny.

Do gołej skóry gołą jej głowę, bo pod strzechą Pelki roją się wszy i jak szron pokrywa ją nalot gęsto nanizanych szarawych gnid. Z nieświeżą i tak opinią Pelki jest jeszcze gorzej. W końcu włosy odrosną, lecz reputacji nie da się odhodować jak grzywy.

Towarzysze Pelki, poza Żbikiem, też są pod kluczem. Nie jest to żaden Żbik tylko Jarek, a ksywę wymyślił sobie, kiedy po ucieczce z domu przystał do Wilka.

Jedynie Jarka pozostawiono na wolności, bo uciekł od Wilka, a z zawiści o Magdę lignął kryjówkę polikarpom i przemienił się w skruszoną ofiarę. Ma złamaną szczękę i inne ślady pobicia, nie tak groźne jak gębowy zawias, ale bardzo sine. No i rodzice Jarka są kimś.

Wilk przyznaje, przyłał Jarkowi w obronie Pelki, którą ten maminsynek chciał zgwałcić. Ale wypiera się uszkodzenia zuchwy. Jarek sam ją załatwił, kiedy walał się w szopie pijany jak świnia.

Jarek wypiera się Pelki i udziału w kradzieży na willowym przedmieściu, zaś wszyscy wskazują Pelkę, także starsza pani, której Wilk wyrwał torebkę.

Wychodzą na jaw sprawki Pelki, przypisują jej również inne, jakich nie popełniła.

Najzacieklejsza w oskarżaniu Pelki o najgorsze jest matka Jarka. Pelka jej nienawidzi, chociaż rozumie, ona broni swojego dziecka.

Jarek naiwny harcerzyk. Zbłądził. Wrócił skruszony. Ujawnił. Nieświadomego wciągnęło złe towarzystwo. Starszy i silniejszy od niego Wilk trzymał go przy sobie przemocą. Jej jednak z pewnością nikogo nie usiłował zniewalać, Pelka, ten nędzny koczkodan, to małaletnia prostytutka i na miłość boską trzeba sprawdzić, czy nie ma brzydkiej choroby.

Pelce biorą krew i poddają badaniom, przeciw którym Pelka się buntuje.

– Nigdy nie robiłam tego, co Malwa z Łaciatym! – zachłystuje się Pelka, zaciska chude kolana i protestuje całym swoim sponiewieranym jestestwem. I jest to jedyny jej protest.

Pelka nie broni się i nikogo nie oskarża. Milczy. Rozumie, układ jest niedobry. Stary Wilka jest kimś, Jarka na inny sposób, ale też jest kimś. Pelka, najsłabsza, nie znaczy nic.

Nawet ci z wysypiska złorzeczą Pelce. Sprowadziła na Wyspę niepokój. A niepokój na śmietnisko przychodzi tylko wtedy, gdy ktoś z nich zgorzeje od wódki, niewywczasu czy zejdzie inną gwałtowną śmiercią. Zdarzało się. Cóż, siła wyższa, palec boży! Ale żeby taki mały strup zadał im takie ciężkie cierpienia.

Wprawdzie prycza w komisariacie nie jest gorsza od nory na wysypisku i gorącej zupy bez starania dostaną, ale żadnego picia, bez którego już nie mogą się obyć. Na pozbawionych alkoholu naciera świat widziadeł i jest to straszne. I straszni są git-ludzie, zdarzający się w celi, ci faszyści marginesu, co biją słabszych dla własnego wywyższenia. Oni z Wyspy nie mają sił i źle wychodzą w konfrontacji z tamtymi.

Pelka zstępuje coraz niżej.

Nie ma zakładów poprawczych dla dzieci poniżej trzynastu lat. Pelka ląduje w czwartym Domu, o obostrzonym regulaminie. Stąd dzieci nigdy nie wychodzą bez opieki osób dorosłych, pod nadzorem też rzadko, tylko w przypadkach koniecznych. Stąd wychowanków nie posyła się już do zwyczajnej szkoły, uczą się na miejscu, to znaczy zbijają bąki, popadają w apatię, w agresję, wałkonią się, planują kolejną ucieczkę.

Tu już nikt nie daje się nabrać na Pelki przymilność, obietnice poprawy i inne pospolite kanty. Pelkę widzą na wylot, jakby była ze szkła. Zwłaszcza psycholog, który pracuje nad Pelką niczym galernik; Pelka, kiedy się już odgryzła, i tutaj biega, lecz o udziale w jakichś zawodach poza terenem Domu nie ma mowy.

– Najpierw oceny. Przynajmniej dostateczne, później stadiony – brzmi niezmienny warunek, chociaż zmienił się Dom.

Pelka niczym się nie przejmuję, przyczają się, potulna i fałszywa. Czeką na sprzyjający moment i po jakimś czasie udaje jej się zbiec z czwartego Domu.

Teraz Pelka jest ostrożna. Z nikim się nie stowarzysza. Nie szuka nowych przyjaźni, zawzięła się, aby spotkać Nonnę. Nocuje po piwnicach poszczerbionej kamienicy w pobliżu Żelaznej i okolicznych domów, dokąd zakrada się wieczorami i uchodzi przed świtem. Żywi się powidłami, kompotem, kiszonymi ogórkami, dojada zeschniętym chlebem z pojemników i pławi się w słońcu w zaroślach nad Wisłą, ale słaba jest na tym wikcie jak ślepe kocię, no bo co za życie na owocowych pulpach i warzywach.

Tego wieczoru Pelka znowu stłukła szybę w piwnicznym okienku wybranym na los szczęścia, lecz na dole nie znalazła niczego do jedzenia. Małą, prześlizgującą się między kratami, zauważyła kobieta w kożuchu, pomogła wydostać się na chodnik, wzięła za rękę i poprowadziła w dzielnicę jej pierwszej ucieczki, w dzielnicę Ramony i Zyzy, w pobliżu dworca, gdzie zielona jeszcze jak marchwiana nać Pelka bawiła się z posłusznymi drzwiami. Kiedy to się zdarzyło! Pelka czuje się okropnie stara.

– Chciałaś się pożywić w piwnicach?

– Aha – na Pelce skóra i kości, nietrudno zgadnąć, co chciała znaleźć.

– Wsiadaj, dostaniesz jeść, ile zechcesz – kobieta otwiera z kluczyka samochód stojący na parkingu za dworcem i wcale Pelki nie trzyma.

– Na glinówku?

– U mnie w domu.

– A jak nie? – waha się Pelka, chociaż ósmym zmysłem wielkomiejskiej zwierzyny nie wyczuwa w kobiecie przeciwnika swojej trudnej wolności.

– Pelka, naprawdę mnie nie poznajesz? – kobieta pochyla się i Pelka w świetle ulicznej latarni nareszcie może przyjrzeć się jej twarzy.

– Nonna! – Pelka przywiera do kożucha i aż jej się w głowie kręci ze szczęścia i głodu.

– Za każdym razem, kiedy urywałam się z Domu, zaglądałam tutaj, ale teraz warowałam jak pies.

– Po nocach! Łaska Boga, znajoma cię wypatrzyła i powiedziała, gdzie szukać, a i tak czatowałam parę wieczorów. Ładnie byśmy wyglądały, gdyby ciebie złapali lokatorzy, którym wyjadałaś weki.

– Strasznie długo nie przychodziłaś.

– Wyjeżdżałam za granicę, dlatego dostałaś adres mojej znajomej.

Za pierwszym razem nie zastała przyjaciółki Nonny, tylko zupełnie kogoś nie wtajemniczonego. Przecież nie spodziewano się Pelki, najwyżej jej listu. Ale za trzecim

razem otworzyła właśnie koleżanka Nonny, przed którą Pelka uciekła jak przed wrogiem.

– Obcym ja już nie wierzę – mówi Pelka.

Nonna mieszka za miastem w parterowym domu z ogrodem obsadzonym drzewami i żywopłotem. Z zewnątrz budynek niczym się nie wyróżnia, w środku jest czysto, jasno i dostatnio.

– Głowa w porządku? – Nonna przegarnia grzywę Pelki.

– Nie mam wszy – zapewnia Pelka.

Prawda, tym razem jeszcze się ich nie dorobiła.

– Mów mi Kuna – prosi Pelka. Zawsze nie cierpiała swojego imienia. A teraz, gdy Nonna zachwycona jej zręcznością w prześlizgiwaniu się pomiędzy kratami porównała ją ze zwinnym zwierzątkiem, Pelka chce być Kuną.

– Widzisz, jakie ci piękne zawołanie trafiłam! – cieszy się Nonna i mówi, co oznacza jej własne, tak eleganckie miano. Babcia, tylko po włosku.

Nonnie, co za traf, na chrzcie dali Pelagia. Podobnie jak Kuna i ona nie lubiła niemodnego imienia, więc wybrała cudzoziemskie.

– Na pamięć mojej babki, która też była Pelagia. Świeć Panie! – pobożnie wzdycha Nonna. – A jeden znajomy, co jest uczony i w ogóle lepszy gość, dobrał zagraniczny odpowiednik.

Rodziców Nonna zna tylko ze wspomnień innych, opiekowali się nią dziadkowie.

Nonna podarowała Kunie nową sukienkę i sandały. Spaliła spodnie Kuny podarte i zapchłone. Bo Kuna podczas tej ucieczki dla odmiany złapała pchły. Pewno od kotów sypiających jak i ona po piwnicach. I tak został zatarty ślad po Pelce.

Nonna jest bardzo dobra. Wiele uwagi poświęca Kunie.

Kuna strasznie pazerna na ową uwagę, pławiłaby się w niej bez końca jak w wodzie pachnącej szyszką, którą może sobie brać nawet codziennie do kąpieli.

Kuna na wiele sposobów wyłudza dodatkowe zainteresowanie Nonny i w tym nie różni się od Pelki.

Nonna rozbija mięso w kuchni, nieomylny znak, że przyjdzie na obiad Adam, para Nonny. W inne dni gotowaniem zajmuje się Dziadek, stary facet, który, jeśli nie przyrządza jedzenia albo nie sprząta, grzebie w ziemi, ale zawsze z dala nawet od Nonny. Kuny jakby w ogóle nie zauważał i ona trochę się go boi, więc też schodzi mu z oczu.

– Dziadek jest dziwak, ale dobry człowiek – zapewnia Nonna.

Gdy Nonna robi kotlety, Kuna zwisa na trzepaku głową w dół albo przesuwają się na rękach po górnym drążku i wyczynia inne ćwiczenia jak na trapezie. Niewiarygodne, co

można wyprawiać na zwyczajnym trzepaku.

– Aleś zwinna! – wreszcie wychyla się z okna Nonna i oparta o parapet przez chwilę podziwia zręczność Kuni. Widownia i uznanie potęgują zapał, ewolucje stają się karkołomne. Dziewczynka jest bardzo łaśna na pochwały i łyka je niczym gęś gałki. I na nic nie zdały się gorzkie doświadczenia, wciąż jest otwarta do ludzi i ufna jak młody pies, wystarczy odrobina przyjaznej uwagi.

Nonna ma jeszcze jedną cudowną właściwość. Umie słuchać i nigdy nie mówi: – Eee, wciskasz ciemnotę, albo: – Wstawiasz farmazony, lub: – Gadasz głupoty. Nonna wierzy, przynajmniej tak się wydaje Kunie. Więc opowiada o Domach, Zyzie i Ramonie, o mieszkańcach wysypiska i swoim skoku na willowym przedmieściu. A jak się za bardzo rozpędzi w przechwałkach, zaraz odkłamuje, nie ma serca ze wszystkim łączyć Nonnie, tylko trochę, bo Kuna wprost musi się chępić. Siedzi w niej taka konieczność, może dlatego, że zawsze była najgorsza.

W ten sposób Nonna dowiaduje się o Kunie wszystkiego, nawet o sprawach, jakich ta nie zdradziła dotychczas nikomu.

– Nie jestem zwyczajny podrzutek – pyszni się Kuna i mówi o swoim dziedzictwie. Przedmiocie z prawdziwego złota z portretem pani w eleganckim ubraniu, niepospolitym nazwisku i beciku z prawdziwego pierza.

– Skąd to wiesz?

Kuna jest w rozterce, co odpowiedzieć. Kierowniczką drugiego Domu nie zaprzeczyła, gdy Kuna – jeszcze jako Pelka – wyliczyła swoje skarby, ale salowa, kiedy była akurat zła na Pelkę, słysząc jak się ona puszy, powiedziała coś innego.

– Mówiła, że na tym schodku pod pierwszym Domem leżałam zawinięta nie w poduszkę, tylko w puchowy kabat, na rękę miałam naklejony przyklepiec z personaliami wypisanymi chemicznym ołówkiem, na nodze łańcuszek z medalionem, a zamiast pieluch serwetę z nazwą knajpy i hotelu – z przykrością wyznaje Kuna.

– Nic przejmuj się. Puchowa kurtka nie gorsza od piernatu, a obrusy w dobrych restauracjach są z adamaszku, więc nie z byle czego.

Kuna czuje się podbudowana i wdzięczna Nonnie. Oczywiście, miała wytworną pieluchę, a nie coś do śmiechu dla głupich bachorów i złośliwej sprzątaczk.

– Gdzie masz medalion?

– W kryjówce.

Nonna ma wątpliwości, czy Kuna tam trafi.

– Nawet z zawiązanymi oczyma – zapewnia Kuna. Ale schowek mieści się pod płotem

czwartego Domu i, niezależnie od tego jak się teraz nazywa, jeśli nie chce wsiąknąć, nie może się tam pokazać. Kiedy zdaje sobie sprawę z sytuacji, jest bliska płaczu.

– Jeżeli potrafisz dokładnie określić miejsce, coś wymyślimy, żebyś go odzyskała – pociesza Nonna. – No, nie martw się, wierzę, żeś spryciel!

Próżnej Kunie przez myśl nie przejdzie posądzać Nonnę o nadskakiwanie, pasienie pochlebstwami. I nie wie, że pochlebstwo to straszne narzędzie, jest jak wódka dla fauny z Wyspy, z czasem już nie można bez niego żyć. Wiedzą coś o tym możni, bogaci, sławni.

– Ale szybko biegasz – cieszy się Nonna.

Siedzi w cieniu włoskiego orzecha i obserwuje, jak Kuna mija ją okrążając ogród. Posesja Nonny jest duża, chociaż znacznie mniejsza od dziedzińców i boisk Domów czy szkół. Ale Nonna jest wspaniałą widownią i organizatorem. Między krzewami forsycji po jednej i drugiej stronie ścieżki przeciąga tasiemkę, robi metę i stary kocioł do gotowania bielizny przemienia w podium zwycięzcy.

– Eee, jeszcze nawet nie doszłam do swojej formy – mówi Kuna wyciągając kamyk z sandała. – Mogłabyś mierzyć czas?

Nonna ustawia stoper.

Zainteresowanie jest szczere, pobudki trochę inne, niż myśli Kuna. Po piwnicznej diecie Nonna odkarmia małą, lecz zależy jej na Kunie chudej i zwinnej. Tłusta nie będzie przedstawiała wartości dla zamysłów Nonny. Rzadki skarb – taki śmigający zamorek, co sam siebie utrzymuje w formie, i Kuna dostaje prawdziwe pantofle z kolcami do biegania.

– Pytał o ciebie dzielnicowy – zawiadamia pewnego dnia zmartwiona Nonna.

To nie wiadomość, tylko obuch roztrzaskujący w kawałki całą istotę Kuny. Wszystkie jej poprzednie światy były sknocone, biedne i pozorne i wszystkie się rozsypywały za lada tknięciem, a każdy następny, chociaż wydawał się już niezmienny, znów okazywał się iluzją albo kłamstwem, albo katastrofą. Ale tego, wydaje się Kunie, już nie przeżyje. Stoi jak nieżywa pośrodku kuchni i nawet nie ma w niej tyle energii, by usiąść na krześle. Zresztą, po co. Nic nie ma sensu.

Nawet Nonna, która wszystko wymyśliła, bo milicja jeszcze nie interesowała się małą, co oczywiście mogło się zdarzyć, więc nawet Nonna nie spodziewała się aż takiej zapaści.

– Jesteś moją kuzynką, twoja matka w szpitalu. Tak powiedziałam. Kuna odzyskuje ziemię i niebo, słońce i ptaki za oknem.

– Na razie wystarczy – podkreśla Nonna.

Do Kuny nie dociera warunek. Całe jej życie dzieje się na razie. Nie wybiega wyobraźnią w jakąś tam przyszłość. I ze skrajnej rozpaczy wpada w euforię.

W intencjach Nonny wcale nie leży zupełne uspokojenie Kuny.

– On w każdej chwili może nabrać podejrzeń; Łapsy dostają specjalną listę z nazwiskami i rysopisami zbiegów z różnych zakładów.

– Ale ty mnie nie wydasz, Nonna?

– Nie bądź niemądra! Siwieję, żeby wymyślić sposób.

I wymyśliła. Nawet dwa.

Jeden to przysposobienie. W takim wypadku jednak Kuna musi sama zgłosić się w Domu i dopiero stamtąd Nonna mogłaby ją zabrać po formalnościach sądowych, być może nawet przed. W najlepszym wypadku sprawa na kilka miesięcy.

– Jest jedno ale – zawiesza głos Nonna, zbita z tropu brakiem protestu oczekiwanego już przy wzmiance o zakładzie.

Dla Kuny to w ogóle żaden sposób, jeśli przy tym trzeba wracać do zakładu na Bóg wie jak długo, ale nie przerywa Nonnie, chcąc prędzej usłyszeć o drugiej możliwości.

– Jura może nie pójść na adopcję – wzdycha Nonna i wręcz gaśnie w oczach.

Jak amen w pacierzu Jura zdyskwalifikuje Nonnę, bo ma niedobłą opinię. Chociaż wykreśliła się od puszki, była podejrzana. Ale Dziadek puszkował, tatuś i mamusia Nonny puszkowali, nieślubny mąż Nonny puszkował, a jak odpuszkował, wyjechał z wycieczką Orbisu i nawet nie zdążył powiedzieć do widzenia, nie mówiąc już o środkach do życia. Taki łajdak. Tylko para Nonny, Adam, jeszcze ma czyste konto.

– Środowisko kryminogenne, powie jura i klops! – podsumowuje Nonna prezentację rodziny.

Pozostaje kupić dobre papiery i to jest ten drugi sposób. Najlepszy, ale bardzo drogi. Bo naprawdę klasa dokumenty kosztują. A Kunie trzeba będzie nabyć metrykę nie byle jaką, nie lipny wypis z powietrza; tylko z prawdziwych, istniejących ksiąg stanu cywilnego, co zawsze będzie do sprawdzenia i porównania z odpowiednią rubryką.

– Mogę zbierać butelki!

– Dochód w sam raz na chleb i kiszkę od święta.

Prawda. Kuna markotnieje, I gdzie niby ma zbierać. Przekreśliła sobie wstęp na Wyspę. Wydadzą ją, choćby tylko ktoś jeden pozostał ze znających ją ludzi.

– Da się zarobić. Chcesz z nami pracować?

Kuna chce.

Zapomniała, że nie pierwszy raz słyszy to pytanie. Jeśli nawet pozostało wspomnienie, nie pasuje do dnia dzisiejszego. Kuna jest całą duszą oddana Nonnie.

– Najpierw poduczysz się u Dziadka.

Kuna nie protestuje. Gotowa na wszystko, co zaproponuje Nonna.

Dziadek wcale nie jest surowy ani zły i odnosi się do Kuny przyjaźnie, a i wiedza, jaką Kunie wpaja, nie ma nic wspólnego ze szkolną.

– Zamek nie jest martwym przedmiotem, żyje, tylko innym żywotem i nie przed byle łachudrą ujawnia swoją duszę. – Dziadek wprowadza Kunę w egzotyczny świat rygli: sprężynowych, zatraskowych, zastawkowych. Kapryśnych i delikatnych jak piękne kobiety, charakternych jak prawdziwi mężczyźni i złośliwych niczym zgorzkniałe staruchy.

I tak Kuna wchodzi w złodziejskie rzemiosło, pociągana mistrzostwem, erudycją i zręcznością manualną. Ponieważ prawdziwym kunsztem i największą miłością Dziadka są zamki, a nie kleczenie abażurów, z czego rzekomo utrzymują się z Nonną, i od czego płacą podatki jako sumienni chałupnicy. A tak naprawdę, owe klosze robią dla nich ludzie podnający. Złodziejski fach nie znosi światła, najlepiej, jeśli osłania go porządny szyld.

– Ten ma dwadzieścia cztery łopatki. Znaczy sto dwadzieścia możliwości pióra u kluczy. Ano, próbuj dobrać właściwy – Dziadek podaje Kunie pęk wytrychów.

Są również najtrudniejsze, w domach prywatnych prawdziwa rzadkość, elektroniczne lub na fotokomórkę. Jak je unieszkodliwić, uczy Kunę para Nonny, Adam. Wówczas Dziadek chodzi markotny, zazdrosny o uczennicę i zatroskany o swój autorytet, bo nie zna się na owych wymyślnych nowościach.

– Nie wierz ludziom. Nie zwierzaj się nikomu. Nigdy nie opowiadaj, czego nauczył cię Dziadek, nigdy nie mów, co robisz. Jeśli obcy są dla ciebie dobrzy bez powodów, znaczy coś od ciebie chcą – uzbraja ją ideologicznie Nonna.

– Masz dryg w łapce – chwali Dziadek, gdy znów odzyskuje Kunę – tylko musisz z sercem popraktykować. Nabrać wprawy.

Jedna próba, druga, trzecia, dziesiąta. Już lepiej, no, prawie dobrze. Ciepło, ciepło, ciepło. Wspaniale! Naści czekoladkę. A teraz odpocznij. Dla odmiany zagramy w obrazki.

Z oddzielnych elementów Kuna musi złożyć krótko widzianą całość.

Dziadek punktuje błędy. Po pewnym czasie mała osiąga sprawność kamery rejestrującej w pamięci obraz.

Ale trzeba być przezornym. Nie można zasklepić się tylko, w jednej dziedzinie. Teraz takie czasy, że człowiek musi mieć coś w rezerwie.

– Jak kot jednej dziury pilnował, to zdechl – przysłowiem podpira swoje zamysły Nonna.

I Kuna ćwiczy się również w dolinie. Tę umiejętność wpaja jej Dama. Taka jej została ksywa po życiu w wielkim świecie pełnym sukcesów. Jest wiekowa, przez pięćdziesiąt lat

robiła za pierwszą Damę kieszonki. Wielki zaszczyt terminować u Damy. Ona nie każdego chce uczyć. Na pieniądzech jej nie zależy, ma zasoby na koncie w Szwajcarii. Ubiera się elegancko, jeździ samochodem Mercedes i ma dom w Konstancinie. Arystokratka, można powiedzieć, na niej wygasa ród sławnych kieszonkowców, który przez pięć pokoleń błyszczał niczym Koh-i-noor wśród warszawskiej doliny.

Dama nosi rękawiczki trzy i siedem ósmych. Tylko rękawicznicy i doliniarze rozumieją, jakie to niezwykle u dorosłej kobiety. Lecz Dama, oprócz cudzych portfeli i kosztowności, nigdy nie tknęła żadnej pracy. Nie, nie z lenistwa. Damę sposobiono do zawodu od najwcześniejszego dzieciństwa i jak o żrenicę dbano, żeby nic nie robiła.

– Dobra kieszonka musi mieć dłonie malutkie i czułe niczym kamerton – wyjaśnia Dama i żąda, aby Kuna oszczędzała i pielęgnowała ręce.

– Bez przesady, jej najpierwszym chlebem będą zamki – torpeduje Dziadek wymagania Damy, bo jest zazdrosny o Kunę, którą urzeka wytworna starucha umiejąca tak zdjąć pierścionek z cudzego palca, że delikwent ani poczuje.

Zdaniem Dziadka sztuka Damy nie ma przyszłości. Umierający fach. Gdzie są te pałace, slipingi, pensjonaty, hotele, w jakich przed wojną uprawiała swoje rzemiosło Dama, i gdzie ten wielki świat kąpiący od złota i kosztowności, w którym nawet guziki przy bieliźnie bywały diamentowe. Teraz ni biżuterii, ni dużej gotówki, godnych kunsztu i ryzyka messerów jak Dama. Co można znaleźć w kieszeni przeciętnego pasażera autobusu w państwie realnego socjalizmu, kartki na cukier?

– Nigdy nie pracowałam wśród przeciętnych – obrusza się Dama.

Do samoobrony nożem sposobił Kunę Kardynał, współnik, kolega i w ogóle cień Nonny.

– Obyś nigdy nie musiała z tego korzystać – za każdym razem wzdychał Dziadek. Nie był przekonany, czy i we władaniu majchrem należy ćwiczyć Kunę.

Jednak Nonna uważała Kunę za cherlaka i słabiznę i starała się zabezpieczyć ją dodatkową i niezwykle u dziewczyny umiejętnością.

I znowu zamki.

Jaka zdolna, jaka pojętna, jaka utalentowana! Uznaniem można Kunę do piekła zaprowadzić.

– Szkolenia nigdy dość. Przecież kiedyś wyrośniesz i nie pomieścisz się między kratami, wtedy znajomość rygli jak znalazł.

– Ludzie nie są pomysłowi – Nonna wylicza miejsca, w jakich przeważnie ukrywają kosztowności i pieniądze.

Niczym białozora układają małą do polowania, przyzwyczajają do kaptura i powrotu na rękawicę sokolnika.

Kuna słucha, Kuna się uczy!

Gdzie się podział klasowy wałkoń i pokazowy jełop. Czyżby w Kunie budziła się inteligencja i pilność tylko do kantu, złodziejstwa, draństwa?

Nadchodzi niedziela, a już w sobotę zaczyna się święto. W te dni Kuna nie ma żadnych zajęć. Woń świeżo wypastowanych podłóg miesza się z zapachem bakaliowego sernika z czekoladową polewą i pieczonego mięsa, Dziadek jeszcze coś tam dosmacza w kuchni, Nonna lakieruje paznokcie i ubiera ładnie, ale zwyczajnie i wygląda jak... Nonna. A więc z całą pewnością nie idzie na spotkanie z towarzystwem, bo na tamte wyjścia stroi się jakoś tak przeciw Kunie, tak to Kuna odczuwa i nie cierpi tego. Po prostu Kuna nie znosi, gdy ważni są dla Nonny inni. Na przykład, goście w domu, zasiadający przy zastawionym stole w najpiękniejszym pokoju, do którego wtedy Kuna nie ma wstępu. A Nonna się zmienia. Staje się daleka i obca i traci cierpliwość do Kuny.

– Nie chcę być sama – walczy Kuna.

– Nie sama, tylko z Dziadkiem.

– Chcę być z tobą, Nonna.

– Zrozum mnie. Kuna. Mam dwadzieścia sześć lat i gdy miną, nie wrócą. Nigdy! Nie mogę żyć tylko dla ciebie i Dziadka, muszę mieć swoje życie prywatne, inaczej nie wytrzymam.

– Ze mną?

– Z tobą i z Dziadkiem, i w ogóle. Nie nadaję się na wieczną niańkę dzieci i opiekunkę starców, gdybym nie mogła od was odpocząć, urwałabym się i odeszła na zawsze. Więc daj mi pożyć.

I Kuna, chociaż z bólem serca, pozwala pożyć Nonnie.

Sprzymierzają się z Dziadkiem w milczącym bojkocie. Dziadek też nie lubi światowego nastroju Nonny, chociaż wiadomo, że jej za jakiś czas przejdzie. Znowu którejś niedzieli ubierze Kunę w modną przydługą sukienkę, białe podkolanówki i lakierki, kucyki przewiąże wielkimi kokardami i pójdą razem do kościoła, później na lody albo na tort, albo na wszystko razem, a po obiedzie pojedą do ogrodu zoologicznego.

Nonna załatwia dokumenty, zanim jeszcze Kuna zaczęła się za nie wypłacać.

– Twoja matka była moją przyrodnią siostrą – z tej okazji jeszcze raz powtarza Nonna.

Nic więcej skłamanego nie musi Kuna pamiętać, wypis z metryki zawiera wiadomości, jakie zna od dzieciństwa. Pelagia Warega, urodzona w Warszawie z matki Wery Warega z

domu Warega i ojca Kazimierza.

– Jestem pasażer na gapę – mówi Kuna. Dzieci Domów wcześniej odkrywają tajemnice swego pochodzenia, na rodowodowych powikłaniach znają się niczym heraldycy i nie ma w nich tolerancji czy zrozumienia dla postępów swoich rodziców.

Kuna wie, ojca ma z kalendarza, to znaczy, jakby go wcale nie było. Matka zmajstrowała Kunę z zupełnie cudzym mężczyzną, nie z mężem ani z kimś, kto jest parą, jak Adam dla Nonny. Po wydaniu na świat Kuny podrzuciła ją na schodki Domu małego dziecka czwartego marca, więc dostał się Kunie ojciec z imieniem bieżącego patrona.

Od drugiego Domu zna i ten szczegół swojego życiorysu i zda się nic on ją nie obchodzi, lecz za każdym razem, gdy mówią o tym inni, robi się jej bardzo przykro.

– Trzeba cię zapisać do szkoły – mówi na jesieni Nonna. Kuna nie chce.

– Też mi się nie uśmiecha, ale muszę. Inaczej zaczną nas nachodzić. I do tego martwię się, czy potrafisz utrzymać język za zębami, jak wejdiesz między dzieci.

– Prędzej go sobie odgryzę, Nonna – i Kuna dotrzymała przyrzeczenia, bo kocha Nonnę, o czym tamta wie.

– Musimy ci odtworzyć cenzurę, jakie stopnie miałaś na ostatniej?

Kuna nie zataja kolekcji niedostatecznych, ma nadzieję odstraszyć Nonnę albo szkołę. Ale nic z tego. Przyjmują ją z cichą rezygnacją jak klęskę żywiołową. A Kuna się nie wysiła. Jest. I to wszystko, na co się zdobywa. No, czasami bije kolegów, którzy rychło odsuwają się od nieuka i chama, co znowu Kuna ma im za złe i nienawidzi głupich bachorów.

Gdyby na jej ocenach bardzo zależało Nonnie, może by się i przyłożyła, chociaż szkoła zawsze była Kunie kulą u nogi, a teraz to są dwie kule, bo Kuna marnuje tam czas.

Liczy się tylko nauka u Dziadka, mniej u Damy. Dziadkowa jest najważniejsza i pociąga Kunę bajeczną wprost perspektywą. Dopiero będzie życie, jak w telewizji albo i lepsze. Zbrzydło jej udawanie gnojka pośród gromady innych gnojków, którym nawet nie można zaimponować, że się jest kimś. Tajemnica nie ciąży Kunie, ale ją jeszcze bardziej izoluje. Szkoła pozostaje nieważnym miejscem, gdzie samotna między obcymi odbębnia swą obecność.

Nonna spełnia najpierwszą obietnicę. Adam z Kardynałem przywożą medalion Kuny. Wydobyli go spod płotu czwartego Domu, udając mierniczych. Natrafili na niego za pierwszym podejściem, ustawiając na określonym przez Kunę miejscu statyw z teodolitem, prawdziwe akcesoria pozorowanej funkcji i usprawiedliwienie grzebania na grządce z nagietkami. Teraz mówią z uznaniem o ścisłości informacji podanej przez Kunę.

Kuna pławi się w pochwałach i radości z odzyskania przedmiotu stanowiącego dla niej

rzecz najważniejszą na świecie. Chełpi się odebraniem depozytu kierownicze drugiego Domu.

– Na psa urok! – ogania się Dziadek od słowa, którego przesądnie unika, jemu kojarzącego się jednoznacznie z puszką.

– To jest dużo warte, Kuna, wiesz? – na dłoni Nonny jaśnieje elipsa ozdobiona kobiecymi profilami z kremowej kości.

– W środku jest fotografia – mówi Kuna i martwi się, czy czas, przez jaki przeleżała zakopana, nie zniszczył bezcennej podobizny. Ze zdenerwowania nie może odciągnąć zatrzasku zamykającego obie części złotego małża.

Otwiera go Nonna. Wszyscy przyglądają się portretowi kobiety z długimi lokami, przystrojonej w kwiaty.

– Kto to ma być, Kuna? – pyta Adam.

Kunie spada ciężar z serca. Wprawdzie opakowanie z plastiku zmatowiało i szerniało, a blaszane pudełko po herbacie jubileuszowej zżarła rdza, wilgoć nie uszkodziła wizerunku, trochę tylko zamgliły go lata, czas, w jakim Kuna nauczyła się tyle, żeby odpowiadając na pytanie Adama powiedzieć o kobiecie w sukni z koronkową falbaną przy biuście.

– Dziwka. Dziwka, która mnie urodziła.

– Aż tak jej nienawidzisz? Przecież cię nie straciła, dała życie, wyposażyła w klejnot – odzywa się Nonna.

Kuna nie odpowiada. Sama nie wie, czy ma kamień w sercu, czy miłość, czy bolący zamęt, lecz wystarczyłaby nie patrzyła na ilustrację i już zije nienawiścią do własnej matki i do wszystkich matek porzucających swoje dzieci.

– Przecież to nawet nie zdjęcie, tylko wycinek z gazety – zauważa Nonna i głośno wątpi, czy przedstawia matkę Kuny.

Adam podziela jej zdanie, lecz przede wszystkim zwraca uwagę na ubiór kobiety, który Kunę zawsze napawał dumą. Taki niezwykajny.

Właśnie, niezwykajny!

– Jak z teatru. Czy nie Dama Kamelrowa?! – rozważa Adam. Jest uczonej i zna się na takich rzeczach. Opowiada o przedstawieniach, gdzie się nie mówi, tylko wszystko śpiewa i gra na różnych instrumentach.

Nonna nawet raz była na takim spektaklu, lecz dla Kuny i Kardynała to zupełna nowość.

– Opera. Ale opera! – mówiło się, gdy działo się coś dracznego.

– Jest artystką?! – z emocji Kuna aż blednie i bardzo by chciała, żeby tak było

naprawdę.

– Można się dowiedzieć, gdzie ona jest – mówi Adam.

– Przestań robić małej wodę z mózgu – ostrzega Nonna.

– Chcę ją zobaczyć! – Kuna aż składa ręce i na odmianę dostaje wypieków.

Adam nie słucha Nonny, tylko głośno rozmyśla, od czego zacząć. Biblioteka prasowa albo lepiej archiwa fotograficzne pism ilustrowanych, ale najlepiej zapytać w Teatrze Wielkim. Jeśli to śpiewaczka, na pewno pomogą ją odnaleźć.

– I ściągniesz na nas biedę, przy okazji może się sypnąć, że mała jest u nas. Znów pošlą ją do domu dziecka, nam wlepią karę albo i co gorzej, a ta gościówna wyprze się Kuny w żywe oczy.

Powiało rozsądkiem. Wszyscy milkną, Nonna wygląda na urażoną i jakby przestało jej na Kunie zależeć.

Kuna rozumie ich rezerwę. Znów mają ją za gnojka i patafiana, jak na początku, zanim w nią uwierzyli, kiedy była dopiero pomysłem Nonny. Nie może mieć wszystkiego. Kuna zaraz musi odkręcić swoje: chcę! I dokonuje wyboru, chociaż aż ją boli w dołku, kiedy odzywa się słowami zasłyszczanymi od dorosłych.

– Nie ma sprawy. Weź medalion na przechowanie, Nonna – mężnie odsuwa swoje dziedzictwo.

Konieczność. Kuna nie może sobie pozwolić na utratę Nonny i Dziadka. Nie może ryzykować dla kobiety, o której nie wiadomo, czy jest jej matką, i która nigdy się o Kunę nie upomniała.

Ale bardzo jej ciężko. Zaszywa się na strychu i płacze bezgłośnie, wtulając twarz w szczątki wyjedzonego przez mole obicia na obnażonych wnętrznościach otomany. Żeby nikt nie usłyszał, żeby nie pomyśleli, jaki z niej niewdzięczny bachor, co zamiast piętami w zadek się bić ze szczęścia, że go przygarnęli i traktują jak współnika, tęskni za kimś, kogo nic a nic nie obchodzi.

Aby oszukać szarpiący w środku ból, Kuna szeptem opowiada sobie o matce, wielkiej aktorce. Damie Kameliowej, śpiewaczce. Ona nie porzuciła Kuny, tylko pozostawiła ją na trochę u ludzi, a oni Kunę wynieśli i położyli na schodku pierwszego Domu. Później matka nie mogła Kuny odnaleźć, bo tamci powiedzieli, że dziecko nie żyje.

Kuna płacze nad sobą umarłą.

Teraźniejszość jest jednak silniejsza od zgrzytot. Zaczynają dziać się sprawy ważne. Kuna wkracza na nowy niezwykle ład cudzych bogatych mieszkań i stara się zasłużyć na swoje przewisko, które jest również określeniem niemal zanikłej już odmiany złodziejstwa:

chodzić z kuną, chodzić z łasicą, ze szczurem Oznacza to samo. Smukłe, giętkie, wyćwiczone dziecko.

Nonna prędko odzyskuje skromne nakłady zainwestowane w Kunę, chociaż mała nic zdaje sobie z tego sprawy, i dalej pracuje, aby spłacić nie istniejący dług. Zresztą, gdyby nawet wiedziała, służyłaby z nie mniejszą ochotą. Najlepsza zabawa, jaką zna, i nic na niby. I liczą się z nią, dbają o nią i szanują. Troszczą się jak o drogie narzędzie, ale tej subtelności jeszcze nie wychwytyje.

– Jest namiar – zawiadamia Nonna.

Namiar zdobywa się różnie, za pomocą obserwacji i ludzi. Ludzi gadatliwych, pragnących zemsty lub doli, albo jednego i drugiego, zawistnych, zawiedzionych i źle życzących innym.

Od namiaru jest Grażel!

Rozległe znajomości, pokrętne związki łączą go z establishmentem, jego satelitami, z bogatymi snobami i szczególnie drapieżną odmianą homos parasitos, żerującą na styku władzy i pieniędzy.

Grażel jest piękny. Szaleją za nim starzejące się kobiety i majątni pederasci. Zresztą, Grażel nie zadaje się z ludźmi bez znaczenia albo bez zasobów. Kuna nigdy go nie widziała. Wie o nim tylko z napomknień Nonny i zna ową ksywę. W tamtym potężnym, pełnym wszelakich dóbr świecie nazywają go inaczej. Ale tutaj jego nazwiska nie zna nawet Adam.

Grażela widuje tylko Nonna. Nigdy nikomu nie mówi, kiedy i gdzie się z nim spotyka. Pewno wtedy, gdy zabiera do Warszawy abażury, wiecznie te same atrapy, które przywozi z powrotem i starannie zamyka w szafie, żeby się nie zakurzyły.

Pewno jeszcze i wtedy, gdy ubiera się bardzo elegancko, lecz w wyjątkowy sposób. Robi się niepodobna do siebie samej i czasami wygląda na starszą, a czasami na młodszą, niż jest w istocie.

Nadania Grażela są solidnie opracowane, zawierają precyzyjne informacje dotyczące osób zasobnych w biżuterię, dewizy, złoto, kosztowne futra, naczynia ze srebra, dzieła sztuki, szacowne księgi, zabytki piśmiennictwa. W zasadzie ludzie Nonny nie biorą dużych, ciężkich rzeczy. Wyjątkiem są tkaniny i kobierce. Stary cenny pers, afgan czy turkmen.

Oprócz systemu zabezpieczeń najważniejszy jest opis i miejsce przechowywania przedmiotów, jakie powinno się zabrać, i czas nieobecności domowników.

Grażel jest drogi. Po upłynięciu łupu dla siebie bierze jedną trzecią i tylko w zielonych. W ogóle wszyscy najbardziej się cieszą, jeśli na habendzie jest dużo zielonych. Zdobycz, którą trzeba spieniężać, przysparza wiele kłopotów, powiększa ryzyko, no i ciężką

złodziejską krwawicą tuczy paserów.

Wraz z namiarem pojawia się plan.

– Przyjrzyj się, Kuna – mówi Nonna i rozkłada odręczny rysunek z zaznaczonymi stronami świata oraz wejściami do willi, dostępnymi dla Kuny, i tymi, jakie musi odryglować, gdy wniknie do wnętrza przez świetlik, piwniczne okienko czy jakiś inny prześwit mniej lub bardziej zabezpieczony, przez który jednak ona się prześliznie, by otworzyć współnikom drzwi.

Kuna ogląda mapkę, słucha dodatkowych wyjaśnień, pyta, naradza się. I jest to nadzwyczajnie przyjemne, tak ramię w ramię z Adamem, Kardynałem i Nonną, jak równy z równymi.

– Tędy wejdiesz na teren – Adam uzgadnia miejsce, w jakim przetnie siatkę w parkanie lub w inny sposób przygotowuje Kunie przejście.

– Można spalić – zezwala Kuna, gdy się już napatrzy.

– Zamek taki i taki – orzeka Dziadek, badając karby kluczy odcisnięte na plakietkach pszczelego wosku. Sporządza duplikaty, poucza Kunę o właściwościach mechanizmów i nigdy się nie myli.

Jego znajomość przedmiotu jest wręcz niesamowita. Radą i sprzętem służy na miejscu. Na robotę od dawna nie chadza. Jest mądry i stary, dobiega osiemdziesiątki.

– Ostatni, co tak wytrychami wodzi – parafrazuje poetę jego imiennik, Adam, para Nonny, który jest uczony i czyta różne wiersze.

Często czas nie pozwala na rozpracowanie systemu zabezpieczeń, tak są skomplikowane i trudne. Wówczas wielkość łupu zależy wyłącznie od Kuny, od jej orientacji, od właściwego zapamiętania rozkładu pokoi, rozstawienia mebli, rozmieszczenia schowków oznaczonych na planie przez Grążela.

Kuna posiada węch. Właściwość, którą się albo ma, albo nie, ósmy zmysł, nie można go nabyć ani wyuczyć, ujawnia się dopiero w działaniu. Niewytłumaczalny impuls, by zajrzeć właśnie za ten obraz albo przejrzeć poduchy połamanego fotela porzuconego w rupieciarni.

– Masz dar od Boga dany – wzrusza się Dziadek, kiedy Kunę z całej garderoby zajęło właśnie stare sakpalto z wydrowym kołnierzem.

Kunę nie zainteresowało futro, tylko guziki. Wypukłe, obciążone materiałem ujętym na awersie w uchwyt metalowej szypułki. Zwyczajne, zewnętrznie niczym nie zdradzające swojej tajemnicy, chyba tylko wagą czternastu złotych monet spoczywających w ich środkach jak w futerałach.

– Korba jesteś – uzewnętrznił się nawet Kardynał, facet bardzo małomówny.

Kuna jak w słońcu chadza w sławie, dumna, że taka przydatna, i stara się jak potrafi najlepiej, a oni ją chwalą i podziwiają, i nie umniejszają jej udziału w skoku, a także sprawiedliwie dzielą dołę, którą przechowuje Nonna.

Kiedy opracowują nowy namiar i wszystkie szczegóły są już dopięte, jeśli sprzyjają warunki, jadą z Nonną rzucić okiem na obiekt. Jeśli czas nagli. Kuna wchodzi w uderzenie znając pole działania tylko z rysunkowego planu.

Nonna starannie retuszuje własny wygląd i ubiera swojego białozora. To ważne. Elastyczny dres, miękkie obuwie i łatwe do zrzucenia nie wyróżniające się okrycie, inne za każdym razem.

– Niech cię Święty Antoni prowadzi – przed wyjściem Nonna całuje Kunę i żegna imieniem patrona zgub i złodziei.

Potem podwozi Kunę jak najbliżej upatrzonego miejsca i odjeżdża. Do akcji Kuna wkracza sama. Wślizguje się pomiędzy kraty świetlika, w którym Kardynał już wyciął diamentem szybę i resztki szkła wydusił z ramy do czysta, wyciszając dźwięk za pomocą gumowego ssaka.

Dla oczekujących na zewnątrz czas zastygł pośród ciszy, szelestów, odgłosów miasta i napięcia, dopóki nie uchylą się wejściowe drzwi. Przez szparę wymyka się z nich Kuna i role się zmieniają. Teraz mała, niewidoczna staje na czujce, wklejona w jakiś cień.

Nareszcie wszyscy wracają w umówione miejsce do oczekującej w aucie Nonny. Kunę prowadzi za rękę jeden z mężczyzn wolny od łupu.

Ale najbardziej Kuna lubi, gdy wszystko spoczywa na niej. Gdy zamki z braku czasu pozostają nie naruszone. Wówczas sama grabi schowki, przecinakiem wyważa rygielki w drewnianych szafach i szufladach, w całości wypycha za kraty metalowe kasetki z biżuterią i płaskie futerały osłaniające srebrne sztuce. Odchodząc nie zapomina zabrać z barku butelki dla chłopaków.

Karna i chłodna nie przekracza danego jej czasu, żeby nawet miała pozostawić zielone czy złoto leżące na wyciągnięcie ręki. Wciąż jeszcze uprawiany proceder jest grą i sposobem na popularność, jeszcze nie doświadcza chciwości, wciąż jeszcze jej potrzeby i wyobrażenia o posiadaniu nie dorastają do zagarnianych wartości, dlatego bez wrażenia łupi i oddaje oliwkowe banknoty, kolorowe kamienie i błyszczący metal. Nie ma w niej owej bezmiernej pożądlivosti dorosłych, która sprowadza klęskę nawet na najwytrawniejszych.

Kunę gubi nie zachłanność, tylko czujnik dźwiękowy. O jego istnieniu Grażel nic nie wiedział.

Nagle dom zaczyna wyć, jęczeć, kwiczeć i Kuna ze strachu głupieje. Droga przez

piwnicę, którą przysła, wydaje jej się za daleka, więc toruje sobie krótszą. Ale rozbijając szybę w najbliższym oknie, ponieważ nie może otworzyć skrzydła, głęboko rozcina rękę. Rozdartym rękawem dresu zaciska ranę i wsuwa się pomiędzy kraty. Zszokowana i okrwawiona wydostaje się na ulicę, tam wpada na załogę radiowozu.

Zatrzymują ją w milicyjnej Izbie.

Kuna przybiera gapiowaty, nieobecny wyraz, jaki wypracowała sobie dla szkoły, że niby nie leń ani cyniczny drań, tylko biedny jełop. Czyli siła wyższa, a nie bimbanie i bezczelność, co najbardziej tępią dorośli, obojętne: wychowawca, nauczyciel, milicyjny psycholog czy sędzia od małałatów.

Kuna się nie stawia, ale jest zdeterminowana i gotowa do upadłego walczyć z Jurą o Nonnę i o wolność. Właśnie w takiej kolejności.

Na taki wypadek była przygotowywana, ale nigdy naprawdę nie wierzyła, że może przytrafić się jej, wyszkolonej, szybkiej i zręcznej, na bezbłędnie namierzonych metach. Podobne niepowodzenia spotykają innych, lecz w żadnym razie nie zdarzą się Kunie ani jej przyjaciółom.

– Każdy fach ma swoje koszty – Nonna nie pomijała przykrego tematu i przedstawiała dwa sposoby obrony.

– Idziesz na zaparte – ów wariant preferował Dziadek, abiturient przedwojennego Mokotowa, o którym śpiewał jeszcze teraz drżącym, starczym głosem.

– Tak uczył ojciec swych synów śmieie /że każdy w życiu ma swoje cele/ I posłuchali ojca synowie /każdy ma celę, lecz w Mokotowie.

– Nie mówisz nic, ani słowa, i do nikogo, bo mogą podsłuchać albo podstawić fałszywą koleżankę. Najtrudniej jest nie mówić, na to trzeba twardziela, ale pamiętaj, jeśli milczysz, masz największą szansę wymigania się. Jeśli zaczniesz śpiewać, siebie nie wyciągniesz, a nas utopisz. Z wolności wiele mogę ci pomóc, z puszeki ani trochę, żebyś nie wiem jak chciała – tłumaczyła Nonna.

– I małałat zawsze dostaje łagodniejszy wymiar – podkreślał Dziadek.

– Zapamiętaj! Nigdy nie wierz, jeśli mówią, że już ktoś się przyznał, i nigdy nie przywiązuj wagi do tego, co będę mówiła przed Jurą w twojej obecności, nawet jeśli źle. Ufaj mi! Zawsze zrobię wszystko, żeby cię wydostać.

Słowo Nonny to świat. I Kuna milczy albo się wypiera, bo nie potrafi tak zupełnie się nie odzywać. Kuna ma trzynaście lat, jest bezwzględny złodziejem, wycwanionym małałatem i infantylnym stworzeniem. Z samych sprzeczności jest ta Kuna, dlatego chętnie opowiada o sobie, ale natychmiast traci głos, jeśli tylko pytanie zahacza o Nonnę.

Rozpaczliwie tęskni za nią i Dziadkiem i żywi nedorzeczną nadzieję, że sąd zwróci ją Nonnie.

Wielkie mecyje, przecież tylko weszła do cudzego domu. Jest czysta, szczęściem nie zdążyła nic zabrać. Gdyby nie rozcięta ręka i krew na parapecie, guzik by wiedzieli. Kuna wierzy, że reszta jej sprawek pozostanie nieznana.

– Z kim byłaś?

– Z nikim. Sama dla draki wlałam.

Czterdzieści osiem włamań zamyka w śledztwie bilans Kuny. I tak nie odkryli wszystkiego, czerpie otuchę Kuna i zaprzecza. Łże jak artystka patrząc niewinnie w oczy sędziny i ani głos jej nie drgnie.

– Kłamiesz.

Kunie, której się wydawało, iż pojadła wszystkie rozумы, zaszkodziła elektronika, o której dotychczas wiedziała, że to oko kamery zaznaczone przez Grążela, pod czym należy przepełznąć, aby jej nie dojrzało, a potem zmusić, by się zamknęło, co oznaczało przekręcić, też wskazany w namiarze, wyłącznik.

A tu elektronika świadczy przeciwko Kunie!

Gdzieś na kracie pozostawiony włos, zadrapanie skóry, na jakie nawet nie zwróciła uwagi, nitka wyciągnięta z dresu, replika zębów na czekoladzie znalezionej i pogryzanej na robocie, odcisk trampka na wilgotnej ziemi albo gruda błota na parkiecie znaczą pochod Kuny przez cudze mieszkania.

Wszystko skrzętnie zbierano, poddawano mikroskopowym badaniom i teraz sędzina teczkami zapełnionymi dokumentacją śladów działalności Kuny rozwala jej obronę.

– Nie byłam tam – przeciwstawia się Kuną znowie optyki z elektroniką.

Z czystej nienawiści zмага się z Jurą, bo już zrozumiała, nigdy nie oddadzą jej Nonnie. Nie cierpi sędziny uosabiającej wrogi świat odbierający jej jedynych przyjaciół, świat, w którym znów będzie miała tylko siebie. I nie jest już układnym dzieckiem, jest zrozpaczona, pozbawiona nadziei i bezczelna. Nie ma już nic do stracenia. Nie warto się podlizywać.

Dom poprawczy? I tyle mogą jej zrobić. Jeszcze jeden Dom! Ona ma się przestraszyć Domu. Przez całe jej życie nic innego dla niej nie robiono, tylko przesyłano z Domu do Domu. Istna paczka z pomyłonym adresem. Inny, karny, na długo? Jeszcze się okaże, jak długo, Kuna potrafi bryknąć z każdego Domu.

Nonnę Kuna widzi dopiero na rozprawie.

Nonna prosi na wstępie sąd, żeby jej zwrócono to dziecko, i Kunie serce zamiera z

oddania.

– Jestem niewykształconą, samotną kobietą. Mąż mnie porzucił – ciągnie Nonna i wygląda na samotną i niewykształconą. Nijako odziana, bez szminki, gładko uczesana, wcielenie skromności i wszelkich kobiecych zalet.

Przygarnęła opuszczone dziecko, nie wiedząc, że uciekło z Domu. Posłała je do szkoły. Prawda, źle się uczyło, brak mu zdolności, pewnie dlatego. Nieprawda, nie pobłażała mu we wszystkim i nie wie, skąd się wzięło sto dziewiętnaście nieobecności małej na lekcjach. To złośliwa obmowa nauczycieli, którzy przekreślili niepojętą uczennicę i chcieli się jej pozbyć, bo im psuła statystyki nauczalności.

Środowisko?

Prawda, Dziadek był karany, ale to przecież już historia. Tak się niefortunnie złożyło, nieślubny mąż łajdak, także swego czasu karany, nie powie nie. Ale dlaczego ona ma cierpieć za ich przeszłość, przecież nie ma zbiorowej odpowiedzialności. Ona nie jest ani włamywaczem, ani paserem. Robiono dochodzenie, rewizję. Niczego nie znaleziono, niczego nie udowodniono. Jej dobrowolne stawiennictwo na tej rozprawie w charakterze świadka najlepiej o niej świadczy.

– Kocham to dziecko, proszę wysokiego sądu! – woła z płaczem Nonna, kończąc grę przed jedynym wdzięcznym widzem, Kuną.

– Nie chodziłam na żaden włam, Nonna! – krzyczy Kuna.

Tak zawiadamia przyjaciółkę o swojej nieustępliwej walce, zapewnia o wierności, gdy tamta na polecenie sądu opuszcza salę. A kobieta w czarnej todze jest wstrząśnięta zatwardziałością Kuni i stoi przed dylematem nie do pozazdroszczenia.

Nonnie nie można niczego zarzucić, nie można też oddać pod jej opiekę Kuni, chociaż u zdemoralizowanej Kuni miłość do Nonny jest ostatnim światełkiem. Trzeba wybierać mniejsze zło. Dom poprawczy.

Kuna ma odwróconą etykę, a właściwie etyka Kuni nie jest człowiecza, tylko psia. Pies przywiązuje się do lidera i jest mu ślepo oddany, a jego moralność ani uczynki nie mają na to oddanie żadnego wpływu, czyli pies bimba sobie, czym się zajmuje jego pan i jaką opinię mają o jego panu inni.

Kuna nie widzi w tym nic niewłaściwego.

– Jestem Kuna!

– Jesteś Pelagia Warega.

– Nienawidzę tego imienia – zainstalowanie w zakładzie zaczęło się od stoczenia beznadziejnej potyczki o moją ksywę.

– Dlaczego?

– Mam do niego uraz – przebywając do rozprawy w Izbie, osłuchałam się o urazach, fobiach, kompleksach, dewiacjach, wynaturzeniach od współtowarzyszek i kadry. Nie szczędząc fachowych terminów nicowali mnie poszukując wczorajszego dnia, czyli zaprzepaszczonej śrubki, bez której cały mechanizm chodził na opak.

Teraz z pomocą zasłyszanych tam wiadomości próbowałam naiwnie wpuścić w maliny psycholożkę i obronić moją przezwę, przedmiot dumy.

– Masz odwróconą skalę wartości, Pelka.

Nic a nic mi nie przeszkadzało, ale jej wadziła ta duma. Nazywała ambicją niską, w odróżnieniu od szlachetnej. Moje przywiązanie do treści i czynów utożsamianych z przewiskiem jest afirmowaniem fałszywej sławy, przekonywała, z czego rozumiałam piąte przez dziesiąte.

– Nikt mi nie zaprzeczy dobrej roboty – obruszyłam się.

Przywiązanie do Kuny miało być odbiciem mojej zwichniętej etyki, jeśli się ją właściwie nastawi, przejrze i odrzucę symbol upodlenia.

Nie zależało mi na przejrzeniu, ale przestałam się targować. Rzecz była nie do wygrania. Draki nie ryzykowałam.

Ze szklarniowej, moszczonej pochlebstwami temperatury w domu Nonny wpadłam w lodowate tryby bezosobowych regulaminów, rozkazów i surowej dyscypliny formalnej egzekwowanej przez administrację z jednej strony i niepisany kodeks barbarzyńskich obyczajów grupy z drugiej.

Tu żyło się na własny rachunek. Jeśli miałam przetrwać i nie dać się zgnoić, potrzebowałam wszystkich sił i sprytu. Nie mogłam sobie pozwolić na rozpamiętywanie, apatię, bierność ani na zadzieranie z kadra.

Nagle wydorostałam.

Musiałam sobie radzić przeważnie ze starszymi ode mnie dziewczynami, bo tutaj selekcja obowiązywała nie według wieku, tylko według czynów, stopnia demoralizacji, jak

określiła Jura. I moje czterdzieści osiem udowodnionych włamań trafiło między rozboje, zuchwałe kradzieże i przypadki ciężkiego zagrożenia porządku publicznego. Z powodu panującej ciasnoty nawet w sypialniach nie dało się utknąć samych jednolatek.

Ale te wyrosnięte dziewczyny, przeważnie pulchne jak drożdżowe ciasto, nie znające nawet porządnej gimnastyki, przegrywały ze mną. Chociaż chuda i niewysoka, byłam od nich zwinniejsza, z lepszym refleksem, bardziej zdeterminowana. Zaczepiona, bez litości grawerowałam tabele.

One tu, poza nielicznymi wyjątkami, bardzo pielęgnowały urodę, nawet podczas bójk pamiętały o swojej twarzy, podczas gdy mnie nie rozpraszał lęk o podsinione lipo czy rozbity łuk brwiowy.

Nie byłam najgroźniejsza. Zdarzały się pośród nas oberwane uszy, złamane nosy, cięcia żyłką i ciosy kastetem. Zanim tu wsiąklam, miałam księżycowe wyobrażenie o dniu codziennym zakładu poprawczego.

– Sąd nie jest narzędziem zemsty społeczeństwa na jednostce – powiedziała na zakończenie rozprawy sędzina i zapuszkowała mnie do pełnoletności.

W taki sposób społeczeństwo miało mnie z głowy na kilka lat, a ja społeczeństwo gdzieś. Nie czułam z nim żadnej więzi i nie budowały jej godziny wychowawcze w poprawczaku. Puszka jest puszką i ostatnim miejscem, gdzie można zaszcześcić miłość do ludzkości.

Nie leczy też z nienawiści.

Żeby przyjąć pewne normy, najpierw je trzeba zrozumieć. Do porozumiewania się służy mowa. Przekazanie jakiejś idei wymaga określonego minimum słów i pojęć, zrozumiałych dla uczącego i nauczanego. Zasad etycznych nie można transponować na przykład za pomocą pochrząkiwań albo paru rzeczowników i czasowników prostacko określających narządy i funkcje służące prokreacji i defekacji.

Byłyśmy odmiennym plemieniem pozbawionym kultury umysłowej, władającym jakimś skarlałym narzeczem. Aby nawiązać z nami komunikację myślową, najpierw trzeba było obudzić w nas wolę, żebyśmy chciały chcieć nauczyć się świadomości i podstaw obcego języka, mowy ojczystej. Dopiero potem można myśleć o karczowaniu złych nawyków.

Żeby się powiodło, należało jeszcze przekonać albo stworzyć silną motywację, z jakiego powodu mamy rezygnować z niczym nie skrepowanych odruchów i popędów i dobrowolnie znosić niewygody zakazów i nakazów etycznych.

Kto miał to robić?

Zadanie dla tytanów serca, intelektu, woli. Tacy w ogóle zdarzają się rzadko, tacy nie

przychodzą pracować w więziennictwie.

Po liryce godzin wychowawczych, odbieranej jak brzęczenie drutów telegraficznych, wracało się w samo życie, do zagęszczonej sypialni, w kodeks społecznych wypędków.

Moralność, etyka?

Iść na nieopłacalne włamanie – głupie, tanio się puszczać – wstyd, nie umieć się wyłgać – gamoń, nie zmaltretować kogoś, skoro jest się silniejszym – mięczak.

Jeśli nie miałam dać się rozdeptać, zostać szmatą szmat, popychłem i ostatnim gemajnem, musiałam wywalczyć poszanowanie. Aby móc nie stosować się do istniejących i samemu stanowić prawa, trzeba zdobyć miejsce w hierarchii.

W naszym-piekle były jeszcze kręgi i nigdy dotychczas nie spotkałam się z takim rozwarstwieniem i przestrzeganiem przynależności do kasty, z takim pastwieniem się nad słabszymi, poniewieraniem godności i pogardą dla kiepskich. Musieli istnieć gorsi, jakże inaczej odróżnić lepszych.

Solidny gatunek moich czynów, surowy wyrok kwalifikowały mnie do lepszych. Niepozorność postury i nieznamość kodeksów środowiska spychały do kiepskich.

Na początek starczyła jednak sława siódemki, dla której nie istnieją kraty ni zamknięcia. Przeniosła ją z Izby do zakładu dziewczyna szybciej obsprawiona Ode mnie przez Jurę.

– Ty zakosiłaś pięćdziesiąt chawir? – pierwszego wieczoru w sypialni zapytała mnie Nóżka. Piętnaście lat, rozboje, ciężkie uszkodzenia ciała, wypuszczana na wabia przez kompanów, kopiają leżących celnie i skutecznie w słabiznę, stąd jej ksywa.

– Mhy – samotne zmaganie z Jura, miesiące napięcia wydrenowały mnie i nawet nie miałam chęci pochwalić się, iż Jura nie namierzyła dalszych dwudziestu, a o złotych guzikach przy sakpalcie nie wiedzieli też poszkodowani, bo nie podali ich do spisu zagrabionego mienia.

Przez parę dni dała mi spokój.

– Miałaś połyki? – wzięła mnie na egzamin wieczorem, po niedzielnej telewizji. Już wiedziałam o jej słynnym wykopie, przywództwie w sypialni i o jej kochance. Króliczku.

– Po kiego miałabym haratać sobie gardło drutem albo innym świństwem! Puknij ty się, ciemiego! Wtarłabyś sobie w oczy mielone szkło, nie? A widzisz, są tacy, co sobie wcierają. Ale tobie zależy na powłóczystym spojrzeniu, a mnie również zależy na całych bebechach, bo to mój jedyny skarb.

– Nie masz sznytów?

– Nie mam. I nie będę się krajać.

– Musisz sobie zrobić.

– Wiesz co, odpierrr się!

Brzydził mnie taki mus. U Nonny wykonywało się rzemiosło nie lepsze, nie gorsze niż inne, stanowiło źródło utrzymania, w pewien sposób określało życie, ale to i wszystko. Brutalna ideologia gitów szerząca się pośród małałatów nie dotarła do mnie w czasie, kiedy za cenę wyróżnienia gotowa byłam naśladować każdego.

Teraz moja ambicja miała mołojecką legendę, nagrodzoną najwyższym uznaniem Jury, i ksywę, jak tabliczkę znamionową cennego urządzenia z wrytymi cechami jego właściwości. Moja pycha była nasycona, instyktownie broniłam się przed okaleczeniami. Sądziłam, że mogę sobie pozwolić na zlekceważenie honoru wynikającego z blizn na ciele.

– Nocnik, podaj mojkę!

Nie czekałam, aż Nocnik, jedna z najgorszych, wygrzebie z kryjówki ułamek żyłki. W sekundzie, między strachem a straceńczą determinacją, zrozumiałam jedno, jeśli się ugnę albo one pokroją mnie pod przymusem, przepadłam. Zostanę popychłem z odpowiednio poniżającą przezwą, jakimś Urynałem czy inną Szczyną, i będzie tak przez wszystkie zapisane mi przez Jurę dni. Wołałam zdechnąć.

Z całą siłą rozpacz i osaczenia zerwałam z nogi sabot i rąbnęłam w goleń Nóżki.

Nie spodziewała się napaści. Przez jej leniwy mózg nie przeszło nawet, że zdobędę się na atak. Bo władała sypialnią i z pozoru była silniejsza.

Ugięła się z bólu, wtedy głową podbiłam jej brodę, aż chrupnął przycięty język, i waliłam jak popadło na ośle, ze strachu. Jeśli jej nie obezwładnię, ona mnie zakatrupi. W jakimś amoku nie spostrzegłam, że ona już nie oddaje razów.

– Kuna, nie bij! – z rozmazanych konturów, jakby oddzielonych ode mnie ścianą gorącego powietrza, zestaliła się zapłakana twarz Króliczka. Szczupłymi ramionami obejmowała leżącą Nóżkę i osłaniała własnym ciałem. Dopiero jej krzyk mnie otrzeźwił.

– Jeśli jeszcze raz któraś będzie chciała mnie do czegoś zmusić, zabiję! – wyskandowałam w ciszę. Dygotało we mnie każde włókno i powstawała nie doznawana dotychczas radość z tej jakiejś ciemnej siły, która wykypiała ze mnie.

Sypialnia milczała. Nóżka wciąż leżała twarzą do podłogi, zlekłam się, czy żyje.

– Powiedz tej krowie, żeby wstała i umyła ryło – szturchnęłam Króliczka.

Nóżka podniosła się z ziemi i z gruzów swojego autorytetu. Była niczym. Mogły ją lżyć i nawet poszturchiwać najgorsze gemajny. Tak się załamała i zapadła w nicość, że nie przyszło jej do głowy, żeby się bronić. Po raz pierwszy widziałam taki unicestwiający upadek z wierzchołka na samo dno mierzwy.

– Zeks – pisnęła Kibel, jedna z gemajnow, pilnująca lipa. Szczęknięty zasuw, niepokój w naszej sypialni zwrócił uwagę strażniczki.

Dziewczyny zaległy na pryczach. Nóżka nie zdążyła się pozbierać.

– Co ci się stało? – obróciła ją ku światłu dyżurna wychowawczynie.

– Spadłam – wysepleniła Nóżka, bo z przytrzaśnięcia opuchł jej język. Wyglądała paskudnie. Nie miałam dla niej żadnego współczucia. Gdyby ona mnie pokonała, ja byłabym taką albo i gorszą kancerą.

– Spadłaś – klawisznica domyśliła się, co jest grane, ale nie naruszyła konwencji dociekaniem na miejscu i zabrała Nóżkę na opatrunek.

– Iliza Koch. Uważaj na nią. Hycel. Bije – ostrzeżono mnie przed tą funkcjonariuszką.

Nieuki, lenie, półanalfabetki, często z trwałym upośledzeniem umysłowym, wcale albo prawie wcale nie znające historii, wiedziały jednak tyle o osławionej esesmance, żeby przemianować Ilonę, wrednego poganiacza niewolników, a nie wychowawczynie, na Iizę Koch.

– Oczko! – pochwaliła się Nóżka przy obiedzie. Wróciła od lekarza. Dostała dwadzieścia jeden dni zwolnienia. Miała rozbity łuk brwiowy, pęknięte żebro i potłuczenia z wylewami, zwłaszcza na goleniu.

Czekało mnie trzy tygodnie puszek w puszcze, czyli izolatki, zwyczajowej kary, czyli tyle czasu, ile medycyna zaliczyła poszkodowanej, pod opieką Ilizy Koch, bo na jej dyżurze uszkodziłam Nóżkę. Nie łudziłam się, że mnie nie wyłuskają. Sprawcę namierzali zawsze i bezbłędnie.

Taka była pełna cena zdobycia władzy nad sypialnią.

Dorobiłam się jej niechęcy, nagle, z desperacji nie bardzo wiedziałam, co z nią począć.

– Gdzie mam się przenieść? – chciała wiedzieć Nóżka. Z Króliczkiem zajmowały najlepsze, sąsiadujące ze sobą łóżka.

Do mnie należał przywilej wyboru.

Ale Nóżka mimo swojego upadku miała wielkie szczęście. Króliczek ją kochała i nie porzuciła w poniżeniu. I nikt się z tego nie śmiał i nikt nie przyłał Króliczkowi, chociaż już było można.

Wierność. Ostatnie tabu.

Byłyśmy ciemne, bez żadnych zainteresowań, bez aspiracji, a przeważająca część tak ociężała w myśleniu, że nawet nie nadażająca za akcją najprostszą fabuły filmowej w telewizji. Pozbawione przyjaźni, czułości, uczuć rodzinnych, wolności, do której tęskniłyśmy

i z której natychmiast zrobiłybyśmy zły użytek, miałyśmy tylko wcześniej obudzone własne ciało.

Dziewczyny kaleczyły je w złości albo w histerii, albo dla honoru, tatuowały, sprzedawały, czerpały doznania; tutaj za murami, z braku mężczyzn, oddając się grze z wynaturzonym Erose.

Działy się dramaty. Cierpienia nieodwzajemnionej miłości, zdrady, uwiedzenia i niewierność, pogodzenia i ostateczne zerwania. Snuła się interesowność i prostytutcja. Zazdrość, rozczarowanie i zemsta podbijały oczy, cięty żyletką i biły kastetem.

Były tu zwyczajne pakiety do wynajęcia za papierosy, świecidełka, ciuchy czy smakołyki z paczki, były szargule, co napraszały się do łóżka gratis, wszystko jedno z kim, i zdarzała się prawdziwa miłość.

– Nie potrzebuję twojego wszawego wyra!

Nie skorzystałam z przywileju. Wstrząsająca dymisja Nóżki obudziła we mnie przezorność. W razie przegranej, przynajmniej ominie mnie poniżające zbieranie manatków, no i nie ułatwię zamiaru lizie Koch.

– Ta mała lesba ma pełnić dyżury jak reszta gemajnow – przekreśliłam, przywileje Króliczka, co dobitniej świadczyło o nicości Nóżki, niż gdybym kazała robić to samej Nóżce.

– A ty nawet wuja nie zaznałaś! – zionęła Króliczek.

Ciężka obelga i niebezpieczne pomówienie. Dziewictwo było najgorszą hańbą, wyzwaniem, przedmiotem nieprawdopodobnej, wręcz rasistowskiej nienawiści. Dziewczyna naznaczona takim piętnem nie obroni się od złośliwych napaści, nie da rady walczyć przeciwko wszystkim, polują na nią gromadnie i wreszcie przemocą poddają barbarzyńskiej inicjacji. Po czym staje się dnem z dna, obiektem pogardy, drwin, poniewierki.

Nie pomoże przeniesienie do innego zakładu. Opinia przekroczy mury i wlecze się w trop. Administracja robiła, co mogła, aby zapobiegać tym okrucieństwom, jednak się zdarzały.

Nie myślę, żebym tam była białym krukiem, raczej wzorem wszystkich prześladowanych ukrywałyśmy się za gorliwym przestrzeganiem nieludzkich obyczajów, dyktowanych przez małoletnie prostytutki, stanowiące większość.

– Jazda, lesbo, zamiast Nocnik na lipie! – strąciłam Króliczka między najgorszych pariasów, czego nie miałam zamiaru zrobić przed jej fatalną odzywką. Musiałam wzmocnić zlekceważenie zarzutu wymierzoną jej dotkliwością. Nawet gdybym chciała, a nie chciałam, nie mogłam sobie pozwolić na wielkoduszność. Nieoddanie ciosu, w tutejszym pojęciu, znaczyło tylko jedno, słabość.

Króliczek podniosła się z ociąganiem.

– Pośpiesz się, i jeszcze słowo, a będę wołać cię Urynał i przeznaczę tylko do mycia kibla.

Podporządkowałam rozpanoszoną małą, która miała tyle samo lat co ja, ale nie zapomniałam o jej jadzie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Następnego ranka zgrandziłam łyżkę ze stołówki, a potem w Pegeerze, gdzie poddawano nas terapii dobrowolnej pracy, wyostrzyłam ją na cegle jak sztylet i ukryłam w wydrążonym drewniaku. Gotowa podrzynać gardła poczułam się w miarę bezpieczna.

W wieczór degradacji Króliczka Nocnikowi zaświtała nadzieja.

– Kuna, zamień mi przezwę – zajęczała proszalnie.

– A jaką chcesz? – czułam potrzebę okazania łaskawości.

– Merlin – wstrzymała oddech z przejęcia.

– Dobrze. Niech nikt od tej pory nie mówi na nią Nocnik! – ogłosiłam moją wolę.

– Wiesz, jestem dobra – Merlin jednym ruchem rozpięła bluzkę od szyi po pępek i, wypinając dwa piegi na tarze, recytowała znane jej techniki miłosne. Miała niecałe czternaście lat, wyglądała jak zamorzona mysz, stręczona przez matkę, uprawiała nierząd od dzieciństwa.

– Odpierrr się, Merlin.

– Twoja strata – wyszczerzyła ząbki gryzonia i odzęgłowała kręcąc chudym kuprem.

– Chcesz, zajmę pryczę przy tobie – ofiarowała się Lalka.

– I ty też?! – zaciążyły mi problemy władzy. Czy nie lepiej było się posznytować i pozostać w partii Nóżki, niż wciąż opędzać się od tych wyrachowanych dziwek.

– Ja w to nie gram. Przecież mówiłam, kocham tylko tatusia.

Prawda, mówiła. Zaraz pierwszego wieczoru opowiedziała mi zyciorys, po którym plątali się bogaci inostrańcy szalejący za Lalką i obsypujący ją klejnotami i zielonymi, za co tatuś chodził pijany i szczęśliwy. Ale kiedy chcieli brać Lalkę na stajnię, tatuś wyciągał brzytwę i groził samobójstwem.

Biografia Lalki była jak kino, i żywy udział w opowiadaniu brała cała sypialnia, podpowiadając kwestię, jeśli Lalka coś pominęła.

– Biedna Lalka – wzruszały się dziewczyny i niejedna łza wsiąkła w poduszkę nad jej bezgranicznym oddaniem.

Lalka była moją rówieśnicą, miała czternasty rok, wyglądała na więcej. Piękna jak Maria Magdalena na obrazku, z rozplecionymi warkoczami modląca się w pustelni. Lalka miała taki obrazek, przykleiła go sobie nad pryczą, w dni wolne swoje długie włosy nosiła

rozpuszczone tak samo jak święta nierządnic.

Ojciec żył z Lalką, żył z jej prostytutce i nie mógł żyć bez wódki. Latem pracowali w plenerze. Tato grabił spitych klientów córki. Lalka, rzadkość w swoim fachu, nie lubiła alkoholu, ale bardzo udatnie markowała picie.

– Mam skazę na ćmage – trapiła ją jakaś niezwykła, podstępna choroba, pod grozą paraliżu wykluczająca picie. Usprawiedliwiała się wobec tych dziewczyn, które lubiły dać się w przeryk. Bo tutaj każda inność drażniła, mogła zostać uznana za wywyższanie się, co sprowadzało nienawiść i agresję.

Żeby gościa szybciej tumanilo, tato dosypywał czy dolewał do gorzały jakiegoś paskudztwa, no i jeden nie przetrzymał kordiału, wykorkował. A oni obrali go i pozostawili, nawet nie myśląc, że trafi go szlag. Za co Jura wynagrodziła starego dożywociem, a Lalkę zapuszkowała do pełnoletności.

– Kto by przypuszczał, nie dewizowy, a taki delikatny – wzdychała Lalka wspominając ostatniego klienta.

W zakładzie na psychoterapii zajmowali się Lalką różni specjaliści. Według nich, ona miała to samo co ja, tylko na inny temat, do góry nogami odwróconą skalę wartości, a oni starali się jej tę skalę właściwie nastawić. Ale ona wciąż kochała ojca i dziewczyny ją rozumiały. To był jedyny człowiek, którego coś obchodziła. Większość z nas nie interesowała nikogo, nawet starego, zapitego, skurczybyka.

Według psychologów naprawiających Lalkę owa miłość stanowiła przeszkodę w odnowieniu Lalki, ale też dawała nadzieję. Nie wszystkie z nas były zdolne do kochania, a ona tak. Może się nawet całkiem wyprostować, jeśli spotka kogoś, kto ją obdarzy uczuciem. Oczywiście, nie element!

Właśnie.

Lalka była niezwykle piękna, a nie znalazł się dotychczas nikt, kto chciałby ją na dłużej. Może dlatego, że natychmiast wszystko o sobie opowiadała. A dziewczyny z biografią Lalki nawet nie każdy element chciał na zawsze. Więc leczyli ją z tego ekshibicjonizmu na psychoterapii, ale jakoś bez wyników.

– Na wolności czeka na Kunę kochanek – nagle włączyła się Lalka, po zaofiarowaniu mi sąsiedztwa na pryczy.

Sypialnia zastrzygła uchem. Jedyny interesujący temat.

– Jest wściekle zazdrosny! – wyjawiała Lalka moją nie istniejącą tajemnicę.

Zaczynałam rozumieć. Robiła za mnie to, co powinnam była uczynić na początku. Dochowanie wierności kochankowi za murami rozumiała każda, nawet ostatnia pakieta.

Opowieść o mężczyźnie z miejsca wzmacniała moją pozycję. Nie będzie uprzywilejowanej małej. Zapanuje równość, oczywiście kastowa, równość nie dotyczyła gemajnow.

Nietolerancyjne, stronnice i nieobiektywne, przestrzegające barbarzyńskiej hierarchii, łaknęły sprawiedliwości!

Nie domyślałam się, dlaczego Lalka nie proszona świadczy na moją korzyść. Albo wyraziła życzenie partii Lepszych, którym nadojadła Nóżka ze swoją faworytą i które w decydującym momencie nie poparły jej, pozwoliły na samotne starcie ze mną, ponieważ miały dość jej i rozpanoszonego Króliczka. Albo chce coś uzyskać, albo skarbi sobie moją przychylność.

– Kuna, jak się nazywa twój chłop? – chciały wiedzieć dziewczyny. Władza władzą, a na to musiałam odpowiedzieć.

– Grażel – palnęłam. On pierwszy przyszedł mi na myśl, a nie miałam czasu na zastanowienie.

– Puszkuje?

– Nie. I nie będzie. Ćmagę spija z gośćmi, co ich podobizny odbijają w gazetach.

– Ćmisz! Skąd on do ciebie?

– Nadaje, ciemnoto!

– Wszystkie pięćdziesiąt chawir z jego poręki, no nie, Kuna? – włączyła się Lalka, jakby od dawna wiedziała.

Lalka należała do palatynów sypialni, ale schlebiała wszystkim. Nie miała wrogów, nawet wśród tych dziewczyn, których nie stać było na żadną przychylność, i żadna zawiść do tej pory nie sięgnęła twarzy Lalki, żeby choć trochę przygasić jej wielką piękność. A gemajny, do wszystkich łaszące się jak głodne kundły, Lalkę darzyły jakimś szczątkiem przywiązania, chociaż traktowała je podobnie jak wszystkie Lepsze. Ale Lalka stanowiła wyjątek, była tłumaczem.

Jeśli nie odbierano nam telewizji, program mogliśmy oglądać dość często. Dziewczyny chłoneły obrazy, zwłaszcza sceny z całowaniem i obłapką, gubiąc się doszczętnie w toku fabuły i cięciach montażu. A na świetlicy żadnych objaśnień. Musiała być cisza, za gadanie obrywało się drewniakiem od funkcyjnych.

– Zasuwał, Laluniu – przymilały się po powrocie do sypialni.

Lalka nigdy się nie droczyła i opowiadała, co widziały. I jeśli nawet odbiegała od wersji ekranowej, bo niezrozumiałe dla siebie miejsca wypełniała twórczością własną, interpretację Lalki zawsze uznawano za śliczną, ponieważ jeszcze raz pozwalała przeżyć tamto piękno, i w momentach szczególnie lirycznych albo smutnych sypialnia zalewała się

łzami. W ogóle bez przekładu z kina na nasze film się nie liczył. Dlatego Lalka miała pozycję niezwykłą.

Zanim po mnie przyszli, sińce Nóżki zdążyły spłowieć.

– Myślałaś, że jak nie wezmiesz łóżka Nóżki, to ja ciebie nie znajdę – zaczęła rozprawę Ilza Koch.

Zawsze zwyciężczyni zabierała legowisko pokonanej i już następnego dnia administracja miała ją jak na widelcu. Ja wyłamałam się ze zwyczaju, chociaż nie łudziłam ani przez chwilę, że przejdzie bokiem, jednak Ilza czuła się wręcz osobiście dotknięta wybiegiem. Większość naszych zachowań i czynów przyjmowała jako wymierzone w siebie. Milczałam.

– Dlaczego pobiłaś Nóżkę?

Milczałam. Wyłgać się nie mogłam. Ilza nasze obyczaje znała nie gorzej niż ja.

– Uważaj, mogę ci przedłużyć izolatkę.

Mogła. Nad niepokornymi wisiała groźba dokładki. Zwiększony pobyt w odosobnieniu był postrachem, ale też wartością. Umacniał prestiż, stanowił dorobek niezbędny dla honoru i znaczenia.

– Nie musisz otwierać swojej głupiej mordy. Wiem bez ciebie, co wyprawiacie. I zapamiętaj, złamię wasze jaskiniowe rządy w sypialniach, a w tobie ten kij, coś go połknęła i który przeszkadza odpowiadać ci na moje pytania.

Milczałam.

– Jesteś gnój pośród gnoju! Dzwinka w bandzie dziwek! Ale na moim dyżurze nie będziecie się zagryzały jak wściekłe suki.

– Jestem człowiek, nie gówno.

– Jesteś brudna, wszawa dzwinka.

– Nie ma pani prawa mnie wyzywać.

– Ja tu stanowią prawa. W imieniu społeczeństwa, które was utrzymuje.

Patrzyła na mnie, jakbym była czymś nieskończenie małym i obrzydliwym. Nie mówiła z gniewem, nie wpadała w pasję, wyzywała na chłodno, podkreślając bezosobowym tonem moją bezmierną nicość.

Tak samo biła. Metodycznie, jakby bez osobistego zaangażowania. Niczym zapobiegliwy rolnik tłukący cepem rozelane kłosa. Widziałam takiego w pegeerze, z ukradzionego snopa młócił jęczmień dla swojego drobiu. Kury, pogwarzając z cicha i przekrzywiając twarzyczki, śledziły ruchy bijaka i wyłapywały pojedyncze, dalej padłe ziarna.

Pożałowałam, że nie jestem tamtym niewrażliwym na ból pękiem zboża. Wtedy jeszcze na myśl by mi nie przyszło, zastanawiać się, czy źdźbła coś czują. Zdarzyło Się to dopiero w innym życiu, kiedy zostałam Mustelą.

– Za każde pobicie koleżanki będziesz brała baty. Za każde kolejne więcej – zapewniła mnie, zamykając drzwi obite blachą.

W klitce ze świetlikiem umieszczonym pod sufitem spędziłam trzydzieści dni.

Bunt, wściekłość, rozpacz. Dopiero w tej przeraźliwej samotności, w martwocie czterech ścian zrozumiałam szajbusów kierujących agresję przeciwko sobie. Okaleczenie stwarza szansę wyjścia, chociażby do szpitala, bo wszystko wydaje się znośniejsze niż ta pustka i zapomnienie. Z pewnością zrobiłabym użytek ze swojej wyostrzonej łyżki, ale Ilza znalazła ją rewidując mnie przed zamknięciem.

Wreszcie osłoniła mnie apatia. Istniałam tylko na wpół, jakby stale We śnie, pośród zastygłego czasu, leniwie odliczanego przynoszonym jedzeniem.

Czułam się jak zwierzę zamknięte w klatce. I coś mi z tamtych doznań pozostało. Unikam ogrodów zoologicznych, czemuś mi wstyd i nieswojo, gdy zza krat, siatek i wybiegów patrzą na mnie bliskie, mądre, smutne oczy zwierząt.

Kiedy mnie wypuszczono, nie odczułam ani radości, ani nienawiści, ani nawet dumy z miru na sypialni. Nic. Istny pień.

Powróciły spotkania z psycholożką.

– Lubiałaś biegać, prawda? – nigdy nie nazwała mnie Kuną, ale też omijała Pelkę, jeśli już nie mogła inaczej, wołała po nazwisku.

– To było dawno – czas sprzed kilku miesięcy leżał za mną niezmiernie daleko.

– Dlaczego nie spróbujesz tutaj, jeśli zechcesz, potrafisz zachęcić dziewczyny. Masz na nie wpływ i mogłabyś go użyć z pożytkiem.

– Nie warto.

– Dlaczego?

– Tutaj nie może człowiekowi na niczym zależeć, bo będzie tym szantażowany. Jak tylko się zwiedzą, że lubię sport, każą w zamian się uczyć. Inaczej figa.

– Przecież i tak musisz się uczyć.

– Tylko uczęszczam.

Nauczanie było obowiązkowe, ale kto się przejmował stopniami. Stanowiły taką samą abstrakcję jak kalorie, mikroelementy, sole mineralne i co tam jeszcze w naszym pożywieniu.

Otrzymywało się palony jęczmień zabielały podłym mlekiem, które niebieszczało i chudło w oczach, chociaż od pegeeru, skąd je brano, do naszej kuchni odległość wynosiła

dziesięć kilometrów, grochówkę z rzadka, przybraną skwarkami, chleb z margaryną, czasami smalec i od święta salceson, podgardlaną albo kaszanke.

Podstawowe źródło witamin przez pierwszą część roku stanowiła kapusta kiszona, przez pozostałą nie kiszona. Resztę załatwialiśmy we własnym zakresie.

Reedukowano nas dobrowolną pracą, cztery godziny dziennie, w tymże gospodarstwie, skąd pochodziło anemiczne mleko. Od tych zajęć nawet mało kto się migał, całkiem dobrze czułyśmy się na polu czy gumnie, gdzie człowiek podjadł sobie, ile chciał, marchwi, ogórków, jabłek, pieczonych na ognisku ziemniaków oraz różnej sezonowej zieleniny i miał złudę swobody.

Tylko podczas mrozów najbardziej ceniono zajęcia w zakładowej kuchni, bo szwalnia zawsze pozostawała ostatecznością. Oczywiście i tu, i tam pilnie dbałyśmy, aby sobie rąk nie urobić. Obijanie się pod pozorem pracy było chyba jedyną dziedziną, która pobudzała myślenie.

- Jeśli lubisz, biegnij i zainteresuj inne. Nikt się nie będzie wtrącał. Przyrzekam.
- Pani szuka pozytywnego zaczepu, nie?
- I bardzo bym chciała go znaleźć.
- Czemu nie, mogę spróbować – nic do niej nie miałam. Można ją było nawet lubić, jednak moje serce się zestarzało i już nie garnęło do ludzi, a ona w moich oczach była tylko klawiszem.

6

- Robię wszystko, co można, żeby cię stąd wyciągnąć!
- Beznadziejne, Nonna. Obie wiemy, jak jest – wstydziłam się za nią, że tak naiwnie kłamie. Przez pół roku, jakie tu przeżyłam, pies z kulawą łapą nogą o nogę nie stuknął w mojej sprawie. Nonna w tym czasie przysłała dwie paczki, poza tym nie dała znaku życia. Nawet nie odpowiedziała na żaden list, więc i ja przestałam pisać, tym bardziej że sklecenie kilkunastu zdań przychodziło mi z wielkim mozołem.
- Jak ci jest?
- Ujdzie – co miałam mówić, i tak nie zrozumie. Trzeba tu być dzień po dniu, razem znosić rygory, tłoczyć się w zagęszczonych sypialniach pod nieustającą kontrolą i w tłumie innych dziewczyn; strach przed izolatką, marne jedzenie, zimne prysznice, chłód dokuczający

zimą, a upał latem, ciągle użeranie się i ciągle lawirowanie między sprzecznościami nie do pogodzenia, regulaminem i niepisanymi prawami grupy. To męczy, za to się płaci, do tego można się przystosować, do tego nie sposób przywyknąć, ja kto się przyzwyczai, już się nie dźwignie, pozostanie mierzwą po jednej i po drugiej stronie.

– Masz do mnie żal, Kuna?

– Nie.

– Więc dlaczego próbujesz szkodzić?

– Nieprawda.

– A kto opowiada o Grażelu?

– O nikim nie opowiadam! – zaparłam się. Jak miałam jej teraz tłumaczyć, że ksywę Grażela podałam z przypadku na samym początku, bo nie miałam czasu na zastanowienie, a na myśl przyszedł jak na złość właśnie on. Jak się miałam przyznać, że później zupełnie bez potrzeby przechwalałam się nieraz wymyślonym kochankiem z wyższych sfer, któremu już nie mogłam zmienić przezwiska.

– Kłamiesz. Zgubi cię wreszcie ta nieszczęsna chełpliwość. Kuna.

Widzenia odbywały się w świetlicy. Siedziałam naprzeciw Nonny przy herbacie w odświętnych kubkach. Firanki, zasłony, fikus w drewnianej donicy, obrazki na ścianach. Prawdziwy Dom, nie puszka.

Tkwiałam nad nietkniętą filiżanką, niczego nie mogłam przełknąć, cała wypełniona jakąś lekkością, zda się zdolna fruwać, odkąd zawiadomiono mnie o spotkaniu z Nonną. Ale ta surowa, niezadowolona kobieta nie była moją Nonną, tylko kimś obcym, dalekim. W miejsce euforii rosło rozczarowanie. I jak cięcie topora, nagle przypuszczenie: ona przyszła tutaj tylko z powodu Grażela!

– Nigdy więcej nie wymieniaj jego ksywy. On ma długie ręce, sięgną za każde mury. Uważaj, mała!

– Po izolatce nic mnie już nie wzruszy – postawiłam się, chociaż wiedziałam, że zakład nie chroni przed zemstą współników.

– Mogą cię spotkać gorsze rzeczy.

– Wiesz co, ja znam Wilka! – z żalu, z zawodu, z bezsilnej złości rzuciłam na szalę jedyne go znanego mi i w moim mniemaniu odpowiedniego człowieka, mogącego choć trochę zrównoważyć pozycję jej Grażela.

– Wilk cię napuścił na Grażela? – Nonna jakby zszarzała i oklapła.

Korciło mnie błysnąć zażyłością z Wilkiem, lecz bałam się popaść w kolejną aferę i mimo wszystko żalowałam Nonny.

– Przyrzekam ci, nigdy nie wymienię ksywy Grażela, zresztą nic o tym nie wiem – obiecałam, żeby nie pozostawić wątpliwości.

– No i dobrze.

– I coś ci powiem, nie przychodź tu więcej!

– No wiesz! Człowiek robi dla ciebie wszystko, co może, a ty...

– Też robiłam dla was wszystko, co mogłam, więc jesteście kwita, Nonna. Lepiej przyślij paczkę. Potrzebuję trochę ciuchów – wtedy jeszcze nie zależało mi na łańkach, chciałam tylko usłyszeć, co odpowie, i sprawdzić, czy zbyt nie przywiązała się do należytnej mi doli.

– Teraz trudno o rzeczy.

– Kup w peweksie za moje zielone.

– Nie chciałabym zwracać uwagi dolarowymi zakupami.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Nie poznaję cię, Kuna!

– Ja ciebie też nie.

– Myślałam, że mnie kochasz.

– Tak samo myślałam o tobie.

– A ty chcesz mieć ludzi tylko dla siebie, takaś pazerna. Każdego odstraszysz zachłannością. Istny wampir! Żądasz więcej, niż człowiek zdolny ci dać. Jeśli się tego nie oduczysz, chłopca nie znajdziesz, każdy od ciebie ucieknie, jak uciekają ode mnie. Spróbuj zrozumieć, skończyłam dwadzieścia dziewięć lat, nigdy już nie będę ich miała. Chcę z życia wyciągnąć coś i dla siebie, a ty domagasz się wszystkiego. Nie mogę się poświęcić tylko tobie.

– Spadaj – zatrzęsło mną. Mogłam zrozumieć jej potrzebę odpoczynku ode mnie w domu, ale teraz! Od rozprawy w sądzie nie oglądała mnie na oczy. I mówić takie okrutne rzeczy, kiedy siedzę w puszcze.

To nie Nonna, wmawiałam w siebie i czułam, jakbym się napiła trucizny. Ale nie mogłam załgać się do ostateczności. To była Nonna. Prawdziwa. Tamta, moja, nigdy nie istniała, tylko tandetny kostium na użytek głupiego gnojka, lepszego jednak niż wytrych. Musiałam przejść, co przeszłam, i pożyć przez rok w puszcze, żeby zobaczyć rzeczywistość.

Jakaż się czułam przegrana. Lepiej by się stało, gdyby Nonna nie przyszła, gdybym zachowała w pamięci tamtą, wymyśloną. Teraz nie miałam już do kogo tęsknić. Nawet nie bolało, tylko było we mnie bardzo pusto.

– Co słyhać na wolności – czatowała na mnie Lalka na naszym zakładowym

wybiegu, ni to boisku, ni majdanie.

Zaprzyjaźniłam się z Lalką. Obie miałyśmy zainteresowania. Nikłe, bo nikłe, ale istniały. Ja lubiłam biegać, Lalka pływać. Psycholożka, trzeba jej przyznać, bardzo się starała zapalić nas do sportu, ale się nie udawało. Brakowało warunków, prawdziwej rywalizacji, prawdziwego smaku zwycięstwa i goryczy porażki i nie chciało nam się chcieć.

Teraz, z perspektywy lat, myślę, że nasze dziewczynskie koleżeństwo i starania psycholożki łagodziły syndrom zamknięcia i miały swój udział w naszym ocaleniu, w cofnięciu z drogi, z jakiej próbują zawrócić nieliczni, a ratują się wyjątki. Podstawowa masa z czasem zamienia dom poprawczy na więzienie. Taka jest prawda.

– Nie masz czego zazdrościć.

Każde odwiedziny były wydarzeniem i przedmiotem jeśli nie zawiści, to żalu pozostałych. Do nas przychodzono rzadko i nie przez surowość administracji. Bliscy dziewczyn albo o nie nie dbali, albo przebywali w więzieniach, albo zapici świętowali niedzielę, albo pozbawiono ich praw rodzicielskich.

– Umarł mi jedyny człowiek – pogrzebałam wyobrażenie Nonny.

– Też jestem człowiek – przypomniała o sobie Lalka.

– Ty się podlizujesz każdemu.

– Sposób na przetrwanie, dobry jak każdy inny. Nie potrafię rozwalać łbów jak ty. Gdy stąd wyjdę, nikomu nie będę schlebiać.

– I do czego tak się śpieszysz?

– Chciałabym wyjść za mąż, mieć dziecko i być dla niego dobra.

– Za mąż! Kto ciebie zechce, jeśli wciąż gędzisz o tatusiu.

– Robię dobre wrażenie i te głupie dziwki nie pchają mi się do łóżka. Nie po to Pan Bóg uwolnił mnie od skurczybyka, żebym miała popaść w niewolę jakiejś flądry, brzydzą mnie. Tobie powiem prawdę, bo ci wierzę. Nienawidzę skurwiela! Sprzedawał mnie za flaszkę i trzymał strachem przed brzytwą. Za opór albo próbę ucieczki pokroiłby mi twarz.

– Nikomu ani słowa, Lalka. Dziewczyny zabiłyby cię za nabieranie.

– Wyglądam na głupią? I jeszcze ci powiem, ja tutaj oddycham. Przynajmniej nikt nie wisi nade mną z mojką. Przy nim dorobiłam się kompleksu oblicza.

– Tak powiedziała psycholożka?

– Sama wymyśliłam.

– Dlaczego nie uciekłaś?

– Bałam się, on by mnie złapał i spełnił, co obiecał. Na dzielnicy taka sama szpana, majchry zapite od nocy do nocy, kumple starego i moi klienci. Dokąd miałam iść?

– Chociażby do inostrąców, co cię chcieli na stajnię.

– Nie znalazłam lepszych gości. To tylko kino dla dziewczyn, żeby było ładniej. Dolarowe dziwki jedynie widywałam z daleka. Żeby zastartować w pierwszej kategorii, trzeba mieć eleganckie ubranie, ciuchy, kosmetyki, chawirę. Potrzebny kapitał na początek, i bez starego szajbusa, co może cyrk urządzić w każdym miejscu i o każdej porze.

– A znajomość języków? – przypomniałam sobie, co mówiły Zyza i Ramona.

– Ile tej rozmowy w moim fachu! Wiesz, zbierałam pieniądze. Grosze! W tajemnicy przed starym. Marzyłam, żeby wyjechać do innego miasta, najlepiej nad morze, i pójść w szykowny świat. Obsprawić się, wyglądać ekstra i naprawdę zacząć zarabiać zielone. Oszczędzić, urządzić się i żyć jak ludzie.

– Po wyjściu stąd będziesz mogła spróbować.

– Będę musiała. Co umiem robić? Wypuszczą mnie, jak skończę siedemnaście, ani łacha, ni garnka, ni wielbłąda, ni osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest. Nawet do naszej budy nie mogę wrócić, bo zajęta, a i dawni klienci żyć by nie dali. Wiesz, jaki mam najgorszy sen? Ogłosili amnestię i wypuścili starego.

– Tylko nie rozumiem, dlaczego zmyślasz miłość.

– Ładniej jest kochać ojca i wszyscy wołają, nawet nasze flądry. Po co miałabym latać za potwora. Co szkodzi naklejka kompleksu Elektry. Nawet elegancko brzmi. I czemu miałabym robić przykrość psycholożce, utrudziła się, zanim wymyśliła moją dolegliwość.

– Uważaj, Lalka, kiedyś zasłodzisz się na amen. Tak się podlizujesz dziewczynom, że nieraz się zastanawiam, czy jesteś wiarygodna – wówczas to słowo rozpoczęło oszołamiającą karierę i nawet przeniknęło do naszego języka.

– Muszę żyć dobrze ze wszystkimi. Żeby mi nie zazdrościły tabeli – wskazała swoją twarz.

– Ciachnij włosy, rzęsy, z brwiami da się też coś zrobić, powyrywać trochę, przerzedzić i zaraz będziesz podobniejsza do reszty – radziłam ze szczerego serca, bo jeszcze wtedy nie wiedziałam, co to próżność.

– Coś ty. Kuna, nie mogę – potrząsnęła złotą grzywą i zastygła w pozie świętej nierządnicy.

Zrozumiałam. Przyćmienie własnej urody było ponad siły Lalki i ponad wszelkie lęki. Uważałam to za rodzaj przypadku. Miałam pewność, że mnie się nie przydarzy. Prędko zostałam pokarana za pychę.

Nastała niedziela. Dzień widzeń. Po wiosennie zazielenionym dziedzińcu spacerowały lub siedziały na ławkach postrojone dziewczyny i udawały, że przyszły na deptak dla siebie

samych. Żeby zaznaczyć intencje, śmiały się za głośno i za często i mówiły do siebie sztucznie i na wszelkie inne sposoby demonstrowały, jak są zajęte we własnym gronie i jak nic a nic nie obchodzą ich cudzy goście, przedmiot zazdrości, symbol swobody i główna atrakcja naszej biednej promenady.

Wilka zobaczyłam nagle.

Ukazał się na zakolu ścieżki. Słońce świeciło mu pod nogi. Był piękny. U jego ramienia zwisała Magda.

Zapatrzyłam się na niego, zapominając o obowiązującym fasonie, nurtował mnie problem, czy on już był taki przystojny wtedy, spotkany na wysypisku, tylko ja, pacan, tego nie widziałam, czy tak się zmienił przez trzy lata.

Kiedy nastałam do zakładu, Magda już garowała. Miała miejsce w sypialni starszych dziewczyn. Udawała, że mnie nie zna, ja patrzyłam na nią jak przez szkło. Widywałam ją często, ale teraz ujrzałam zupełnie inaczej. Wstrętną, rozpanoszoną, działającą na nerwy. Budziła wściekłość. Nienawidziłam jej.

– Nie gap się jak ciele – szturchnęła mnie Lalka.

– Mhy – zgodziłam się potulnie!

– Kosa. Już na wolności. Zakluczony prosto od mamy, gitów naszatkował jak kapusty i zrobiły się taaakie malutkie. Nacięli się. A klawisze też były dla niego nie za duże, i nie we wzorcowym.

– Co to takiego?

– Puszka dla lepszych gości, albo z protekcji, albo po uważaniu. Jakby mnie kierował mężczyzna, też bym dostała się do luxa, ale segregowała flądra, stara i brzydka jak siedem grzechów głównych, więc sama rozumiesz.

– Gdzie się dowiadujesz takich rzeczy?

– Trzeba mieć uszy do słuchania. Ty, Kuna, spójrz na jego binię! Uhm, krówsko. Ale ma szczęście. Takiego chłopca podłapać, no nie? Nie utrzyma go, wspomnisz moje słowa. Za głupia.

Ocena Lalki bardzo mi przypadła do gustu.

Szłyśmy naszym kursem po deptaku, tamtym naprzeciw, i najchętniej nurknęłabym w bok, ale niedoczekanie, żeby Magda pomyślała, iż z zawiści nie mogę znieść jej triumfu, więc nawet nie odwróciłam głowy, tylko z dawną wyćwiczoną techniką patrzyłam skroś niej, jakby była świeżo umytą szybą.

– Przecież to Pelka! – poznał mnie Wilk.

Poczułam, jak się czerwienię.

– Ona teraz biega za Kunę, hi, hi – z wyżyn swego stanu posiadania zaśmiała się Magda.

– Wont, klucho!

– Nie wściekaj się. Kuna! – łagodziła Lalka nie zapominając potrząsnąć głową w ten sposób, aby fala włosów spłynęła jej wzdłuż policzków, i jak nigdy upodobniła się do świętej nierządniczy.

Magda zaniepokojona tymi manewrami już się nie śmiała, tylko próbowała zasłonić Lalkę, ale Wilk nie zwracał uwagi na ich gierki. Nie do wiary. Patrzył na mnie.

– Aleś wyrosła, ledwo cię poznałem.

Czerwieniałam jeszcze bardziej, miałam wrażenie, że zajęły mi się włosy nad czołem.

– Nie gniewaj się. Kuna – Magda szukała sprzymierzeńca przeciwko urodzie Lalki.

– W mordę ci dać, tylko ręka wlezie w gówno! – uciekałam we wściekłość, aby nie domyślili się prawdziwej przyczyny zdradzieckiej barwy na mojej twarzy.

Nagle poczułam swoją byle jak związaną w kuce strzechę i zwyczajne oczy. Ot, patrzalki i tyle, gdzie im tam do brązowych Magdy i ciemnoniebieskich, aż granatowych. Lalki. I szramę na górnej wardze, pamiątkę po jakiejś bójce. Czy bardzo widoczna, mocno mnie szpeci? I dość sfatygowaną sukienkę, właściwie łań, ech, szkoda gadać!

I przyплыw paniki. O Boże, czyżbym jak Lalka zaczynała dbać o piękność? Ależ to mnie uczyni bezbronną i każda flądra wtedy da mi radę. I w ogóle po co ja tu z nimi sterczę. Już raz się na nich nacięłam. Szczęścia mi nie przynieśli, fałszywi kumple.

– Ty też jesteś dobry, Wilk!

– Przecież cię nie obraziłem, Kuna.

– Nie. Ale przejdź. Już z wami grałam i wyszło mi bokiem.

– Jest ważna, rządzi sypialnią młodszaków – z prześmiewką zawiadomiła Magda.

– Posłuchaj, Kuna. Winien ci jestem wyjaśnienie. Paskudnie wygląda, ale wtedy cię nie sprzedałem – to był zupełnie nowy Wilk, wysławiał się starannie i grzecznie.

– Komu się będziesz tłumaczył, Wilk! – prychnęła Magda. Straciła orientację, skąd grozi niebezpieczeństwo, i rozdawała ciosy na oślep.

– Właśnie, komu! Idziemy, Lalka.

Lojalnie pośpieszyła za mną, chociaż na widok Wilka zapomniała o kompleksie Elektry. Przejrzał nas, nawet posągowy fason Lalki. Wiedział, dlaczego tak na siebie warczymy, i to go bawiło. Mnie ogarnął wstyd.

– A ty usuń się z drogi, Magda, bo przejdę przez ciebie – nabuzowałam się do bitki z tego wstydu.

– Łobuzica! – Magda ustąpiła.

– Klucha! – wymieniliśmy uprzejmości.

– Aleś ścichapek, wypytujesz jak o nieznanomego, a lepiej znasz go ode mnie – obraziła się Lalka, gdy już odeszliśmy kawałek od tamtej pary.

– Nic o nim nie wiem. Jak byłam mała, wpuścili mnie w maliny – miałam czternaście lat, ale wydawałam się sobie wiekowa.

– Chciał ci coś powiedzieć.

– Nie obchodzi mnie.

Nie obchodził w dziwny sposób. Za nic nie chciałam znowu doznać upokorzenia, jakie odczułam na deptaku, ani go spotkać, ale na myśl, że mogłabym już nigdy Wilka nie zobaczyć, robiło mi się smutno i pojawiała się przekonanie, że coś mnie omija, o coś jestem biedniejsza. Jakbym siedziała w izolatce, a moje życie działo się bez mojego udziału. Znałam to. Gdy się zjawiało, zaraz wsiąkałam w aferę. Muszę mieć się na baczności i zachować dystans. Czyli, nie powinnam w dni widzeń wychodzić na majdan. Powiedziałam sobie prawdę w oczy i świat poszarzał.

Wieczorem nie poszłam na telewizję. Gdy opustoszała sypialnia, wyciągnęłam ze schowka w pryczy lusterko Lalki i zaczęłam oglądać swoją twarz jego oczyma.

Stroiłam miny, próbowałam powłóczystego spojrzenia, chociaż nie bardzo pojmowałam, na czym rzecz polega, ale dziewczyny ćwiczyły właśnie coś takiego. I nie podobałam się sobie ani jemu, jak sądziłam.

Pewno, można było nieco poprawić moją tabelę. Lalka nieraz ofiarowywała się z pomocą, ale przecież nie mogłam właśnie teraz, nagle wyskubać sobie brwi czy zakręcić papiloty, jeśli dotychczas opierałam się takim sztuczkom. I na ile pomoże, przecież nie zmieni moich myszowatych oczu w takie jak Magdy czy Lalki.

Gdy położyłam się spać, pod powiekami, naprzeciw mnie wciąż szedł Wilk. Słońce świeciło mu pod nogi. Był piękny. U jego ramienia wisiała Magda. Próbowałam wygonić ją z mojego obrazu, ale się nie dała.

– Za głupia jest – pokrzepiłam się przepowiednią Lalki i zasypiając nie dbałam już o Magdę wciąż uczeponą Wilka. Ale Lalka okazała się prorokiem do niczego i pierwsza przyniosła nowinę, od której aż mnie zabolęło w dołku.

– Za trzy miesiące Wilk żeni się z Magdą. Tylko Magda skończy szesnaście. Jura dała już pozwolenie na ślub i warunkowe wypuszczenie z puszki z powodu powstania szansy na całkowitą reedukację – dukała Lalka, jakby czytała z gazety. – Czemu nic nie mówisz?

– On ma u Jury dobrą markę?!

– Jego stary jest taki, co go w tę i z powrotem do urzędu wożą.
– Ważny czy nie, a rodzzonego syna od kicia nie wybronił?
– Zawsze ratował, a ostatnim razem nie. Wkurzył się i ręce pod tyłek założył, niech potomek prawdziwe życie pozna, niech mu klawiatura ze szpaną dadzą w kość, może rozumu nabierze.

– Nabrał?

– Od wyjścia z pudełka bez obciachu. Kierowcą wyścigowym został i jeździ jak szatan. Nawet tutaj, na widzenia z Magdą podtacza się rajdowym wózkiem.

– Nam po wyjściu z kibla nikt nie da nawet hulajnogi.

– I albo nigdy więcej nie wpaść, albo dobrze wyjść za męż. Magdzie, tej się udało! Głupi zawsze ma szczęście – pomarkotniała Lalka.

Nawet nie chciało mi się wypominać jej fałszywego proroctwa, taka byłam zmartwiona.

– Jest jeden gość na wolności, Ursyn, wiesz coś o nim? – ożywiła się Lalka.

– Odpier się – nie miałam cierpliwości słuchać o jakimś nieznanym facecie, który nie mnie nie obchodził.

– Podobno Ursyn załatwił wykierowanie Wilka na sportowca.

– Nie martw się, ciebie nie wykieruje, twojego starego do roboty nie wożą i nie trzęsą się, żeby mu szklanka w dupie nie pękła.

– Dlaczego nie? Bodaj za tresowaną fokę robić, piłkę na nosie kręcić, niż służyć za opowiadacza tym tępym fladrom. Boże, jak mi nadojadło. Kuna, zapytaj Wilka, kto mu załatwił, co ci szkodzi?

– Sama się zapytaj!

– A wiesz, szykuje się balanga, jakiej świat nie widział, tutaj wesele wyprawiają! Klawiatura się zgodziła. Pewniej sami pobalują i jeszcze się pochwalą, jak naprawili Magdę i jakie to wychowawcze dla reszty. Zaproszą wszystkie dziewczyny. Kurrrdesz! Nie mam co na siebie włożyć.

W niedzielę zobaczyłam Nonnę. Aż się popłakałam z radości. W mgnieniu stopniały moje urazy i podejrzenia o interesowność. Powstały z żalu i lęku przed utratą jedynej przyjaźni. Zresztą strach pozostał, tlił się zagrzebany pod codziennością.

Nonna wyglądała jak artystka z filmu. Na całej świetlicy nie znalazł się nikt podobnie zadbany i atrakcyjny. Nie, do nikogo tutaj nie przychodził taki ktoś jak Nonna. Sposobem bycia, zachowaniem i gabarytami paczki, pudła wypchanego smakołykami, przypominała małżonki czasami nawiedzające czwarty Dom. Pękałam z dumy. W środku miałam światło.

Ze szczęścia, jak zawsze, zrobiłam się sztywna. Nonna inaczej przyjęła moją powściągliwość.

– Jeszcze się na mnie boczysz?

– Nie, Nonna! Łyso mi za tamto.

– Słuchaj, Kuna, wolałam nie ryzykować zakupu w peweksie, ale wyjściowe ubranie ci przyniosłam. Przerobiłam ze swojego, wygląda jak nowe.

Sukienka bardzo mi się podobała. Zadawałam w niej szyku w pierwszej i drugiej puszcze, aż się zupełnie złachmaniła.

– Jak sobie radzicie beze mnie? – gnębiła mnie nostalgia i rozczarowanie. Na wolności wszystko działo się bez mojego udziału i nikomu tam nie było brak mnie. Czułam dotkliwie, jak znowu życie mnie omija.

– Dobrze.

– Macie już nową Kunę? – żarła mnie zazdrość.

– Nie.

– Kiedy mnie wypuszczą, będę za duża na Kunę.

– Nie martw się. Wymyślimy coś innego. Nie na darmo uczyli cię Dziadek i Dama.

Od tamtej pory bardzo długo nie widziałam Nonny. Nie pokazała się ani w tej, ani w drugiej puszcze. Nie napisała ani słowa.

W całym zakładzie nie mówiono o niczym innym tylko o weselu.

Do Magdy wszyscy odnosili się dobrze i nawet zazdroszczono jej nieszkodliwie. Magda miała dość rozumu, żeby się nie przechwalać i nie wynosić ponad resztę, bo wydarzenie było wyjątkowe, jak główna wygrana na loterii. Wszystkie zostały zaproszone. Na prawdziwe wesele!

W naszej sypialni nie znalazła się ani jedna, która byłaby w swoim życiu pożądanym gościem na jakimkolwiek uroczystym przyjęciu. A tu zapraszają na piśmie, każdą imiennie. Poczta z wolności nadesłano drukowane kartony, istne laurki ze złożonymi brzegami. Dziewczyny pochowały na pamiątkę i miały łzy w oczach, a niektóre popłakały się ze szczęścia.

Mnie było ciężko.

Sama przeciwko wszystkim. Zamykałam oczy, nateżałam wolę i życzyłam Magdzie parchów, świerzbu, szpetoty, ciężkiej kiły i nagłej śmierci. Wilkowi obrażeń lżejszych, jednak z bardzo długim przebiegiem leczenia.

Dziewczyny, zajęte przygotowaniem, szmatami, radością oczekiwania, nie zauważyły, co się ze mną dzieje. Bliżej daty wesela moje pragnienia poskromniały. Chciałam już tylko uniknąć wzięcia udziału w uroczystości, ale nie pójść to jakby palcem na siebie

wskazać: Kuna zachorowała z zawiści albo, co gorsze, z zawiedzionej miłości. Pójść – to pić truciznę. Jedyne honorowe wyjście prowadziło przez izbę chorych z jakąś nie podlegającą posądzeniu o symulację dolegliwością.

Przygotowania zintegrowały pensjonariuszki i klawisznice. Nastąpił totalny rozejm. Dziewczyny chodziły jak po sznurku, żeby się nie narazić, nie zaszkodzić, nie podpaść.

– Uprzedzam, z izolatki nikt nie otrzyma przepustki – lojalnie zapowiedziała naczelnica na godzinie wychowawczej, poświęconej weselu.

Dziewczyny marzyły o kupnie nowych rzeczy. Dyrekcja okazała zrozumienie. Wydano zezwolenie na podjęcie pewnych sum z pieniędzy zarobionych przez poszczególne podopieczne na szmaciane potrzeby. Nawet najbardziej opieszale, bo leniwe byłyśmy wszystkie, wzięły się do roboty. Najostatniejsze wałkonie, takie, co, zdawałoby się, już nic ich nie ruszy, nabrały biglu i serio ryły się na pegeerowskim polu obliczając, ile zdążą jeszcze nastukać.

Psycholożka przyniosła zurnal. Od wicenaczelnicy przywieziono wysokie lustro. Kadra dokładała starań. Nastąpiło jakby święto pojednania dzięki radosnemu babskiemu wydarzeniu.

Znienawidzona przez dziewczyny szwalnia stała się miejscem atrakcyjnym, a krojczyni osobą najważniejszą i rządziła, jak chciała. Kiedy zaczynały szczekać krawieckie nożyce i zabierano się do krojenia, przymierzania i przerabiania szmat, dziewczyny anieliły.

Nienaturalny spokój trwał jak kozuch jedwabistych mchów na powierzchni trzęsawiska. Jeden nieostrożny krok i rozstępują się kępy ukazując istotę rzeczy.

Zamącił kabel.

W naszym krzywym odbiciu świata zza murów wszystkie społeczne paskudztwa przeglądały się jak w zwierciadle. Tam rozgęszczone i zamaskowane, w naszym mikroświecie roily się niczym robactwo. Kwitło donosicielstwo.

Ktoś poinformował wychowawczynię Iлонę, jak ją przezywamy, i z tego powodu na godzinach wychowawczych zamiast o gałganach i sałatach mówiono o szacunku.

– Urodziłyście się w wolnej, ludowej, demokratycznej ojczyźnie. O esesmanach macie tyle pojęcia, co z telewizji. Jesteście niebywale wrażliwe, gdy was obrażają, ale same bez skrupułów poniżacie godność waszej opiekunki, która daje wam z siebie wszystko, co ma najlepszego – kapąło z naczelnicy.

Dalej przestałam przyswajać. Odbierałam w postaci dźwięków, pod które można podkładać dowolne obrazy. Padającego deszczu, niesionych wiatrem liści, osypujących się igieł ze świątecznej choinki.

Zaczynał się czas, gdy godność z różnymi przydawkami: narodowa, osobista, jednostki, grupy była koniem wystawianym w biegu do każdej mety.

Nie oparł się fasonowi i nasz zakład. Jednak kadra, odporna na wszelkie nowinki, jeśli coś adaptowała, to raczej nazwę niż treść, toteż słowa zużywały się tu szybko i tylko szeleściły niczym wyłuskane grochowiny, a nasza administracja wciąż dosiadała obłaskawionej szkapy i jeździła jak na łysej kobyle. Nie miano tu słuchu na zdarte wyrazy, nie miano tu słuchu na wychowawczynię Ilonę.

Milczkiem znosiłyśmy zabiegi pedagogiczne i milczkiem tropiłyśmy kablę. Należało go odkryć i zniszczyć. Wzorem tamtego świata karałyśmy szkodzące nam, a więc zepsute jednostki.

Typowałam Nóżkę, Króliczka i dwie z gemajnow. Stukiem okazała się Merlin, której u początków swojego władztwa podarowałam to piękne imię zamiast hańbiącego Nocnik. Namierzyła ją Nóżka, aby oczyścić się z podejrzeń.

Wieczorem w sypialni kazałam dziewczynom wyciągnąć Merlin na jedyne wolne miejsce koło zlewu, widoczne ze wszystkich prycz.

– Jeśli krzykniesz, złamię ci nos – trzymałam w ręku sabot i byłam gotowa spełnić groźbę.

– Spróbuj mnie tknąć, Ilona ci nie daruje! – wyszczerzyła się Merlin. Wyglądała jak zagłodzona mysz, która się wściekła.

– Ale przedtem wyjmę ci oczy.

– A ona ciebie zabije! – dygotała Merlin ze strachu, z nienawiści i uniesienia nad potęgą protektorki.

Bity i kopany kundel, naszeptujący donosy, ze zwyrodniałej tęsknoty za przyjaźnią i miłością, kupujący sobie złudzenie oparcia w drugim człowieku. Nie stanowiła wyjątku. Ale wówczas nie byłam zdolna do takich refleksji.

– Jeżeli mnie ruszysz, ucho od szaflika zobaczycie, nie wesele. Co do jednej zamkną was jak wściekłe suki! – rzuciła swój najcięższy atut.

Ręka mi opadła. Nie mogłam ryzykować. Ilza Koch była zdolna wyłączyć z uroczystości całą sypialnię. Wtedy wszystkie dziewczyny skoczyłyby mi do gardła.

– Połamię ci kości po weselu. Masz to u mnie jak w pekao – obiecałam.

– Ty, Kuna, uważaj! Jak się poskarżę, zobaczysz! – natychmiast pokazała zęby Merlin. Nie miała nawet na tyle rozumu, żeby zamilczeć.

Uwierzyła w swoją nietykalność.

– Powieś się!

– Powieś się, powieś się, powieś się – zaszemrały dziewczyny.

Merlin została usunięta poza nawias. Przestała istnieć. Ktoś, kto ośmieliłby się do niej odezwać czy w inny sposób zauważyć jej obecność, narażał się na różne przykre ostrzeżenia, a jeśli trwał w uporze, na strącenie w taki sam niebyt. Nie znalazł się nikt. Kabli nienawidzono, a w przypadku Merlin wściekłość panowała tym większa, że nie można było gnoja tknąć.

– Wszystkie was załatwię! – wieczorami, w pustkę przepelnionej sypialni, miotała groźby Merlin z niepokojem, z jękiem, z rozpaczą.

Dziewczyny rozmawiały, klóciły się, częstowały, Lalka opowiadała widziane filmy, a Merlin nie było.

Nie można żyć poza społecznością tkwiąc w tej społeczności, nawet jeżeli miało się w niej najniższe miejsce w hierarchii. Już lepiej dostać po karku czy po zębach, gdyż istnieje coś straszniejszego niż bicie. Izolacja. Odtrącenie przez grupę, kiedy na całym bożym świecie nie ma się nikogo. To najgorsze z najgorszych. Na dłuższą metę bojkotu nikt nie wytrzymał.

Merlin opierała się długo. Załamała dopiero w drugim zakładzie, dokąd ją przeniesiono i dokąd powlokło się za nią piętno kabla. Tam, znowu zepchnięta w niebyt, powiesiła się w ustępie.

Na godzinach wychowawczych nie mówiło się o humanitaryzmie wobec stuków, oficjalnie nikt się do nich nie przyznawał, nie istnieli. Męczył i przygnębiał ten pozorny spokój.

I niespodzianka.

Odwiedził mnie Dziadek. Był stary i miał uraz do kiciów, nawet takich dla małolatów. Przemógł się, dla mnie. Niedzielnym popołudniem zawołano mnie do świetlicy, gdzie czekał. Z siwymi wąsami, białą głową, w staromodnym czarnym ubraniu, wsparty na lasce ze srebrną gałką w kształcie psiego łba, wyglądał historycznie i dostojnie.

– Przyniosłem ci makowiec od Bliklego. Nie jest już taki jak przed wojną, ale nadal najlepszy w środkowej Europie. Blikle nawet w gazecie drukował przeprosiny za obniżenie smakowitości swoich wypieków z powodu narodowego mortusu – podsunął mi pudełko w firmowej bibułce.

Wtedy nie mogłam ocenić daru. Pierwszy raz w życiu usłyszałam o najświetniejszym cukierniku Warszawy, dokąd Dziadek wybrał się specjalnie spod Konstancina. Następnego dnia wsiadł w autobus. Do naszej miejscowości telepał się pekaesem.

– Dlaczego nie przywiodła cię Nonna!

– Znowu nie ma głowy ani do starych, ani do dzieci. Żyje.

– Powiedz, Dziadku, tylko prawdę. Ona z tego samego powodu zapomniała o mnie, gdy byłam w czwartym Domu?

– Nie. Łamała się, czy ma ciebie wziąć na stałe.

– Potrzebowaliście zwinnego dziecka, tak?

– Nie z wyrachowania ciebie braliśmy, ale jak się okazałaś zmyślna, przypuściliśmy do kompanii.

– Dlaczego właśnie ja?

– Jedna, co robiła za salową, powiedziała nam o tobie.

– Co mówiła?

– Szkodowała ciebie, że nikt nie chciał wziąć cię za swoją.

– Ty Nonnę wzięłaś za swoją?

– Nonny matka była moją córką. Umarła młodo. Sam hodowałem Nonnę.

– I też ułożyłaś ją na kunę?

– Też. Była najlepszą kuną w mieście. Nigdy nie wpadła.

– A jak wyrosła?

– Była najlepszym szczurem hotelowym.

– Co robi szczur hotelowy?

– Obrabia gości. Nonna miała wzięcie i prezencję panienki z najlepszego domu i opanowane zamki. Moja szkoła! No to strzygła jak mechaniczna kosiarka, ale skończyły się apartamenty.

– Dlaczego?

– Tylko w luksusowych zatrzymują się ludzie posiadający coś znacznego, a ile takich karawanserajów u nas? Po parę w kilku miastach, po jednym albo wcale. Więc na ile starczy dla łebskiego szczura, he? Powiem ci. Na krótko! A za często się powtarzać nie należy, opatrz się.

– Można zmienić wygląd – pamiętałam, jak Nonna wychodząc na różne tajemnicze spotkania za każdym razem robiła się nie do poznania.

– Można, mądralo, ale przebieranka też ma granice. Nonna szczęśliwie zakończyła szczurowanie, zanim stało się dla niej niezdrowe.

– Nonna zna wszystkie hotele?!

– Wszystkie lepsze.

– Moja pielucha z serwety była z eleganckiego.

– Z Bristolu. Tak, to pierwsza klasa. Niestety, teraz się rozsypuje, a kasa miejska nie ma na niego pieniędzy. Mortus.

– Dziadku, już nie jestem u was i Jura się nie przyczepi. Poproś Adama, niech zapyta w operze o kobietę z mojego medalionu. Muszę wiedzieć, jak się ona nazywa.

– Hm, jak musisz, to musisz. Dobrze, sam się tym zajmę.

Czekałyśmy na podwójną zemstę Ilzy i atmosfera, zawsze w jakiś sposób napięta, zrobiła się gęsta jak zbożowe fusy. Ona wiedziała, że czekamy, i zwłóczyła. Ją rajcowały nasze nerwy i nasz strach. Musiała mieć jeszcze i to, jakby jej było mało władzy, jaką nad nami dzierżyła.

Podpadłam pierwsza.

Zaczęło się i skończyło na jadalni, w prostokątnej izbie przerobionej z baraku, której melancholijnego ducha nie zmieniały ani napastowane, czyściutkie dechy podłogi, dzień w dzień pucowane przez dyżurne, ani obrazki na ścianach, ani firanki w oknach. Jadłyśmy śniadanie.

– Pośpieszcie się, nie jesteście na wczasach, panienki!

– Tylko w pierdłu, i bardzo się tu dba, abyśmy o tym zawsze pamiętały – wykipiało ze mnie, chociaż wiedziałam, że robię głupstwo.

– Masz żółty znaczek. Kuna! – moja ksywa zabrzmiała w jej interpretacji jak obelga, podobnie jak panienki w poprzedniej odzywce. Już ona umiała dopiec.

Zapozyczyła zwyczaj z boiska piłki nożnej, tylko zamiast wręczania kartek, ogłaszała haki i u niej było ich więcej. Kolory oznaczały to samo. Żółty sąsiedował z czerwonym, który podsumowywał poprzednie, biały niebieski, i wtrącał do izolatki. Proste.

Później, już na grzędzie, gdzie plewiłyśmy zielsko z zapuszczonej marchwi, że tylko sięść i płakać, najpierw wisiała nade mną jak zły los, a zanim poszła podreźczyć inną grupę, rzuciła jak przekleństwo.

– Ruszać się, darmozjady!

Z perspektywy czasu myślę, że być może sens owego powiedzenia stał się już dla niej od częstego użycia, a sam okrzyk znaczył tyle co jakieś „hej” albo „hunga, hunga”. W każdym razie nigdy nie zauważyłam, aby liczyła się w najmniejszym stopniu z naszym poczuciem godności. Ona nic takiego w nas nie dostrzegała, więc oczywiście nic takiego nie posiadałyśmy.

Wtedy, na tym zachwaszczonym polu, do darmozjadów dodała jeszcze społeczeństwo, które jest uboższe o te nasze nikomu niepotrzebne gęby, przejadające jakąś tam wcale niemałą część dorobku, co czyni poważne saldo, jeśli zliczyć wszystkie garujące pasożyty.

– Pier, pier, pier – zaczęłam podśpiewywać do własnej brody, mocując się z wybujałym perzem.

Wiedziałałam, czym ją rozzłościć.

Nienawidziłam jej, społeczeństwa i jego łaskawego chleba, wymawianego mi przy byle okazji. Nienawidziłam za przesyłanie mnie jak paczki z jednej do drugiej przechowalni niechcianych dzieci, bo byłam trudnym małym, którego nikt nie chciał i splawiał byle dalej od siebie.

A ta znowu wypominała mi grochówkę i odświętny plasterek salcesonu w tym swoim żargonie z pierwszych stron gazet, jakby odbębniała kolejną prasówkę.

– Pier, pier, pier – podśpiewywałam coraz głośniej z całym naciskiem tępionego wulgaryzmu, a ona, chociaż rozumiała, nie mogła udowodnić, że nie jest to refren piosenki z imieniem Piotr po francusku, co nas niezmiennie cieszyło, a ją przyprawiało o wściekłość.

– Zamknij się, darmozjadzie!

We mnie wzbierała potęga, urosła w wielkie, mocne drzewo z korzeniami głęboko w ziemi i konarami sięgającymi nieba. Skąd Ilza mogła wiedzieć, że właśnie w mojej koronie nieustraszenie zagrzmiał wiatr.

– A pani jaki ma tytuł, żeby w imieniu społeczeństwa wypominać każdą łyżkę zupy? Co pani takiego pożytecznego wytwarza, czym zasila dochód narodu, gdzie jest ten produkt? Pani też jest darmozjad! Społeczeństwo panią opłaca, żeby tu wisiała nad nami z korbaczem.

Nie nosiła przy sobie widocznych oznak przymusu, owszem, gaz obezwładniający, ale ukryty w kieszeni pod ręką. Korbacz stanowił świeże, niedawno zasłyszane słowo w telewizyjnym serialu o niewolnikach.

Baty brało się w separacie. O tym się nie mówiło. Dyrekcja zdawała się być nieświadoma owego zwyczaju. Nikt się nie skarżył. Nic nie chroniło przed odwetem. Podszewka urzędowego humanizmu, który w naszym zakładzie funkcjonował pod postacią odświętnego gładzenia, faszerowanego terminami kończącymi się na logia.

– Dość, marsz do samochodu – Ilza gestem wezwała stażystę.

Wylegiwał się w cieniu dzikiej gruszy w pobliżu okratowanej nyski, zresztą nigdy bez potrzeby nie wlaźł w oczy. Nie płacono mu za naszą powszednią tresurę.

– Ilza Koch, esesmanka! – ugodziłam ją wprost z huraganu szalejącego w mojej koronie.

A co mi tam, i tak i tak izolotka. Dzień krócej, dwa dni dłużej, nie ma znaczenia, kiedy w człowieku wyrosło już mocne drzewo i powstał cyklon, niczego się nie boi. Dopiero później, gdy po tej sile pozostanie puste miejsce, znów będę żyła w strachu i z rozpaczą czekała, aż zdechnie kolejny dzień odosobnienia. Tam każda godzina jest sprzymierzeńcem naszych dozorców, żyje nieskończenie długo, żeby torturować samotnością, nudą, ciasnotą

pomieszczenia i monotonią ciężką jak choroba.

Czas dzielący od obiadu przeleżałam na siedzeniu furgonetki wsłuchana w moją wspaniałą burzę, której natężenie jakby się ustaliło, a ja czułam się jak po wódce.

Nie tylko ja.

Nadciągała wysoka fala, stanowiłam jedną z jej kropel. Nikt z nikim się nie zmawiał, jak nam później zarzucano. Była żywiołem, energią, która wybuchła jednocześnie, poddana temu samemu ciśnieniu w identycznych warunkach.

Strach, niepewność, oczekiwanie represji, syndrom murów i to, że nikt nas nie kochał, nikomu nie byliśmy potrzebne, i nasza niedobra inność, i wiosna skumulowały się w siłę, a Ilza ją zdetonowała.

Szajba odbiła na jadalni.

Ilza znów powiedziała do nas panienki – tak jak to ona potrafiła, a czego nienawidziłyśmy i ona o tym wiedziała. Uczyniła to świadomie, żeby nas rozwścieczyć przed generalnym daniem w kość. Była zbyt pewna siebie, zadufana w swoją moc i strach, jaki budziła, i umiejętność trzymania za mordę, co nazywała dyscypliną, no i jeszcze nigdy nie widziała zbiorowego amoku, więc myślała, że nie istnieje, a już z pewnością nie może się przydarzyć na jej dyżurze.

Zbyt gruboskórna i prymitywna nie dostrzegła w porę symptomów, bo tu, na jadalni, byliśmy już na najwyższych obrotach i wybuch musiał nastąpić. Wszystko teraz mogło posłużyć za pretekst, mogło też nie być pretekstu, ale ona go dała, gdyż zwróciła się do nas:

– Panienki!

– Mój stan cywilny panna, faktyczny kurwa. Frajdę z dziewictwa zostawiam pani! – zadzwieczała Lalka, ta układna, przezorna dziewczyna całe swoje życie tutaj podporządkowująca przeczekaniu i chronieniu urody, którą mogła jej równie dobrze nadwerżyć w izolatce Ilza Koch.

Nie wiadomo, skąd powszechnie wiedziano, że Ilza jest starą panną. Dla nas było oczywiste, że żaden chłop nie poleciałby na taką jędzę. O jej życiu nie wiedzieliśmy nic więcej. Ale nasza zła dozorczyni nie była wcale brzydka, tylko dla nas odrażająca. Bo miała nad nami władzę, której źle używała.

Na chwilę zapadła cisza, jakby nasz zbiorowy Organizm nabierał oddechu.

– Wyjdz. Obiad zjesz sama – rozkazała Ilza Lalce tym swoim zimnym głosem, nie podnosząc go nawet o ton.

Lalka nie poruszyła się. Patrzyła na Ilzę, jakby jej nie było.

Zdarłam z nogi sabot i walnęłam nim o stół. W sekundę cała jadalnia w rytm uderzała

drewniakami o krawędź dechy na krzyżakach i zaraz wybuchło:

– Il-za Koch. Il-za Koch. Il-za Koch! – dziewczyny lawą ruszyły na wychowawczynię, porywając, co której wpadło w rękę. Ona już nie mogła nad nami zapanować, stałyśmy się groźne, musiała uciekać. I ona to zrozumiała. Bluznęła gazem z pojemnika pod ciśnieniem, dała nura w drzwi i na zewnątrz założyła antabę.

Ogarnęło nas szaleństwo. Jadalnię rozniosłyśmy w drzazgi. Tak dział się bunt!

Poskromiono nas strumieniami wody z hydrantów skierowanych przez wybite szyby. Wyciszone i apatyczne, izolowano w sypialni i nie wypuszczano nawet na posiłki.

– Żadna nie weźmie udziału w weselu – powiedziała naczelnica. – Nawet przez trzy miesiące nie potrafiłyście zachować spokoju, nawet na tyle zabrakło wam wytrwałości.

Przeszło bez wrażenia. Przeżyta szajba odebrała znaczenie i smak rzeczom, odrealniła jakąś tam przyszłość. Nic nie było ważne, nic naprawdę się nie liczyło, przedstawienie z sądem i karą wypadło blado.-

Za prowodyrów uznano mnie. Lalkę i Nóżkę.

Nóżka niczym nie wyróżniła się podczas rozróby. Dołączono ją do nas za namierzenie kabla, praprzyczynę wszystkiego. Ale Ilzy Koch więcej nikt nie zobaczył w żadnym domu poprawczym.

Po odbyciu przepisanych dni odosobnienia wprost z izolatki odstawiono mnie pod konwojem do innego zakładu. Nie trafił tu nikt więcej z naszej zbuntowanej sypialni, ale moja sława przyszła za mną w ślad i bez bójki otrzymałam należne miejsce w hierarchii. Byłam kimś i w każdej puszcze należeć będę do palatynów.

Tu także panował ścisk w budynkach starych i zużytych i blisko leżał pegeer. Lecz pomimo umowy o pracę i produkty do kuchni, przez pierwsze dni mojego pobytu nie wychodziłyśmy w pole.

– Dzisiaj szwalnia – oznajmiała wychowawczyni, ani zająknąwszy się, dlaczego w słoneczny, wiosenny dzień nie potrzebują nas w gospodarstwie.

I tak wiedziałyśmy.

Jak kraj długi i szeroki burzyli się ludzie. Zaczęły się strajki, w urzędowej nomenklaturze z początku wstydliwie nazywane przerwami w pracy. Lokalnie gaszono je deszczem pieniędzy, ale czym prędzej musiano śpieszyć gdzie indziej, bo szerzyły się jak pożar, jakby gorejącą żagiew przierzucano od fabryki do fabryki.

– Dzisiaj szwalnia!

W pegeerze blisko naszej puszk robotnicy chcieli wyrzucić dyrektora, on się nie dawał, podpierały go miejscowe władze, ludzie wiecowali i dlatego trzymano nas w ścisłym

zamknięciu.

Mogli sobie nosy odgryzać, oczy wyjmować, mogli się pozabijać, nic nas nie obchodzili, żal nam było tylko zielonych przestrzeni bez krat i parkanów, do których nie miałyśmy dostępu.

Nie na długo.

Kiedy zielsko znowu zaczęło głuszyć fasolę, zagrażać wiotkiej marchwianej naci i wypierać sałatę, stały się potrzebne nawet nasze niepewne, leniwe ręce i znowu furgonetka powiozła nas na zagon, i znowu zaznałyśmy złudnego wrażenia wolności.

A jednak tu działa się inaczej.

Wychowawczynie mówiły o nas oficjalnie i na co dzień nasze dziewczyny i nawet gdy się złościły, nie zwracały się do podopiecznych per szmata, darmozjad, flądra czy dziwka.

Z tego zakładu, poszukując narybku do eksperymentu: reedukacja poprzez wychowanie fizyczne, wydłubał mnie Ursyn, trener klubu sportowego Sterna.

7

Minął miesiąc bez żadnej wiadomości.

Zrezygnowali ze mnie. Grzyb im w ślip, skreśliłam nie otworzony nawet jeszcze rozdział, trochę tylko zawiedziona i zła. Znowu jacyś ulepszacze biednych dzieci położyli lachę na kolejny eksperyment. Zabrakło albo pieniędzy, albo zgody czynników, albo chęci i rozeszło się po kościach.

Niech tam.

Niedługo znów nadejdzie wiosna. Zapowiadały ją prace w gospodarstwie, chociaż na polach leżała jeszcze biel. Zakładowa furgonetka podwoziła nas do pofolwarcznej drogi, w którą teraz, w marcowe roztopy, oprócz traktora i konnego zaprzęgu, nie odważył się zapuścić żaden pojazd. Dalej pieszo brnęłyśmy przez wyboje wypełnione breją ocukrzoną z wierzchu świeżo spadłą lodową krupą, towarzyszył nam szpaler czarnych drzew wycieniowanych okiścią.

Już tutaj wilgotny wiatr przynosił cuch otwartych kopców z kartoflami. Niechlujne przechowanie przemieniło ubiegłoroczny plon w śmierdzącą pulpę, z której teraz wybierałyśmy zdatne do użytku bulwy.

– Nie jestem pewna, czy nasze dziewczyny powinny to robić – wątpiła

wychowawczyni.

Jej rozterki usłyszałam przypadkiem. Rozmawiały z psycholożką. Nie myślała o uciążliwości zajęcia. Gniewała ją amoralność sytuacji. Praca miała nas wychowywać, integrować, zbliżać do społeczeństwa, przysposabiać do normalnego życia, rozniecać radość działania. A jak mogło wychowywać wydobywanie pojedynczych ziemniaków z gnoju, w jaki zamieniono nasz jesienny trud przy zbiorach i same zbiory.

Tego dnia zgłosił się po mnie klub.

– Przygotuj się, Kuna, jutro jedziemy – zawiadomiono mnie nazajutrz przy śniadaniu i już nie poszłam do pracy. Wychodzące z jadalni dziewczyny patrzyły na mnie z zawiścią.

– Klub sportowy Sterna – powtarzałam sobie szeptem. Prawdziwa nazwa, nie jakiś tam dom dziecka czy poprawczy.

Odszorowana, jeszcze z wilgotnymi włosami zeszłam do magazynu, gdzie czekała paczka z moim ubraniem z wolności. Ten sam dres, w jakim poszłam na ostatni skok.

– Założ, czyś nie wyrosła – zatroszczyła się Magazynierka.

Rozwinęłam z pakowego papieru złożone w kostkę odzienie, którego nie miałam na sobie od kilkunastu miesięcy. Było uprane, śmierdziało środkami dezynfekcyjnymi i tak samo złachmanione jak w dniu, gdy je ze mnie zdjęto.

– Szmaty – oceniła Magazynierka.

– Trampki cisną – zawiadomiłam.

Magazynierka wydzwoniła wychowawczynię.

– Wygląda jak dziadówka – sprezentowała mnie. – Przecież nie można jej tak wysłać.

– Nie można – zgodziła się wychowawczyni, i zamówiły się do naczelnicy, mnie pozostawiając w sekretariacie, żeby w każdej chwili móc łachmaniarę pokazać.

Za drzwiami zawrzała narada, z jakiej przegródki budżetu wziąć pieniądze, a zwłaszcza, jak je zaksięgować, bo mój przypadek nie został przewidziany i nie mieścił się w żadnym paragrafie. Nie szłam na wolność, co by uzasadniało wydanie wyprawki i zarobionych pieniędzy, a jednak szłam.

Wreszcie po burzy mózgów, do której zaproszono jeszcze parę osób, znaleziono na moje ciuchy jakiś przepis finansowy i zaraz magazynierka zabrała mnie do miasta nie zakratowaną suką, tylko służbowym fiatem naczelnicy.

– Ubierzemy cię przyzwoicie i niech ci się wiedzie, a ty staraj się, dziewczyno, trafiłaś rzadką szansę! – Magazynierka cierpliwie szukała odpowiednich rzeczy, aż znalazła spodnie i kurtkę z justu podbitą misiem, mieszczące się w dozwolonej kwocie. Dostałam także bieliznę, bluzkę i granatowy sweter z anilany. W stoisku z obuwem w domu towarowym stały na

półce białe śniegowce. Pożerałam jej oczyma.

– Podobają ci się?

– Mhy. Nigdy takich nic miałam.

Odkąd sięgałam pamięcią, nie nabywano nic dla mnie, Pelki czy Kuny, nawet u Nonny. Codzienne chodaki, a nawet odświętne lakierki Nonna kupiła okazjnie od potokarzy okradających transporty kolejowe, a odzienie, w tym również najlepszą, modnie przydługą sukienkę, którą zakładałam tylko w niedzielę do kościoła, przerobiła ze swoich podniszczonych strojów.

Ani razu nie widziałam, jak za coś, od samego początku pomyślane jako rzecz dla mnie, płacono pieniądze. Jeszcze nigdy niczego nie mierzyłam w sklepie. Ubranie, nawet nie noszone, zawsze wydawano z magazynu, a ja je otrzymywałam, najczęściej jednak pobierałam.

– Dziewczyny, proszę pobrać... – wołała nas magazynierka w takim czy innym Domu.

Białe kalosze z mego pierwszego w życiu sklepu pochodziły z importu. Magazynierka nie miała prawa ich kupić, jeśli w sprzedaży były krajowe. A były, czarne z wysokimi cholewkami. Odwróciłam się, żeby nie widzieć tamtych, nieosiągalnych.

– Przymierz – trąciła mnie w ramię Magazynierka. Spojrzałam. Trzymała w ręku białe.

Pasowały, jeszcze jak pasowały. A ona wzięła rachunek za zwyczajne gumki i z własnej kieszeni dopłaciła różnicę.

Rzuciłam jej się na szyję.

– Niech ci dobrze służą... A teraz wszystko porządnie zapakujemy.

Miałam na sobie całą wyprawkę i tylko węzełek z bielizną w ręku. Z jakąż niechęcią ścigałam te wspaniałości.

– Niech cię dziewczyny w świeżym nie widzą. Po co robić im przykrość.

Pewno! Byłyby wściekle i chore z zawiści. Szpanowanie przed skrecającymi się z zazdrości koleżankami stanowiło niepośledni element radochy. Magazynierka odebrała mi kawał szczęścia z posiadania nowych rzeczy.

Do ośrodka Stery, położonego niedaleko Warszawy, konwojowała mnie psycholożka. Oczywiście, tak tego nie nazywano, ale na jedno wychodziło. Przywiozła mnie na miejsce, wprowadziła do parterowego pawilonu, pozostawiła w hallu, pomieszczeniu szalowanym drewnem, z kominkiem z piaskowca, z ręcznie malowaną ceramiką i obitymi skórą fotelami. Sama weszła do kancelarii z napisem: Zarząd Ośrodka.

Niczego to nie zmieniało i tak wiedziałam, że zwali moją teczkę personalną na jakieś kolejne, sądząc po wnętrzu, eleganckie biurko, teczkę ciężką wagą gatunku, i zażąda za mnie

pokwitowania, bo zawsze kwitowano mnie jak paczkę, na co już dawno przestałam być wrażliwa, tak że nie musiała się przede mną kryć. Lecz zanim weźmie pisemne potwierdzenie odbioru, spychając mnie wraz z moimi aktami na łeb klubu, zasunie pewno coś w tym sensie:

– Bardzo trudna dziewczyna, wycwaniona i naiwna, obarczona doświadczeniem, jakiego nigdy nie staje się udziałem większości ludzi dorosłych, a jednocześnie infantylna. Z zatartą granicą między dobrem i złem, podstępna i złośliwa, głęboko zdemoralizowana, a przecież dziecko. Dziecko z okaleczoną duszą. Dlatego nadmiernie pobudliwa, łatwo ulegająca wpływom i nastrojom, które manifestują się przesadnie – będzie międlila w tym stylu, jakby wszystkiego i jeszcze więcej nie można wyczytać z dokumentów.

Przestałam nasłuchiwać, co dzieje się za drzwiami, eleganckimi jak fornirowana szafa, i zaczęłam zbierać się w sobie do jeszcze jednej walki o ksywę, ale kolejne przeflancowanie nie zaczęło się tym razem od świętej wojny o moją przewagę.

Zza tego mebla z czarną, kutą klamką wraz z psycholożką wyszła tęga uśmiechnięta kobieta. Na szyi dyndał jej złoty łańcuch z wisiosem, na każdym palcu błyszczał pierścionek.

– Witaj, sikoreczko, na mnie wszyscy mówią Mama – dźwięcząc kluczami zagarnęła nas do pomieszczenia obok, gdzie stały stoliki, bufet z ekspressem do kawy i czekała kolacja.

Mama zaproponowała psycholożce nocleg, ale ona podziękowała. Więc zadzwoniła po taryfę do Osady. Dzielilo ją od Ośrodka Stery dziesięć kilometrów i była najbliższym położonym osiedlem ludzkim. Miała kościół, pocztę, nadleśnictwo, przystanek pekaesu i jedną taksówkę.

Szofer oczekiwał zleceń w jedynej knajpie pod tytułem Barkarola, lokalu kategorii trzeciej z telefonem. Jeśli miał akurat kurs, zamówienie przyjmowała bufetowa. System działał niezgorzej, tylko kierowca dorobił się uczulenia. Nie znosił widoku zaprawiających facetów, więc siadywał w kącie tyłem do sali i sam ze sobą grywał w szachy.

– Życzę ci szczęścia – powiedziała na pożegnanie psycholożką, a ja poczułam się szczęśliwa, gdy tylko znikła mi z oczu. Nie, żeby jej nienawidziła, ale obecność klawisza, choćby i dobrego, była przedłużeniem puszki, a puszka jest ostatnim miejscem do lubienia.

Poszłam za Mamą zwirową dróżką obsadzoną przyciętymi krzewami bukszpanu, tworzącymi niski żywopłot. W zapadającym zmierzchu zobaczyłam przeszkloną halę, mieszczącą korty tenisowe i krytą pływalnię z ogromnym, przez cały szczyt dachu wymalowanym na biało hasłem. Od strony ścieżki czytelny był tylko drugi człon sloganu dobrze mi znanego z frontonu pustych obór pegeeru.

„...a obywatelom żyło się dostatniej”.

– Jesteś pierwsza z oczekiwanej grupy. Wasz internat mieści się w bungalowie –

objaśniła Mama.

Budynek stał na leśnej działce, frontem zwrócony ku Rzece, patrzył ze skarpy na małą przystań i łachę plaży. Znajdował się w granicach ośrodka, ale odgradzony od niego dwumetrową siatką gęsto obrośniętą pnączami wistarii, taką samą, jaka otaczała cały rozległy teren urządzeń sportowych.

– O kurrrdesz – gwizdnęłam z zachwytu.

Dom był parterowy z tarasem i mansardami. Kamień, ceramiczna cegła, drewno i dachówka. Ale dopiero mnie zatkało, gdy uchyliły się drzwi, też meblowe, lecz jeszcze wspanialsze niż tamte, w pawilonie administracji. Miały dwa skrzydła składające się z wypukłych kwadratów ujętych w ramy.

– Kalosze zostaw na werandzie – rozporządziła Mama.

– Żeby kto zgrandził!

– Nie zgrandzi. A to jest hall – sprezentowała duże pomieszczenie bez okien, położone na osi domu. Przez drzwi składające się z pary kryształowych witryn, obramowanych czarną listwą, widać było salon. Na wprost – palenisko oprawione w gzymsy z czerwonego żyłkowanego kamienia.

Sprzęty na krzywych nogach, podobne widywałam w willach nadawanych przez Grażela, i podłogi jak sprzęty w esy floresy z różnych odcieni, od zupełnej czerni poprzez brązy, beże i złocistości, po barwę nadrzecznego piasku.

– O kurrrdesz, mam tu mieszkać?!

– Dla was przygotowano mansardę i adaptuje się hall na świetlicę. Reszta pomieszczeń na parterze zostanie zachowana na potrzeby klubu.

Na górę prowadziły schody, też meblowe, z wypolerowaną poręczą opartą na balaskach.

– Będziecie mieszkać po dwie – Mama wprowadziła mnie do pokoju na poddaszu.

Tylko dla mnie przeznaczono pół szafy z oddzielnym zamknięciem – utonął w niej mój chudy węzełek – tylko dla mnie prawdziwy tapczan z beżowobzową narzutą, wyściełany fotel oraz, pod czarno-białą reprodukcją na ścianie, którą z czasem udało mi się zidentyfikować jako corride, kopię grafiki Pabla Picassa, cały stół z regulowanym blatem i jednym bokiem składającym się z szuflad.

– O kurrrdesz!

– Aleś monotonna – ostentacyjnie ziewnęła Mama.

– Przepraszam. Wypło mi się.

– Rozumiem. Spij dobrze. Kuchnia, kąpielowy i klo są u szczytu korytarza.

Nie mogłam zasnąć. Zbyt silnym przeżyciem okazał się nagły przeskok z baraku do bungalowu, z piętrowej pryczy na jugosłowiański materac, spod szarego koca pod wielbłądzi pled. Zaczęłam się bać, że wszystko zaraz się skończy, okaże nieporozumieniem zawinionym przeze mnie, za co dostanę tak w kość, że się nie pozbieram.

Rano czar trwał.

Odszorowałam się, jakby mi kto kazał, chociaż nie było żywego ducha. Kurrrdesz! co za komforcisko. Nikt nie wisiał nad łbem, nie rozpychał nad poszczerbionym żeliwnym korytem, pod najczęściej zepsutymi prysznicami, nie brakło ciepłej wody i nie musiałam nosić jej z kotła.

Wanna, jak sadzawka, wpuszczona w podłogę, okno z mrożonego szkła wychodzące na taras, jedna ściana cała z lustra, a reszta z kafli w kolorze zdechłego rózu, a na tych kaflach jak żywe spacerowały sobie białe czaple pośród różanego zielska.

W kabinie natrysków porcelanowe brodziki dobrane kolorem, a przepierzenia w czaple i w czaple plastikowe zasłony. W wucecie to samo. A kible też różowe. Wszystkie krany, prysznice i inne wichajstry nieodgadnionego przeznaczenia lśniły żółto jak polerowana miedź albo złoto.

Kuchnia do połowy wyłożona kallami, białymi w granatowe wiatraki, okręty i wzburzone fale, od połowy w szalówce z brunatnych deszczulek. Podłoga z drobnego, granatowego klinkieru. W ścianach szafy z różnymi kuchennymi statkami, jednak większość półek pustych ze śladami po zabranych naczyniach.

W drugiej części pomieszczenia podłoga z lśniącego parkietu, stół na krzyżakach, a w winklu dwóch ścian ławy z oparciem, wyłożone poduchami obszitymi granatowym kretonem w białe okręty, wiatraki i wzburzone fale.

Spróbowałam drzwi prowadzących na schody. Ustąpiły. Zbiegłam do hallu. Wydzielone pomieszczenia parteru były zamknięte, ale dwuskrzydłowe wrota z filongami, prowadzące na dwór, otwarte.

Otwarte – załomotało serce. Od wielu miesięcy po raz pierwszy znajdowałam się sama i nic pod kluczem. Nie, ktoś zwariował albo ja dostałam szajby, albo zastawili pułapkę. No chyba! Jakże go tam... test. Coś takiego, co nam zadawały psycholożki w różnych Domach.

Test! Siedzą tam gdzieś i główkują, czy ten zwierzak, pokwitowany wczoraj, rąbnie coś i nawieje, czy umie patrzeć dalej swojego nosa, nie byle na dzień, na teraz.

Nie ma głupich. Odstawiłam swoje szpanowe kalosze i wycofałam się na górę. Już taki baran nie jestem, żeby zaraz wrócić na pryczę i do kopca z kartoflami. A poza tym, co tu jest do wzięcia, kafel ze ściany, klepka z podłogi, przecież nawet lepsze skorupy zabrano z

kuchni. I czym się stąd wydostać, jedyną taksówką, którą najpierw trzeba wydzwonić z Osady, i do kogo mam uciekać, kto mnie wygląda niecierpliwie, i kto by się ucieszył na mój widok?

Nonna? Nie pokazała się od czasu drugiego widzenia w pierwszej puszcze. Nie przysłała ani kartki. Wiedziałam, łatwiej jej przyjechać, niż sklecić kilka zdań. Chociaż tego nie widać po sposobie bycia i wysławiania, zwłaszcza gdy Nonnie zależy, jej ubogie słowo pisane jest tak samo pokraczne jak kulfony, jakimi je wyraża. Dlatego jak zarazy unika korespondencji.

I Dziadek nic dał znaku życia. Nie pisywał z zasady.

Od niego nie spodziewałam się listu, tylko jego samego lub wiadomości okazją. Ale nie doczekałam się ani znaku pamięci, ani obiecaniej informacji o Damie Kameliowej z mojego medalionu.

Nie miałam dokąd uciekać. Z pewnością nikt nie liczył dni do mojego powrotu. W puszcze wyrosłam ze złudzeń, które gnały mnie z czwartego Domu na poszukiwanie raz widzianej Nonny.

– Jest tam kto?!

– No chyba! – wyskoczyłam na podest, zadowolona z ludzkiej obecności, bo już robiło mi się nieswojo przez ten przedłużający się sprawdzian.

– Jak się masz, sierotko! – po schodach windował się stary człowiek z wypchaną sakwą przewieszoną przez ramię.

– Czy ja panu wytykam na przykład pański wiek! Nie jestem sierotka. Nazywam się Kuna.

– Nie złość się. Furaż przyniosłem – poszłam za nim do kuchni, wyjął z torby pieczywo, masło, ser, pojemniki z jajkami, mąkę, płatki, słoiki z dżemem.

– Nie jestem cielak. Starczy jedna – wskazałam butelki z mlekiem.

– Widzisz ją, na kielbasę nie mówiła, że za dużo. To jest prowiant na śniadanie i kolację dla całego stanu. Szesnaście sierotek, tego, dziewczuch. Jeszcze ich nie ma, ale tylko patrzeć, a ty swoją porcję sobie odetnij i uszykuj jedzenie. Mama pewno ci mówiła, że będziecie żywić się same, znaczy rano i wieczorem, a obiady w bufecie. Sprzątać też będziecie sami i wszystkie starania koło siebie mieć.

Próbowałam zgadnąć, kim jest w hierarchii ośrodka. Nosił spłowiałe, lecz czyste waciaki, gumowce na nogach i porządną futrzaną czapkę zsuniętą z czoła.

– Ale ci się trafiło! – sękatymi palcami równał na bibułce szczyptę tytoniu i popatrywał spod krzaczastych brwi.

– No chyba! Panie, a co tutaj przedtem było?

– Aleś ciekawa. Co było, to było, a teraz jest pomnik działaczy. No, dobra, jedź śniadanie, o dziewiątej masz się stawić w kancelarii.

Wyjaśnił funkcjonowanie elektrycznej płytki i piekarnika z samoczynną regulacją temperatury i pamięcią, zegarem wyłączającym prąd zgodnie z nastawioną godziną.

– To je import z Francji – powiedział o kuchence. – W całej budowie aby tylko piasek nasz, narewski z Gnojna wzięty, a tak wszystko ze świata. Kachle na ścianach z Holandji, a znowóż tamte z ptakami w ubikacjach italskie, zaś kurki z mosiądzu austriackiego.

– A wykładzina na dole, skąd?

– To nie wykładzina, tylko pawiment!

– Pawi co?!

– Pawiment, czyli artystyczna posadzka. To są podłogi z czternastu rodzajów dębu, przetykane brzoSTEM, bukiem, jesionem, czereśnią i gruszą. Obraz, nie parkiet. Za jeden taki można oborę pod eternitem wystawić.

– Skąd pan wie?

– Znam się na drzewie i na drewnie, i na ciesiołce, zwyczajnie, jak my tu wszyscy na Kurpiach. Robiłem przy tym, na moich oczach wszystko stawiano.

– A pan kim jest?

– Kurp. Cieśla, ziemię uprawiam, pszczoły hoduję, a tutaj boiska oporządzam.

Nie mogłam jeść i nie mogłam usiedzieć na miejscu. O wpół do dziewiątej byłam pod drzwiami zarządu.

Nie wchodzić nie wołana, nie włązić w oczy, mówić mało, nie zaszkodzi od rzeczy, najlepiej przytakiwać – to były elementarne wzorce opłacalnych zachowań we wszystkich Domach. Ale co z nich zastosować tutaj, w tym pomniku działaczy?

Z pewnością nie należy udawać szajbusa albo przygłupa, wręcz przeciwnie, dziecko potrafiące główkować i przytakiwać, na tym jeszcze nigdzie nie straciłam.

Zza mebla z klamką dobiegły głosy. Nadstawiłam ucha.

– ...dom poprawczy... społeczeństwo... – dolatywały strzępy zdań. Mówiła kobieta.

Aha, nawija o zdrowej tkance, którą trzeba chronić przed takimi jak ja. Chciało mi się ziewać.

– Więzienia dla dzieci, ależ to średniowiecze – powiedział mężczyzna. Wówczas nie bardzo wiedziałam, co znaczy średniowiecze, ale z tonu wyczułam, że się facetowi zupełnie nie podoba puszkiwanie małych. Mnie też nie. Pilnie zawachlowałam słuchami.

– Oczywiście, niedoskonały środek, ale dotychczas nie wymyślono nic lepszego. Bo

co w zamian? – martwił się tamten babski głos.

– Gdy burzono Bastylię, nie zastanawiano się, gdzie będzie się sadzać rojalistów! – roześmiał się jeszcze ktoś.

– Zdaniem kolegi, w jakim miejscu należało trzymać tę małą? Blisko pięćdziesiąt włamań...

Znów o mnie. Przestałam podsłuchiwać. Pomyślałam o Bastylii. Czyżby gdzieś małolaty rozpieprzyły tiumnę, a ja o tym nic nie wiem. Bastylia! Co za puszka, nie słyszałam o takiej dla młodocianych. A rojaliści, jaki fach? Bombiarze, wydry, pajęczarze, szczury, rympałki czy co innego? Eee, coś nie tak.

Zegar na kominku odbębnił dziewięć uderzeń, wraz z ostatnim weszłam do pokoju zarządu.

Za stołem osiem twarzy i tylko jedna znajoma, Ursyna. I jedna raz widziana, pani Kasi. Wizytatorki najwyższej Jury, takiej superklawiszki nad psychologkami.

Pod tyłoma spojrzeniami poczułam się fatalnie. Jak królik wśród kundli. Wskazano krzesło. Usiadłam na brzegu. Wyprostowana, ręce na kolanach, opuszczone oczy. Kiedy mi było nieswojo, biegały, a ludzie nie ufają rozbieganym oczom.

– Jesteśmy Radą Opiekuńczą... przejęliśmy... podjęliśmy... wzięliśmy... liśmy... yśmy... dopomożemy... gniemy... żerny... emy – monotony szmer. Uważać tylko, gdzie taknąć. Byle nie za często.

– Kuna, co to za imię? – brzęczenie ustało. A jednak też chcą odebrać Kunę, tylko po co te głupie podchody, przecież w aktach zapisano jak byk moją przezwę.

– Ksywa.

– W metryce masz Pelagia.

– Mam. Ale kto się dzisiaj tak nazywa!

– A kto się nazywa Kuna?

– U Niemców jest Kuno, może nie? I dobrze.

– Ale ty jesteś Polką.

– Mogę być z Niemców, dla mnie żadna różnica.

Znowu klepnęłam! Kiedyś powiedziałam chromolę, skończyło się źle. Czy teraz załatwiłam sobie karierę, zanim ją zaczęłam!

Nie miałam ojczyzny. Ojczyzna zaczyna się od bliskich, od domu, od miejsca na ziemi. Nigdy go nie zaznałam. Nie były ojczyzną domy dziecka ani szkoły, gdzie mnie tolerowano albo trzymano z litości, albo z obowiązku, albo z ustawowego musu. Nie stanowiły ojczyzny meliny ni kumple od skoków czy włóczęgi, a już ostatnim miejscem na

odnalezienie ojczyzny jest zakład poprawczy. Więc jej nie czułam i nie pragnęłam, bo ślepy nie kocha kolorów. Kryłam się ze swoim kalectwem. Szkodziło. I pewno zostało uwiecznione w mojej teczce. Potwór. Nie kocha rodzinnego kraju. Stąd podchwytliwe pytania szefa Rady Opiekuńczej.

– Człowiek powinien mieć prawo do wyboru imienia i ojczyzny! – palnęłam z rozpaczą coś, czego wcale nie chciałam powiedzieć.

Przyznano mi moją Kunę.

Nie wiem do dzisiaj, czy miała na to jakiś wpływ moja ostatnia odzywka, ale najpewniej pani Kasia dogładająca nas i tutaj, z doskoku, na polecenie Jury.

Kiedy wyszłam z prezentacji, pośród gromady zupełnie nieznanym dziewczynom oczekujących na rozmowę z komisją jaśniała Lalka ze swoją twarzą anielicy i włosami Marii z Magdali. Ona też mnie dostrzegła, ale zachowała rezerwę. W naszej sytuacji nie należało zwracać uwagi. Byłyśmy mocno podpadnięte. To nas okrzyknięto prowodyrami buntu, co z pewnością widniało w naszych dokumentach.

Podparłam framugę, jakby mi kto kazał, Lalka po jakimś czasie podniosła się z fotela i podeszła do mnie.

– Gdzie spałaś, ile osób na sali?

– Pokój na dwie. Lux!

– O kurrrdesz! Żeby tak się udało razem – wionęła Lalka.

Też chciałam zamieszkać z Lalką. Znałam ją, nie donosiła i łączyły nas wspólne przeżycia. Ośmielona pomocą w ocaleniu mojej Kuny, zdecydowałam się wystartować po protekcję do najważniejszej tu, w moim mniemaniu, osoby, pani Kasi superklawiszki i lipa Jury.

– Pani załatwi nam lokal z Lalką.

– Mówiłaś o tym z Mamą?

– Eee, nie ma co, nie dadzą.

– Skąd takie przekonanie, skoro nie rozmawiałaś?

– Przecież pani wie i ja wiem. Lalka i ja zostaliśmy za hersztów buntu w pierwszym poprawczaku, chociaż nie był to żaden bunt, tylko zwyczajna szajba i uczulenie na jedną flandrę.

– Masz warunkowe zwolnienie. Twoja opinia liczy się tutaj od nowa. Idź, na pewno porozumiesz się z Mamą.

Lalka zamieszkała ze mną, a pani Kasia udawała, że nie przyłożyła do tego nawet palca. Może i nie. Miała jeszcze rozmowy z każdą z nas oddzielnie i razem z całą

szczęściarską szesnastką.

– Będę się z wami spotykać co jakiś czas, bardzo chcę wam pomóc w waszych kłopotach. Spróbujcie mi zaufać.

Eee, nic nowego! Każda, ile już ich przeminęło, tak mniej więcej zagajała na początek. Opakowanie. W środku wciąż to samo. Praca nad sobą i takie tam różne.

– Mogłaby pani udawać, przed cudzymi ma się rozumieć, że nie jest psychologiem i nie jest z Jury! – wyjawiałam nasze zbiorowe pragnienie, chociaż bałam się znowu podłożyć jako prowodyr.

Brzydziło nas posiadanie psychologa. Nieustanna opieka podobnej osoby stała się sprawą wstydliwą. Przecież zwyczajni ludzie nie mają na co dzień kogoś takiego. Przydział facetki z owym fachem był jak piętno. Podkreślał naszą inność, odstawanie od normy, upośledzające braki.

Ona czuła bluesa. Nie padło żadne ze znanych: dlaczego, zależy od was, zobaczy się, nie mogę przyrzekać w ciemno.

– Zgoda – uśmiechnęła się.

Przez pierwsze dni żyliśmy jak w transie, wszystko było nowe i niezwykle. Otrzymałyśmy wyjściowe dresy i regulamin na ścianę w każdym pokoju. Nie przeciążano nas pracą, ale zadania egzekwowano konsekwentnie. Stopniowo przygotowywano do świadomego wysiłku, z czego wówczas nie zdawałyśmy sobie sprawy.

Wtedy z wielu rzeczy nie zdawałyśmy sobie sprawy. Nasza atrofia woli, umysłowe lenistwo, łatwo gasnące słomiane zapawy, szczególnego rodzaju egocentryzm otaczały jak bariera.

Wiedziałam jedno. Wypuszczono nas na wielką pauzę i robiłam, co wydawało mi się właściwe, żeby się na niej długo utrzymać. Najdłużej jak się da. To znaczy, może aż do jesieni. Dalej moja wyobraźnia nie sięgała.

Jak pies łowiłam polecenia, łaśliłam się i nie odszczekiwałam Mamie, nie udawałam słupa, nie nakręcałam w sobie szajby, jeśli do skutku kazała poprawiać spartaczone sprzątanie, przepierke lub coś innego.

W ten sposób, chociaż z dużymi oporami, dotarło do mnie, że opłaci się zrobić coś od ręki porządnie. Zresztą nie miałam odwagi stawiać się tutaj komukolwiek.

– Mama nie jest zła – powiedział stary Kurp, który nie wiem dlaczego odnosił się do mnie życzliwie. – Ale uważaj! Ona przeżyła tu paru prezesów, dwa pełne składy zarządu i niemało działaczy, a nie były to sierotki!

W połowie maja całą władzę nad nami objął Ursyn.

– Tam, dokąd was zabieram, trenuje kadra naszego klubu. Ulokujemy się w pobliżu. Będą nas zaopatrywać w prowiant. Poza tym wszystko robimy sami! Nikt nie wie, skąd was wzięłem. Jesteście narybkami! Żadnych bliższych znajomości z mężczyznami. Jeśli któraś się puści, zostanie odesłana na swój śmietnik!

– Nawet porozmawiać nie wolno? – upewniała się Lalka.

– Rozmawiać będziesz, jak się nauczysz przynajmniej dwustu słów w przyzwoitej polszczyźnie, tobie szczególnie zalecam powściągliwość. I zrób coś z grzywą.

– Mhy, proszę pana – Lalka zebrała z ramion włosy i zaczęła zaplatać warkocz.

– W obozie nie ma prawa nic zginać!

– A jak zgrandzi ktoś inny, też będzie na nas – poczułam się zagrożona.

– Nie będzie.

– Kto nam uwierzy! – szczerze wątpiłam. Mnie zawsze podejrzewano o kłamstwo. Pewno, przeważnie łągałam, ale czasami zdarzało się powiedzieć prawdę. Ciekawe, właśnie wtedy najbardziej mi nie ufano.

– Powtarzam. W obozie startujecie z czystą kartą. Nie macie żadnej przeszłości. Jeśli nie dostarczysz powodów, nikt nie będzie cię podejrzewał. Tylko nie zwiedzaj cudzych namiotów, Kuna!

– Coś pan, żeby się wkitować w recydywę? Wyglądam na jełopa?

Nie poszłabym na taki głupi numer jeszcze i ze względu na Ursyna. Struny, jaką we mnie poruszył, nie umiałam nazwać. Zresztą, nie zastanawiałam się nad tym, nie posiadałam jeszcze umiejętności refleksji. Wiedziałam jedno, nie dam plamy. Lecz w moim środowisku takich przyrzeczeń nie składało się głośno. Żeby nie utracić twarzy, żeby nie podpaść dziewczynom. Sama bez litości tępiłam lizusów, pochlebców, materiał na kapusiów.

– Uważać na język, żadnych przekleństw, żadnej grypsery, nawet między sobą. Jeśli któraś nie jest pewna swojej mowy, niechaj ogranicza się do zwrotów niezbędnych. Za nieposłuszeństwo będę wyrzucał z obozu! Są pytania?

Nie było.

– Idziemy do magazynu.

Załadowaliśmy na furgonetkę wyposażenie mocno sfatygowane przez poprzednie pokolenie narybku, a na drogę Ursyn pozwolił nam ubrać się w nasze nowiutkie szafirowe dresy z emblematem klubu – zrywającą się do lotu białą sterną.

Na miejscu stanęliśmy wczesnym popołudniem.

I odsłoniło się Jezioro. Nad nim, jakby zdjęte z naszej gali, wpisywały się w niebo rybitwy, a chociaż gadały ze sobą piskliwie i gniewnie, można było dotknąć ciszy, wokół zaś

leżała Puszcza.

Tak po raz pierwszy zobaczyłam tę krainę i już nigdy o niej nie zapomniałam. Nigdzie las nie jest zieleńszy ani zachód bardziej czerwony, ni szersze srebro pełni i nigdzie tak nie świecą robaczki świętojańskie, i nigdzie tak gorzko nic pachną dzikie goździki.

Tu jest moja ojczyzna. Zrozumiałam to znacznie później, bo wówczas dopiero zasiało się ziarno. Jakby padły w moje jałowe serce owoce dzikiej porzeczki i pierwotnej wiśni, i cebulki niebieskich hiacyntów, takich jakimi wydała je natura w pierwszym dniu stworzenia, pestki malin nie ulepszone człowieczą ręką i jagody północnej jarzębiny.

– O kurrrdesz, ale fajowo! – z nabożnym zachwytem westchnęła Lalka i z przerażeniem przykryła dłonią usta. Ale Ursyn nie usłyszał, stał na leśnym dukcie wsparty plecami o furgonetkę i darował nam chwilę na wzruszenie.

Zbite w stadko zamilkłyśmy nad brzegiem, onieśmiałe majestatem rozciągniętym u naszych stóp. I zaraz buchnęła głośna radość. Łatwo ulegaliśmy nastrojom i uzewnętrzniałyśmy je spontanicznie, często przesadnie.

– Spokój! W lesie się nie krzyczy. Brać się do roboty, rozkładamy obozowisko.

Nasz namiot z prostymi ścianami i sklepieniem rozpiętym na łukowym stelażu przypominał wagon kolejowy. Sprany deszczami, piegowaty od łąt, miał okrągłe okienka z pleksiglasu i sznurowane wejście. Wczesnym ranem brezent nad naszymi głowami rozżarzało słońce, skuteczniejsze od wszystkich pobudek.

Gimnastyka, biegi, pływanie. Z każdym dniem przybywało ćwiczeń, z każdym dniem wydłużały się trasy. Wydawała się na nic nauka właściwego oddychania, rozkładania sił, koncentracji. Złana potem, bez tchu, zniechęcona, próbowałam się oszczędzać.

– Nie migaj się. Kuna! – Ursyn widział wszystko.

– Nie mogę, proszę pana.

– Możesz. Tylko nie chcesz chcieć. Kuna. Sport to nie tylko sprawne mięśnie, także zaprawa psychiczna, a przede wszystkim wola!

Nic nowego. Za murem też żądano woli.

W przeciągu pierwszego tygodnia nawiały dwie dziewczyny. Jedna poszła w Polskę i znaleziono ją dopiero pod koniec zgrupowania. Druga powróciła sama po kilku dniach. Ursyn nie był nawet ciekaw ich wyjaśnień, obie odesłał do puszek na niewidzianego. Poczł się tą ucieczką osobiście dotknięty, chociaż wiedział, że uciekinierki nie potrafiły przystosować się do nowej sytuacji życiowej, dały nogę nie zastanawiając się, co nastąpi później.

Z drugiej strony, nie bardzo mógł sobie pozwolić na rozluźnienie rygorów. Dyscyplina i strach przed powrotem pod klucz trzymały nas w ryzach, dopóki nie dojrzała świadomość

niepowtarzalności danej nam szansy.

Więcej żadna nie uciekła.

Mnie najtrudniejszy okres pomogło przetrwać Jezioro. Gładkie, w zielonej koronie odbitego w nim lasu, rozjuszony sztormem, pędzące wyrwane wodorosty na grzebieniach zmaconej fali, ołowiane w szarugę i czerwone od zachodzącego słońca.

I Łabędź. Przyływał wieczorami, sunął po wodzie jak fantom, bez żadnego dźwięku. Nie zebrał, nie prosił, brał daninę. Był tu panem, a gdy się zaprzyjaźnił, traktował mnie jak równy równego. Od niego uczyłam się godności.

I dyżury, podczas których kolejno każda z nas zajmowała się kuchnią. Odpoczynek od stałej obecności innych. Nareszcie nikt nade mną nie wisiał, nie rozkazywał, nie obserwowało żadne oko. To było nowe.

Słuchałam ciszy obozowiska, ciszy we mnie i szemrania weterana, gara osmalonego płomieniami aż po pokrywę. Sadze nieprzeliczonych palenisk utworzyły na nim litą, lśniąca polewę.

I żywy ogień wieczorami. Bliskie jak Łabędź i Jezioro.

– Najpierw tyyy, a potem kokainaaa, koi łzyyy, bo cieeebie przypominaaa... – beknęłam z przejęciem, co znałam najpiękniejszego, na cześć pierwszego ogniska.

Piosenka z etykietą retro, wówczas modna we wszystkich poprawczakach, moim zdaniem, miała same plusy: cenzuralna, nie tępiona jak pieśni blatne, lecz i nie zalecana jak piosenki grzeczne przez administrację puszek dla małałatów, posiadała jeszcze dodatkowy walor, przenosiła mnie w inne, wspaniałe życie.

Stawałam się kobietą fatalną. Uwodzicielską damą w podkoszulku, miałam gładkie włosy zaczesane w baki na policzkach i równo przycięte nad brwiami, nie tę końską grzywę, na której łamałam grzebienie. Spoglądałam nieodpartym wzrokiem oczyma przedłużonymi do skroni, moje długie nogi opinały jedwabne cieliste pończochy, obuwały też cieliste, szpiczaste pantofle z cienkimi paskami zapinanymi na guziki, paliłam carmeny albo coś zupełnie ekstra i najlepiej w całym poprawczaku tańczyłam shimmy, oczywiście z Wilkiem w srebrnej marynarce. Magda nigdy nie istniała. Teraz doszło shimmy nad Jeziorem, ciastka dla łabędzia i amnestia dla wszystkich.

Wilka zobaczyłam nagle. Nie miał na sobie smoka z brokatu, tylko kąpielowe majtki. Niósł wiosło wsparte o bark. Jego ciało lśniło jak polerowana miedź. Był piękny. Był sam.

Wynurzył się z parowu przecinającego skalistą rynną wysokie zbocze, огоłocone z drzew miejsce po niegdysiejszej bindudze, kędy staczano ścięte pnie do Jeziora na spław.

Przestrzeń zamykał las, nad stromym brzegiem na dawnej porębie leżały uprawy. Pole

płonęło żółtym łubinem, stało nad nim drgające powietrze jakby rozżarzone masą złocistych ogników. Chłodziło sąsiedztwo białej gryki, podcieniowanej delikatnym różem, a on szedł ku mnie brodząc w kwitnących trawach. Pachniała dzika mięta, pachniały tatarka, dzięgiel i żywica, prażone słońcem.

Wilk przywitał się ze mną, jakbyśmy rozstali się wczoraj.

– Słyszałam o waszym weselu – wieść o wydarzeniu, z którego wykluczono tylko zbuntowaną sypialnię, dotarła do mojego drugiego więzienia.

– To był najprostszy sposób na wyciągnięcie Magdy. Musiałem pomóc, zapuszkowali ją z mojej przyczyny.

– Może i mnie wydlubiesz? – poczułam gorycz. Wprawdzie wtedy, gdy przystałam do nich, ja schlałam się w karakuła, ja uciekłam z plantacji i ja usnęłam na środku jezdni, ale on był ode mnie pięć lat starszy i on wlewał we mnie wódkę, żeby prędzej gnojka uśpić. Więc dlaczego poczuwał się tylko za Magdę, a za mnie nie?

– Trzymaj się Ursyna, to twoja wielka szansa!

– Skąd wiesz, że terminuję u Ursyna?

– Należę do sekcji motorowej Sterny. Więc słyszy się to i owo.

– No i twój stary jest kimś.

– Jest. Nawet w waszej Radzie Opiekuńczej.

– Jejku, a który to?

– Taki, co najwięcej gada o humanizmie i barbarzyństwie puszek dla małych.

– Dlaczego nigdy nie spotkałam cię w ośrodku?

– Wyjeżdżałem za granicę.

– Na wyścigi?

– Tak. Trochę się też włóczyłem.

– Tobie to dobrze. Ursyn cię prostował?

– Ursyn nikogo nie potrafi wyprostować, nawet siebie. A mnie nie uczył, bo się na tym nie zna. Jestem genialny samouk! Mając dziesięć lat rozwaliłem pierwszy wóz, to znaczy mirafiori ojca, w wieku lat jedenastu sfajczyłem pierwszą daczę, przez co porzuciła nas druga mama, jak skończyłem trzynaście, po pijanemu z tatowego sztucera wygarnąłem do kolegi, czternaście, obrobiłem mieszkanie przyszywanej kuzynki i własne, przez, co podobno porzuciła nas trzecia mama i odeszła prosto w ramiona najlepszego przyjaciela taty, który miał wyższe stanowisko i większą daczę, i większą łysinę, i większy samochód, i więcej zielonych na czarną godzinę.

– Aleś rozgoryczony!

– Trochę, właśnie pokłóciłem się z czwartą mamą.

– Co jest z pierwszą?

– Ona nawet na awantury ze mną nie ma czasu. Odkąd została sama, życie poświęca na niszczenie taty i frustrację, ponieważ nie może mu uczynić, co drugiemu niemiłe.

– Dlaczego nie może? – ze swojego doświadczenia wiedziałam, jak trudno jest pomóc i jak łatwo zaszkodzić.

– Bo nikt się z nią nie liczy. Wypadła z układów, nie ma władzy. Jest podstarzała, nieciekawa, nudna i głupia.

– Dlaczego się rozeszli?

– Puszczala się, a tato chcieli żony wiernej i reprezentacyjnej.

– Znalazł taką?

– Kilka. Przecież, mówiłem, ostatnio mam mamusię numer cztery. Ale zdaje się znowu będzie vacat, tym razem jednak nie przeze mnie, tylko przez stołek taty.

– Jaki stołek?

– Taki, co się chwieje. Jak mu go wyjmą spod zadka, to go wykopią nawet z tej waszej Rady Opiekuńczej, wtedy i żona go rzuci.

– Dziwka!

– Cieszy mnie nasza jednomyślność! – roześmiał się niewesoło. – Więc póki mój stary jeszcze coś znaczy, skorzystamy i każemy sobie wyżerkę. Chodź!

Za polem łubinów, na zielonej skarpie skłonem nachylonej ku Jezioru, plecami wsparty o las stał dwór. Tak, dwór! Podobny widziałam na starym sztychu wiszącym w hallu bungalowu w naszym ośrodku.

Tylko dom na wzgórku za uprawami był nowy. Niewiele zdążyły pociemnieć modrzewiowe bale, z których został zbudowany. Rozsiadły na planie prostokąta, z gankiem pośrodku, miał mansardy w spadzistym dachu krytym gontem i rzeźbione nadproża. Piękny, dzięki harmonii między proporcjami, budulcem i otaczającym krajobrazem.

Podobał mi się, chociaż wówczas nie zastanawiałam się i nie potrafiłabym powiedzieć, dlaczego. Także nie zastanawiałam się nad jego przeznaczeniem, gdy go mijałam w drodze z obozowiska na poręby czerwone od poziomek, na które pozwalano nam chodzić w czasie wolnym, skąpo wydzielanym jak w aptece.

– Knajpa w lesie?

– Dom wojewody.

– Jednego mu mało, musi mieć dwa? – szczerze się zdziwiłam.

Nie, nie oburzał mnie stan posiadania ludzi nazywanych przez Nonnę

establishmentem, wśród których roilo się w owym czasie od patriotów z urzędu, kombinatorów, rzutkich łajdaków, złodziei, łapowników i oszustów ukrytych za szyldem ojczyzny, jak Nonna za abażurami, całej tej fauny, co miejsca szmalodajne obsiadła niczym drobnoustroje.

– Ten służy reprezentacji, dom pod Mikołaszą jest prywatny – powiedział Wilk.

Godzinę drogi od dworu w kierunku na południe, w miejscu, że i sam Pan Bóg piękniejszego by nie wybrał, nad brzegiem Jeziora stało siedem niby zgrzebnych chat, też z modrzewia i pod gontami, na wysokich podpiwniczeniach licowanych kamiennym ciosem, z saunami, kominami do wędzenia i podziemnymi garażami. Budynki rozparte na skarpie mającej certyfikat zabytku środowiska naturalnego na urzędowej tablicy z wizerunkiem białego orła, przytwierdzonej do kamiennego słupa, należały do miejscowych palatynów. Jeden z nich stanowił własność wojewody.

– Przyjechał spychacz, ściał morenowe wzgórze, postawiono dacze – zzymnął się Wilk. – I dopiero zatroszczono się o ochronę przyrody. Okolice Jeziora uznano za park krajobrazowy, żeby nikt inny nie mógł tu rozkopywać polodowcowych pagórków i budować habend. Po to sprawuje się władzę w imieniu ludu. Natomiast lud z Mikołaszy klnie i nienawidzi, bo wielkopańskie budowy odebrały mu do reszty mizerne przydziały cementu, a spróchniałe chłopskie chlewiki jak się waliły, tak wałą.

Wówczas nie zawsze odbierałam ironię, nie znałam się na przerośniach, ale zrozumiałam sarkazm Wilka, chociaż nie wiedziałam, o co mu chodzi i dlaczego mówi to właśnie mnie.

– Kładź lachę, co ci zależy! – doradziłam na wszelki wypadek.

– Masz rację. Przecież zaprosiłem cię na wyżerkę! – roześmiał się i jakby zreflektował, że w sprawy wyższe wtajemnicza jełopa i kundla.

– No, a po co im dwór?

– Tu balowali na koszt skarbu państwa.

– Jejku, my też zabalujemy?

– Niezupełnie. Powiało demokracją i budzie przypięto szyld domu rekreacji sobotnio-niedzielnej dla personelu urzędu.

– Dlaczego? – ja miałam szczęście, zawsze przychodziłam do stołu nakrytego dla innych albo kiedy się kończył.

– Żeby nie drażnić społeczeństwa, które jest złe i pyskuje, że przez takie pańskie fasony nie ma co jeść.

– Trzymasz z nimi?

– Nie trzymam z nikim. Gównu mnie obchodzą jedni i drudzy.
– Tobie, Wilk, żyje się jak w puchu, jak się twemu tacie urwie, tobie też się urwie.
– No to kij im na urodę!
– Mówisz, jakbyś się z tego cieszył, jakbyś tego chciał.
– Już sam nie wiem, czego chcę. I żal mi, i pragnę, żeby to wszystko trzasnęło, żebym wreszcie był sobą, a nie synem takiego a takiego.

W środku dworu było cieniście, czysto i nowobogacko.

– Niech mnie pchła kopnie, takie same jak u nas – ucieszył mnie nie wiadomo dlaczego widok ceramicznej lamperii w jadalni. Białe kafle w granatowe wiatraki, wzburzone fale i pędzone sztormem szkuty pod wzdętymi żaglami.

– Holenderska glazura poszła w Polskę, według spec-listy, jako przecenione Opoczno trzeciej klasy.

– Dawno u nas nie byłeś, Miłosz! – podeszła kobieta do bufetu i tak po raz pierwszy usłyszałam imię Wilka. Bardzo mi się spodobało.

Dostaliśmy po dzwonku sielawy, chłodnik z orzechami na chlebowym kwasie, pieczone mięso i truskawkowe lody. Pod oknem osypywały się w mech przejrzale poziomki.

– Co porabia Magda? – szukałam oczyma obrączki na brunatnych od opalenizny rękach Wilka. Nie znalazłam. Mogło to nic nie znaczyć, po prostu nie nosił, ale serce we mnie skoczyło i uwięzło w gardle.

– Nie wiem.

– Nie żartuj. Wilk.

– Mówię poważnie. Rozwiedliśmy się i straciłem ją z oczu.

Oniemiałam z zachwytu.

Szczęście pachniało żółtym łubinem, poziomkami, miętą i żywicą spływającą w słońcu, tak jak Domy zjełczałym mlekiem, bezdomność gnijącymi śmieciami, poprawczak grochówką i środkami dezynfekcyjnymi, życie u Nonny igliwiem kąpielowej szyszki, a internat w ośrodku Sterny mydłem Palmolive.

– Idziemy – Wilk spojrział na przegub. Na płaskim prostokącie z czarnym ekranem wyskakiwały groszkowate cyfry. Po raz pierwszy widziałam z bliska kwarcowy zegarek. Z wiszącego na szyi mieszka przypominającego szkaplerz wyciągnął banknot zwinięty w ciasny rulon i pozostawił na stole.

– Gdzie mieszkasz? – wyszliśmy na słońce.

– Na Miladzie, taka zatoczka po drugiej stronie Jeziora. Łąka po moim dziadku – zrobił nieokreślony gest i wziął swoje wiosło wsparte o ganek.

– Zaczekaj, idę w twoją stronę, popasę się na poziomkach – na żadne popasy nie miałam już czasu, ale chciałam jeszcze trochę z nim pobyć i nie wierzyłam, że może się ze mną rozstać, ot tak, bez przyszłości.

Wilk zatrzymał się koło mogiły na rozstajach leśnych traktów. Między wartą dwóch młodych modrzewi leżała płyta i kamienny obelisk z napisem:

**Powstańcom zrywu styczniowego 1863
i krwawych walk z wojskami caratu
oraz czterdziestu poległym żołnierzom Armii Czerwonej
w wojnie i faszyzmem w roku 1944**

– Przechodzisz obok historii, Kuna! Spójrz, tamto pokolenie Polaków naparzało się z Ruskimi, zaś prawnukowie jednych i drugich polegli za wspólną sprawę. A ta droga prowadzi do wioski Czerwony Krzyż, nazwanej tak na pamiątkę napoleońskiego lazaretu, który tu stacjonował, gdy armia cesarza szła na Moskwę. Czerwony Krzyż wymordowali Niemcy w drugą światową. Z przeszło trzech setek mieszkańców ocalało czternaście. Ludzie postawili pomnik, zasadzili drzewa i pielęgnują kwiaty. Otoczyli go słupkami połączonymi łańcuchem. Teraz łańcuch ukradli, bo w sklepach nie ma. Bohaterom jest wszystko jedno, a w gospodarstwie taki sprzęt jest konieczny. Także historia, tylko dnia dzisiejszego.

– Skąd to wszystko wiesz? – poczułam się stłamszona ogromem jego wiedzy.

– Mój dziadek był jednym z tych, co przeżyli.

– Muszę wracać. Zobaczymy się jeszcze. Wilk?

– Na pewno. Bywaj! – odszedł przez kwitnące trawy, wkrótce zakrył go las, nie obejrzał się ani razu.

Nie spotkałam go jednak więcej.

Chciałam pomóc przypadkowi i popłynąć na Miladę. Nie miałam czym. Ławica naszych kryp leżała uwiązana na łańcuchach zamkniętych na kłódkę. Klucz nosił Ursyn i osobiście wydawał sprzęt.

Niespodziewanie za sprawą schlanych rybaków zdobyłam stynkę.

– Kurrrdesz, ale pogoda! – przyniosła się po wodzie kurtuazyjna pogwarka między milicjantem z motorówki a rybitwą z kutra miejscowego pegeeru.

– Ja pier taką pogodę, kurrrdesz, ryba nie bierze, kurrrdesz – ubolewał rybitwa.

– Kurrdesz, za mało się staracie, kurrdesz!

– Ja, kurrdesz, pier taką robotę, kurrdesz! – rozgoryczył się sternik.

Co jakiś czas, przeważnie w sobotę, patrol odbierał od rybaków daninę ze szlachetnej ryby, w zamian nie zauważał, że tamci rozkradają część połowu i nigdy nie bywają trzeźwi.

Teraz też, po załatwieniu sprawy, milicyjny ślizgacz znikł na horyzoncie, a rybacy przycumowali do naszego brzegu. I zaczął się ruch. Wszystkich urzekła: Ona, Ryba! Leśny dukt i zatoczka, nad którą wylegli rybacy, rozbrzmiewała nazwami gatunków słodkowodnego stwora, znanego prawie już tylko z obrazków: węgorz, szczupak, sielawa!

– Kurrdesz, mieniąc będziem za gorzałę, kurrdesz! Inaczej nie handluje, kurrdesz! Pieniądz u mnie za nic, kurrdesz! Szlaczek kleić mogę, kurrdesz! – bełkotał sternik, demonstrując garść zaszmelcowanych banknotów każdemu, kto chciał patrzeć.

Wysoką, krótką wrzawą strzeliło oburzenie. Wódka była droga i trudno osiągalna, zwłaszcza w sobotę nad Jeziolem. Od najbliższej mety w Mikołaszy dzieliło kilkanaście kilometrów. Ludzie wymyślali: – Pijaki, złodzieje! Wstydu nie mają, za państwową rybę do własnej kieszeni biorą, a zdzierają, jakby płacili podatki, paragrafu na nich nie ma!

– Kurrdesz, darmo by chcieli! – dziwił się sternik biorąc kumpli za świadków niebywałego tupetu turystów.

– Takie czasy. Wybierz mi pan parę sztuk – załamał się pierwszy oportunist.

Rybak gmerał w kłębiącej się stercie. Spod ruchomej masy, wyginając wściekle ciało, wytrzepotał się na wierzch potężny szczupak. Miał boki w złote kropy, szaleństwo w oczach i pysk mordercy.

Muszę go mieć. Za takiego zwierza z łbem jak u buldoga wypożyczę krypę.

Zaklepałam swoją rybę i powróciłam z flaszką, którą napełniłam słabą herbatą. Oczekałam w krzakach do pierwszych transakcji. Taszczono właśnie samogon nalewany w co Bóg dał.

– Cukrówka, przepalanka – podałam mój kordiał, gdy tylko sternik puścił w obieg świeże szkło.

– Niech ta, kurrdesz! – odstawił butelkę pod burtę ani patrząc, a ja zawinęłam w bluzkę miotającego się szczupaka i tyle mnie widzieli.

Prosto ze zdobyczą pobiegłam za wysunięty cypel, olsem wchodzący w wodę, gdzie za płycizną pośród trzcin, o świecie bożym nie wiedząc, oprzyrządowany po zęby kosztownym sprzętem, moczył japoński kij jeden biedny skurczybyk. Wieczorami smażył nieletnie okonie, pociągał ćmagę przy ognisku, a jeśli miał przed kim, przechwalał się domowym wystrojem ze spreparowanych rybich głów i marzył o wielkich rybich głowach.

– Bierzesz pan tę sztukę? – cisnęłam mu do krypy mojego wściekłego stwora, który, gdy przedzierałam się przez sitowie, omal mnie nie utopił, tak szalał gryząc bluzkę, w którą był zawiązany.

Wziął. Zdobyłam stynkę.

Po obiedzie przemknęłam do obozowiska kolekcjonera rybich czaszek. Mieszkał w niemieckiej przyczepie-przypinanej do włoskiego samochodu, siedział na szwajcarskim krzeselku z, metalu lżejszego niż aluminium i gotował rybi drobiazg w ruskim kociołku na trójnogu.

Łeb szczupaka z otworzoną paszczą podpartą kołeczkami sechł na słońcu. Pachniał las, w trzcinach kokosiły się kaczkę, stynka kołysała na uwięzi.

– Musiałem upiec, żeby się nie zmarnował – podał mi szczupaka opakowanego w przydymioną folię.

– Pan pożycza łódkę tylko za sam łeb?

– Tylko.

– Należy się panu za robotę – rozdzieliłam olbrzymą sprawiedliwie wzdłuż grzbietu i zostawiłam połowę tuszki.

Znalazł się łacinie, nie certolił, podziękował i dał mi kawał świeżego staniolu do zawinięcia mojej części. Mięso było białe, soczyste, pachniało prawdziwym masłem, dymem i Jeziorem.

Kiedy las zamienił się w zieloną smugę z kolorowymi punkcikami namiotów i nie dochodziły już piski kąpiących się niedzielnych gości, odzyskałam Jezioro. Było łaskawe, niebieskie, posypane słonecznymi cekinami.

Płynełam na Miladę, byłam szczęśliwa.

Szczęście miało barwę modraszka, pachniało sitowiem i smakowało pieczoną na węglach rybą, której spróbowałam kęs, a całą resztę wiozłam Wilkowi. Pilotował mnie nurek z twarzyczką mądrego Chińczyka i rudą egretą z piór na czubku głowy. Na plecach między skrzydłami hołubił pisklę.

Zatoka Milady miała postrzępiony, niedostępny brzeg, zarosły czarną olchą, z przedpolem trzciny i tataraków kipiących od dzikiego ptactwa. Nie wiem, czy znalazłabym wejście do dziedziny Wilka, gdyby nie klinkierówka oszalowana mahoniową klepką ze zwiniętym żółtym żaglem. Połyskiwała mosiężnymi okuciami, kolebiąc się na kotwicy przed płycizną.

Znałam tę łódź, widywałam ją na przystani przy bungalowie w Ośrodku Sterni.

Za pasmem nawodnych zarośli ukazała się wysunięta w wodę kępa zieleni w wieńcu

złotych kosaćców, niezapominajek, mięty i szczawiu. Obok, odwrócony do góry dnem, leżał składak. W gęstwą olsu podszytego dziką porzeczką, jeżyną i wilczą jagodą wiodła ledwo widoczna ścieżka.

Poszłam cienistym tunelem i cieszyłam się, że zaraz zobaczę Wilka. Przez myśl mi nie przeszło, że mogę go nie zastać lub może nie być sam.

Zobaczyłam ich spoza osłony liści, zanim wychynęłam z krzaków. Leżeli w słońcu nadzy, jedno obok drugiego, ich ciała były brązowe, pasmo długich włosów dziewczyny chwiała się uczeplone ramienia Wilka. Wokół kwitły wysokie trawy, za nimi łąka wznosiła się pagórem oplatanym krzewami dzikiej róży.

Poczułam się niczym. Mała, nieważna i śmieszna z niekompletnym rybem zezwłokiem w pakunku. Skręcił mnie wstyd. Dlaczego jestem taka beznadziejna, dlaczego wystarczy byle pozór, żebym się go czepiła jak rzep. Spotkał mnie przypadkiem, postawił obiad i to wszystko. Bezpańskim kundlom ludzie też czasami dają jeść, chociaż wcale ich nie chcą na zawsze.

Uciekać, póki mnie nie odkryli, i nikomu się nie przyznać, gdzie byłam. Wykręciłam na pięcie, trzasnęła gałązka.

– Miłosz, ktoś tu jest?! – podniosła się dziewczyna i odgarnęła z policzka włosy. Rozsypały się po ramionach, okryły jak peleryną. Nie znałam jej. Była piękna.

– Pewno kuna – wsparł się na łokciu Wilk.

Zdrętwiałam, poczułam się przezroczyta, zanim dotarło do mnie, że to przecież nie tylko moja ksywa, ale przede wszystkim nazwa zwierzęcia.

Wycofałam się ostrożnie.

Wiosłowałam prowadząc stynkę za wygarbienie brzegu pod osłoną litościwych trzciny, aż straciłam z oczu zielony grąd w otulinie niezapominajek, mięty i szczawiu z pochodniami złotych kosaćców, aż sylwetę klinkierówki ze zwiniętym żółtym żaglem zakrył jezior olsu wcinający się w wodę.

Utopić się czy co? I niech raz wszystko się skończy! I nigdy już nie widzieć Jeziora ni Łabędzia, ni lasu, pożałowałam siebie, zaczęły kapać łzy. A przecież muszę zwrócić stynkę. Nie zrobię gnoja gościowi od łbów. Oddał moją zdobycz, upiekł i jeszcze dołożył do niej prawdziwego masła.

Ryba! Trzeba coś z nią zrobić, grzech, żeby się zmarnowała. Rozwinęłam folię, zapach soczystej tuszki uświadomił czczość w moim brzuchu.

Spróbowałam kawałek, poczułam smak utraconego szczęścia i rozplakałam się na dobre. Jezioro wciąż było niebieskie, posypane okruchami słońca, a pieczona na węglach ryba

wcale nie gorsza przez to, że Wilk kochał się z Piękną pośród kwitnącej łąki. Jadłam i płakałam, i nie wiadomo kiedy z tej rozpacz i rozczulenia nad sobą rozprawiłam się z całą tuską.

– Widziałam Wilka, płynął żaglówką, na pokładzie wylegiwała się całkiem cudza dziwka – doniosła Lalka po wieczornym apelu.

– Nic mnie nie obchodzi – szczupak staczał swój ostatni bój, walczyłam z mdłościami, chwilowo nie potrafiłam cierpieć na żaden inny temat. Nawet moja rozpacz była upokarzająca, tandetna i śmieszna. Przejadłam się z zawiedzionej miłości.

Przystałam się urywać. Na poziomki chodziłam z Lalką.

Nie jestem pewna, czy w dużym obozie – tak nazywanym w odróżnieniu od naszego – zupełnie nie orientowano się, skąd pochodzi nowy narybek, chociaż nasze wzajemne kontakty ograniczały się do kwatermistrza, który raz na tydzień dostarczał furgonetką prowiant, i pani Kasi, wysłanniczki Jury.

Ona wiedziała, ale ani razu nawet wobec nas nie zrobiła żadnego przytyku. Jakby nigdy w życiu nie widziała naszych teczek personalnych, wyroków, garbatych życiorysów i niszczących opinii.

Pani Kasia ubrana w dres z klubowym emblematem, taki sam, jaki miałyśmy i my, z przewieszoną przez ramię gitarą, pojawiała się wieczorami. Siadywała z nami przy ognisku z kubkiem gorącej herbaty nalewanej z olbrzymiego czajnika, mrużąc obok na upalonych węglach.

Nie pozowała na równiacę, nie siliła się na nachalne koleżeństwo, nie próbowała też zniżyć się do naszego poziomu, była sobą, nas traktowała zwyczajnie. A chociaż z mety wiedziałyśmy, co jest grane, bo na wszelkie formy oddziaływania nasze leniwe mózgi były szczególnie wyczulone, jednak uznałyśmy, że ona jest w porządku. Wysoka nota w naszej skali ocen. Wciąż jeszcze za miarę i punkt odniesienia uznawałyśmy niepisane prawo domu poprawczego.

– Spróbujemy coś nowego? – wyjmowała z kieszeni plik postrzępionych kartek z mnogością tekstów, których nie znałyśmy.

– Rzeki to płynące drogi /a łodzie wędrowcy tych dróg/ nigdy w tej samej wodzie /nie przejrzał się człowiek ni duch... – prowadzone przez dźwięk strun wywodziłyśmy pieśń, którą tamtego lata rozbrzmiewały biwaki od Wigier po Narew.

– Rzeki to płynące ścieki /a łodzie wędrowcy tych dróg/ nikt jeszcze w tym samym ścieku/ nie umył zębów ni nóg... – niósł się do nas przez wodę przekorny odzew ze szkółki żeglarskiej, obozującej nad inną zatoką Jeziora.

Pani Kasia dała się lubić. Tę najwyższą punktację otrzymała dzięki opowieściom.

To były historie! Nie jakieś tam wędrujące szeptem od pryczy do pryczy okulawione baśnie o krasnoludkach, śpiącej królownie czy Jasiu i Małgosi. Najbardziej przypadli mi do serca przyjaciele chłopca wychowywanego przez matkę wilczycę: zbiegła z cyrku pantera, obkuty w paragrafach leśnej jury niedźwiedź i najpotężniejszy gad, który z ludzkim szczeniciem zawarł braterskie przymierze.

– Ja i ty jesteśmy z jednej krwi – możliwie sycząco nawoływały się dziewczyny między sobą, zakłębionym głosem Kaa, odkrytym nam przy ognisku.

Jeszcze tego samego wieczoru magiczną formułę wypowiedziałam wobec Łabędzia. Jak zwykle z godnością przyjął chleb, począł chwilę po nadbrzeżnym piasku, przysadzisty i ciężki na swoich krótkich łapach, i nie powiedział nic. Dopiero gdy opuścił się na wodę, a przyjazne Jezioro na powrót uczczyło mu lekkość i wdzięku, wraz z reflekssem dogasających głowni w jego oku błysnęło coś jak porozumienie.

Pani Kasia czarowała nas niczym gad Kaa. Przez cały dzień ćwiczyłyśmy jak szatany, a sprawowały jak anioły, byle tylko nie zostać pozbawionym prawa do wieczornego ogniska.

Ten nadmiar solidności podszmaciła Jolka, przezywana Owcą z powodu włosów w pierścieniach drobnych niczym baranie runo.

Wśród nocy, ciężko stąpając, wszedł ktoś do naszego namiotu, a w towarzyszącym mu strumieniu światła skierowanym w dół skowyczał jakiś kształt i wijąc się sunął nad ziemią.

– Nie gryź, gadzino! – ryknęła światłość głosem naszego trenera i beknęła altem Owcy, co przywróciło nam zdolność pojmovania dziejących się wydarzeń.

Trener z dyndającą na piersi latarką, którą zwykł nosić zawieszoną na szyi na rzemiennej strunie, taszczył pod pachą rozpaczliwie miotającą się Owcę, a wolną dłonią zatykał jej usta, ona zaś capnęła go za palec.

Namiot odetchnął, przywarował i udawał, że śpi. Nie widzieć, nie słyszeć, nie wiedzieć, nie zostać świadkiem – nakazywało doświadczenie.

– Ty beznadziejny szczyłu, tupa, głupia gówniario! – Ursyn przycisnął głowę Owcy ramieniem i lał ją pasem po wypiętym tyłku.

– Bandyto, skurwielu, ja na ciebie skargę... – pobekiwała spod jego pachy Owca, zachłystując się wściekłością.

Trwałyśmy przyczajone. Zaczynałam domyślać się przyczyn zajścia. Wreszcie Ursyn cisnął Owcę na posłanie i krzyknął do nas:

– Nie udawajcie, że śpicie. Wstawać! – ruchome światło przeskakiwało od zagłówek do zagłówek. Myszkowało po twarzach. Pod jego dotknięciem siadałyśmy na łóżkach.

– Zbiórka... órka!!! – stuknęły się nasze głosy. Mój, dyżurnej z wczoraj, i dziewczyny wyznaczonej na jutro.

– Zostańcie na miejscach – skinęła latarka. Jej smuga wydobyła z mroku skulone w kącie półtora nieszczęścia z głową jak merynos.

Zrobiło mi się żal Owcy, myślałam, że Ursyn nakrył ją w krzakach z mężczyzną.

– Powiedz koleżankom, dlaczego dostałaś w skórę! – Ursyn podniesieniem za kark nadał kudłatemu kłębkowi jaki taki pion.

– Wlazałam trenerowi do wyra – beknęła Owca.

– Uważałam, że powinna was o tym poinformować. Dobranoc.

Nikt się nie odezwał, dopóki nie oddaliły się kroki Ursyna i dopóki odległy trzask odsuniętego i zaciągniętego eklera nie powiadomił nas, że trener zamknął się w swoim namiocie.

– Owca, zakochałaś się? – zagaiłam szeptem. Ważna była przyczyna. Milczenie.

– Chciała mu się wepchnąć do barłogu, żeby mieć fory. Tyypadalcu! – zaszemrała Lalka.

– Ścierwo, jełop! Jakbyś miała więcej oleju pod tym swoim kołtunem, to już powinnaś zmiarkować, co tutaj nie przejdzie – dziewczyny wylaziły ze śpiworów, dwie obstawiły wejście.

– Będę krzyczała – zamyczało spod kędziorów.

– Przefasonujemy ci tabelę, zanim trener tu zdąży – dołączyłam do zacieśniającego się kręgu wokół tego cholernego muflona. – Dlaczego to zrobiłaś?

– No, żeby mnie mniej ganiał.

– Dziwka! – no tak, chciała kupić sobie przywileje. Przywileje jednych dzieją się zawsze kosztem innych.

– Głupia flądro, wśród swoich się nie grandzi, nikt ci jeszcze tego nie powiedział, skąd się wzięłaś, od mamusi?

– Kuna, coś ty, nic nie skitrałam, jak Boga!

– Chciałaś przywłaszczyć trenera!

Owca dostała wycisk. Operacja nie przebiegła bezszmerowo, ale Ursyn nie słyszał. Nie chciał słyszeć.

– Panie trenerze. Jolka prosi o zwolnienie z zajęć – wedle regulaminu zgłosiła dyżurna, podczas zbiórki przed poranną gimnastyką.

Pan trener wyraził zgodę, nie zauważył podbitych oczu Owcy i na przeciąg tygodnia, za niestosowne zachowanie, pozbawił ją prawa do wieczornego ogniska.

Owca nawet nie meknęła, wprawdzie niestosowne zachowanie było dla niej takim sobie dźwiękiem, ale wstydziła się styranego szamotu. Też wolałyśmy, aby porządnie otęchła, zanim na powrót zobaczy ją pani Kasia.

Więcej Ursyn do wydarzenia nie wrócił, my też pogrzebałyśmy je solidarnym milczeniem. Znow przykładałyśmy się do zajęć, przestrzegały regulaminu, uważały na zachowanie, powściągały język, znosiły trenerskie niezadowolenie z niedostatecznych postępów, kary za uchybienia, represje za żargon.

Nic już szczególnego nie zaszło, a jednak działo się inaczej. W nas. Zaczynało nam zależeć, zaczynałyśmy chcieć utrzymać się tutaj, zamienić wielką pauzę w trwałą rzeczywistość.

Pod koniec sierpnia powróciliśmy do internatu przy klubie Sterny pod Warszawą, stamtąd odesłano Owcę. Nie, nie z powodu niestosownego zachowania. Ona nic rokowała, nie była materiałem, nic miała... długo by wyliczać, czego Owca nie miała i czego z pewnością nie nabyła po powrocie do poprawczaka.

Nic nowego nie powiedziała nam powakacyjna selekcja. Już wiedziałyśmy. Dla Ursyna liczą się tylko wyniki.

Wyniki miały swoją cenę. Zerwane ścięgna, wywichnięte stawy, nadwreżone kości, od czasu do czasu ktoś skręcał kark. Wtedy wolność! Wolność do końca życia. Na siedząco, w wózku darowanym przez humanitarny klub. Odpad, brak, uboczny produkt sportu wyczynowego. Wyzwolony z kariery i spod klucza. Bo na wózku nie wraca się za mury. Po co? Na wózku nie można dokonać włamania ani napadu, ani nawet kradzieży.

Jednostkowe nieszczęście, nikt nie ponosi winy. Gladiator jest ubezpieczony, klub płaci składki. Gladiator, jeśli jest niedysponowany fizycznie bądź psychicznie, może odmówić udziału w treningu, może odmówić udziału w zawodach.

Regulaminy, przepisy strzegą wolności wyboru. Nie ma przymusu. To zapewnia spokój sumienia. Można umyć ręce i iść na piwo.

A jednak jest! Nieuchwytny nacisk, któremu nie dadzą rady nawet najlepsze kodeksy. Ukryty w otaczającym nas powietrzu, w naszej zależności od innych, w nas samych.

Stała presja. Sama świadomość groźby powrotu tam, skąd się przyszło, wystarczała. A przecież pojawiły się już i następne powody: niepowtarzalność szansy na odmianę naszego losu, nadzieja na własny kąt, życie bez nadzoru, którego symbolem stały się dla mnie Łabędź i Jezioro, przekształcenie naszej odrzuconej inności w odrębność uznawaną, piękną.

I pewno dlatego my, spod linii zero, bardziej od pozostałych pragnęliśmy powodzenia, braw, rozgłosu. My, na wielkich stadionach, wspaniali, podziwiani, otoczeni sympatią, może

nawet kochani.

Dlatego z własnej woli ryzykowaliśmy swoje kręgi, wiązania, przerost mięśni, żyłki, codzienny wysiłek, zmęczenie, zażartą walkę o formę. Uczciwą monetą płaciliśmy za naszą wielką pauzę, za nasze światełko w tunelu, za nadzieję.

I łasiłiśmy się, biedne, odtrącone kundle, odgadując życzenia i wypatrując cienia aprobaty w obojętnych oczach trenera. Aprobaty, naszej nie zawsze uświadomionej, odwiecznej nostalgii za akceptacją.

Ursyn nie powściągał naszej nadgorliwości, pilnował tylko, żeby co zdolniejsze, bardziej rokujące, nie poskręcały karków, i miał gdzieś nasze tęsknoty, fobie, wewnętrzne garby, jeśli tylko nie przeszkadzały głównemu celowi. Liczył się jedynie produkt końcowy. Nasze wyćwiczone mięśnie, wytrzymałość, odporność na stres.

– Moja stajnia wyścigowa – mawiał o nas.

Istnieliśmy wyłącznie jako jego osiągnięcia. On pokaże, co można uczynić z takich odpadów, takich buble, takiego nic. Na użytek zewnętrzny miał wiele ładnych słów.

– Przywrócić życiu... oddać społeczeństwu... ukształtować osobowość – obiecywał lepiej przykroić nas, spartaczony materiał.

Jego przekonania na wynos zawsze były zbieżne z poglądami osób ważnych, pilnie też dbał, aby nie powiedzieć o nikim źle, a już broń Boże o jakiejś placówce podporządkowanej Sprawiedliwości czy Oświacie, nie narazić się partii, kurii, stronnictwom, Czerwonemu Krzyżowi, przyjaciółom dzieci, psów, chryzantem. To się nazywa takt, to się nazywa umiejętność współżycia, to otwiera środki.

Między nami nie silił się na ideologię. Wszelkie gadanie i tak odskakiwało od nas jak przysłowiowy groch. Tę właściwość wyrobiły niezliczone godziny wychowawcze, podczas których poddawano nas obróbce dźwiękowej. W podobny sposób odbieraliśmy większość określeń, niezrozumiałych przy posiadanych zasobach pojęciowych i lingwistycznych.

– Musicie się uczyć, moje koniki – tak nazywał nas w przyływie dobrego humoru.

Dbął o naszą stajnię, złób, ubranie i nawet rozrywki. Odzwyczał, no! prawie odzwyczał, od niecenzuralnych wyrażań i tresował w odpowiadaniu pełnymi zdaniami. Najchętniej by na tym poprzestał.

– Możemy ucześnieć – nie miałam zamiaru sprzeciwiać się postanowieniu Jury, o czym zostałyśmy uprzedzone przed przekazaniem Ursynowi.

Zwolniono nas warunkowo za poręczeniem klubu, lecz, oprócz zgody na ulepszenie sportem, żądano edukacji w zakresie zasadniczej szkoły ogólnokształcącej lub zawodowej.

W poprawczaku także obowiązywało oświecanie. I co? I nic. Wszystko przelatywało

przez nas niemal bez śladu, jakby w naszych głowach nieustannie wiały przeciągi. Za co też nieustannie padał deszcz niedostatecznych. Nie robił on wrażenia, uczniów nie obchodziły oceny. Nie chcieliśmy chcieć, nie istniały motywacje, nie skutkowały perswazje ani sankcje. W taki sposób do czternastego roku życia wciąż tkwiłam w czwartej klasie, gdzie zapuściłam korzenie przed trzema laty, jeszcze jako depozyt przechowalni niechcianych dzieci. Lalka w tym samym czasie zdążyła ukończyć drugą, u innych przedstawiało się nie lepiej.

– Żadne możemy, Kuna! Musicie. To wasz kapitał na przyszłość – powiedział Ursyn głosem ekstra, przeznaczonym na specjalne okazje.

Naprawdę, nic go nie obchodziło nasze przygotowanie do pozasportowej przyszłości. Mnie też nie spędzało snu z powiek. Miałam piętnasty rok i świat był niezmienny. Trwał zastany i taki miał pozostać na zawsze. Na owo widzenie rzeczywistości nie miały wpływu moje liczne przesiedlenia z Domu do Domu, moja krótka bezpańskość i konsekwencje tej swobody, puszka.

Życie działa się dziś, przyszłość jutro, dalej rozciągała się mgławica. Na nią składały się takie pojęcia jak pełnoletność, opuszczenie domu dziecka, zwolnienie z poprawczaka, także marzenia o owacjach stadionów, cała reszta i kiedyś poza klubowym internatem.

– Będziemy uczęszczać, panie trenerze – zapewniła Lalka.

– Musicie ukończyć szkołę.

– Niech pan mnie nie rozśmiesza, panie trenerze – poprosiłam.

– Tego sobie życzy resort sprawiedliwości! – Ursyn dopiero teraz ujawnił następny warunek, najdotkliwszy: jedna, jedyna dwójka na koniec roku oznacza bezwzględne odesłanie z powrotem pod klucz.

– Dlaczego pan od razu nie powiedział! – rozsadzała mnie złość i nienawiść do ludzi sprawujących nade mną władzę za taki szpetny kawał.

– A jak myślisz, dlaczego?

– Czekał pan, żebym sama wsadziła łeb w jarzmo – chciało mi się płakać. Jeszcze kilka miesięcy temu powrót do puszki przyjąłabym z fatalistyczną rezygnacją, nawet z żalem, ale bez rozpacz, i mogłabym dalej palić łąty ziemniaczane na jesiennych kartofliskach w jakimś obojętnym mi gospodarstwie, które zawsze znajdzie się w pobliżu jakiegoś Domu.

Pół roku temu nie miałam nic do stracenia, lecz po wiosnie w klubowym internacie i po lecie nad Jeziorem, miałam. Pewnie na to właśnie stawiali ci od poprawiania małaolatów i dlatego puścili nas niby na wolność, zaopatrując układ z Klubem w dodatkowe zastrzeżenia.

– Eee, pan trener coś wymyśli – bardzo chciała wierzyć Lalka.

– Już wymyśliłem. Będziecie się uczyć ogrodnictwa – zakomunikował Ursyn i nawet

nie zapytał, czy są pytania.

Wybrał dla nas zasadniczą wieczorową szkołę w ośrodku doskonalenia kadr rolniczych tylko dlatego, że znajdowała się najbliżej klubowego internatu.

Szkoła broniła się przed nami.

Oczywiście, naszej proweniencji, sprawek, za jakie wsadzono nas do puszek dla młodocianych, i wypuszczenia spod klucza niepodobna było ukryć, co Ursyn z pewnością by uczynił, gdyby tylko mógł.

Dyrektor nawet nie chciał nas obejrzyć, starczył widok teczek personalnych posiniaczonych pieczęciami i aresztanckie fotografie, na których każdy ma mordę, a nie twarz. Tak podpadniętych urządziły kamery Sprawiedliwości! Temidy! Wtedy nie wiedziałam jeszcze, co to za gościowna w starożytniej sukni z wagą w ręku i zawiązanymi oczyma, jakby się bawiła w ślepą babkę.

– Nie chcą was u ogrodników, dziewczyny – zawiadomił Ursyn.

– Może spróbować gdzie indziej?

– Gdzie indziej zaraz was złapią, już to widzę!

– My się nie palimy, oni nie chcą, zawiadomić Jurę i gra – poradziłam.

– Wbij sobie w głowę, Kuna, albo szkoła, albo z powrotem do poprawczaka. Trzeciego wyjścia nie masz. I bardzo dobrze! Spójrz na siebie. Piszesz jak analfabetka, wysławiasz się jak analfabetka, nie rozumiesz prostych pojęć. Wstyd cię ludziom pokazać, a za kilka miesięcy będę musiał. Od waszych postępów w nauce zależą środki!

No, skoro mowa o środkach, Ursyn pozostanie niezłomny. Próżno umykać jak pies przed kapielą, i tak zamoczą.

– Najmarniej rok przed nami. Robić, co każą, i trzymać się do ostatka. Później, co ma być, będzie – wyłożyła swój punkt widzenia Lalka. – Nie łam się, nie targuj, nie wkurwiał trenera. Ja ciebie nie rozumiem. Kuna!

Także przestałam siebie rozumieć.

Rezerwę dyrektora rolniczej uczelni Ursyn obnosił po Oświacie, Sprawiedliwości, Kuratorium, Towarzystwie Przyjaciół Dzieci. Wszędzie wyrażał się o Dyrektorze z szacunkiem, wychwalał go na wyrost i prosił o wstawiennictwo.

Swoim zachowaniem Ursyn budził jeśli nie sympatię, przynajmniej przychylną obojętność. Facet nie wieszający psów na innym facecie, który nie chce czegoś załatwić, jest w pejzażu urzędów unikatem, wybrykiem natury jak dwugłowe ciele czy czworonożne kurczę.

Nie przyczyniając sobie niechętnych, trener zyskiwał poparcie wpływowych osób.

Życzliwi Dyrektorowi, jeżeli nie nakłaniali go do włączenia się, wspominali przy okazji o atencji trenera ze Sterny. Wrogowie, zawistni, zachłystywali się humanizmem, byle zrobić go w te małoletnie dziwki, włamywaczki i złodziejki. Taka szarańcza raz dwa zeżre tę zbyt już dobrą opinię i załatwi, żeby się taki za bardzo nie wspiał, albo chociaż przyprawi o zawał. Też dobrze.

Nikt z ważnych ludzi nie mógł Dyrektorowi nakazać przyjęcia elementu, ale moralna presja osaczała pedagoga. No, bo jakże, ateistów, katolików, partyjnych i bezpartyjnych, związkowców z Solidarności i z branżowych, emigrantów wewnętrznych i różne inne światopoglądy zjednoczyła szlachetna pasja i tylko on, właśnie nauczyciel i wychowawca, odmawia udziału w odzyskaniu tych dzieci dla społeczeństwa.

– Dlaczego koniecznie szkoła rolnicza? – bronił się jeszcze, ale już bez przekonania.

– Dziewczęta mają ukierunkowane zamiłowanie – Ursyn niczym magik zamienił w upodobania czarną robotę na zachwaszczonych pegeerowskich zagonach.

– Kopanie ziemniaków, plewienie pod rygorem pan nazywa zainteresowaniami?! I gdzie one będą uprawiać ogrodnictwo, na stadionach?

– Zawód to ich kapitał na przyszłość. Gdy wyjdą ze sportu.

– Ile ich pan ma, szesnaście? Zdemoralizują mi uczniów... No, dobrze, proszę je przyprowadzić. Zobaczymy, co one umieją, od tego uzależnimy poszczególne decyzje.

Groźny warunek był honorową kapitulacją. Obaj o tym wiedzieli.

– Jutro idziecie na sprawdzian. Odpowiadać pełnymi zdaniami. Jeśli nie wiecie, nie kręcić, nie nabierać też wody w gębę, tylko mówić, nie wiem. Żadnych pytań. Uważać na język! Uczesać się gładko, paznokcie obciąć krótko. Ubrać się w wyjściowe dresy, zachowywać jak w internacie urszulanek.

Następnego dnia przekroczyliśmy bramę parku, niegdyś magnackiej rezydencji. Naszemu przemarszowi przez szkolny podwórzec towarzyszyło znane nam szczególne zainteresowanie.

– Patrzcie, idą te – prowadziły nas szepty i natrętne spojrzenia naszych kolegów in spe, korzystających z przerwy w lekcjach.

Gapili się na nas nachalnie, jakbyśmy byli dziwami natury. Szukali w naszych twarzach znamion deprawacji, a nie znajdując nic nadzwyczajnego, czuli się zawiedzeni, że po takich nic nie można poznać.

A my szliśmy jak nieme anioły w swoich szykownych dresach, darowanych przez patriotę zza oceanu, i w sportowych pantoflach zagranicznej marki, ofiarowanych przez Kongregację Kościołów Protestanckich, świątecznie odszorowane i pachnące mydłem

Palmolive ze zrzutów od zawodników naszego klubu murzynujących po bieżniach, kortach i stadionach Europy.

– Dziw, dziw, dziwki! – zaśmiał się szczeciniasty osiłek i w przestrzeń rzucił pytanie o wysokość taksy.

I żadna z nas nie bluznęła, nie wypięła tyłka, nawet nie pokazała języka, od czego nic by nas nie pohamowało jeszcze przed kilkoma miesiącami.

– Trzymać się, dziewczyny, nie zwalniać kroku – zamruczał Ursyn i odwrócił się do tamtego.

Pozezowałam przez ramię.

– Masz resztę – powiedział nasz trener i rąbnął wesołka w zęby, drugim uderzeniem, zwalającym z nóg hakiem, położył go na murawę. – Jak będziesz skarżył Dyrektorowi, powiedz, za co dostałeś!

To miały być owe jagnięta. Tych wyrośniętych dryblasów, wąsatych chłopów i cycate dziewy chciał ustrzec przed naszym złym wpływem szlachetny Dyro.

Zajście trwało moment. Ursyn w mgnieniu dołączył do nas i nikt mu nie zastąpił drogi, i nikt nie pomagał tamtemu zbierać się z trawy. W tej chwili mogłam oddać życie za naszego trenera. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, ktoś w taki sposób ujął się za mną.

Dyrektor już wiedział. Doniesiono mu, zanim osiągnęliśmy pracownię, w której wyznaczono nam sprawdzian.

– Bardzo was przepraszam za nikczemny wybryk naszego ucznia. Jest mi wstyd – powitał nas Dyro i wyglądał naprawdę zmartwiony. O mordobiciu nie wspomniał.

Pod wrażeniem wyrządzonej nam krzywdy Dyro skruszał, tym bardziej że tak z wierzchu nie wyglądałyśmy kryminogennie, co po lekturze naszych teczek personalnych spodziewał się zobaczyć gołym okiem. Nie wysnęło nam się też żadne kompromitujące słówko, tym bardziej że poza: – Nie wiem – niewiele miałyśmy do powiedzenia.

Próba wypadła druzgocąco. Nasze dziewczyny, niezależnie od ilości lat wysiedzianych w poszczególnych klasach, rażąco odstawały od poziomu wstępnego semestru zasadniczej szkoły.

Ursyn był bliski załamania. Dyrektor znalazł się jak człowiek. Nie spławił nas, nie demonstrował świętej zgrozy, nie robił łaski i nie piłował dydaktycznie.

– Najpierw nauczycie się przyswajać wiadomości, płynnie czytać i pisać. Spróbujemy poradzić sobie z tym w pół roku. Przez ten czas nie będziemy wystawiali ocen.

Nasze nieuctwo nasunęło rozwiązanie, jakie bardzo mu odpowiadało. Szkolenie w oddzielnej grupie. My we własnym sosie. Zabezpieczone morale wąsaczy i cycatych. Ale też

znalazł się pięknie. Pół roku bez stopni. Z pewnością wiedział o wiszącym nad nami okrutnym warunku i rozumiał, że walczymy o oddech. A może nie wierzył, że wytrwamy aż sześć miesięcy.

Pozostała tylko sprawa wynagrodzenia nauczycieli. Na nasze przygotowanie mieli poświęcić swój prywatny czas. Ursyn proponował pieniądze z funduszków Sterny, ale Dyrektor odmówił. Obawiał się plotek i uzależnienia od klubu. Więc znowu Oświata i Sprawiedliwość, i znów Sprawiedliwość i Oświata. Teraz już i Dyrektor szkoły starał się razem z Ursynem i wydębili środki.

Wyrachowanie i bezinteresowność, altruizm i pycha, urzędowe miłosierdzie i obojętna litera prawa, suchy przepis i rutyna, szlachetność i egoizm, splecione razem, krok po kroku wyciągały nas na powierzchnię, i teraz z perspektywy czasu myślę, że nawet pomoc ofiarowana nie z wielkoduszności też wydała plon.

W niedzielę po obiedzie, oczekując na film w telewizji, dziewczyny zadekowane za szafą biblioteczną tłukły w oko, w tysiąca albo w durnia. Nieliczne siedzące na widoku ziewały nad chińczykiem lub nad inną podobnie pocziwą rozrywką, tylko Lalka pozostała przy ekranie. Ona, jeśli tylko czas pozwalał, oglądała program ciurkiem. Wyłapywała inteligentne słowa, wiadomości, jakimi można błysnąć, sposób bycia i modę.

Zeszłam do pralni, chciałam zdążyć przed kinem z przepierką, którą powinnam była zrobić w sobotę. Każda z nas miała kosz na brudne ubranie i co poniedziałek Mama sprawdzała, czy pojemniki są puste, a czyste rzeczy na półkach.

– Kuna, śpiewała jedna artystka, co się nazywa Vera Warega! – wbiegła do sutereny Lalka.

– Odpier się – z obawy przed drwinami nie przechwalałam się tutaj moim niezwykajnym pochodzeniem, chociaż nieraz ciężko przeżywałam ową powściągliwość.

– Poważnie. Pokazywali ją ubraną po japońsku w roli Madame Buterflak czy coś podobnego.

Audycję o słynnej śpiewaczce widziała także Mama. W ogóle lubiła wiedzieć, a zbieżność nazwisk dziewczyny wydłubanej z puszki i znanej na świecie operowej divy dała jej do myślenia.

– Vera Warega, może jakaś twoja krewna – zauważyła podczas kolacji.

– Moja matka – przyznałam się bez namysłu.

Wiadomość nie zrobiła na niej wrażenia. Ze smakiem żuła kęs smażonej z cebulą kiełbasy. Ponieważ upominała nas za rozmowę z pełnymi ustami, rozumiałam, sama musiała świecić przykładem, więc czekałam, aż przelknie, ale i wtedy nic nie powiedziała. A

dziewczyny zaczynały już trącać się w boki i robić miny.

– Mama pewnie nie wierzy, bo jestem podrzutek – podjęłam swoje pod wpływem musu nie do opanowania.

W Sternie nigdy nie wypominano nam kulawych życiorysów, ale przecież wiedziano o nas wszystko.

– Czy to teraz ważne? Masz przed sobą przyszłość, Kuna. Nic już od nikogo nie potrzebujesz, lecz matki nie osądzaj, kimkolwiek jest. Nie wiadomo, co musiała przeżyć, zanim cię opuściła.

– Nie porzuciła mnie matka.

– Tylko kto?!

Jakby nic ja, tylko coś za mnie zaczęło gadać. Popłynęła historia, jaką wiele razy sobie opowiadałam i wciąż doskonaliłam, odmawiana niczym modlitwa, gdy było mi źle, gdy dręczył smutek, gdy doskwierała tęsknota za tą, którą wyobrazić sobie umiałam jedynie w postaci damy uczesanej w anglezy, w starodawnej sukni, z kwiatami we włosach i przy dekolcie.

Na schodku Domu położyła mnie zła opiekunka. Matce powracającej z zagranicy powiedziała, że umarłam. Pominęłam tylko pieluchę z adamszkowej serwety i puchową kurtkę, żeby nie narazić się na śmiech, wywoływało to bowiem drwiny już u maluchów.

– Medalion z jej portretem mam na wolności!

– Tu także jesteś na wolności. Dobranoc.

Znowu z niezwykłą siłą odezwała się potrzeba prawdy o moim pochodzeniu i wściekłość na tamtych z domu pod Konstancinem, skąd do tej pory nie nadszedł żaden znak pamięci.

Niech Nonna zwróci medalion. Sama zajmę się zbadaniem tożsamości damy z wizerunku umieszczonego wewnątrz złotego małża. I niech Mama przekona się, czy tak zupełnie zmyślam. I muszę odnaleźć kobietę, co sobie wyśpiewuje w telewizji wystrojona po japońsku, jak gdyby nigdy nic, ani dbając, gdzie poniewiera się jej dziecko.

Zasadziłam się do listu. Miał być ostry, bo żal do nigdy nie widzianej przenikał i mieszał się z pretensjami do Nonny i Dziadka. Oni wszyscy się mnie wyrzekli.

Zmagając się ze słowem pisanym, przypominałam sobie niechęć Nonny do kobiety z medalionu. A może oboje z Dziadkiem kochają mnie i boją się utracić. Nie chcą, abym odnalazła złą matkę, i nie chcą uczestniczyć w poszukiwaniu kobiety, która chociaż nic dla mnie nie uczyniła, mogłaby mnie im odebrać. Być może dlatego nie odzywają się, postanowili przeczekać.

Nareszcie odkryłam motyw ich postępowania. Tak sobie wmawiałam. I napisałam do Nonny ciepły list. Zawiadamiałam, co się ze mną dzieje, jakie mam perspektywy. Z pewnością w pierwszej i drugiej puszcze robiono im trudności w widywaniu ze mną, dodatkowo usprawiedliwiałam ich brak troski. Prosiłam o medalion, ale nie wspominałam o postanowieniu odszukania Damy Kameliowej. Wizyty tylko w niedzielę – donosiłam na zakończenie drukowanymi kulasami z mnóstwem wykrzykników!

List sprowadził Nonnę.

W świąteczny ranek przyjechała nowym, wspaniałym samochodem i wzbudziła zainteresowanie w portierni oraz przychylność Mamy. Wyglądała na gościówkę z lepszego towarzystwa, a nie jak wizyta do sierotek, jak nazywał pedel pojawiające się czasami na dyżurce zapite gęby zionące gorzałą i bez względu na płeć chrypiące sznaps-barytonem.

Nas prawie nikt nie odwiedzał. Z rzadka trafiał się ktoś taki jak ojciec Kingi. W alkoholowym rozczuleniu między jedną flaszką a następną przypomniał sobie o dziecku, ale nim się przyturlał, znowu chciało mu się pić i żądał od córki forsy na wódkę. Odprawiono go, a kiedy się stawiał, portier zatelefonował na posterunek w Osadzie.

Sterna mimo zdemokratyzowania się pozostała ośrodkiem strzeżonym. Kosztowny inwentarz na rozległym terenie potrzebował stałego dozoru. Wstęp wolny mieli tylko członkowie klubu i oni mogli wprowadzać osoby bez uprawnień. Natomiast o wszystkim dotyczącym nas, pod nieobecność Ursyna, decydowała Mama.

Nonna czekała w hallu pawilonu administracyjnego z pudłem w firmowym opakowaniu Bliklego i zgodą Mamy na zabranie mnie do cukierni w Osadzie, gdzie ciastka przypominały klej stolarski, kremy krzepnący gips, a pączkami można było grać w bilard. Lokal posiadał jedyną zaletę, dawał nam poczucie swobody.

– Wyjeżdżałam. Szukałam cię po powrocie, lecz widocznie obostrzyli puszkowe przepisy, bo wypytywano, a kto, a co, dlaczego zależy, jeśli nie jestem rodziną, i w końcu nie poinformowali, gdzie cię trzymają. Tak samo maglowała mnie tutaj ta gruba w złocie.

– Mama.

– Uważaj, powiedziałam jej to samo, co Jurze na twojej rozprawie. Potomstwa nie mam, przygarnęłam bezpieczeństwa dziecko, a chociaż narozrabiło, nie przestało mnie obchodzić, i czuję się za nie odpowiedzialna. Pasuje?

– No chyba.

– Masz tu swoje dziedzictwo – podała medalion owinięty w bibułę.

– Nie zgubię go, nie martw się – zapewniłam, lecz nie chciałam zauważyć urazy ukrytej w skąpych słowach i geście.

– Twoja sprawa, twoje zmartwienie. A teraz, słuchaj uważnie! Dziadek wywiązał się z obietnicy. Gościowna na podobiznie nazywa się tak jak ty, Warega, na imię jej Wera, ale pisze się z cudzoziemska przez V. Teraz przebywa w Japonii na wieloletnim kontrakcie. Na twojej ilustracji jest w stroju z przedstawienia pod tytułem Traviata, co już, jak pamiętasz, rozpoznał Adam. Ona jest tutejsza, ale wyprysnęła do Francji i odtąd do Polski nie zajrzała, tylko rozjeżdża po świecie. Ciebie znaleziono w sześćdziesiątym piątym, ją wyniosło w pięćdziesiątym szóstym, o całe jedenaście lat wcześniej, zanim się urodziłaś. No to puknij się, może być twoją matką?!

Doznałam uczucia ciężkiej straty, zawodu bojącego jak rana i żalu do Nonny za odebranie nadziei. Chciało mi się płakać.

– A kto dał medalion ze złota? – walczyłam o trochę iluzji.

– Może nawet i matka.

– Skąd wzięła taką drogą rzecz?

– A skąd my braliśmy cenne przedmioty? Nie tylko śpiewaczkę stać na wyposażenie dziecka.

– Kto umieścił w środku portret artystki, a mnie zapisał na rękę jej nazwisko?

– Skąd mam wiedzieć! Może któraś z opieki w Domu dziecka wycięła pierwsze lepsze zdjęcie. Przypadek. Spodobała się ta właśnie, nie inna gęba.

– Dlaczego to zrobiła?

– Nie jestem wróżką i brak mi cierpliwości do takich pytań. Piszesz, że chcesz mnie zobaczyć, a jak rzucam wszystko i przyjeżdżam, mordujesz mnie gazetową fotografią jakiejś cudzej baby.

Już tylko dla zachowania twarzy medalion z wizerunkiem damy pokazałam Mamie.

– Przecież to wycinek z pisma – zauważyła jak wszyscy przed nią i sprawdziła próbę kruszcową kosztowności.

– Rodzaj papieru niczego nie zmienia.

– Nie opowiadaj sobie bajek. Kuna. Jeśli nawet ona cię urodziła, a przez piętnaście lat, jakie żyjesz, nie odezwała się do ciebie choćby słowem, tym bardziej nie przyzna się do dziewczuchy z domu poprawczego. Nie łudź się. Więc najpierw zostań kimś, a potem jeśli ci nie przejdzie, startuj do niej. Ucz się, trenuj, bij rekordy. Inaczej będzie rozmawiała sławna śpiewaczka ze sławną lekkoatletką niż z wyrokowcem z przerwą w karze.

Po kursie przygotowawczym nikt nie odpadł. Podjęliśmy normalną naukę w pierwszej klasie zasadniczej szkoły ze specjalizacją ogrodniczą. I katastrofa. Niedostateczny z polskiego. Wyrok. Gorszy od sądowego, który był dla mnie; prawdę mówiąc, niemal

obojętny. Wielkie rzeczy, jeszcze jeden Dom, tylko z dodatkiem poprawczy. Rygory wszędzie podobne, tym bardziej że nie zdawałam sobie sprawy, jak naprawdę żyje się w zakładzie karnym.

Wyrok otrzymany tutaj, mały znaczek: ndt., napisany na marginesie mojego zeszytu lektur, skreślał mnie na zawsze. Strącał na dno, bo dopiero tu zrodziła się na dobre świadomość nędzy dotychczasowej egzystencji.

Powieszę się. Powieszę się w nocy, w kabinie natrysków, postanowiłam. Gdy ogarniała mnie rozpacz, świadomość posiadania ostatecznej, lecz niezawodnej drogi ucieczki pomagała przetrwać kryzys. Teraz nie. Mimo wszystko poprzednio bywała alternatywa, obecnie jej nie dostrzegałam.

Wielkim wysiłkiem zdołałam dźwignąć się na zadnie łapy i nie mogłam już powrócić na czworaki. To groziło złamaniem kręgosłupa, to groziło kalectwem, to groziło śmiercią.

Odbierasz mi życie, ty niedorzężna parowo, ty ścierwo – w myśli miotałam na nią najgorsze obelgi, rodem z zakładu poprawczego, i nie mogłam doprowadzić się do furii, świętego transu, histerycznego szału na pograniczu poczytalności, a na ostatek tak się zahecować, aby ta dziwka długo popamiętała, a jeśli ma skrawek sumienia, aby ją żarło do końca życia jak turkuć podjadek kartofle.

Lecz z lodowej bryły, jaką się stałam, nie mogłam wykrzesać żadnej, choćby malutkiej szajby. Nic. I tylko nienawidziłam. Do dziś pamiętam natężenie tamtego uczucia. Gdyby posiadało moc unicestwiania, zmiotłoby nauczycielkę, rozwalilo budynek i wybiegło na drogę zabijać przechodniów.

Najbardziej nienawidziłam szkoły. Tu mnie rozbroili, tak popodpierali tym swoim humanizmem, wrobili w powściągnięcie odruchów, że nie potrafiłam nawet zdobyć się na amok. Odebrali mechanizmy obronne, a teraz spychali w dół.

– Patrzy na ciebie – grypsowała siedząca obok Lalka, ale pograżona wewnątrz siebie nie zwróciłam uwagi nawet na sójkę w bok.

– Co ci jest, źle się czujesz? – nauczycielka pochyliła się nade mną.

– Muszę z panią porozmawiać – zaczęłam walkę o oddech. Nie wiedziałam – co mam jej powiedzieć, jak przekonać.

– Dobrze. Zostań po zajęciach.

U nas dobiegła końca ostatnia lekcja, ale ona miała jeszcze jedną w innej klasie. Zanim poszłam na spotkanie do pustej o tej porze pracowni pomologicznej, obiegłam szkolny park, by jakoś się pozbierać. Ale ruch, poczucie sprawności własnych mięśni nie pomogły. Zrobiło mi się jeszcze gorzej. Świadomość zagrożenia stała się jeszcze dotkliwsza. Jesienne rudości,

czerwienie i złoto pod stopami bolały.

– Niech mnie pani tak strasznie nie karze! – rozplakałam się z nienawiści do niej, do siebie, za mój ciężki mozół przekreślony małym znaczkiem ndt, za ponížanie się, za upokarzające proszenie o litość.

– Dziecko, uspokój się! Chodź, pójdziemy do mnie, porozmawiamy.

Mieszkała w podworskiej oficynie krytej czerwoną dachówką, stojącej w miejscu, gdzie lipy, klony, kasztany i buki, oddzielone szpalerem topoli, ustępowały warzywnikowi. Mieszkanie mieściło się na mansardzie, miało białe ściany, belkowany sufit i masywne drzwi z mosiężnymi klamkami.

– Siadaj – podsunęła fotel stojący naprzeciw drugiego w przyokiennej niszy oszalowanej deszczułkami.

Pokój Wypełniony książkami, pod stropem z pociemniałego dębu, pod którym przeminęły pokolenia, a on wciąż trwał, promieniował ciszą, spokojem, bezpieczeństwem i jeszcze czymś, co sprawiło, że nie był lokalem, miejscem czy dachem nad głową, tylko prawdziwym Domem. Domem nigdy nie zaznanym, do którego tęskniłam zawsze, nie rozumiejąc, za czym ta nostalgia.

Z pewnością miał duszę. Przebywała w ścianach, w starych murach, kamiennych nadprożach, w słojach wiekowego drewna, przesyconych istnieniem tych, co tu żyli, pracowali, cieszyli się i cierpieli, i marli ustępując miejsca innym, przez stulecia. Była to przychylna, delikatna, dobra dusza. Pod jej dotknięciem zaczęła tajać moja nienawiść, przycichać moja wewnętrzna wibracja.

Wraz z podaną mi przez nauczycielkę szklanką stopniała reszta wrogości, przelknęłam ostatnie łzy i opanowałam rozdygotane ręce. Moje samotne, wiecznie głodne serce karmiło się byle okruczem. A ona go rzuciła. Dała razem z herbatą, biszkoptem i kawałkiem czekoladowego batonu, jakie sprzedawano tylko na kartki dla małałatów. W internacie też czasami dostawałam czekoladę, nawet lepszą, ale ona odjęła ten kęs swoim dzieciom.

Nienawidziłam ludzi, nie ufałam nikomu, a kupić mnie było można odrobiną uwagi, przyjaznym gestem, cieplejszym słowem. Już wiedziałam, powiem jej rozpaczliwie ukrywaną prawdę. Może ona zechce pomóc, jeśli to w ogóle możliwe.

– Zrozum, dwójka nie jest karą, tylko oceną umiejętności – powróciła do mojej skamlącej odzywki.

– Dla mnie wyrok.

– Znam twoją sytuację, lecz warunek dotyczy stopni na cenzurze. Ten jest dopiero sprawdzianem, sygnałem, że musisz pracować. W ogóle przestałaś czytać, dlaczego?

Niedostateczny osiągnął mnie za nieznamość obowiązującej lektury.

– Czytam, ale treść do mnie nie dochodzi. Nie tylko do końca roku, do końca życia nie dotrze.

– Przecież zupełnie dobrze radziłaś sobie na kursie przygotowawczym. Skąd teraz nagła zapaść?

– Dziewczyny opowiadały książki i robiły bryki, ale już nie dają rady. Same nie nadążają.

– Nie rozumiem?!

– Ja się nie migam, proszę pani, czytam. Czytam, czytam i nie wiem, co czytam. Mnie brakuje tej, no... percepcji. Myśli mi skaczą jak pchły w piasku i nie przyswajam. Jakbym mózgownicę miała zamkniętą na klucz – wyjawiałam jej swoje kalectwo.

– A *Księgę dżungli*, *Qvo vadis*, *Trzech muszkieterów*, *W pustyni i w puszczy*, *Hrabiego Monte Christo* też znasz ze streszczeń?

– Nie. Te usłyszałam przy ognisku.

Na kursie przygotowawczym, nauce bez stopni, nauczycielka prowadziła z nami, między innymi, zajęcia, na których opowiadałyśmy przeczytane książki. Najbardziej ze wszystkich lubiłyśmy owe godziny, a ona w taki sposób uczyła nas wysławiania, poprawiała wymowę, sprawdzając jednocześnie ogół posiadanych przez nas wiadomości.

Powtórzyłam wtedy najpiękniejszą ze znanych historii, ale we własnym opracowaniu. Syczałam jak wąż Kaa, mówiłam głosem czarnej pantery po kociemu, grubo mruczałam na niedźwiedzi sposób, naśladowałam mający nadzwyczajne wyobrażenie o sobie bander-log i mądrego wilka Akele.

Od wplecenia w opowieść Jeziora i Łabędzia powstrzymało mnie jedynie podejrzenie, że nauczycielka także zna tę powieść. Wówczas danym mi zostało zakosztować sławy. Niezupełnej, bo dostałam maxa – notę najwyższą za interpretację, ale zero za nieznamość tytułu i nazwiska autora.

– Jakie książki przeczytałaś samodzielnie?

– Ani jednej.

– Dlaczego od razu nie powiedziałaś o swoich kłopotach?

– Bałam się, że takiego przygłupa odeślą z powrotem.

– Nie jesteś przygłupem, tylko brakuje ci pewnych nawyków. Musisz je w sobie wyrobić, chociaż przez jakiś czas będzie ci ciężko. Później owo niezbędne skupienie zacznie pojawiać się samo, z chwilą gdy otworzysz książkę.

– Jak w sporcie?

– Nie wiem. Nie znam się tak dalece na sporcie. A jak to jest? – ujmował jej brak pretensji do znania się na wszystkim.

– No, koncentruję się na jakiejś czynności, myślę o niej.

– I udaje ci się zatrzymać myśl?

– No, chyba!

– Podobnie jest z czytaniem. Można je wyćwiczyć jak zdolność biegania czy pływania. Także wymaga ześrodkowania uwagi. Rozumiesz?

Rozumiałam. Lecz wypracowanie owej umiejętności przyszło mi z wielkim móżdżem. Najtrudniejsza, najwyżej ustawiona poprzeczka. Przed załamaniem broniła Kunę przed Kuną nauczycielka. Zapracowana kobieta jak chleb dzieliła swój wolny czas, by plewić mój utajony analfabetyzm, nawarstwiany przez wszystkie wysiedziane w ławkach lata.

– Co pani z tego przyjdzie? – nie pojmowałam przyczyn kierujących jej postępowaniem!

– Widzisz, Kuna, pomoc darowana drugiemu nie ginie. Ona się gdzieś kumuluje i wraca do człowieka, kiedy się znajdzie w potrzebie. Świadczyć innym to najlepszy interes – roześmiała się.

– Pani żartuje. Ja nikomu nic dobrego nie zrobiłam.

– Zawsze możesz spróbować.

Umiejętność czytania zdobywałam stopniowo, krok za krokiem. Opornie poddawała się ziemia nieznaną, aż przyszło olśnienie. Już niczym nie zakłócone wybiegały na spotkanie poznawane treści. Bez tajemnic leżał przede mną otwarty świat książek, dostępny i pociągający jak bieżnia. Całe życie pamiętać będę smak tamtego zwycięstwa.

To działo się wieczorem. Wydostałam się przez okno w kabinie natrysków na taras. Stamtąd zjechałam po kolumiencie i skok przez pnącze, i skok przez płotki, i stumetrówka i Dom, i werbel w wiekowe, dostojne wierzeje.

– Proszę pani, ja rozumiem!

– Udusisz mnie, Kuna!

– Nie umiem pani podziękować!

– Również bardzo się cieszę. Marsz do łóżek – zaganiała dzieci, które wyścibily ciekawskie pyszczki zza jakichś drzwi w głębi mieszkania.

– Przepraszam... ja tak nie w porę – bąknęłam speszona. Dopiero teraz naszło mnie opamiętanie.

– Jesteś tu zawsze w porę. Zapamiętaj sobie i przychodź, jeśli coś sprawia ci radość i jeśli masz zmartwienie. Chodź, uczymy triumf konfiturami z wiśni – zagarnęła mnie do

pokoju z przyokienną niszą, gdzie przy mojej pierwszej bytności odkryłam duszę Domu.

– Postaram się zrobić coś dobrego, żeby chociaż trochę zwrócić to, co pani włożyła we mnie – wyjąkałam na pożegnanie i wpisałam ją do mojej ojczyzny, gdzie już przebywał Łabędź i Jezioro. Po raz pierwszy tak wyraźnie odczułam, że ojczyzną może być nie tylko miejsce na ziemi, ale i drugi człowiek.

Do niej przyszedłam po pomoc, gdy w telewizji znowu mówiono o japońskich występach damy uczesanej w anglezy i wspomniano jej rolę w warszawskich przedstawieniach.

– Proszę mnie zabrać do Warszawy – opowiedziałam nauczycielce, starając się nie ubarwiać, wszystko, co wiedziałam o swoim pochodzeniu. Ona przekonała Ursyna. Pozwolił mi pojechać pod jej opieką.

– Mam ci towarzyszyć? – zapytała, gdy zatrzymałyśmy się pod kolumnadą Teatru Wielkiego.

– Nie. Muszę sama. Dziękuję pani – przekroczyłam oszklone drzwi i onieśmielona przystanąłam w przedsiönku.

– Szukasz kogoś? – zainteresował się portier.

– Portretu Very Waregi – odpowiedziałam jak w natchnieniu i podsunęłam mu pod oczy moją gazetową miniaturę.

– Z Trawiaty – dotknął kruchego papieru.

– Proszę uważać! – przestraszyłam się, by nie rozpadł się zetlały wizerunek.

– Stary wycinek – zamruczał, lecz nie dodał nic więcej. Złoty, lśniący bogato małż wzbudził szacunek nawet w przepychu foyer.

Portier przyjrzał mi się, potarł czoło. Śmiesznie sterczały mu siwe kosmyki wokół okrągłej łysiny.

– Chodź, zdaje się mamy taki fotos.

W galerii, pełnej podobizn artystów, wisiała duża odbitka damy z mojego medalionu, a raczej moja dama stanowiła pomniejszenie tamtej. Ukośnie U dołu fotografii widniał odręczny podpis: Rodakom, wspaniałej publiczności i Teatrowi Wielkiemu, Vera Warega. Warszawa w marcu 1965 roku.

– Czy to znaczy, że ona była tu w sześćdziesiątym piątym?

– Była, śpiewała i rozdawała autografy. Spóźniłaś się na tę okazję o piętnaście lat – roześmiał się stary człowiek.

Głęboko poruszyło mnie dokonane odkrycie. Zostałam okłamana przez Nonnę w najważniejszej sprawie. Po raz pierwszy tak zupełnie zwątpiłam w jej sympatię, w jej szczerść, w jej bezinteresowność i uciekłam do przyjaciół niezawodnych, do książek.

Począł mnie trawić nie znany dotychczas głód. Głód treści zamkniętych w paciorkach liter. Nasza biblioteczka w kącie hallu przestała być dla mnie rodzajem fikusa, jeszcze jedną witryną do odkurzania co tydzień, podobnie jak klubowe trofea za szkłem.

– Kuna, tylko się nie przegryź na wylot – śmiały się dziewczyny widząc mnie wciąż z nosem w książce.

Ursyn zaczął się wściekać.

– Masz robić wyniki, a nie czytać powieści! – wykrzyczał.

– Przecież trenuję, czego się pan czepia!

– Chcesz zostać intelektualistką, twoja sprawa, ale nie u mnie. Ja kształcę wyczynowców.

– Najpierw pan żąda oglądy, poziomu, zapędza do szkoły, a jak się człowiek przykłada...

– Masz się przykładać do programu zasadniczej szkoły rolnej, a nie aktorskiej. A co tutaj masz? – wyrwał mi tom. – Proszę, dramaty Shawa. Klub nie będzie płacił za twoje prywatne hobby!

Milczałam. Nie było sensu tłumaczyć, że Pigmalion jest sztuką o podobnej do mnie dziewczynie i muszę rzecz poznać do końca. Jakież to dla niego miało znaczenie, jeśli nawet o drgnięcie stopera nie poprawiało mojego czasu na sto metrów przez płotki.

– Twoim pierwszym obowiązkiem jest bieżnia. Żebym drugi raz nie musiał powtarzać.

– Tak, proszę pana – zaczęłam ukrywać się z moją nową pasją, ale przestałam zarywać noce. Skończyło się czytanie pod kołdrą przy kieszonkowej latarce. Kryzys. Wraz z innymi artykułami ze sklepów znikły baterie i nie udało się ich zdobyć w całej okolicy.

Rzetelnie pracowałam na treningach. W ogóle lubiłam biegać, ale teraz zabrałam się ostro do roboty. Do marzeń o sławie doszedł jeszcze jeden powód. Móc postawić się Ursynowi. Móc w wolnym czasie robić, co mi się podoba, to znaczy czytać.

– Tak, proszę pana, nie, proszę pana – przestałam się odszczekiwać, aż zaczął się dziwić.

– Coś tak wygrzeczniała. Kuna. Robi mi się nieswojo!

– Staram się, proszę pana – odpowiadałam bezkonfliktowo. Właśnie skończyłam ostatnią powieść z internatowego zbioru i, zanim obmyśliłam szwarcowanie książek ze szkoły, zabrałam się za słownik. Był jeden. Doroszewski. Jedenaście tomów z suplementem.

Nowe odkrycie. Czytałam hasła jak leci, ciurkiem. Z czasem mi przeszło, ale wówczas dopiero odsłonił się przede mną ten zupełnie nowy ład. Bawiłam się wyrazami, układałam antonimy, kolekcjonowałam synonimy.

Nasz trener był wobec dziewczyn nie tylko chamski, ale także ordynarny, wulgarny, trywialny, prostacki, nieokrzesany, grubiański, karczemny, płaski – powtarzałam w myśli stale wzrastającą litanie, ilekroć mi dokuczył, i wciąż wyszukiwałam podobne określenia.

Również z leksykonu wzięłam moje nowe imię. Nie, nie obrzydła mi moja ksywa, o którą staczałam ciężkie boje. Zawsze ją wolałam od zapisanej w metryce Pelagii. Ale olśniła Mustela, chociaż była niczym innym, tylko tą samą Kuną, nazywaną także Tumakiem. A jednak bardziej mi pasowała do stanu mojej świadomości i aspiracji. Odpowiadała jeszcze i dlatego że, nie wypierając się, brałam jakby w nawias życie, w którym byłam Kuną, stworzeniem prześlizgującym się między kratami, aby grabić. I owo przemianowanie miało coś z obrzędu, z zaklęcia, z magii. Wierzyłam, że wraz ze starym przezwiskiem zdjęty zostanie ze mnie zły los.

Tylko Nauczycielka zrozumiała sens tej zmiany. Nie wypytywała mnie, nie odradzała, nie proponowała powrotu do Pelagii czy jakiegoś człowieczego imienia z patronem w kalendarzu. Przeszła do porządku, jakbym nigdy nie nazywała się inaczej.

Z Ursynem nie poszło tak gładko.

– Przy przyjęciu miał pan opory do mojej przewy – przypomniałam dyplomatycznie.

– O co chodzi. Kuna?

– Proszę mnie nazywać Mustela.

– Odbiło ci?

– Odrzucam ksywę, chcę mieć imię, czy to takie dziwne!

– Mustela? Pewno z jakiegoś romansidła.

– Ze słownika. Może pan sprawdzić.

– Niechaj ci będzie, ty... intelektualistko.

Zanim się przyzwyczaił, często zapominał, ale później mylił się naumyślnie, ilekroć chciał mi dogryźć albo w ogóle gdy bywał zły, niezadowolony lub zwyczajnie miewał muchy w nosie.

Najbardziej jednak dokuczało jego ulubione powiedzenie, przypominające o naszym statusie, o naszej dużej pauzie, której trwanie wciąż głównie zależało od niego. Mógł ją w każdej chwili przerwać, a nas z powrotem wtrącić tam, skąd wziął, jak przedmiot ze śmietnika.

– Tęskni świnia do błota – syczało nad nami jego ulubione powiedzenie, jak żądło miedzianki, żmii, co się też nazywa gniewosz plamisty. Ładnie!

– Pańskie przysłowie nie jest adekwatne – właśnie obłaskawiłam niedawno zdobyte słowo.

– Dlaczego, mądralo?!

– W szkolnej chlewni prosiaki są czyste i wyglądają jak z różowego marcepanu. Nie brudzą na podłogę, tylko do odpływu. Świnia wcale nie tęskni za błotem, tetła się w nim tylko z braku wody – nie mogłam sobie odmówić demonstracji świeżo zdobytych wiadomości.

– Uważaj, żeby tobie nie zabrakło – mruknął. Taki był małoduszny. Nadużywał władzy i nigdy nie wiedziałyśmy, kiedy człowiekowi dopiecze.

Jeszcze nie mogłam pokazać mu zębów, co zrobię, jak amen w pacierzu, kiedy już nie będzie mógł mnie wyrzucić, gdy stanę się cenna dla klubu – obiecywałam sobie. Potrzebuję jeszcze trochę czasu. Jeśli mi się uda, Ursyn zmieni ton.

Już w tamtym okresie miałam doskonale czasy w biegach na krótkich dystansach, niewiele gorsze od naszej krajowej czołówki, ale Ursyn nie pokazał mnie jeszcze ani razu, zresztą żadna z nas nie wystąpiła dotąd w otwartych zawodach, Klub, czyli trener, nie wystawiał nas. Wciąż jeszcze, według niego, przedstawiałyśmy materiał.

Materiał miał swoje kategorie, należałam do pierwszej. Tylko mnie i jeszcze dwie dziewczyny Ursyn zabrał na zgrupowanie w wysokie Tatry, gdzie ćwiczyły młodsze juniorki i juniorki przed eliminacjami do międzynarodowych zawodów: Nadzieje Olimpijskie.

– Sprinter – mówił nasz trener – to talent, nieprzeciętne mięśnie, uwarunkowanie genetyczne. Z tym się przychodzi na świat, nie można nabyć ani się nauczyć. Jedynie oszlifować jak diament!

Byłam diamentem!

Z upodobaniem pozowałyśmy na sportowe wygi. Skielkowaną pszenicę i zieloną pietruszkę – codzienne składniki naszej diety treningowej – nazywałyśmy koks, co w zawodniczym żargonie oznaczało środki dopingowe, i rozprawiałyśmy o zaletach i wadach sprinterskiego sprzętu.

– Kusy biegał w kolcach robionych na miarę przez warszawskiego szewca – mądrzyłam się szpanując zasłyszana od Ursyna wiadomością.

Wybrzydzałyśmy na wyroby fabryki z Wałbrzycha, liczył się tylko tiger albo puma, ale każda chciała mieć adidas. I Ursyn się wystarał, chociaż firmie bardziej zależało, aby ich reklamowe obuwie obnosili po stadionach świata Wszola czy Szewińska, a nie tacy jak my, sportowy motłoch, o którym jeszcze nikt nie słyszał.

Z wysokich Tatr powróciłam szybka jak mały samochodzik i opalona na brąz.

– Jutro będziemy mieli gości – zawiadomił Ursyn.

– Rada Opiekuńcza – nietrudno było zgadnąć, poza panią Kasią nikt inny nas nie odwiedzał, a ci też z rzadka.

– Nie tylko. Wszyscy, którzy na was łożą. To nie popis, wyłącznie trening, musicie dać z siebie wszystko. Oni powinni wyjść stąd przekonani, że ich środki nie idą na marne.

Zrozumiałam, dlaczego Ursyn tak nas ganiał na zgrupowaniu i z niczego nie był zadowolony.

Stawili się wszyscy. Zgodnie zasiadło na honorowej trybunie miłosierdzie państwowe, społeczne, samorządowe, zrzeszone, niestowarzyszone, klubowe i prywatne.

Przed startem zajrzała do nas Mama.

– Sikoreczki, pan Henry Gonshor przysłał różne dobre rzeczy. Dzisiaj dostaniecie czekoladę z orzechami! – to był ten patriota zza oceanu, który już miał wszystko, a teraz skupował po świecie polonika i ofiarowywał je muzeum, fundował darowizny, wspierał sportowców i zdemoralizowane dzieci. Pracował na nieśmiertelność.

– Niech żyje Mama!

– Trzymam za was kciuki, Sikoreczki!

Lubiłyśmy Mamę. Tęga, uśmiechnięta, zawsze miała życzliwe słowo, nigdy nam nie dokuczwała tak jak Ursyn, nigdy nie dawała odczuć swojej władzy. Zarządzała finansami klubu i subkontem eksperymentu. Niezależna od naszego trenera, stanowiła z nim hybrydę, jak karciana figura.

– Darowano nam mydło, pokwitujcie, Sikoreczki! – przychodziła przed treningiem wymachując listą.

Każda podpisywała swoją linijkę i żadna nigdy nie zapytała, skąd i ile otrzymaliśmy tego mydła. Później dostawałyśmy po kostce Palmolive albo francuskiej Rexony, albo szwedzkiego Shield czy Tval. Oprócz luksusów od czasu do czasu, miałyśmy też należny przydział, lecz Mama skutecznie broniła nas przed rodzimym Zefirem czy już zupełnie dennym Karatem, konsystencją i wonią przypominającym kompost z padliną.

– Co oni robią, żeby tak paskudzić! – dziwowała się Mama nad produkcją mydeł dla ludności i zdobywała na nasze kartki zawsze coś lepszego.

Nigdy nie brakło nam środków higieny. Klub korzystał z dodatkowej puli przyznawanej poza reglamentacją internatom i innym ośrodkom opiekującym się młodzieżą. Na nasze potrzeby przeznaczano jednak znikomą część owych zasobów.

– Ofiarowano czekoladę – zbierała nas w hallu pod serwantką z klubowymi trofeami. – Jest tego dużo. Nie mamy gdzie trzymać i po co ma się starzeć. Proponuję część sprzedać, a za uzyskane pieniądze kupić wam rajstopy, zgadzacie się?

– Zgadzamy... amy... amy!!!

– Więc podpiszcie tutaj, tutaj i tutaj.

– Przesłano mąkę, ryż, płatki z kukurydzy, mleko w proszku, w płynie, kawę, herbatę, cukier, kakao, konserwy, słoninę, masło, proszek do prania, pastę, soki cytrusowe. Wymienimy, sprzedamy, nabędziemy, odłożymy na lato, na dietę treningową...

– Samorząd jest proszony o zapoznanie się z kwartalnym raportem dla Rady Opiekuńczej. Proszę o uwagi, Sikoreczki!

Samorząd to wciąż byłam ja, Lalka i Kinga.

Zgodnie z wypracowaną etykietą przyjmowałyśmy z rąk Mamy sprawozdanie i przez chwilę przerzucałyśmy kartki maszynopisu, bo ona lubiła, żebyśmy czytały. A chociaż wszystko odprawiało się w myśl niewypowiedzianego układu i byłyśmy świadome swej roli, mimo wszystko schlebiał nam ów ceremoniał i nasze pozorne znaczenie.

– Nie mamy uwag – mówiłam ja albo Lalka, albo Kinga i skwapliwie smarowałyśmy swoje zakrętasz na ostatniej stronie pod nagłówkiem: samorząd grupy.

– Oraz dziękujemy naszej kochanej Mamie, trenerowi i Radzie Opiekuńczej za... – proponowałam ja albo Kinga, albo Lalka.

– Jeśli już koniecznie chcecie coś takiego dodać, mnie wymieńcie na końcu – skromnie prosiła Mama.

Zmieniałyśmy porządek, na początek wstawiając Radę Opiekuńczą i wszystkie się wzruszałyśmy, a najbardziej Kinga, stuk, kabel i lipo Ursyna. Donosiła ze strachu, miała najgorsze z nas wszystkich wyniki.

Odstawiałam tę hecę nie z lęku. Nie czułam się bezpośrednio zagrożona, chociaż stale toczył mnie ukryty gdzieś w głębi niepokój, ale nie on był powodem mojego zachowania. Brałam udział w owym przedstawieniu z czystego bezinteresownego oddania, psiej usłużności, która w większym lub mniejszym stopniu tkwiła w każdej z nas.

Wiedziałam, w co się tu gra. Moje koleżanki też wiedziały. Nigdy tego tematu nie ruszałyśmy między sobą. Nie czułyśmy się poszkodowane. Gdyby któraś z nas otrzymała bodaj jeden cukierek, bodaj jedno mydło lepszego gatunku więcej od pozostałych czy niezasłużoną pochwałę, mogłoby dojść do draki czy wybuchu. Byłyśmy wściekle zawistne o siebie, lecz wcale nie oburzało, że Ursyn z Mamą zbierają śmietanę. Wydawało się naturalne jak to, że drzewa wypuszczają liście na wiosnę, a tracą jesienią.

Ursyn starał się o środki. Mama dokonywała cudów księgowania i biła rekordy zapobiegliwości, aby za asygnowane przez Jurę i Klub pieniądze tracące z dnia na dzień siłę nabywczą, wydrzeć dla nas lepsze kęsy. Nadające się do chodzenia buty, bieliznę i całą resztę.

Płacono im za trud. Owszem. Ale poprzednio uzależniona bywałam od ludzi, którym

także państwo wynagradzało opiekę nade mną, a oni kradli nawet moje jedzenie. Natomiast tutaj nigdy nie chodziłam głodna, obdarta czy niedomyta, nie cierpiałam zimna. Nasi opiekunowie należeli do kombinatorów niezwykłych. Żadne tam dziwki, nieróbstwo czy pijaństwo. Oni mieli ideę. Reeducacja przez sport. Realizując ją, pilnie dbali o własne interesy.

Niecałe półtora roku obcowania z nimi przybliżyło otaczającą mnie rzeczywistość.

Gdy ja siedziałam w puszce, na zewnątrz zbuntowali się obywatele, i chociaż echa tych przewalaneek wyciszały mury, jednak coś przenikało. Mnie ni ziębiły, ni grzały problemy, które wzbudziły ludzki gniew i niezadowolenie. Miałam na pieńku ze społeczeństwem i wszystkimi jego instytucjami od rządu po ogródek jordanowski.

Zanim trafiłam swój wielki los, skrzydło burzy zawadziło o ośrodek klubu Sterna, przewróciło prezesa i wymiotło zbyt już przyssanych działaczy. Wtedy nagle tutejsze władze ze zdumieniem spostrzegły luksusowy bungalow i jeszcze kupę świetnych urządzeń, zbudowanych kosztem wielu milionów złotych, rozlokowanych z rozmachem na dziesięciu hektarach gruntów odebranych Kurpiom i służących tylko osobom wybranym.

Przykoszono mandarynów, paru się przewróciło, kogoś tam zapuszkowano, więc i klub skorzystał z okazji i czym prędzej otrząsnął się z kłopotliwego balastu, podupadłych na opinii i znaczeniu byłych palatynów.

Pomór padł i na etatowych pracowników ośrodka, bo walili się razem z protektorami. Z funkcyjnych pozostali tylko stary Kurp, Ursyn, kilku trenerów i Mama.

Nokaut wymierzyły KS Sternie zakłady przemysłowe. Przestały płacić na utrzymanie ośrodka. Położono kres feudalnemu prawu pozwalającemu dyrekcji w sposób niekontrolowany dysponować funduszem zakładowym. Skończył się kosztowny mecenat sprawowany w imieniu załogi, bez pytania jej w ogóle o zdanie.

Na poczet rozliczeń próbowano zabrać przynajmniej bungalow wzniesiony także za pieniądze kombinatu, ale klub niczego nie oddał ze stanu posiadania. Roszczenia wyciszono szlachetnym hasłem reeducacja.

– Przez sport do dziewictwa – prychnęła Lalka, gdy przejrzałyśmy wreszcie przyczynę naszego wielkiego losu.

Mimo narodowej bryndzy od morza po Tatry wysupłano pieniądze na naszą gromadkę. Środki spływały z różnych źródeł. Włączyły się również organizacje społeczne, charytatywne i osoby prywatne, bo byliśmy tą zbłąkaną owieczką, którą dobry pasterz na własnych barkach przynosi do stada, ponieważ sama już nie potrafi powrócić.

W pewnym sensie ośrodek czerpał korzyści z nas i dla nas. Ale nasza egzystencja, jak

awers i rewers jednej monety, była niepodzielnie związana z opiekunami. Rzucenie cienia na Ursyna mogło zniszczyć eksperyment. Po skandalu, jaki by nastąpił, nie było pewne, czy ktoś inny chciałby wziąć odpowiedzialność za te małe kanalie, co wykończyły trenera i zarządzającą, która przeżyła paru prezesów, trzy wstrząsy polityczne i już czwartemu pokoleniu zawodników wypłacała stawne.

Dlatego nikt nie wydusiłby z nas słowa o gospodarczych obyczajach wychowawców, dlatego nie wspominaliśmy o systemie zaopatrzeniowym nawet między sobą. A poza tym, komu dano by wiarę, nieletnim prostytutkom, złodziejkom, włamywaczkom, dziwkom chodzącym na wabia z bandytami, prowodyrom buntu w zakładzie poprawczym; krnąbrnym, złośliwym i głęboko zdemoralizowanym? Ursyn rozdeptałby niewdzięczny narybek.

Mieli w nas oddanych kundli, wiedzieli o tym, czuli się bezpieczni. I była to jedna prawda o mnie. I była prawda inna. Bardzo lubiłam biegać, bardzo lubiłam czytać i dążyłam do piękna, i chciałam stać się etyczna i sprawiedliwa, i nie kłamać, nie kantować, i mieć szlachetne ideały, jak pisano w różnych książkach, lecz nie mogłam sprostać.

Powiedzmy, zakapuję opiekunów – zastanawiałam się czysto teoretycznie nad naszym węzełkiem. Może i przestaliby kraść, lecz jeśli się wykrecą, ja ryzykuję powrót do puszki, czyli najgorsze, co może mnie spotkać.

Nie dawałam rady, gubiłam się w meandrach etycznych. Moje moralne garby próbowała łagodzić Nauczycielka, ale nawet jej nie zwierzyłam się z klubowych układów.

Obawiałam się bezkompromisowości mojej szkolnej wychowawczyni, a gdyby i ona okazała się życiowa, runąłby jej autorytet, czego lękałam się tak samo. Życiowa byłam i bez niej i nie gryzło mnie sumienie, że Ursyn z Mamą zbierają śmietanę, a ja, kierując się własną korzyścią, wspierałam ich milczeniem, udawaniem samorządu i własnym podpisem. No i na zdrowie!

Trening naszej grupy przed dysponentami środków wypadł zadowolająco. A ja swój czas na sto metrów poprawiłam o sekundę.

– Byłaś dobra – Ursyn po raz pierwszy własnoręcznie podał mi dres. Chwalił rzadko i skąpo, tym bardziej ceniliśmy te jego mruknięcia.

– Jejku, ale się cieszę! – w podobnych chwilach kochałam go jak najlepszego kumpla i nie pamiętałam mu żadnych jego chamstw.

Jeszcze trwała we mnie bieźnia, czułam szybkość własnych nóg i wytrzymałość mięśni, pod powiekami szary pas umykający na boki i widok elektronicznego zegara na czarnej tablicy. Euforia. Wraz z powietrzem wdychałam radość ze zwycięstwa i żal, że już się dokonało.

– Masz wielki talent – pochwalił mnie dostojny ramol, podagra i nazwisko, honorowy szef Rady Opiekuńczej. Wymienił imiona poprzedniczek i największe, Szewińskiej.

To było szczęście. To było wielkie szczęście. Porównanie mnie z Tą sławną, wspaniałą, która nigdy nic nie ukradła i nie trafiła do poprawczaka, i nigdy nie zrobiła żadnego włamania, nigdy nie stała na lipie, tylko zawsze szła właściwą drogą.

– Masz talent, ale nie zadzieraj nosa – powiedział Ursyn, gdy opuścili nas podjęci skromnymi kanapkami goście.

– Co by mi przyszło z zarozumiałstwa i tak bez pana jestem niczym – zamerdał mój wewnętrzny kundel. Długo go miałam, jeszcze i teraz niekiedy dochodzi do głosu.

Pierwsze prawdziwe zawody. Eliminacje przed spartakiadą juniorów. Pusty stadion, czwartorzędna drużyna i czwartorzędni sprawozdawcy, raczkujący w fachu autorzy pięciu wierszy tygodniowo na ostatniej stronie. Pismo sportowe i dwa codzienne, regionalne i stołeczne. Stali na korytarzu prowadzącym do szatni.

– Który to garnitur Sterny? – ziewnął regionalny.

– To nie garnitur, to negliż – błysnął dowcipem sportowy.

– Sierotki – specjalnym tonem podkreślił stołeczny.

– Wy biedne skurczybyki – zagrypsowałam przechodząc obok. Obejrzeni się wszyscy trzej, nie bardzo rozumiejąc, skąd dochodzi sceniczny szept.

Skoś pustych trybun jak stadko kuropatw garstka z urzędu wiernej nam publiczności, a wśród zaproszonych dyrektor szkoły rolniczej i moja nauczycielka, prezes Geesu i Naczelnik Osady – dzięki nim na nasze przydziały kartkowe Mama otrzymywała mięso, a nie gnaty – Henry Gonshor, nasz darczyńca, jak nazywał siebie w zastygłej polszczyźnie sprzed stulecia, i bogata Dama z Kanady kolekcjonująca lubienie.

Pierwszy sukces!

Musowałam jak Moët chandon, którego smaku zakosztowałam u Zyty i Ramony. Na sto metrów ustanowiłam nowy rekord Polski w klasie młodzików, o ułamek sekundy wyprzedziłam najlepszą. Wyniki były nieoficjalne, ale najkrótszy czas w kraju należał do mnie!

– Dziękuję, Mustela – Ursyn podał mi dres i narzucił na ramiona koc. Naprawdę wzruszony nie powiedział nic więcej, tylko uściśnął mi ręce. Po raz pierwszy widziałam go takiego. Rzuciłam mu się na szyję, znów stał się dla mnie najbliższym człowiekiem.

Stłoczyli się wokół nas sprawozdawcy. Nagle opuściła ich zblazowana rezerwa doświadczonych żurnalistów, starych wyjadaczy, którzy przypadkiem zbłądzili między najpośledniejszy garnitur stołecznego klubu.

– Rewelacja, bomba! Jaki ona się nazywa? Mustela? To imię czy nazwisko?

– Mustela i nic więcej – zdecydowałam nie czekając, co odpowie Ursyn.

Gazety napisały o mnie, a sportowa nawet na pierwszej stronie i z wybitym tłustą czcionką tytułem Mustela, pod fotografią Lalki. Coś im się widać pokręciło w redakcji, ale najpewniej reporterowi. Wszyscy trzej wpatrywali się w nią jak cielęta i chociaż tacy wyszczekani, zatkało ich, gdy Lalka zajaśniała snopem złota, które nagle buchnęło spod ściągniętego czepka.

Nie musiała nic mówić, starczyło, jak szła w jasnobłękitnym kostiumie, wysmukła i długonoga, a jednak wszędzie gdzie trzeba wypukła.

Teraz szczerzyła z pierwszej strony dziennika te swoje równe, jak sztuczne, zęby, a mnie gryzła gorycz. Nawet w szkole rolniczej wszyscy gratulowali Lalce, a przecież i bez tego świeciła jak anioł na choince i żaden mężczyzna od piętnastu do stu lat nie przeszedł obok niej obojętnie. Jedynym pocieszeniem pozostawał fakt, że na marnym gazetowym papierze nawet ona traciła na piękności.

Właściwie nie rozumiałam, dlaczego wciąż pokazuję się z Lalką. Przy niej nie miało się szans, człowiek szarzał i brzydł w oczach. Stanowiła niedobre tło dla zwyczajnej dziewczyny. Mnie przy niej nikt nie zauważał. Ale ją lubiłam. Nie można mieć pretensji do kwiatów, że kwitną, czy do jabłek”, że mają rumieńce.

Telewizja zaproponowała mi przeprowadzenie wywiadu.

Ursyn miał duże opory, ale reporter nalegał, a ja też drążyłam, by odzyskać w całości mój sukces, a nie tak ni pies, ni wydra.

– Dlaczego mam cierpieć za kogoś, kto pomylił zdjęcia – przekonywałam Ursyna.

– Niech ci będzie. Spróbuj jednak nie wypaść jak sierotka! – o to chodziło. W jego interpretacji ów eufemizm zabrzmiał lekceważąco, przypominał mój kryminalny rodowód.

Przygotowywałam się do spotkania w cichości, przed lustrem ćwiczyłam wygląd i poprawną wymowę, chociaż nie odróżniałam się już zbytnio od przeciętnych uczennic zasadniczej szkoły i wiedziałam, że najpierw wywiad zostanie zarejestrowany na taśmie, a potem przycięty wedle gustu, woli i potrzeby zwierzchności reportera.

– Prezentujesz się zupełnie inaczej niż na zdjęciach – dziennikarz oglądał mnie wyraźnie rozczarowany.

– Obiektyw zmienia. Jestem bardzo fotogeniczna – wyjaśniłam skromnie.

Przyjrzał mi się ponuro, podejrzliwiej z niechęcią, i łąził po terenie pod pretekstem ujęcia tematu.

– Temat jest na pływalni pod okiem instruktorki i nie radzę go ujmować – wyjaśniłam

sytuację. – Robi pan ze mną ten wywiad czy nie?!

– Najpierw stadion. Chodźmy do wozu – wreszcie zdecydował się zająć tym, po co go przysłano. Przed pływalnią spotkaliśmy Ursyna. Czekał na nas, a Lalce, jak się później dowiedziałam, zakazał wyściubiania nosa.

Ja na bieżni, pod zegarem z wynikami, ja w dresie z emblematem klubu i ja z Ursynem. A żurnalista żądał, żebym się uśmiechała. Nie mogłam, wściekła i rozżalona. Doszczętnie zmarnował mi radość z zabrylowania w telewizji.

– Kto jest twoim ideałem? – odbębniał kolejne pytanie po serii kim, czym, o czym.

– Eratostenes.

– Rozumiem. Interesują cię zawodnicy antyku.

– To nie zawodnik, tylko wielki bibliotekarz Aleksandrii. Miał w swojej pieczy pół miliona zwojów. Takie starożytne księgi. A jak zaczął ślepnąć, zagłodził się na śmierć, bo życiem było dla niego czytanie – wyjaśniłam uprzejmie. Wówczas zaliczałam encyklopedię Orgelbranda, oprawną w skórę puściznę po magnatach w szkolnej bibliotece. Właśnie obrabiałam literę E.

Wywiad nigdy nic znalazł się na ekranach telewizorów. Podobno byłam jeszcze zbyt mało okrzęsana, jak dotarło do zarządu Sterny przez nieoficjalne kanały. Poszło tylko kilka ujęć z bieżni z komentarzem tego biednego skurczybyka.

– Zraziłaś sobie dziennikarza, mądralo – Ursyn obśmiał się w kułak i wymawiał mi bez złości. – Nie rób tego na przyszłość. Ludzie nigdy nie darują innym swojej ignorancji.

Nic powtórzyła się więcej historia z zamianą fotografii, lecz który żurnalista zobaczył Lalkę, robił jej zdjęcia, potem przywoził powiększone fotosy. Przeważnie odbierał je Ursyn, każąc Lalce stawać się nieobecną. Co drugi chciał ją wylansować na modelkę albo artystkę.

– Zgłoszę się do pana, gdy tylko skończę szkołę rolniczą – obiecywała grzecznie. Bo Lalka też się zmieniła. Przestała wyklądać swoje bebeczy. Nabrała powściągliwości i oglady. Nie miała pędu do słowa drukowanego. Objawiała inną zdolność, różne wiadomości czerpała na słuch.

W gazetach jednak jej podobizn nie zamieszczano. Na stadionach Lalce się nie wiodło. Ursyn zarzucał jej lenistwo i groził odesłaniem do pushki, przekonany, że Lalka się wałkoni. Wściekał się i nie rozumiał, co się dzieje, bo zapowiadała się bardzo dobrze i na treningach prezentowała sprawność wartą wysokich lokat. A teraz zrobiła się gorsza niż przed rokiem.

Lalka ukrywała strach. Odkąd na jej oczach jedna z naszych dziewczyn przy skoku z trampoliny skręciła kark i odjechała na wózk, w Lalce coś się załamało.

Znikała wieczorami i wracała nad ranem. Zostawiałam jej drzwi otwarte i uchylone

okno w kąpielowym. Wydostawała się po kolumiencie, a z powrotem przystawiała ostrew ukrywany pod parkanem w plataninie pnączy. Ale bałam się o nią i o siebie.

Bez zezwolenia nie wolno nam było po godzinie dziewiątej opuszczać internatu, natomiast terenu Ośrodka nawet w dzień. Lalka wychodziła przez otwór w siatce, którą sama przecięła specjalnymi cęgami.

– Lalka, jak cię złapią, przepadłaś!

– Nie martw się. Piechotą wychodzę tylko za dziurę w ogrodzeniu i górą też już nie będę łąziła. Mam duplikat – pokazała mi klucz od tych meblowych wrót bungalowu.

Toczyła się jakaś gra między trenerem a Lalką. Przypominała zmagania wrogów, lecz Lalka nigdy mu nie uchybiła, zwłaszcza w obecności innych dziewczyn, a on swoim chamstwem jakby wyraźnie ją prowokował. Tylko patrzyła na niego wyzywająco, co potęgowało w nim wściekłość. Przypominał zachłystującego się własną bezsilnością kundla za płotem.

– Już nie muszę drzeć przed Ursynem. Nie mam zamiaru zdzierać się dla jego wyników – zawiadomiła mnie przygotowując się na kolejny nocny wypad.

– Wolisz zdzierać dupę. Ja ci nie wróg, tylko to też niepewne zabezpieczenie.

Nie miałam jej za złe, że się puszcza, byłam wściekła, że nie mówi mi, dokąd i z kim chodzi.

– Zamknij się. Nie mam zamiaru zostać dziwką, już nią byłam i wiem, co za smak. Ale żeby nie iść w dziwki, teraz muszę się trochę podziwczyć. Takie jest życie. C'est la vie, jak mawiają Francuzi. Na wiosnę będzie selekcja, kto zaliczy klasę, wyjedzie na mityng do Nicei. Ja wyjadę na pewno. Tyle mogę ci powiedzieć. Tylko ani mru, bo zaszkodziś mnie i sobie. A wiesz, spotkałam Wilka. Wspominał ciebie.

– Co powiedział?

– Masz talent i kto by się po tobie spodziewał.

– Wołek zbożowy!

– Nie rzucaj się, mówił życzliwie.

Od pierwszego lata nad Jeziorem widywałam Wilka rzadko i przelotnie. Nawet mnie nie unikał, tylko nie zauważał. Kołek w płocie obchodził go więcej niż moje istnienie. Ale teraz, gdy się na mnie natknął, nie minął jak dotychczas ze zdawkowym pozdrowieniem.

– Cześć, Kuna!

– Mów mi Mustela.

– Co to za imię?

– Też Kuna, tylko tresowana.

– Skoczmy gdzieś w tygodniu na kieliszek wina? Pogadamy sobie, kiedy masz wolne?

Szczyście było blisko, ale przeszło bokiem. Zanim zdołałam wydobyć z siebie aprobatę dla jego świetnego pomysłu, dopadła go dziewczyna. Nie ta piękna ze spowitego dziką różą grodu, tylko zupełnie inna, wymalowana jak wielkanocne jajko, tyka w kozakach z kobry.

– Gdzie się podziewasz, Miłosz! Nie marudź, śpieszymy się – uczepiła się ramienia Wilka.

– Co porabia twoja żona, Magda? – powiedziałam, żeby jego nowa dziwa nie czuła się taką monopolistką, ale zabrzmiało złośliwie i wyszło tak, jakbym odrzuciła jego zaproszenie.

– Bywaj, Kuna – pożegnał mnie chłodno i poszedł za tamtą jak na sznurku.

Co on w niej widzi, medytowałam patrząc, jak dziewczyna przeciska się przez drzwiczki rajdowego poloneza.

Ursyn zawiadomił nas o przygotowaniach do międzynarodowych zawodów Nadziei Olimpijskich, które na początku czerwca miały się odbyć we Francji.

– Pojadą tylko najlepsze – zakończył krótkie omówienie warunków i rozdał małe książeczki, rozmówki polsko-francuskie.

Będę najlepsza!

Muszę uzyskać najwyższe miejsce na podium, medal i hymn. Zwycięstwo tak głośnie, by wieść o nim dotarła aż do Tokio, gdzie wciąż jeszcze Vera Warega, odziana w szkarłatne kimono, łamała ręce z rozpacz w finałowej arii Madame Butterfly. Taką widziałam ją na kolorowym zdjęciu w tygodniku, a pod nim tytuł: Sukces naszej rodaczki w Kraju Kwitnącej Wiśni.

Teraz dzień w dzień, od rana do wieczora Ursyn wisiał nade mną jak zły los. Moja nauka zeszła na ostatni plan, o czytaniu dla przyjemności nie było mowy. Często nie puszczał mnie do szkoły i usprawiedliwiał nieobecność. Dyro robił sceny i nie chciał honorować zwolnień trenera. Bez wrażenia przyjął do wiadomości moje widoki na zagraniczny wyjazd. Nie mogłam liczyć na żadne ulgi, co pojął nawet Ursyn.

Podobnie jak i on miałam bardzo za złe Dyrowi jego bezwzględność i zupełną obojętność na moją sportową karierę, lecz chociaż zjechałam z lepszych stopni, jak o kulach wlokąc się na dostatecznych, dwóje nie załapałam ani jednej. A na bieżni pracowałam jak szatan.

– Spełnia wymagania. A ja trenuję zawodników, nie intelektualistów – mruczał swoje trener, kiedy na wywiadówkach zwracano uwagę na moje opuszczenie się w nauce.

Słowa zbyt często powtarzane wypływają się z sensu i tylko brzęczą, ale powiedzenie Ursyna nie przemieniało się dla mnie w taki sobie nic nie znaczący dźwięk, jak na przykład slogan wymalowany na biało, który wciąż jak nowy jaśniał na szczycie krytej pływalni, górującej nad ośrodkiem i doskonale widocznej z bieżni, gdzie dawałam z siebie wszystko, jak lubili pisywać ci, tak samo jak i my nie douczeni, sprawozdawcy sportowi. Może i ich w poszukiwaniu talentów wyciągnęły z odosobnienia jakieś takie żurnalistyczne Ursyny i po intensywnym szkoleniu w składaniu tekstów puścili na start. Biegaj!

Więc po całych dniach dawałam z siebie wszystko, pod czytelnym drugim członem hasła:...a obywatelom żyło się dostatniej.

Akurat wtedy z obietnicy pozostał tylko ów napis, którego nie zamalowano, bo z powodu kompletnego mortusu nie udało się kupić żadnej farby, a obywatelom, aby w ogóle nie skapieli, żywność wydzielano na kartki.

Zawodnicy nie odczuli reglamentacji. Ze względu na intensywne treningi nawet zwiększono nam racje. Załatwił je sam ze siebie ważny działacz, lecz Ursyn, zamiast się ucieszyć, zrobił się wściekły i jak gradowa chmura nadciągnął do naszego pokoju. Nigdy nie przychodził do naszych sypialni. Jeśli czegoś potrzebował, wywoływał nas przez wewnętrzny telefon. W zasadzie jednak szanował nasz wolny czas.

– Mam z tobą do pomówienia, Lalka.

Ruszyłam do drzwi.

– Zostań, Mustela.

– Ale świadczyć nie będę ani jej, ani panu.

– Nikt cię nie prosi – burknął. Skuliłam się z nosem w książkę. Widać potrzebował obecności kogoś takiego, kto nie całkiem był ścianą, ale i niezupełnie partnerem.

– Wyrzucę cię, jeśli nie będziesz pracować, i nikt ci nie pomoże, zapamiętaj sobie! – wycedził stojąc nad Lalką, która leniwie dźwigała się z fotela.

– Daję z siebie wszystko, panie trenerze – zapewnienie zabrzmiało dwuznacznie, szczególnie wyzywająco zaakcentowane przez Lalkę.

– Za mała klasa na Niceę – powiedział Ursyn i wyszedł strzelając drzwiami.

– A naskocz mi – odgryzła się Lalka, kiedy kroki Ursyna ucichły na schodach.

Milczałam, odgradzona książką. Wbrew woli znalazłam się w polu zmagania dwóch sił, mogłam oberwać za niewinność z jednej bądź z drugiej strony, jak ktoś zaplątany między dwie walczące drużyny.

– Czy on ma po kolei? Mnie robić drakę za przydział załatwiony przez mojego działacza! Może mi soli na ogon nasypać. Jeśli nie będę poniżej średniej, a nie jestem gorsza

od paru innych, pojedę. Resztę urządzi mój Lux – tak nazywała Lalka swojego protektora, – Ja to wiem i trener wie, nic nie może zrobić i dlatego się wścieka. Ze zwykłej zawiści. Działacz sypia z nieletnią, ale trener kradnie. Znacznie łatwiej dobrać się do trenera, niż złapać w łóżku działacza. Jednak żaden nie odważy się bebeszyć sprawy drugiego, bo obaj mogą na tym tylko stracić. Dopóki panuje równowaga sił, jest spokój. Jak między potężnymi mocarstwami – oświeciła mnie Lalka. Wątpię, czy Lux byłby zachwycony jej trzeźwością.

Lalka pojechała do Nicei.

W ekipie, mocno okrojonej z osób towarzyszących, znalazło się jednak miejsce dla faceta od Lalki. Działacze też bywali różnej kategorii, ten należał do najwyższej. Nawet nie najbardziej wiekowy. Wysportowany czterdziestolatek, typ menadżera, technokraty ostrzyżonego na jeża.

– Już niemodny – powiedział żurnalista, „obsługa własna” dziennika, robiąc przytyk do uczesania chętnie noszonego wśród establishmentu w dopiero co minionych czasach.

Przed wyjazdem znowu zobaczyłam Nonnę.

Kończył się maj, na dworze lało, niedzielne popołudnie miałyśmy wolne, do wyjazdu pozostał niespełna tydzień. Ursyna nie było. Odpoczywał od nas, a my od niego. Czytałam. Zapukano.

– Nie wygłupiaj się – krzyknęłam. Myślałam, że Lalka nabiera mnie, wracając wcześniej ód swojego Luxa.

Weszła Nonna. Nonna pewna siebie, elegancka. W modnie skrojonym płaszczu ze skóry o oliwkowym kolorze i długich butach takiej samej barwy. Wokół szyi miała zamotany o kilka tonów jaśniejszy szal, którego końce, skrzyżowane na ramieniu, frędzlami sięgały poniżej kolan. Pachniała drogimi perfumami, wyglądała bombowo.

– Nonna! – rzuciłam się jej na szyję.

Ten szpan i sposób bycia świadczyły, że dobrze jej się wiedzie. Znów będę ją częściej widywać, bo Nonna przypominała barometr. Przychodziła rzadko, gdy jej sprawy uczuciowe bądź materialne szły gorzej, i znikwała z horyzontu, kiedy wpadała w dołek. Od naszego ostatniego spotkania upłynęło kilka miesięcy i wówczas, chociaż nadrabiała miną, była pod kreską.

– Aleś urosła, wyładniałaś! – odsunęła mnie na długość ramienia, przejechała wymanikiurowanymi palcami moją strzechę.

– Nie przesadzaj z tą urodą – nie miałam najlepszego zdania o swojej powierzchowności, a jednak zrobiło mi się przyjemnie.

– Mówię, co widzę, no i wydorosłaś.

– Stara jestem! Skończyłam szesnaście lat.

W marcu minęła rocznica, kiedy żywy tłumok spowity w alpejską kurtkę i serwetę z knajpianego stolika z cennym medalionem, ostatnią biedę wyposażoną w oprawną złotem słoniową kość, podrzucono pod drzwi pierwszego Domu.

– Nie mogłam przyjść na twoje urodziny.

Nie pamiętała albo miała inne, niezmiernie absorbujące zajęcia, zaś pocztą wyřęczała się w ostateczności. Nadal pisanie sprawiało jej dużą trudność, chociaż patrząc na nią i słuchając, jak mówi, nikt by tego nie odgadł.

– I dobrze. Ja nie cierpię tego dnia.

Nie podtrzymała tematu. Już zauważyłam, ona nie lubiła rozmawiać o mijających tatach i moim pochodzeniu.

– Wygodnie mieszkasz – Nonna rozglądała się po pokoju. Po raz pierwszy odwiedziła mnie w internacie. Poprzednio czekała w portierni albo pod szkołą i jechałyśmy do jedynej cukierni w Osadzie, gdzie herbata, a nawet zbożowa kawa wykańczały się na galopującą białaczkę, a ciastka wyrabiano z kleju.

To też świadczyło, jak mocno siedzi w siodle. Mając kłopoty gasła, traciła pewność siebie i nie przyszłyby do ośrodka, gdzie nie każdy miał wstęp.

– Kto cię wprowadził? – wchodziło się tylko z ważną legitymacją lub w towarzystwie członka klubu.

– Zaawizował mnie jeden ważny gość – pochwaliła się Nonna.

– Znam go?

– Nie. Ale, ale, pisali o tobie w prasie. Jestem z ciebie dumna. Mustela, rewelacja klubu Sterna!

– Poszcęściło mi się.

– Kupiłam ci płaszcz na prezent urodzinowy, jak znalazł na zagraniczną rajzę – Nonna rozpakowała z papieru tekturowy karton i wyjęła piękne okrycie z beżowego weluru.

– Bomba, Nonna! – nie miałam serca powiedzieć jej, że na zawody pojedę w klubowym uniformie. – Ale skąd wiesz o moim wyjeździe?

– Wiem. Obchodzisz mnie bardziej, niż myślisz, chociaż nieraz się wściekałaś i nawet pomawiałaś o interesowność, pamiętasz?

– Nie wypominaj, Nonna. Tamto działo się tak dawno!

Od pełnego zawodu spotkania w świetlicy pierwszej puszki minęły trzy lata. Wieki innego życia. Tyle się wydarzyło. Zwietrzały niegdysiejsze urazy, przebrzmiałe rozczarowania zrobiły się zupełnie nieważne.

Z biegiem czasu stałam się wyrozumiała dla jej słabości i akceptowałam taką, jaka była. A teraz pamiętałam tylko samo dobro wyświadczone przez Nonnę, dowody pamięci i sympatii okazywane w sposób jej właściwy, jak ten kosztowny płaszcz ze skóry delikatnością przypominającej jedwab i pudło ciast od Bliklego, i soki z Pewexu.

Nonna nie umiała pamiętać o kimś, kto nie znajdował się wciąż przed oczyma. Podobnie działo się z jej uczuciami. Niespodziewanie wybuchały olśniewającym fajerwerkiem, aby potem tlić się nieefekownie.

– Jak się miewa Dziadek?

– Dziadkowi odbiło. Znalazł sobie w Paryżu wdowę. Masz pojęcie, w jego wieku? Gotów sprowadzić mi nową babcie, ale niech mu będzie, gorzej, że zostawił mnie ze sprawą, którą miał załatwić, a nie pisze, kiedy wróci. Przez to muszę prosić cię o pomoc, Mustela.

– Zrobię, co zechcesz – zapewniłam ochoczo. Byłam samą radością. W przededniu wielkich zawodów, gdzie sięgnę po sławę, gdzie nikt nie powie z uśmiechem sierotka, nawet nie czułam się bezpańskim kundlem, miałam moc dobroci do ofiarowania, zwłaszcza Nonnie.

– Uzbierało się cenneści. Od lat leżały zamrożone udziały, tak jak i twój. Ale nie wszyscy są tacy cierpliwi, no i raz wreszcie należy się z ludźmi rozliczyć. Mnie też nadojadło, bo ani z tego jaki grosz wycisnąć. U nas nic nadają się do spieniężenia. Puścić je w obieg, to jakby siebie palcem wskazać. Więc Dziadek pojechał dogadać się we Francji. Ma tam, jeszcze z wojny, mocno siedzącego w branży kumpla. Ale kupiec żąda dostarczenia facjantu do ręki, a Dziadek pozostanie w Paryżu na nie wiadomo jak długo. Muszę te kosztowności wyprawić. Sama nie pojedę, mnie paszportu nie dadzą. Granica już prawie jak w sieci, ale ty masz luz.

– Nonna, my lecimy prosto do Nicei, specjalnym samolotem.

– Czarterem.

– Właśnie. Nie da rady się urwać.

– I nie trzeba. Przesyłkę odbierze od ciebie ktoś ci znajomy, na miejscu.

– Adam?

– Nie. Adam odszedł ode mnie. Niedawno dowiedziałam się, że już kilka miesięcy, jak wyjechał na Zachód.

– I nic mi nie powiedziałaś?!

– Właśnie mówię. Najpierw sama musiałam przegryźć. Tak to jest! Co mi brakuje? Nie wiem. Do chłopów mam szczęście na krótko. Później się nie trzymają. Ale mniejsza z tym. Gościa, o jakim mowa, pokażę ci tutaj. W godzinę po waszym czarterze poleci w ślad

samolotem rejsowym. Przyjdzie do ciebie, zanim zdążysz się rozpakować. Pewnie nie rozumiesz, dlaczego ty masz być przewoźnikiem, skoro on i tak jedzie. Bo ciebie nikt nie zaczepi, a wokół niego jest niewyraźnie. Należał do wysokich układów teraz źle widzianych, wprawdzie paszportu mu nie cofnęli, ale mogą mieć zamiar na cie, i w ogóle. Jego znajomi mają kłopoty, a czekają ich większe.

– Na mnie też mogą mieć oko, Nonna.

– Nie. Jesteś zupełnie bezpieczna. Wiem, co mówię.

– Nonna, ja mam tylko przerwę w karze.

– Pamiętam. Ale mówię, nic nie ryzykujesz. W takich sprawach jestem akurdatna, sama wiesz. Gdy robiłaś za Kunę, ostrzegałam, co cię może spotkać. Teraz przysięgam, ta przysługa niczym ci nie grozi.

– No to raz kozie przy wozie, dawaj!

– W co się obujesz na podróż, pokaż?

– W zwyczajne adidas – podałam jej buty. Były nowe. Ofiarował je darczyńca zza oceanu na nasze pierwsze zagraniczne zawody.

– Przyjdę jutro. Przywiozę takie same i zamienimy na twoje. Założysz je na drogę.

– Uważaj, Nonna, na mojego trenera, wszystko widzi i wszystko chce wiedzieć, jeśli się kapnie, przepadłam!

– Nie martw się. A na wszelki wypadek zapamiętaj adres. Paryż, rue de Clignancourt 124, osiemnasta dzielnica.

– Po co?

– Gdyby gościa szlag trafił i do ciebie nie dotarł. Wtedy skoki wyślesz pocztą.

– A jak zginą?

– Tam paczki nie przepadają. Tylko zachowaj dowód nadania. Pieniądze też dostaniesz. Nie dam ci dużo, żebyś wydając na nieprzypadkowe zakupy nie zostawiła smugi.

Nazajutrz na sali, gdzie odbywałam codzienne ćwiczenia, pojawiła się Nonna ze swoim gościem. Promieniował pewnością siebie.

– Sie masz, Ursyn, nie widziałem cię sto lat – przywitał trenera protekcjonalnie. Był piękny, był wspaniały, jak reklama prawdziwego mężczyzny, gapily się na niego dziewczyny.

– Sie masz, Marcin – w podobny sposób odpowiedział tamten i łypnął ponuro.

Niedobrze się zaczęło i zaniepokoiłam się o powodzenie przedsięwzięcia, bo znałam drażliwość i małoduszność Ursyna, ale do akcji ruszyła Nonna i z miejsca go ujęła.

– Pan Olchowiak był tak uprzejmy – spojrzała na swojego towarzysza – że wstawił się za mną u pana.

– Wczoraj uprzedziłem portiera o pani przyjeździe. Chyba nie miała pani przeszkód w spotkaniu z Mustelą. Czy coś jeszcze?

– Tak. Przyszłam podziękować za to, co pan dla niej zrobił – podała mu szykowny wiecheć kremowych róż, pudło z flachą pewexowskiego Szkota i dziękowała ze łzami w oczach za prostowanie tego biednego dziecka, z którym ona, Nonna, nigdy nie potrafiła sobie poradzić. Mój trener najpierw zbaraniał, a później rozkwitał w oczach.

– Ursyn ma talent. On by z manekina zrobił zawodnika – niespodziewanie podlizzał się wspaniały Marcin.

– Nie przesadzaj – mruknął Ursyn, ale stał do reszty.

Zaczęli się żegnać i obiecywać sobie wzajemnie rozrywkowe spotkanie po powrocie Ursyna z Nicei, a on był nie od tego, Nonna wyraźnie mu się podobała. No, chyba! Ładna i zadbana, odnosiła się do niego z adoracją i podziwem należnym Bóg wie komu.

– Chciałam się trochę odświeżyć, pozwoli pan, że wstąpię do Musteli? – zwracając się do Ursyna jaśniała od środka, jakby zapalała w sobie światło.

– Proszę.

I tak za zgodą Ursyna poszli ze mną i Olchowiak wyciągnął z przewieszanej przez ramię torby szpicowane buty. Niczym nie różniły się od tych ofiarowanych przez faceta zza oceanu.

– Żeby ci się nie pomyliły. Zwrócę ci je w Nicei – Marcin zabrał i wpakował do swojej sakwy moje adidas.

Zauważyłam, oboje patrzyli sobie na ręce, a Marcin nie odstępował Nonny na krok. Widocznie ogromny szmal ukryty w sportowych pantoflach uczynił z nich nierozłączną parę, bo pożegnać nas na lotnisko też przyszli oboje. On nie mógł oderwać wzroku od moich nóg, a różne kobiety od niego. Łudząco przypominał świetnych facetów z zagranicznych reklam, takich supermenów w modnych dzemperach z kieliszkiem albo papierosem, prezentujących bardzo dużo zębów w męskim uśmiechu. Lecz on nie zwracał uwagi na otoczenie, tylko na moje końcówki.

Rozumiałam go, pewno się martwił, czy aby Nonna właściwie dobrała pocztynionę. Żeby mu było lżej, starałam się, by do ostatniej chwili widział swoje, skarbonki, aż do przekroczenia przeze mnie niewidzialnej granicy państwa, przebiegającej w wąskim przejściu obstawionym przez takie i siakie liberie.

Szłam w niewielkiej grupie zawodników reprezentujących klubowe barwy i pękałam z dumy i ze wzruszenia, że oto ja, depozyt przechowalni niechcianych dzieci i jednostka trudna do zniesienia dla społeczeństwa, idę z nimi jak równy z równym. To było wielkie przeżycie,

tak wielkie, że o niczym innym nie mogłam myśleć, nawet o kontrabandzie kroczącej wraz ze mną.

8

Poprzez powstające jeden z drugiego świetliste kręgi, poprzez wirujące welony mgły, poprzez smak żelaza w ustach i mimo serca dzwonu bijącego wprost o żywe ciało, które jest koroną dzwonu, więc poprzez łoskot i migotanie barw przenika natarczywy głos.

– Mademoiselle? Krrru, mrrru, onrrru?

Bardziej domyślałam się, niż rozumiem. Ktoś chce koniecznie wiedzieć, kim jestem i jak się nazywam. Oczywiście, nazwiska nie powiem, jeszcze nie zgłupiałam, chociaż roznosi mi głowę. Najpierw muszę zorientować się, kim są ci ludzie rozmawiający po francusku.

– Mus-te-la – szepczę i wyczerpana wysiłkiem zapadam głęboko w łupkowoszare woale, gdzie gasną wielobarwne koła, a rozmowa rozkłada się na dźwięki, które do niczego nie zobowiązują. Teraz drugi głos rozsypuje sylaby. Jedyne raz łączą się w znajomy szyk: Bolonaise.

Polonaise. To o mnie. Ciekawe, skąd wiedzą? Aha, mam na sobie wyjściowy dres z emblematem: zrywająca się do lotu rybitwa i napis: Warszawski Klub Sportowy Sterna.

Budzi mnie ciepła jasność, otwieram oczy, poraża słońce przenikające ze szczeliny między żaluzjami. Usuwam głowę z zasięgu ostrego blasku i widzę nogę uniesioną i spowitą białą, grubą jak becik niemowlaka, z gołymi palcami widocznymi spod gipsu.

Moja końcówka. Dopiero teraz ocknięta świadomość rejestruje ten fakt.

Poruszenie głową sprawia ból, głębszy oddech sprawia ból, uniesienie ręki sprawia ból. Obmacuję turban z gazy, elastyczną opaskę na żebrach. Przymykam powieki.

Z mroku nadjeżdżają dwa reflektory, dwa snopy białego światła i zarys maski auta. Toczy się, narasta, przysłania wszystko, refleks ślizga się po zderzaku i figurce zastygłej w tanecznym pas na brzegu wydłużonego pyska samochodu i... sekwencja powtarza się od początku, gdy tylko zamykam oczy.

No tak, miałam wypadek.

Wypadek na drodze widnej od blasku latarni, reklam, świetlnych gazet, zapalających się i gasnących szyldów, ruchomych obrazów z neonowych rurek, pojazdów. Na szerokim bulwarze z wielkiego kinowego świata, jaki podejrzewałam, naprawdę nie istnieje. Został

wymyślony przez facetów trzaskających kamerami, za którymi szaleją głupie dziewczyny, marząc o wielkim losie na wielkim ekranie.

Na bulwarze obsadzonym palmami o potarganych zielonych czuprynach, dzień i noc oglądającymi Morze Śródziemne i dno bez tajemnic podczas każdego przyboju. I wszystkie żyjątka ukryte pośród skał. Frutti di mare, jak je nazywał elegancki działacz od Lalki.

Potrącił mnie samochód na Bulwarze Angielskim, centralnym deptaku Nicei. Trzeba mieć moje koślawe szczęście, żeby tak zacząć pierwsze zagraniczne zawody. Sądząc po tym beciku od biodra po kostkę kulas mam definitywnie załatwiony.

Przypomniał mi się jeden gość z Czechosłowacji, o którym nawijał dziennikarz, co się podpalał do Lalki. Ten Czech, też żurnalista, jak go nie wpuścili do jakiegoś kraju, zdaje się do Australii, wyskoczył ze statku na nadbrzeże w porcie i chociaż połamał obie gicze, znalazł się na lądzie. A wszystko dlatego, aby wpasować się w przepis, który stanowił, że kto postawi stopę na ich ziemi, ma prawo tam przebywać i nawet pozostać na zawsze.

Tu też ktoś stawia stopy, widzę je, niemłode, z jasnym lakierem na paznokciach i w sznurkowych sandałach. Zatrzymują się przy moim łóżku. Udają zdechłą. Espadrile odchodzą.

Aha, już wiem, gość z toków sprawozdawcy nazywał się Egon Erwin Kisch i żył bardzo dawno temu, ale widać, jakie obostrzenia graniczne już wtedy panowały. Nic nowego i nie jest to patentem Peerelu. Tam nie wpuszczali, u nas nie wypuszczają. Żeby we Francji obowiązywał paragraf o połamanych kończynach, miałabym przynajmniej jakiś pożytek z mojego nieszczęścia. Inaczej Ursyn mnie zniszczy.

Ursyn!

Imię trenera wybucha w pamięci jak pocisk, w jednym błysku uświadamiam sobie rozmiary klęski. Przerazenie unosi z poduszki, ale to i wszystko – na co mnie stać.

– Uciekać – mruczę bez sensu i zapadam w sen.

Znowu budzi mnie słońce sączące się między nieszczelnie przylegającymi żaluzjami i nie wiem, jak długo spałam. Sądząc po tej ostrej strzale światła, przed którą muszę usuwać twarz, długo. Może nawet cały dzień i noc.

Niezmienny jest biały pancerz na nodze i opaska na żebrach, ale turban omotujący głowę zrobił się jakby mniejszy, nie paraliżuje mnie już ból, gdy się unoszę na posłaniu. Nareszcie mogę rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Bielone ściany, ciemny, belkowany strop, kominek zastawiony fotografiami, przy nim dwa fotele na wygiętych nóżkach pokryte spelzła tapiserią w kwiaty, zrolowany dywan pod ścianą zawieszoną dagerotypami, pękata szafa z czołem jak ołtarz i wysoka komoda z

mnożnością szuflad. Lustro, ze starości cierpiące na bielmo, mętnie odbija wysunięte na środek wielkie łóżko z czerwonego drewna z rzeźbionymi szczytkami, a na tym meblu ja. Z boku stoi odsunięty stelaż do kroplówki, nade mną przymocowany do sufitu blok wyciągu, na którym zwisa moja nieszczęsna noga.

Gdzie jestem?

To nie szpital ani pokój, jaki miałam dzielić z Lalką w pensjonacie Adelajda. Tamten był wąski, wyklejony jak pudełko tapetą, na całe urządzenie składały się dwa żelazne łoża i tremo z konsolą, służące jednocześnie za stół, zamiast którego za plastikową zasłoną pomieszczono prysznic, umywalkę i bidet.

Skrzypnęły drzwi, szmer kroków ucicha przy zagłówku. Przymykam oczy, patrzę przez szparki, w polu widzenia mam znowu tylko stopy w sznurkowych espadrilach, takich samych, jakie nosiła pokojówka w Adelajdzie. Udaję zdechłego owada.

– Krrru, omrrru, drrru! – trzepocze nade mną francuskie „r” jak kakadu na długim łańcuszku, przywiązana do postumentu w recepcji pensjonatu Adelajda.

Tamta natarczywie powtarza swoje pytające dźwięki. Jest to ten sam głos, który już słyszałam budząc się między zapadaniem w szare pajęczyny. Wyławiam jedno zrozumiałe słowo: mademoiselle.

Załamuje mnie czczość skracająca wnętrzności, która odezwała się wraz z nikłym zapachem rosołu, jaki przyplątał się za właścicielką szpagatowego obuwia. Przestaję udawać śniętą rybę.

– Chce mi się jeść!

– Krrru, omrrru, grrru! – ucieszyła się starszawa facetka w pielęgniarstwie liberii.

– Boulangerie, mniem, mniem! – mlasnęłam jak ludożerca. Niczym z ciemnej wody wydobyła się z nadwerężonej głowy francuska nazwa piekarni. Nic innego nie przyszło mi na myśl dla zorganizowania trawiącego głodu.

– Si, si, mniem! – pielęgniarzka uczyniła gest wkładania jedzenia do ust i wyniosło ją z pokoju.

Powtórnie wtoczyła się ze stolikiem na kółkach, wioząc niepozorną wazkę i kubek z kilkoma kulkami ptysiowego groszku na dnie.

– Jeszcze! – pochłonełam zawartość i demonstrowałam pustą filiżankę.

– Non – odebrała naczynie i odprowadziła pod ścianę kołowy bufet.

– Żabojado! Jestem głodna, chcę repety!

Na to weszło dwóch mężczyzn. Starszy, cały w tonacji rozbielonej herbaty, wypełnił krzywonogi fotel pod kominkiem, młodszy przysiadł na skraju łóżka. Miał brązowe włosy,

nosił spodnie z żaglowego płótna, kremową koszulę i sandały z postronka.

– Już nawet wymyślasz siostrze, Mustela, nieźle! – pochwalił mnie po polsku.

Jak się ucieszyłam! Mówił po człowieczemu, znał moje imię i nie był Ursynem. Ujął mnie za przegub i porozmawiał z pielęgniarką.

– Pan jest lekarzem?

– Tak. Mów do mnie Michel.

– Gdzie jestem?

– W Blagnac, w letnim domu pana André Constant – Michel wskazał herbacianego.

Tamten uśmiechnął się i skinął mi głową.

Pomyślałam, że to jeden z robiących w sporcie znajomych Ursyna, jakich, jak powiadano, miał w różnych stronach świata.

– Ona mnie głodzi, Michel – doniosłam na facetkę w białym kornecie.

– Byłaś na kropłówce. Do jedzenia musisz się przyzwyczaić stopniowo.

– Nie czuję, abym odwykła, Michel.

Roześmiał się i skinął na pielęgniarkę. Dostałam jeszcze zdziepko bulionu, tyle, co kot napłakał. Połknęłam i przestałam się upominać, nie było widoków na dokładkę.

– Ile dni tkwię tutaj?

– Dziesięć.

– No, to i po herbacie! – poczułam się okropnie.

– Żyjesz! Przed tobą jeszcze wiele fajwokloków – Michel, chociaż mówił bezbłędnie po polsku, przyjął mój okrzyk dosłownie.

– Wygrana przeszła mi koło nosa! – objaśniłam, ale i tego nie chwycił. Wygrana!

Nie pobiegłam na sto metrów, nie pobiegłam na dwieście. Walczono beze mnie. Zawody miały trwać sześć dni, plus jeden dzień odpoczynku przed i jeden dzień na zwiedzanie po. Jak by nie liczyć, minęły już dwie doby, odkąd nasza reprezentacja odleciała z Nicei. Czułam się, jakby mi kto umarł.

Chociaż od chwili odzyskania przytomności zdawałam sobie sprawę z upływającego czasu, strusim obyczajem chciałam odwlec spotkanie z Ursynem. Perspektywa rozmowy z nim napawała przerażeniem i jak zwykle wszystko, co przykre, odsuwałam byle dalej.

Zmarnowałam szansę! Nie będzie sławy ani podium zwycięzcy, ant hymnu, i na próżno tyle wysiłku i tyle starań. Nic się nie da odrobić i nie ujdzie na sucho. To nie jakiś drobiazg, wbrew zakazowi trenera wyszłam z hotelu i przegrałam zawody, zanim stanęłam na starcie. Wyrzucą mnie z internatu, odeślą do puszki.

– Ursyn mnie zabije! – powiedziało mi się na głos.

– Kim jest Ursyn? – dopytywał się Michel. Później powiedział, że w szoku wciąż powtarzałam to imię.

– Mój trener.

– Dlaczego się go boisz?

– Jeszcze pytasz! Zawaliłam imprezę, zawiodłam wielu ludzi, a największego gnoja zrobiłam sobie. Może przypadkiem wiesz, kto zwyciężył?

Wiedział. Oglądał eliminacje. Więcej, pamiętał, czas najszybszej, Niemki ze Szwarzwaldu. I pomyśleć, według dotychczasowych wyników byłam od niej lepsza. Popłakałam się z żalu i ze złości nad swoim kulawym losem wciąż spychającym mnie w dół.

– Nie płacz, wszystko się ułoży – pocieszał Michel.

– Już się nie podźwignę, Ursyn mnie zniszczy!

Odezwął się milcząco podczas naszej rozmowy André Constant, który dotychczas tylko pilnie słuchał tego co mu tłumaczył Michel.

– Pana Constant interesuje, jakie konsekwencje pociąga za sobą przegranie międzynarodowych zawodów?

– Nie wiem, ale ja przepadłam – dręczona strachem przed nieuchronnymi sankcjami, nie zwróciłam uwagi na wymowę dziwnego pytania, nie przyszło też na myśl zastanawiać się, czy kontuzja nie przekreśliła mojej sportowej kariery raz na zawsze.

– Po co wyszłaś z hotelu?

– Zobaczyć Bulwar Angielski i morze.

– Sama, nie znając miasta ani języka, bez paszportu i pieniędzy?

Milczałam. Prawdy nie mogłam powiedzieć, pomijając nawet osobiste komplikacje, była zbyt upokarzająca.

Ursyn zapakował nas do pensjonatu, nie wydał dokumentów ani kieszonkowego, zabronił wychodzić, a sam rozsiadł się w recepcji pod papugą i parlował z właścicielką, popijając chłodzone wino. Nie zauważył tylko Lalki, po którą przyjechał działacz i zabrał do pobliskiej kafejki.

Działacz kwaterował wraz z kadrą w lepszym hotelu, z klimatyzacją i barem w podziemiu, chociaż też daleko od plaż i centralnego deptaku. W Adelajdzie rozlokowano wyłącznie nas, sierotki.

Dziewczyny to rozumiały i było im przykro. Niby takie same jak tamci zawodnicy, jednak gorszej kategorii. Brak dydka przy duszy i areszt w Adelajdzie także nikogo nie zachwycał, tylko mnie było wszystko jedno i tak musiałam tkwić kołkiem. Trochę się niepokoiłam, w jaki sposób Marcin wykołuje trenera, żeby nie poszła za mną smuga.

Dziewczyny pogodzone z losem kąpały się, kręciły loki, robiły manikiur, później leżały po pokojach i może nawet potrzebowały pobyczyć się po forsownych miesiącach przygotowań. Na następny dzień Ursyn zapowiedział basen i lekki trening.

– Zwiedzanie i kupno pamiątek po zawodach – obiecał. Wówczas każda z nas miała otrzymać kieszonkowe. Na obejrzenie Nicei przeznaczony został jeden dzień, a powrót wieczornym samolotem dawał oszczędność na hotelu.

Wszystkie nasze pomieszczenia wychodziły na wspólny korytarz. O dziesiątej Ursyn zamknął i zabrał ze sobą klucz od drzwi tego korytarza i poszedł do siebie, jego numer znajdował się piętro niżej. Do tej pory Marcin się nie pokazał, teraz miałam zgryz, jak on się do mnie dostanie.

Prawdę mówiąc, Ursyn miał swoją rację. Był za nas odpowiedzialny, nie wchodząc w jego motywy wzniosłe czy nie, doprowadził nas do międzynarodowej klasy i dbał teraz, jak umiał, żebyśmy nie zmalowały czegoś, co mogłoby przekreślić spodziewane sukcesy.

Prawda, byłyśmy trudne do upilnowania i nie dam włosa z głowy, czy inne dziewczyny nie miały na uwadze również jakichś kombinacji, ale wiem jedno, nam wszystkim cholernie zależało, aby pokazać na stadionie, w tym zagranicznym mieście jak z kina, jakie jesteśmy dobre, a może nawet doskonałe. Bo w surowych eliminacjach, nie licząc Laiku przeszły tylko najlepsze.

Dreńczył nas wstyd. No, bo z jednej strony prawie jak kadra narodowa, a z drugiej głupie zwierzaki, którym nawet w cudzoziemskim pensjonacie aranżuje się puszkę. Dziewczyny przygasły i dawały nura pod kołdrę, żeby przespać upokorzenie.

Mnie zamknąć na klucz!

Musiałby wsadzić do pancernej szafy z fotokomórką! Kiedy korytarz opustoszał, sforsowałam przeszkodę. A chociaż od paru lat nic tknęłam żadnego zamka, ten prosty, bezzastawkowy, ustąpił natychmiast bez większego oporu. Do operacji wystarczył pilnik i podobne do dłutek dwa wichajstry oprawne w perłową masę z przyboru do manikiuru, podarowanego Lalce przez działacza.

Czarna noc leżała nad ulicą ćmiącą martwym światłem rzadkich rtęciowych lamp. Nic tu nie zdradzało sąsiedztwa miasta, wypromieniowującego lunę barwnego blasku, ani obecności morza. Tutaj nie docierała nawet najłżejsza bryza. Pensjonat Adelajda leżał na dalekich peryferiach, dlatego miał umiarkowane ceny.

Czekałam długo. Marcin się nie pojawił. Pewno przyjdzie jutro. Nie miałam żadnych złych przeczuc, tylko rozzłościło mnie warowanie. Chciałam uszczkać coś i dla siebie z wykradzonej wolności. Poszłam w stronę zatoki. Nigdy jeszcze nie widziałam morza, tylko z

samolotu nad Niceą, skąd wyglądało jak kleks ultramaryny najeżonej zapalkami masztów.

Na Bulwarze Angielskim oszołomił ruch, na kilku pasmach asfaltu toczyła się nieprzerwanie masa blachy błyskająca latarniami i chromem, ulewa świateł, gwar, i nagle w grupie ludzi zdążających na drugą stronę mignął przechodzący jezdnię Marcin. Nosił tę samą kurtkę z kozłej skóry, w jakiej widziałam go w ośrodku i na lotnisku, nawet tę samą torbę przewieszoną przez ramię. Bez namysłu rzuciłam się za nim. Nie zauważyłam zmiany świateł i wszystko przysłoniła olbrzymiejąca w ułamku sekundy maska auta i ból w nodze, i koniec świadomości.

Adidasy!

Miałam je na nogach podczas wypadku. Bałam się pozostawić w pokoju, o czym przypomniałam sobie dopiero teraz.

– Gdzie moje ubranie! – poderwałam się z posłania.

– Jeszcze długo nie będzie ci potrzebne – powiedział Michel.

– Proszę mój dres i pantofle!

Medalion! O nim też nie pamiętałam. Palcami szukałam teraz na szyi znajomego łańcuszka. Nie było. Wraz z falą mdlącego strachu przemknęło podejrzenie, że to jakaś hewra specjalnie pogruchotała mi kości, żeby odebrać skarbonki Nonny.

Natarczywie i coraz głośniejsze domagałam się swoich rzeczy. Herbaciany się spłoszył, Michel powiedział coś do pielęgniarki, ta rzuciła się ku ołtarzowej szafie, wyciągnęła odzienie, adidasy i złotego małża owiniętego w irchową skórkę. Odetchnęłam i żeby uratować twarz z niezręcznej sytuacji zamarkowałam próbę ubierania się.

– Pendentif – pielęgniarka podała mi medalion.

Pozostał nieuszkodzony.

– Kiedy zgłosi się po mnie Ursyn? – chciałam wysondować, ile pozostało mi względnej wolności. Domyślałam się, że zwłoka wynikała z mojego stanu. Widać dotychczas wykluczał transport, spróbuje symulować i przedłużyć pobyt, a później może przyjdzie mi jakiś koncept.

– Tylko zależy od ciebie – przetłumaczył Michel słowa herbacianego, który znów się odezwał.

– Nie rozumiem?!

– Twój trener nie wie, co się z tobą stało.

– To skąd orientujecie się, kim jestem i jak się nazywam?

Michel pokazał gazetę. Nad krótką notką tłustą czcionką tytuł: Mustela, a pod nim mniejszym drukiem, KS Sterna. Warszawa. No tak, taki sam napis nosiłam na piersi.

– Kto mnie tutaj umieścił?

– Pan André Constant, deputowany departamentu Alpes-Maritimes.

– Co ma do mnie deputowany?

– Nic, poza tym, że wpadłaś pod jego samochód.

– Taka litościwa osoba?

– Powiedzmy, ma i swój cel. Wasze interesy są zbieżne. Zabrał cię do domu, płaci za twoje leczenie, kiedy wyzdrowiejesz, dostaniesz od niego pewną sumę i odeśle cię do kraju.

– Wszystko z żalu, że mnie przejechał?

– W zamian podpiszesz zobowiązanie. Zachowasz dyskrecję o okolicznościach wypadku i wyrzekniesz się wszelkich innych roszczeń finansowych.

Kiedy ja wyskoczyłam na jezdnię Bulwaru Angielskiego, pan Constant prowadził samochód zalany w drobnego karakuła. Obok siebie miał dziwkę, pardon, damę, do tego żonę innej znaczącej osobistości. Taszczył ją na chatę. Mnie pozbierali, zanim zdążyła nadjechać jakakolwiek policja, i zawieźli do prywatnej kliniki kolegi deputowanego. Tam mnie opatrzone, zagipsowano i jeszcze tej samej nocy zostałam przetransportowana do posiadłości w Bagnac, oddalonej od Nicei o kilkanaście kilometrów, żeby ten kumpel nie potrzebował zgłaszać glinom pacjenta z wypadku, co musiałby uczynić, gdybym tam została.

Pan Constant zafundował mi pielęgniarkę na stałe i opiekę lekarską z doskoku, w postaci Michela, chirurga z owej kliniki.

Uczyniono wszystko, by ratować anonimowość damy i nieskazitelną opinię pana Constanta, albowiem wyborcy bardzo nie lubią, kiedy ich deputowani tratuja po pijanemu przechodniów i spędzają wieczory w towarzystwie cudzych żon, po pozbyciu się własnej oraz dzieci na całe lato. Opozycja tylko czyha, żeby wyłović taki smakowity skandal i podciąć konkurenta, zwłaszcza że wybory blisko.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Ale poczułam prawie wdzięczność dla pana Constanta, że to on mnie przejechał, a nie ktoś inny, komu mogłoby aż tak bardzo nie zależeć na dyskrecji.

– Nie chcę wracać do Polski – doznałam olśnienia. To była szansa.

– Masz zamiar prosić o azyl? – padło stroskane pytanie pana Constanta. Nie przewidział kolejnej komplikacji.

– Chcę.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście – dołożyłam sobie kilka miesięcy, które tam, w kraju, decydowały o odesłaniu mnie do puszki dla małolatów.

– Jesteś niepełnoletnia, takim nie udziela się azylu – pan Constant zasłonił się prawem.

– Jak to! U nas w tym wieku dawno się podpada pod Wielką Jure, czyli sąd dla dorosłych – poprawiłam się. No i masz, wylazło świńskie ucho. Zaczęłam się pilnować, żeby czego nie powiedzieć za wiele. Z lokatorem ciupy dla małałatów deputowany zupełnie przestanie się liczyć.

Pan Constant począł kręcić. Przede mną jeszcze kilka tygodni leżenia, rekonwalescencja, rehabilitacja ruchowa, później się zobaczy.

– W takim razie nie podpiszę żadnego zobowiązania – postawiłam się ostro.

– Recesja, trudno o pracę, zwłaszcza cudzoziemcom, do tego nie znasz języka, jak sobie wyobrażasz egzystencję tutaj! – perswadował pan Constant za pośrednictwem Michela.

– Nauczę się francuskiego, zanim stąd wyjdę.

– Co umiesz? – zafrasował się pan Constant.

Właśnie, co umiem! I język. Czy opanuję go przez czas leczenia? Żeby cokolwiek zacząć, muszę rozumieć, co się do mnie mówi.

– Skończyłam ogrodnictwo – sprzedaję swój nieukończony kurs szkoły w ośrodku szkolenia kadr rolniczych. – A pracę wezmę każdą, sprzątanie prewetów też, i nie będę się targować o odszkodowanie, i nie będę siedzieć mu na garbie. Niech się nie boi. Gdy uzyskam prawo pobytu, pojedę do Paryża, mam tam znajomych, przekonaj go, Michel.

Powtarzałam w myśli adres podany przez Nonnę i wyobrażałam sobie, jak mnie Marcin szuka. Pewno już ją zawiadomił, że urwałam się razem z ich skarbonkami.

– Zobaczą, co się da zrobić – powiedział pan Constant, jakby już nieco oswojony z moim projektem.

Upłynęło trochę czasu, zanim zobaczyłam go powtórnie.

Zdjęto mi kokon z bandaży. Siadając na łóżku widziałam w wypłowiałym zwierciadle wiszącym naprzeciwko swoją głowę pokrytą krótkim runem, gęstym jak futerko kreta. Zgolone włosy dopiero zaczynały odrastać.

– Bien! Wyglądasz jak Joanna D’Arc – roześmiał się Michel. Nie byłam pewna, czy to komplement.

Polepszało się z dnia na dzień i gdyby nie noga na wyciągu, mogłabym już wstać. Zniknęła pielęgniarka, teraz opiekowała się mną milcząca starucha, małowówna nawet na migi. Sama całymi dniami nudziłam się dziko, do łez.

– Przyniosłem ci samouczek i gramatykę – zawiadomił Michel przy jednej z kolejnych wizyt. Jak się okazało, wcale nie łatwo przyszło mu wyszukać zestaw polsko-francuski, ściągnął go dopiero z Instytutu Polskiego w Paryżu.

Wzięłam się do książek bez zapału, ponieważ jednak nie miałam żadnego wyboru, codziennie jak kamienie tłukłam słówka, zwroty, idiomy, bo mimo wszystko było to lepsze od wpatrywania się w wiszącą nogę, zajmowało myśli, przytłumiając stale ćmiący lęk przed kalectwem.

Szło mi źle. Błagałam Michela o polskie książki.

– Nie. Masz się uczyć francuskiego – tego dnia zainstalował adapter i płyty z rozmówkami.

– Klawisz, kat, pies Constanta – wymyślałam bezsilna, wściekła i zupełnie od niego zależna. – Nienawidzę cię!

Nie obrażał się, lecz jeśli byłam przykra, ograniczał wizytę do minimum. Przestałam się awanturować, starałam się być miłą, aby chociaż dwa razy na tydzień usłyszeć zrozumiały ludzki głos, i wlokłam się jak o kulach przez meandry obcego języka. Było mi tym trudniej, że nie najlepiej znałam ojczysty. Jednak po pewnym czasie mogłam już samodzielnie przeczytać i zrozumieć informacje prasowe, jakie ukazały się po moim zniknięciu. Niemal wszystkie dzienniki doniosły o ucieczce rewelacyjnie zapowiadającej się polskiej lekkoatletki. Podejrzewano skaperowanie i ukrycie niepełnoletniej zawodniczki do czasu prawnego uregulowania jej pobytu. Wymieniano kluby niekoniecznie francuskie, znane z bezwzględnych metod pozyskiwania utalentowanej kadry.

Wyobraziłam sobie wściekłość Ursyna, gdy to czytał. Z pewnością uwierzył. A zawistni bez wątpienia zarzucą mu zaniedbania pracy ideologicznej i jeszcze kilka podobnych przewinień, żeby przynajmniej pozbawić go miejsca, którego sami nie mogą zająć.

Nie odczułam żadnej złośliwej uciechy. Zbyt wiele straciłam, by mogła mnie bawić jego złość i rozczarowanie i nawet było mi go żal, bo chociaż traktował mnie jak zwierzaka i miał za nic, harował nade mną, stworzył życiową szansę i nie zaniedbał niczego, żeby mój talent rozwinąć.

Obudziła się we mnie nadzieja. Kiedy wyzdrowię i odzyskam sprawność – marzyłam – sprzedam się do takiego klubu, a później z nazwiskiem znanym za granicą powrócę do Ursyna i w barwach Sterny pobiję wszystkich. Przyjmą mnie. Zwycięzców się nie sędzi, jak powiedział, nie pamiętam kto.

Zawzięłam się. Tymczasem uczyłam się języka.

– Dobrze – chwalił mnie Michel. – Masz dobrą pamięć wzrokową i słuchową – i za każdym razem kilka minut poświęcał francuskiej konwersacji.

Wyczekiwałam na niego jak na święto.

Z dalekości łoża mizdrzyłam się do oślepnętego lustra i usiłowałam ocenić, jak naprawdę

wyglądam, czy mogę się podobać i jak widzi mnie on. Znowu jakiś ON! Nie mogłam się odnaleźć w uczuciach. Chociaż wcale tego nie chciałam, Michel jakby odbarwiał dalekiego Wilka, jakby po trochu odbierał mu życie, zamieniał w cień.

Wilk.

Miał swojego poloneza, rajdy, dziewczyny, jedną piękniejszą od drugiej, liczne towarzystwo. Ja ledwo błąkałam się na marginesie jego pamięci. Widywałam go przelotnie, rzadko, przeważnie z daleka. Jeżeli mogłam wybrać się czasami w okolice, gdzie miała swą siedzibę sekcja motorowa, to akurat Wilka nie spotykałam. Powracałam zawiedziona, lecz z poczuciem ulgi, i obiecywałam sobie nigdy więcej go nie szukać.

– Nie lataj za chłopami – przestrzegła Nonna. Sama robiła odwrotnie i zrażała partnerów staraniami o ich względy, nie umiejąc ukryć zabiegów.

Przed zawodami w Nicei Wilkowi znowu przypomniało się o moim istnieniu. Przyszedł na stadion. Mignęła mi jego twarz zupełnie blisko, stał wsparty o barierkę i przyglądał się, jak biegnę. Patrzył na mnie!

– Cześć, Mustela! – podszedł, gdy skończyłam trening.

– Co tu robisz? – nie mogłam uwierzyć, że czekał na mnie.

– Chciałem zobaczyć, jakie zrobiłaś postępy. Czytałem o tobie.

– Takie tam wzmianki – powiedziałam od niechcenia, chociaż pękałam z dumy.

– Chodź, napijemy się wina – to nawet nie było zaproszenie, tylko oczywistość.

– Ty już naprawdę nie masz z kim iść? – chciałam usłyszeć coś miłego, dotyczącego mnie samej. Nie doczekałam się.

– Nie mam.

– Poza porą obiadu my, z internatu, nie mamy wstępu do baru.

– No nie, nie narażałbym cię w ośrodku. Skoczmy do Osady.

– Skoczmy!

Szczyście pachniało wistaria, wiatrem od rzeki, pyłem leśnej drogi, konglomeratem lakieru, benzyny i nagrzanej skóry, moszczącej wnętrze poloneza, kiedy tropami Lalki przełaziłam przez dziurę w siatce. Wilk czekał po drugiej stronie, tak się z nim umówiłam.

– Wyglądasz jak prawdziwa dziewczyna!

Przeważnie chodziłam w dresie albo w spodniach. Teraz założyłam, co miałam najlepszego. Podarunek Nonny. Szeroką, wzorzystą spódnicę z bawełnianego kaszmiru, płytkie pantofle z ledwo zaznaczonym obcasem i bluzkę z dzianiny w kolorze kasztanów, dobrane barwą do mojej grzywy i deseni spódnicy. Czułam się elegancka, światowa, interesująca i trochę sztywna w stroju, do którego nie przywykłam.

W cukierni był jabcok, to znaczy bełt, podle owocowe wino krajowe o konsystencji zajzajera, w knajpie wyłącznie czysta i węgierski różowy szampan. Wilk kazał jedno i drugie. Karta z wydrukowanym menu prezentowała literaturę fantastyczną, bufet oferował jedynie dwa dania, kiszkę pasztetową i płonące naleśniki. Wilk zażądał jedno i drugie. Zabrakło kieliszków do wina, podano szklanki.

– Wilk, picia jest za dużo.

– Nie bój się, powrócimy taryfą albo piechotą. Chociaż nie, szkoda twoich szpanowych pantofli – spojrzał na moje zamszowe czółenka.

– Nie ma czego żałować – nadal nie dbałam o ubiór, lecz to, co na sobie miałam w tej chwili, bardzo ceniłam i zakładałam od wielkiego dzwonu. A teraz właśnie był największy dzwon i nic innego nie istniało, ani przedtem, ani później.

– Nie jest to Moët chandon – roześmiał się Wilk, napełniając moją szklankę różowym napojem. Sobie nalał wódki.

– Nie mówmy o tamtym, zdarzyło się tak dawno – wydawałam się sobie inna, dorosła i subtelna na moim pierwszym prawdziwym spotkaniu z Wilkiem. Wspomnienie brutalnych wyrostków i pijanego bachora, jakimi wówczas byliśmy, sprawiało mi przykrość.

Milczeliśmy. Rozmowa nie kleiła się, jakbyśmy nie znali wspólnego języka. Ja z zachwytu i lęku, żeby nie wydać się głupia, on, bo nic go nie obchodziłam. Co najwyżej darzył mnie pewnym rodzajem pobłażliwego podziwu, patrzcie, taki zwierzak, a jednak zrobiła się podobna do dziewczyny, i moja obecność nie stanowiła nawet plasterka na jego problemy, o których nie wspomniał. Nic o nich nie wiedziałam, on też nie był ciekaw i nic nie wiedział o mnie. Sączył wódkę i żuł swoje zmartwienia nie mniej samotny przy mnie, niż ja przy nim.

– Masz piękny medalion!

Nosiłam go na bluzce, czerwone złoto i słoniowa kość podkreślone kasztanową dzianiną. Zdjęłam klejnot i podałam Wilkowi. Obejrzał z ciekawością.

– Jest stary i cenny, wiesz?

– Wiem.

– Skąd go masz?

– Od matki.

Nie, nie miałam zamiaru kłamać, nie chciałam opowiadać nieprawdy, lecz zainteresowanie medalionem zerwało tamę i wbrew woli, jakby coś gadało za mnie, popłynęła latami cyzelowana opowieść o matce, wielkiej śpiewaczce, mieszkającej w Paryżu, która nie wie o moim istnieniu.

– Właściwie jak się nazywasz? – od naszego spotkania na wysypisku minęło przeszło pięć lat, ale nie znał mojego nazwiska.

– Warega, a ona Vera Warega. Nie ma jej we Francji. Jest na kontrakcie w Tokio. Powróci najprędzej za rok. Ale i tak bym do niej nie poszła.

W marzeniach zdobywałam rozgłos i łaskawie jej przebaczałam, jak równa równej, sławna sławnej. Omal się nie rozplakałam, w tej chwili moja opowieść była dla mnie prawdą.

– Też z nami lecis. Wilk? – musiałam zmienić temat, żeby się zupełnie nie załgać do całkowitego pomieszania rzeczywistości ze zmyśleniem.

– Lecę.

– Będę za ciebie trzymała kciuki.

– Nic nie pomoże – wypił wódkę jednym łykiem i zaraz sobie dołał.

– Nie zapeszę, szczerze ci życzę!

– Nic nie pomoże, to miłość bez wzajemności. Osiągnąłem pułap i nigdy nie będę lepszy, nie mam do jazdy talentu. Dobrze, jeśli zechcą mnie wziąć na firmowego kierowcę do zakładów Porscha. Muszę zarobić, bo chcę zbudować sobie dom nad Jeziorem. Mam zamiar tam żyć na własny rachunek i robić, co lubię. Rzeźbić.

– A z czego będziesz żył?

– Ze snycerstwa, ze stolarki.

– Na Miladzie?!

– Na Miladzie. Ludzie dowiedzą się i przyjdą, bo będę wyrabiał to, co człowiekowi jest zawsze potrzebne. Krzesła i stoły, i rzeźbione ościeżnice, i fryzy nad nie. My jesteśmy znad Jeziora, żyliśmy tam od pokoleń i byli wśród nas zdolni cieśle i stelmachowie, i wytwórcy drewnianych naczyń, więc czas na snycerza. Drewno mam zapisane w genach.

– Nie pij więcej. Wilk – myślałam, że gada przez niego czysta pomieszana z różowym szampanem.

Nie wracaliśmy piechotą ani taryfą, tylko polonezem, a potem wysiedliśmy w lesie i kochaliśmy się pod choinami. Pachniały wiosenne łągi, rzeka, znad brzegu nawoływał chruściel, ale miłość mi się nie udała. Nic z książkowych uniesień i nic ze święta, tylko przykrość i skrepowanie, a ten chłopiec nie obdarzył mnie czułością ni uwagą, ani dobrym słowem, bo wtedy byłam dla niego namiastką, czymś zastępczym, przelotnym i jeszcze miał pretensję, jakbym go oszukała.

– Dziewczyna z domu poprawczego, i gdzieżeś się, taka uchowała?! – powiedział ze złością.

Milczałam.

– Dlaczego nie uprzedziłaś, jak z tobą jest?

– Kiedyś trzeba zacząć.

– Ale dlaczego ze mną, jeśli myślisz...

– Odpier się, ty nadęty kretynie, ty snobie, ty wołku zbożowy – wymyślałam mu poprawczakiem i książkowo, byle tylko nie usłyszeć, co on myśli, że ja myślę, i uciekłam. Świerkowe łapy były po twarzy, potykałam się na korzeniach, bo noc była bezksiężycowa, ledwo trafiłam na przesiekę i po omacku odnalazłam pod wistarią dziurę w parkanie. Wilk pobrnął za mną, potknął się na pierwszej nierówności i runął na ziemię, aż jęknęło. Nie dogonił mnie. To mnie niosła wściekłość i upokorzenie, to ja nie piłam wódki i ja byłam sprinterką, a nie on.

Nazajutrz z samego rana czekał pod halą gimnastyczną.

– Mustela, czego ten ananas szuka? – wprost do mnie zwrócił się Ursyn.

– Skąd mogę wiedzieć. Niech go pan pogoni.

Trener przyjrzał mi się, a ja patrzyłam mu w oczy szczerze i uczciwie, jakbym nigdy w życiu nie badziała się po krzakach z tym ananase, jakby mi nigdy w życiu na nim nie zależało. I Ursyn wyszedł, głośno, żeby słycać było w sali, powiedział.

– Idź stąd, Miłosz, ona nie chce z tobą rozmawiać!

Zaskoczył mnie. Nigdy bym nie pomyślała, że tak rozegra sprawę, ale zdumiał mnie jeszcze bardziej, kiedy wrócił i bez słowa komentarza dał znak do dalszych ćwiczeń.

Wilka zobaczyłam dopiero na lotnisku. W samolocie za mną siedziała młoda osoba, nic wspólnego nie mająca ze sportem. Ktoś ważny załatwił jej przelot naszym czarterem. Wilk zamienił się miejscem z działaczem od Lalki i przysiadł do niej.

Jak ja o nim nic nie wiedziałam! Mówił, jak człowiek o rozległych horyzontach, językiem ludzi inteligentnych, bez żadnych subkulturowych naleciałości, które przy mnie często mu się zdarzały. Może się nie pilnował, a może uważał, że taki zwierzak jak ja inaczej nie zrozumie. Podsluchiwałam z goryczą i zazdrością. Ze mną nigdy nawet nie próbował tak pięknie rozmawiać.

Dziewczyna nawijała o Quartier Latin, Sartrze, jego filozofii i jego muzie, Juliet Greco. Dostała roczne stypendium, miała zamiar pisać książkę o egzystencjalistach.

– Paryż, Montmartre, mogłabym tam żyć zawsze... Latiński wdzięk i esprit musujące jak...

– Moët chandon – podpowiedział Wilk. – Mój żywioł jest inny, mój świat to północny las i dzikie trawy, pierwotna marchew, czosnek i arcydzięgiel, widłaki, świerki, wilcza jagoda i lipowe drewno. I Jezioro, wielka, swobodna woda. Jam jest moja ojczyzna i muszę tam

wrócić i tam żyć, bo gdzie indziej nie mogę. Wszystkie gdzie indziej to tylko gościna i nawet ciekawa odmiana, ale prawdziwe moje życie jest tam – prawil ze śmiertelną powagą.

Tokuje jak cietrzew! Kabotyn.

Byłam wściekła, dotknął mnie ten Moët chandon, wycelowany we mnie, powiedziany dość głośno, abym mogła usłyszeć nawet poprzez szum motorów.

Teraz Wilk z oddalenia bladł, tracił życie, upodobniał się do zatartej fotografii. Wspomnienie nie wywołujące już uczucia szczęścia aż do ogłupienia albo zatracającej rozpacz. I było mi okropnie żal owego stanu łaski, którego już nie potrafiłam przywołać, nawet sięgając do obrazu z przeszłości, gdy on szedł przez dziedziniec pierwszej puszki.

Mimo to na wszystkich kanałach telewizyjnych poszukiwałam sprawozdań z jego rajdu, ale Wilka w nich nie było.

Dogasało prowansalskie lato.

Zdjęto mi gips. Rozpłakałam się na widok tego, co wyluskano z rozprutego pancerza. Błady piszczel z wątlutkimi mięśniami, porośnięty ciemnym puchem, z grubym, nieforemnym kolaniem. Profesor, szef Michela, był zachwycony.

– Krrru, mrrru, onrrru – maltretował nieszczęsną kończynę, wiązanie działało opornie, wyłam z bólu, profesor promieniował, niesłuchanie rad z siebie. Bez przerwy gadał do Michela, z którego jak z fontanny bił szacunek i podziw dla wielkiego zwierchnika.

– Co on mówi?

– Że świetnie.

– Noga wcale się nie zgina! – ledwo wyjąkałam. A więc tak się zaczyna kalectwo. Pociemniało mi w oczach.

Michel odwiózł mnie do Blagnac.

W domu oślepy okna, pozamykane okiennicami. Na frontowe wejście zaciągnięto kratę. Tylko na zapleczu pozostały otwarte masywne drzwi prowadzące wprost do pomieszczeń gospodarczych.

W izbie z podłogą z kamiennych płyt i staroświeckim kominem czekał André Constant. Wypełniał drewniane krzesło z poręczami, okazały mebel z poduszkami obszytymi płótnem w czerwono-niebieskie pasy.

– Dom przygotowano na zimę – powiedział po przywitaniu.

Budynek został całkowicie zamknięty z wyjątkiem kuchni, dokąd przeniesiono łoże z czerwonego mahoni, telewizor i stare gazety.

– Bien! – uczyniono tak ku mojej wygodzie i zmniejszeniu kosztów utrzymania mnie i posiadłości, które wciąż wzrastają, bo jest recesja. Z tych też powodów będę się sama

obsługiwała. Znajdę tu wszystko, co potrzebne do życia. Od starszej pani, dotychczas mnie doglądającej, nie powinnam oczekiwać żadnych świadczeń, ale nadal będzie mnie zaopatrywać w jarzyny, owoce, oliwę i wino. Butelka tygodniowo. Wystarczy. U siebie w kraju z pewnością wino widywałam od święta.

Mylił się. Nie widywałam wcale.

Mam otworzony kredyt u rzeźnika, piekarza i w mleczarni z dostawą produktów na miejsce. Z trafiki w dalszym ciągu będę otrzymywała gazetę. Na wszystko przeznaczono taką i taką sumę tygodniowo, na befsztyki nie wystarczy, lecz gorsze gatunki mięsa są nawet zdrowsze. Muszę gospodarować oszczędnie, przekroczeń budżetu nie przewidziano.

Pozostawia rower, gdy już się rozruszam, mogę sobie jeździć nad morze oddalone stąd, drobiazg, dwanaście kilometrów. Aha, omal nie zapomniał, czyni starania o przyznanie mi tymczasowego prawa pobytu. Powinnam docenić jego najlepszą wolę, dokument załatwia przez swoje stosunki, inaczej prędzej bym zobaczyła swoje uszy bez lustra.

– Zezwolenie otrzymasz w dniu opuszczenia mojej posiadłości – sapnął na zakończenie.

Pozostałam sama.

Nie widywałam ani staruchy, ani dostawców. Pozostawiali koszyk po zewnętrznej stronie parkanu, w pojemniku działającym na zasadzie skrzynki pocztowej, skąd zabierałam zaopatrzenie nie musząc nawet wychylić się za bramę.

Puszka. Tylko inna. Widać z poprawczaka nie wychodzi się bezkarnie w zwyczajny świat. Istnieje jakaś niewidzialna granica, nie żadna magia, ta bariera jest we mnie i determinuje moje życie. Gdybym nie wzięła skarbonki Nonny!

Nadal dwa razy w tygodniu Michel ordynował w Blagnac, wtedy zaglądał do mnie i zabierał do ośrodka lekarskiego, gdzie ćwiczyłam na specjalistycznych urządzeniach. Wieczorem pływałam odnóże w cebrze z roztworem soli mineralnych. Polepszało się, lecz wycieczki rowerowe musiały zaczekać.

Nad morze zawiózł mnie Michel.

Ujrzałam nagi brzeg z rzadkimi piórami ostrej trawy chwiejącej się na diunach, w oddali z jednej strony kolorowe plamy nielicznych parasoli, z drugiej mała rybacka przystań i płaska woda nie mająca kresu, zlewająca się z niebem tak samo stalowoniebieskim.

– Ono wcale nie jest zielone! – trochę mnie rozczarowało, zblakłe i równe niczym piatfus. W porównaniu z wyobrażeniami zaczerpniętymi z książek i ilustracji nie wyglądało ciekawie.

– Bleu d'horizon – powiedział o jego barwie Michel.

Do przystani dobiła łódź.

– Wracając z połowu, zaczekaj Michel poszedł ku pirsowi szczerzącemu rząd pociemniałych bali.

Powrócił ze sprawionym tuńczykiem i pozbieranym po drodze naręczem drewna, przyniesionym na brzeg przez żywioł. Na ruszcie, wyciągniętym z bagażnika samochodu, piekł rybę. Skwierczały krople tłuszczu skapujące na upalone węgle. Mięso było soczyste, pachniało dymem i morzem.

Przypomniał mi się szczupak z ogniska na olsie i ścisnęło serce z żalu i tęsknoty za Jeziorem, Łabędziem, nurkiem z chińską twarzą, za Nauczycielką, Nonną, Dziadkiem i Wilkiem.

Czy tak dręczy nostalgia?

Michel składanym marokańskim nożem odkrawał dzwonka parującej ryby, w niczym nie przypominał Wilka, miał brązowe miękkie włosy i brązowe oczy, szczupły i niezbyt wysoki, i był mi bardzo potrzebny, brakowało go co dzień w ciemnej izbie z kamienną podłogą. Więc jak to jest, tęsknię za Wilkiem, a wyglądam Michela?

Jego dziad przyjechał do Nordu rąbać węgiel, gdy nie stało dla niego pracy na Śląsku, w tamtych mitycznych latach zaraz po plebiscycie i przyłączeniu do Macierzy, a w drugą wojnę światową poległ za Republikę w maquis. Jego syn przybył do Polski po wojnie, ale później, po procesie Robineau, wielu francuskich Polaków obrażono nieufnością, wyrzucono z pracy. Nie chciał być obywatelem drugiej kategorii i powrócił do Francji.

– Mój ojciec sam nie wiedział, do którego kraju wraca, jaki opuszcza i gdzie jego miejsce – mówił Michel.

Leżymy w rzeźbionym łożu, ustawionym tak, że pada na nie blask ognia z archaicznego komina w prowansalskiej kuchni z belkowaną powalą. Płonie na nim drewno подарowane przez morze, dzisiaj niegościnne, ani płaskie, ani bleu d'horizon, tylko czarnooolowane i złe. Ryczy i pluje pianą, szasta się i zagarnia brzeg, bo dmie Tramontana, jak nazywają tu zimny, północny wiatr.

– A ty?

– Jestem Francuzem!

Michel nie ma żadnych wątpliwości, kim jest. Urodził się i wychował we Francji.

– Ale pozostał ci sentyment do mowy?

Sentyment?! Może, trochę. Przez dziadka, odznaczonego pośmiertnie Croix de Guerre z gwiazdą. Croix du Combattant i Legią Honorową na czerwonej wstążeczce, bo jest i na zielonej, gorsza, nie tyle warta, widać mniej honorowa. Więc dla pamięci dziadka, a trochę

dlatego, że nie zawadzi znać jeden język słowiański. W latach jego studiów panowała moda na Europę Wschodnią, a Michel wyniósł polski z domu, no to tylko dopracował go na uczelni.

– Polska leży w Europie Środkowej – koryguję. Jeszcze tyle mnie nauczyli przez dwa lata w szkole rolniczej.

– Co za różnica.

– Pewno! I tak, i tak na wschód od wieży Eiffla. Ech, ty wołku zbożowy! – budzi się we mnie solidarność z geograficznie zlekceważonym krajem, którego barwy nosiłam na dresie, i namyślam się, czym by Michela olśnić, czego oni nie mają, ale jak na złość przychodzi na myśl tylko gigantyczny mortus, jakiego rzeczywiście nie posiadają, chociaż na każdym kroku jęczą o recesji, tylko że to nasze osiągnięcie gospodarcze nie wydaje mi się atutowym przebicciem na chwałę mojej ojczyzny.

Palenisko przygasa.

– Dołożę drewna – Michel podnosi się z łoża, nagi, niewysoki, harmonijnie zbudowany, i pochyla przy kominie. Jego sylwetka jak narysowana węglem zaznacza się czarno na tle blasku promieniującego z ognia. Starannie przegarnia głownie i tak samo starannie układa świeży żer dla płomieni. Michel ma we krwi porządek i planowanie.

W życiu Michela panuje ład, jak w dobrze utrzymanej bielizniarce. Michel ma życie zaprogramowane. Za trzy lata robi specjalizację, za pięć ożeni się z córką szefa, która uczy się w jakiejś nadzwyczajnej szwajcarskiej szkole. Za dziesięć lat Michel obejmie klinikę swojego teścia.

– Miłość ze mną też zaplanowałeś?

Moje pytanie wcale go nie bawi. Nie zwykł sypiać ze swoimi pacjentkami, przekonuje mnie. Sam nie wie, dlaczego złamał zasadę, ale naprawdę stanowią wyjątek.

No proszę, czegoś nie przewidział, nie obmyślił z góry i w jego schludną egzystencję wkraść się nieporządek.

I jeszcze jedno. Michel nie używa słowa: miłość. Może w ten sposób podkreśla nietrwałość naszego zbliżenia, w każdym razie to, co uprawia ze mną w mahoniowym łożu z zagłówkami jak ołtarze nigdy nie nazwał miłością.

Było mi prawie dobrze.

Michel zezwolił na rower. Jeździłam na diuny i patrzyłam, jak żyje morze. Tkwiałam na brzegu pośród kepek rzadkiej trawy niczym zapomniany plażowy parasol, niezdatny do użytku, zepsuty przedmiot odrzucony po sezonie.

Zbierałam drewno wynoszone przez przybój i troczyłam do bagażnika, włamałam się również do drewnutni posiadłości Blagnac. Każdego wieczoru miałam żywy ogień na

archaicznym kominie, dwa razy w tygodniu kolacje i noce z żywym człowiekiem.

– Jesteś zdrowa – orzekł Michel w połowie grudnia.

Constant załatwił mi prawo pobytu. W moim kraju ogłoszono stan wojenny.

9

– Dziwka! – wykrztusił i nic więcej nie przechodziło mu przez gardło, dławił się złością.

Prasnął nożycami w stertę obrzyneków, w jakie pracowicie przemienił moje adidas.

Pośród ścinków impregnowanego płótna i całego kramu, z jakiego składają się firmowe pantofle, nie znalazł niczego. Także byłam rozczarowana i czułam się jak palant, ale Marcina rozsadzała wściekłość i rozpacz. Czuł się ograbiony, wystawiony do wiatru, zbankrutowany. Teraz nie przypominał supermena z reklamy, jego reprezentacyjne uzębienie szczyrzyło się nieurodziwie.

– Dziwka!

Strząsnęłam z przedramienia pętlę z rzemiennej struny, obsunęła się pod ciężarem noża, w tym samym momencie, gdy poczułam w dłoni trzonek, parowałam cios Marcina. Rękojeścią marokańskiego majchra z węzlastego drewna oliwki z całej siły podbiłam jego rękę mierząc w kostkę nadgarstka.

Trafiłam. Ramię mu sflaczało.

– Mnie się nie bije, zapamiętaj sobie! – odbezpieczyłam ostrze, wyskoczyło z cichym szczękiem. Połyskujący niebiesko język stali, którym można się osłonić, ukroić chleb i zabić człowieka.

Najlepszą obroną jest atak, uczył Kardynał. Postąpiłam krok.

– Jeśli znów spróbujesz, ciachnę po ścięgnach! – kipiała we mnie taka sama ciemna siła, jak kiedyś w puszcze, chociaż on był silniejszy, ze dwa razy starszy i rozjuszony doznany zawodem.

– Schowaj nóż, jeszcze się skaleczysz – mruknął. Wbrew intencjom, zabrzmiało to żałośnie, jego ręka puchła w oczach.

– Ostrzegam – nacisnęłam sprężynę. Stalowe żądło z sykiem skryło się w głębi uchwytu. Nie podciągnęłam rzemienia w rękawie, złożony majcher dyndał pod kciukiem dłoni.

– Przecież nie będę się z tobą bił, mógłbym... – przyglądał mi się z mieszaniną urazy,

ciekawości i respektu.

– Mógłbyś – przyznałam. Nie należy upokarzać ludzi ponad konieczność, kiedyś uczyła Nonna.

Nonna!

Kazała mi iść na rue Clignancourt? Nie kazała! Więc dlaczego poszłam? Ponieważ nigdy nie byłam samodzielna, podświadomie szukałam podpory, zwłaszcza tutaj, rzucona w cudzoziemski żywioł. Nigdy nie egzystowałam jak normalny człowiek. Od powijków myślano i decydowano za mnie, gorsze czy lepsze, ale dawano wszystko gotowe, w zamian żądając posłuszeństwa i przestrzegania regulaminów takich, siakich, owakich, lecz zawsze stanowiących o moim postępowaniu. No i nawet nie zdając sobie sprawy rozejrzałam się za oparciem. A przecież Nonna wyraźnie mówiła o wysłaniu butów w razie niestawienia się Marcina w nicejskim hotelu.

Był i drugi powód. Chciałam widzieć tę radość, gdy przynoszę zdawałoby się bezpowrotnie zaginiony szmal. Wciąż siedział we mnie ten sam kundel, nigdy nie syty pochwał i głaskania.

– Musiałabym upaść na głowę, żeby cię szukać, Marcin, gdybym zgrandziła skarbonki. Nie miałam żadnego musu, sam nigdy byś mnie nie odnalazł. I do diabła, dlaczegoś nie przyszedł, jak zostało umówione?

– Przymusowe lądowanie.

Rzadkie szczęście. Tego nie mógł nikt przewidzieć. Awaria samolotu. Maszyna siadła pod groźbą katastrofy na lotnisku pod Berlinem Zachodnim. Formalności trwały dobę, drugą zajęła Marcinowi podróż z przesiadkami do Nicei. Nie opuścił jeszcze Niemiec, gdy ja goniłam po Bulwarze Angielskim za kimś do niego podobnym albo tylko podobnie ubranym.

– Jesteś pewna, że w Błagnac zwrócono ci te same adidasy?

– Ty także nie miałaś wątpliwości, póki ich nie wybebeszyłeś.

– Już nic nie rozumiem!

Nie szkodzi. Za to ja zaczynałam pojmować. Do owych butów nigdy nic nie włożono. Wobec Marcina Nonna posłużyła się trikiem znanym prestidigitatorom i oszustom. Miała zupełnie dobrze opanowane potoczne chwytty hochsztaplerów, kiedyś parała się i tym fachem, o czym nie miał pojęcia salonowy urka.

Po pracowitym zamaskowaniu walorów w grubych podeszwach, na oczach Marcina zamieniła nadziane karatami pantofle na inne, identyczne, lecz bez cennej zawartości. Dlatego z całym przekonaniem zapewniała mnie o absolutnym bezpieczeństwie deptania w nich przez granicę. No i takie mecyje spokojnie można powierzyć poczcie. Tylko nie mogła przewidzieć

spóźnienia się Marcina, mojego wypadku, a zwłaszcza, że poczlapię jak palant na metę, dokąd mnie nikt nie posyłał. Głupia, głupia Pelka!

– To Nonna kazała ci dostarczyć pantofle, gdybym ich nie odebrał w Nicei?

– Tak. Dlatego na wszelki wypadek dała mi kontakt na Clignancourt – dopasowuję treść polecenia Nonny do nowej sytuacji, aby, o ile się da, odwrócić od niej smugę.

– W jaki sposób chciałaś dotrzeć do Paryża?

– Mieliśmy tędy wracać po zawodach.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Obiecano nam dzień na zwiedzanie Paryża i powrót do domu nocnym samolotem – lżę jak z nut.

– Jeśli nie w Warszawie i nie w Blagnac, zamieniono ci pantofle w drodze, trzeciej możliwości nie widzę. Jak się tutaj dostałaś?

– Okazją.

Michel odwiózł mnie na dworzec w Nicei.

– Dziękuję za wszystko, Michel – pożegnałam go przed pawilonem poczekalni i ukryta za przeszklonionymi drzwiami patrzyłam bez żalu, aż zwarta masa nieprzerwanie toczącej się chromowanej blachy wessie jego samochód, aż zniknie z mojego życia jeszcze jeden człowiek, miasto, widok.

Rozpoczęłam egzystencję na własny rachunek.

Przy kasie odsprzedalam bilet do Paryża. Czysty zysk. Koszty przejazdu opłacił Constant.

Na sposobność nie czekałam długo. Turysta. Po drodze zaczął się ślinić i podmacywać. Prawdziwe rozkosze obiecywał na pierwszym popasie za Niceą. Zatrzymał się w małym, posezonowo spokojnym miasteczku.

Vence.

Chciał je zaliczyć z bedekerem w garści i, nie pytając mnie o zdanie, francuszczyzną jeszcze gorszą niż moja, zdecydował, że najpierw pójdziemy zwiedzać, a potem zabierze mnie do hotelu, gdzie będziemy robili fiki-fik.

– Jesteś niemyta świnia i dostałbyś po gębie, ale boję się zbiegowiska, więc za karę bekiesz zasoby – przemawiałam po polsku, łagodnie, z uśmiechem, dopóki nie zoperowałam mu kieszeni. – To się nazywa sforsować parkan albo zmierzyć dolinę, pa, kiciusiu! – opuściłam go na progu przygodnej kafejki.

Zwitek banknotów wetknęłam do kieszeni, solidny portfel z dokumentami wpuściłam do śmietnika w najbliższej bramie. Dla zmylenia tropu pokluczyłam uliczkami pamiętającymi

wczesne średniowiecze i weszłam do napotkanej winiarni. Pilno mi było przejrzeć się w lustrze. Chciałam sprawdzić, czy jestem taka piękna, czy taka wyzywająca, że pierwszy z brzegu facet skłonny jest pokazać mi zabytki, a nawet zainwestować w mój obiad. Ale zwierciadło nie wyjaśniło nic. Owszem, bez forsownych treningów przestałam składać się wyłącznie z mięśni i ścięgien, nabrałam trochę ciała, włosy miałam zdrowe i lśniące, skórę gładką, ale nie wyglądałam ani na dziwkę, ani na królową piękności.

Wypiłam czarę jabłecznika i poszłam dalej.

W mijanej trafice kupiłam marokański sprężynowiec w okładzinie z oliwnego drzewa i rzemionną strunę, na której zawsze był pod ręką, ukryty w rękawie. Można nim krajać chleb, trzonkiem posłużyć się jak szpadryną, można nim zabić człowieka.

Przede mną leżało prawie dziewięćset kilometrów nie znanej mi La Route Nationale sept.

Byłam z siebie niezadowolona.

Dla wątpliwej korzyści bez namysłu postawiłam na kartę ciężko okupioną wolność. Przecież mogła się ta dolina nie udać, nie miałam doświadczenia w kieszonce. I kim jestem? Czuję do siebie niesmak i to było najdziwniejsze. Po raz pierwszy w życiu miałam zgryz z powodu cudzej własności, nie tylko dlatego, że gość pewno już się tropnął i podyrdał na flikowo, a miasteczko nieduże, skąpo zamieszkane, turystów mało, bo nie sezon, i łatwo wziąć namiar na obcą.

Zmyłam się z widoku. Poszłam na cmentarz.

Natknęłam się na mogiłę polskiego pisarza. Nazywał się Gombrowicz. Nie słyszałam o takim. Sądząc z eleganckiego nagrobka i świeżych kwiatów mimo zimy, był kimś. Jak tylko znów dorwę się do biblioteki, zaraz się z nim poznam.

Przysiadłam w świątyni.

W starej katedrze w Vence, z najdawniejszą częścią z jedenastego stulecia, miana twórców: Rouault, Couturier i Bony zachowały się wraz z ich dziełem, witrażami.

Trud, kunszt i ślad na ziemi. W kamieniu, w architekturze, w cudzie kolorowych szkieł zespolonych w obrazy sztuką i ołowianą ramą, pędzlem, jak Matisse w La Chapelle du Rosaire, piórem, jak pisarz Gombrowicz, ludzie pracują na nieśmiertelność.

– Dziadku, staluję pacierz ekstra za duszę świętej pamięci Witolda, literata z, mojego kraju – pod romańskim tumem wcisnęłam żebrakowi zwitek ukradzionych pieniędzy i przysięgłam sobie nigdy więcej nie korzystać z grandy.

Przestałam kusić los, opuściłam Vence.

Po zmroku dotarłam do bistro przy stacji benzynowej u wylotu La Route Nationale

sept. Przez cały dzień od rana nie miałam nic w ustach. Poprosiłam o frytki i kawę przy cynku. Na stojąco, przy bufecie obitym blachą, kosztowało taniej niż przy stoliku.

– Chcesz się pewno zabrać w drogę, daleko? – oceniła mnie bezbłędnie kobieta zza lady.

– Paris.

– Kawał drogi! Poczekaj na frachtowce, jadą nocą, gdy maleje ruch. Oni robią duże trasy, będziesz szybciej i bezpieczniej niż z jakimś bubkiem. Znam ich, polecę cię któremu. Możesz się położyć na kanapie i zdrzemnąć. To nic nie kosztuje. Wiem, nie masz pieniędzy, inaczej, zjadłabyś befsztyk z sałatą, a nie gołe kartofle.

Obudziły mnie głosy i szcęk naczyń. Dochodziła północ, kilku mężczyzn obsiadło cynk i stoliki, skwierczało smażone mięso, pachniała świeżo parzona kawa.

– Bonisal cię zabierze, masz fart, jedzie wprost do Paryża.

Bonisal, tak w wymowie patrony brzmiało imię Bronisław. Jego cena była umiarkowana, nie chodziło o pieniądze. Podczas nocnej jazdy nie będę spać i przypilnuję, żeby on nie drzemał za kierownicą, a po przybyciu na miejsce pomogę umyć samochód.

Samochód! Potwór z naczepą. Brał pięćdziesiąt ton, miał podwójne koła niemal równe mi wzrostem i emblematy Pekaesu. Oczom nie wierzyłam. A jednak był to polski TIR przemierzający gościńce Europy. Na całej trasie dostarczał i brał fracht. Zdązał z Włoch przez Paryż i Niemcy do Warszawy.

Siedziałam w wysokiej kabinie obok pana Bronisława i wyobrażałam sobie, że wracam do kraju, i serce się ścisnęło aż do bólu.

– Fontainebleau! W roku tysiąc osiemset czternastym tutaj abdykował Napoleon Bonaparte – objaśnił pan Bronisław nad ranem, po drugiej nocy jazdy.

– Panu to dobrze, wędruje pan sobie po świecie i zwiedza.

– Nigdy nawet nie przystanęłam w Fontainebleau.

Na całej, liczącej kilka tysięcy kilometrów trasie nie miał czasu na zaliczanie zabytków. W jego wyśrubowanym harmonogramie, obwarowanym karami umownymi, nie było miejsca na inne popasy, niż wzięcie ładunku i benzyny, tam jednocześnie czekało zarezerwowane spanie. Ale ten współczesny nomada miał ambicję znać tylekroć przemierzone ziemie, więc czytał i identyfikował zdobyte wiadomości z mijanymi miejscami, widywanymi tylko przez szybę panoramicznej kabiny.

TIR toczył się szosą Autoroute du Sud, minął miasteczko uniwersyteckie i niebawem pod koła słał się szeroki bulwar.

Raspail! Byłam w Paryżu.

Pomogłam umyć kolosa. Pan Bronisław, nie korzystając z mechanicznej myjni i obsługując się sam, płacił mniej i zaoszczędzał trochę franków.

Na rue Clignancourt otworzyła drzwi schludna staruszka z głową w drobnych loczkach. Nie, nic jej nie wiadomo, kiedy będzie pan Olchowiak. Nie, nic wie, gdzie mieszka, ale, owszem, przychodzi tutaj po korespondencję i w ogóle. Mogę u niej poczekać, aż się zjawi, mogę spać za dwadzieścia franków za dobę.

– Nigdzie nie dostaniesz noclegu za takie pieniądze – zapewniła.

Żyła w zagraconej ciężkimi meblami izbie, z wąskim oknem wychodzącym na śmietnik w ciemnym studziennym podwórku.

Posłała mi na kanapie.

Ledwo przysnęłam, przyszedł Marcin. Był tak uszczęśliwiony, że zapłacił za mój nocleg.

– Chodzisz w tych adidasach! – już nie pozwolił ich obuć, odebrał i tulił miłośnie. Gdybym nie miała skoków na zmianę, do taryfy chyba wypuściłby mnie boso.

Mieszkał na przedmieściu Saint Antoine.

W pracowni ze szklanym dachem na sztalugach zaczęta abstrakcja, malowana płomieniem świecy. Po kątach wisiały obrazy na aluminium, obrazy cięte i jeszcze jakieś techniki nie do odgadnięcia. Ściany obwieszały szkice, czarno-białe sztychy i cykl akwarel wyglądających jak projekty ilustracji. Każdy z nich zamiast podpisu był podcyfrowany żółtym kwiatkiem z płaskim liściem.

Znałam te kwiaty. Ławicami ugru barwiły Jezioro. Na ich pływających liściach, jak na tratwach, odpoczywały ważki. Mają swoje miano przywołujące na myśl głębinę pokonywaną przez łodygę, zanim wychyli ku słońcu i owadom złote oko.

Jednak nie mogłam przypomnieć sobie ich nazwy.

– Znasz kogoś w Paryżu?

– Nie.

– Trzeba cię jakoś urządzić, znaleźć pracę – zatroszczył się Marcin, gdy ochłonął z furii po zawodzie z pustymi skarbonkami.

Znowu niedojrzałość do samodzielnego życia wyszła mi bokiem. Bez namysłu, ba! z wdzięcznością przyjął jego pomoc, ani się zastanawiając, dlaczego mną się zajął.

– Tutaj nie możesz zostać, sam jestem gościem – Marcin zadbał o mój nocleg i odwiózł do starowiny w loczkach. Już nie taksówką, metrem i nie kwapił się z płaceniem za najtańsze w Paryżu spanie, tylko upewnił się, czy mam pieniądze.

Nie dał znaku życia przez tydzień.

– Załatwiłem dla ciebie zmywanie w nocnym klubie – zawiadomił, gdy się znów pojawił.

– Może być zmywanie.

– Za mało dobre? To dlaczego sama nie znalazłaś nic lepszego! – uraziła go moja powściągliwość, oczekiwał wyraźnej wdzięczności.

– A wiesz, nie szukałam.

Pozostawił mnie samej sobie, żebym skruszała, nareszcie dotarło do mnie. O pracę było wówczas bardzo trudno, a już nie miała szans obca, bez znajomości, świadectw i rekomendacji, do tego źle władająca językiem. O czym nie miałam pojęcia, bo podczas tego tygodnia ani razu nie zapytałam o robotę. Produkt Domów, czekałam, aż Marcin załatwi, skoro obiecał. Żadnego niepokoju. Dotychczas w moim życiu zawsze znajdował się ktoś, kto w końcu mnie jakoś urządzał, dlaczego teraz miałoby być inaczej.

– Ty chyba jesteś nienormalna!” – Marcinowi w głowie się nie mieściło, że ja, zamiast zdychać z niepokoju, nieświadoma braku perspektyw szlifowałam sobie bruki, jak jaki dewizowy turysta z kontem w banku, jemu pozostawiając troskę o moje jutro.

Zapał wieczór, gdy wysiedliśmy z metra na placu Pigalle. Dzielnica szykowała się na drugą zmianę. Dienne dziewczyny skończyły już pracę, nocne jeszcze nie wyszły na deptak, podobnie działo się z lokalami.

Demoiselle – żarzył się nad drzwiami złocisty napis z neonowych rurek. Przy każdej literze „el” migotała para wysmukłych skrzydełek. Demoiselle oznacza zarówno pannę, jak i ważkę.

W ciasnym, z nadmierną wystawą urządzonym kantorze przyjął nas smagły jak Arab, podturczony Czarnogórzec Slodan, przyodziany w smoking z aksamitnym szerokim pasem zamiast kamizelki. Prezentował się niczym mała wystawa jubilerska. Nosił złoty kolczyk, złote zęby, złote spinki, złotą grubą bransoletę, która przy każdym ruchu pobrząkiwała na nadgarstku przy każdym ruchu mankietu. Złoty sygnet z dużą złotą monetą w miejscu oczka i brylantowe guziki u śnieżnego gorsu. Sprawiał wrażenie jakby przed chwilą opuścił futerał ale jak miałam się przekonać, o czwartej nad ranem wyglądał tak samo. Ani pyłku na czarnej krepie, ni załamku na nieskazitelnej popielinie, niesamowite. Nie mam pojęcia w jaki sposób to robił.

– Będiesz za moją krewną. – Slodan wyjął z żelaznej kasy metalowe pudełko, pogmerał w nim i jak sztukmistrz wyciągnął z kupy bezwładnego chlamu dowód tożsamości.

– Nazywasz się Draga Dragowic, a ja jestem twój stryj Slobodan, czyli Slodan Dragowic. W razie kontroli nie umiesz po francusku. Masz, przyjrzyj się i zapamiętaj kim

jesteś i skąd pochodzisz, a zdjęcie się wymieni.

– Wole być na własnych papierach, są w porządku, – nie podobała mi się aż taka maskarada.

– Hanna pokaż te papiery. – Slodan ledwo na nie spojrzął i oddał Marcinowi.

– Poręczam za ciebie przed Slodanem dopóki będziesz w Demoiselle twój certyfikat pozostanie u mnie, – oświadczył Marcin.

Natomiast Slodan nie trudził się wymyślaniem powodu z jakiego na powrót bierze pod klucz paszport Dragi Dragowic.

Ani się obejrzałam, odebrali mi swobodę. Ale nie powiedziałam słowa, jakby pozbawienie dokumentów było rzeczą naturalną, z resztą nic nowego. Zawsze urzędowe dowody mojego istnienia leżały gdzieś w depozycie. I co? I nic. Gdy się uparłam dawałam nogę. Tu jednak przedstawiało się znacznie gorzej. Obca naznaczona kiepską znajomością języka, zwyczajów nawet topografii miasta, bez bodaj jednego bliskiego człowieka. Bez możliwości wylegitymowania się prawem pobytu, łatwo trafiłabym do puszki. I zanim zastanowiłam się, dlaczego. Moja pamięć wyświetliła dwa obrazy z poddasza Marcina. Tylko dwa. Zamki u drzwi uzbrojonych łańcuchem. I rączkę przy lokarnie w szklanym dachu.

Regle były proste. Moje oko nie zatraciły nabytych właściwości. Automatycznie rejestrowało i gromadziło profesjonalne detale, jak kiedyś na malowankach u dziadka. I następne. Złoty kwiat jakim podsygnowało cykl rysunków rozwieszonych na ścianach pracowni. Nazywa się Grążel. Ksywa cennego nadawcy Nonny z wielkiego świata. A więc to Marcin. Popędzili mu kota, nawiał z kraju i oszwabiła go Nonna. Teraz bierze mnie w zastaw, myśląc, że znalazł sposób na odzyskanie złota. Niech się ludzi, milczałam. Zaczęłam uczyć się życia. A Slodan, jak gdyby nigdy nic, tłumaczył, dlaczego włącza mnie w cudzą skórę.

– Idzie o fiskus. Nie kalkuluje się za ciebie płacić podatków i ubezpieczenia. Biorę cię tylko dlatego, aby Marcinowi zdjąć kłopot, ale przecież nie będę dokładał. Jeśli już zatrudniam personel, muszę coś z tego mieć. Jako bliska krewna, która przyjechała w odwiedziny, nawet przyłapaną na zmywaniu nie jesteś siłą najemną.

Rodzina zawsze sobie pomaga, i to skuteczny sposób na rolowanie urzędu skarbowego, oczywiście, jeśli się przyjaźni z poborcą, a Slodan pielęgnował życzliwość znaczących osób przemawiając im do ręki, co wypadalo taniej niż świadczenia ustanowione przez Republikę.

– Otrzymujesz stół, spanie i dwa tysiące na miesiąc. Piętnaście procent potracą syndykat.

Szybko uczyłam się życia. Nie zapytałam, co za związek ściągą składkę od nie

rejestrowanej pensji. Z czasem miałam się dowiedzieć. Było to zrzeszenie urków, które opodatkowało nierząd od Forbachu po Marsylię, a może i dalej. Za narzuconą przez siebie opiekę nad Demoiselle pobierali stałą daninę, co Slodan odbijał sobie nawet na pomywaczce.

Demoiselle.

Okrągła sala, istna cyrkowa arena z łóżami i stolikami ustawionymi amfiteatralnie. W środku na małym podium, obracającej się kawalecie, bez przerwy ktoś się wygina, wypina albo rozbiera i jest częścią pejzażu, jak cytrynowe drzewka w donicach pod ścianami, i nie więcej wzbudza zainteresowania, niż owe krzewy o lakierowanych liściach i owocach z plastyku, wyglądające jak żywe.

Usługują dziewczyny przyodziane w slipy i skąpe staniki z atłasu z przezroczystymi skrzydełkami, że niby ważki. Inne, też uskrzydłone, oczekują przy barze ubrane w różnobarwne, długie tuniki, trzymające się niewiadomym sposobem trochę powyżej piersi. Przez zwiewną gazę prześwituje nagość, pod spodem niczego nie noszą.

Wszystkie są do kupienia, chociaż te w figach nazywają się kelnerki, a te bez majtek tancerki, zdejmujące szmatki na obrotowej scenie, artystki, gościówna na piętrze pilnująca ruchu w pokojach, etażowa, a wszystko razem klub.

Są tu dziewczyny o karnacji od hebanu poprzez mahoń, ugier i słoniową kość po albinoską biel. Przeważnie trzeci świat i wschodnia Europa, ani jednej Francuzki. Slodan nie zatrudnia miejscowych. Z obywatelkami Republiki tylko kłopot, Republika potrafi się upomnieć także o dziewczyny sprzedające miłość, z Republiką lepiej nie zaczynać, zwłaszcza gdy jest się cudzoziemcem z wątpliwymi papierami i tymczasowym prawem pobytu, wciąż zależnym od prefektury, a takie sankiulotki z Pigalle potrafią o byle co wysłać delegację do mera, i on się z nimi liczy, są równie dobrymi wyborcami jak każdy inny.

A te ciemnoskóre i te ze wschodu starego kontynentu trzęsą się do dewizowego grosza, są uległe, posłuszne i dzięki syndykato-flikowym koneksjom Slodana można je bezkarnie wyzyskiwać, ponieważ przeważnie są tu nielegalnie.

Ja spędzam noce o dwie kondygnacje poniżej sali ważek.

Ciasna suterena pod kuchnią, kłęby pary, pojemnik na resztki. Wieczny szcęk wind, jednej, zwożącej brudną zastawę, i bliźniaczej – do odsyłania czystych statków. Basen do szkła, basen do fajansu, przegroda na sztuce. Ściek w kamiennej podłodze i drewniana krata pod nogi, jak wyspa, zatapiana pomyjami, gdy z mijającą nocą zatyka się odpływ.

Odmierzam ruchy, dwa koliste pociągnięcia myjką – półmisek, jeden – kokilka, jeden – talerz. Nie ma tu żadnych maszyn, jestem tańsza niż automat do zmywania naczyń. Rano, kiedy walę się na legowisko w klitce na poddaszu, pod powiekami jawią się natrętnie nie

kończące się sterty, wieże, piramidy skorup. Zасыpiam marząc o poniedziałku. W poniedziałki Demoiselle jest zamknięta, cały personel ma wolne.

Przez pierwsze tygodnie jest nieznośnie, nad ranem ślaniam się ze zmęczenia i zaduchu. Cisnąć w diabły i dać nogę z tego grobu ociekającego wilgocią po wyzartych ścianach, ale brakuje odwagi na bezdomność w obcym mieście. Potem przychodzi otępienie. Zmywam, śpię, jem. Jest tylko piwnica i strych, wypreparowane ze świata, w ogóle nie jestem pewna, czy poza nimi jeszcze coś istnieje. Wreszcie się przyzwyczajam.

Żyję!

Wokół mnie Paryż, wystarczy zejść cztery piętra, uświadamiam sobie w dniu, którego już nie przesypiam. Wykształcił się rytm, z czego kilka godzin dziennie mam na czysto. W pierwsze południe mojej nowej kondycji daję nura w miasto, a ono ogłupia mnie obfitością, wręcz nadmiarem rzeczy wylęgających aż na ulicę.

Odkrywam w sobie zachłanną żądzę posiadania. Chcę mieć zaraz te różne piękne przedmioty, dużo, wszystkie!

Nie powinnam wydawać pieniędzy otrzymanych od Constanta. Nie mam ich za wiele, chociaż dołożyłam już do owej rezerwy swoje dwie pensje. Kto wie, co może się zdarzyć – lecz są to szczątki rozsądku. Przecież nie muszę zaraz kupować, okłamuję siebie, tylko przymierzę tę aksamitną kurtkę i te ażurowe pantofle, i te wysokie buty, i tamte skórzane spodnie.

Wchodzę do pierwszego sklepu i jestem zgubiona. Staję się centrum uwagi kilku uśmiechniętych, przyjaznych i ciepłych pań, w których ledwo domyślam się ekspedientek, tak są eleganckie i zadbane. Moje pragnienie nabycia i ich umiejętność sprzedaży splatają się w nierozzerwalny krąg. Nie sposób sobie odmówić. Są wszystkie rozmiary, wszystkie kolory i wszystkie fasony. Rośnie gromada różności w sam raz na mnie, pasujących jak ulał, twarzowych!

Panie są niebywale zaangażowane w mój wybór, nie miałabym serca ni odwagi nic nie kupić, nie do pomyślenia, żeby poszło na marne tyle starania i dobrej woli, życzliwości i kompetencji.

Wracam do swojej przegródki na strychu ze stertą toreb i pudeł.

Rozpakowuję to wszystko, na łóżku piętrzy się kupa szmat i budzę się z gałganiej szajby. Spostrzegam rakiety łańców kupionych bez sensu, na które wydałam połowę posiadanych pieniędzy. I po co mi one? Gdzie w listopadzie założę sandały i dokąd się wybiorę w zwiewnym indyjskim kaszmirze do pięt, przetykanym metaliczną nitką.

Głupia Pelka!

Czego właściwie chcę? Przeczekać czas puszki, wrócić do wyczynu do Sterny i nad Jezioro. Nie wolno wydawać pieniędzy na duperele! Mozolnie i dotkliwie uczę się oszczędności, organizacji i przewidywania. Wprowadzam w moje życie porządek, systematyczność, prawie jak w ośrodku sportowym. Kupuję plan miasta, odkrywam bibliotekę polską na Cité i Lasek Buloński. Codziennie dużo czytam, uczę się języka i trochę biegam. Wreszcie zgłaszam się do klubu lekkoatletycznego wybranego z informatora. Mówię, jak jest. Straciłam formę po wypadku, chcę ją znowu odzyskać.

Badania, rentgen, wyrok. Nie nadaję się do sportu wyczynowego.

Zabrakło celu, skurczył się świat, poszarzało. A przecież wiedziałam, ale nie wierzyłam. Leżę na łóżku, patrzę w sufit, medytuję. Wracać? Jaka w końcu różnica, gdzie zmywam gary, jeśli już nigdy nie nałożę dresu z barwami Sterny. I jak potraktują moje zniknięcie z Nicei i papiery od Constanta. Co mogłoby ujść sławnej zawodniczce, nie zostanie darowane pomywaczce.

A jednak chcę powrócić.

Jak wszystkie tutaj w Demoiselle. Każda przyjechała tylko na jakiś czas. Zarobić, obsprawić się, uzbierać na mieszkanie, na kawałek gruntu, na posag. Ale powracają nieliczne. Wyjątki. Reszta zdziera się, przywyka. Praca w nocnym klubie niszczy, zanim zdążą zgromadzić potrzebne pieniądze. Zwłaszcza teraz, gdy i w Pigalle bije recesja. Strach padł na dziewczyny. Slodan redukuje personel, wybiera pojedynczo, zniechęca, za jakieś uchybienie rzeczywiste albo wymyślone.

Dzisiaj trafiło Teresę.

– Nie nadajesz się dla mnie! Teraz jest kryzys, a w ogóle konkurencja darmowych amateerek. Ktoś, kto przychodzi do nas, chce czegoś ekstra, a ty wystraszasz klientów swoją cierpiętniczą gębą i beznadziejną biernością ofiary. Mało jest takich, co to lubią – grzmi jego volapik poprzez cienkie ścianki przepierzeń.

– Slodan, co ja mam ze sobą zrobić! – płacze Teresa.

– Wracaj do domu.

– Nie mogę. Nie mam się tam gdzie podziać, jeszcze nie uskładałam nawet na wpłaty za mieszkanie.

– Spróbuj u Teo, on przyjmuje.

Teo angażuje zawsze i płaci więcej. U Teo dziewczyny wykruszają się jeszcze prędzej, uciekają, boją się. Do Teo przychodzą różne dewiacje i praca tam jest bardzo ciężka. Do Teo zgłaszają się dziewczyny bez wyjścia. Teresa pójdzie do Teo, bo nie widzi innych perspektyw. Teresa nie powróci do swojego kraju i nigdy nie kupi tam mieszkania. Zanim

zaoszczędzi potrzebną sumę, zamieni się w otepiały wrak, potrzebujący już tylko alkoholu albo marihuany.

I mnie pogłębia recesja.

Podwyżka za wino, którego nie piję, za papierosy, których nie palę, za benzynę, której nie używam, podciąga inne ceny, także za usługi pralnicze i Slodan wykreśla tę pozycję z budżetu. Pranie włącza do moich obowiązków przy nie zmienionym wynagrodzeniu.

Pęka mój wolny dzień, kilka godzin spędzam w suterenie przy starej pralce i prasowalnicy, dotychczas służących tylko dziewczynom do utrzymania w porządku skąpych służbowych strojów.

– Miej pretensje do Mitteranda – wskazuje Slodan winnego, chociaż nie słyszy słowa protestu. Nie mogę patrzeć na ten inkrustowany złotem, zadowolony z siebie pysk.

Ciężko.

Czułam w kościach wartość zarabianych pieniędzy i to skuteczniej niż cokolwiek dotychczas uczyło mnie oszczędności. I jeszcze tylko wspierała myśl, że każdy dzień do przodu odejmuję z garowania.

Dał o sobie znać Marcin.

– Będzie w domu w przerwie obiadowej – aż do mojej piwnicy Slodan pofatygował się z tą wiadomością.

Przerwa obiadowa. W Demoiselle nawet się nie pamiętało, że takie coś istnieje. Między dwunastą a drugą Paryż siedzi przy stolikach nieprzeliczonych lokali takiej, siakiej i owakiej kategorii, oczywiście Paryż chroniony przez związki zawodowe.

Ja żyłam w innym Paryżu, w mieście szpany zbiegłej ze wszystkich stron świata, rządzonej pięścią, kastetem, prawem silniejszego. W kręgu profesji opanowanych przez różnobarwnych przybyszy. Przekładaniec. Ciemny od spodu, jaśniejący ku górze wraz z zarobkami i rangą zawodu. Na samym wierzchołku są Francuzi.

Marcina nie widziałam od wieczoru, w którym zainstalował mnie u Slodana. Częstoje pieczonym kurakiem z sałatą i winem. Mam się na bacności.

W pracowni nic się nie zmieniło. W tym samym miejscu leżała odłożona paleta i stały dzbany pełne pędzli. Po kątach, w sztucznym nieładzie, obrazy na aluminium, obrazy cięte. Na sztalugach wciąż ta sama nie dokończona abstrakcja, malowana płomieniem świecy, nie przybyło ani jednej smugi, ni jednej plamy. Dekoracja. I ani śladu obecności innego człowieka.

– Jak się czujesz w Demoiselle?

– Jak pomywaczka w burdelu.

– Nie bądź ordynarna.

– Nazywam rzeczy po imieniu.

– A propos imienia! Mieszka w Paryżu śpiewaczka o takim nazwisku jak twoje. Vera Warega, słyszałaś o niej, może ją znasz?

– Nie.

Nie miałam chęci zwierzać się ani szpanować opowieścią o sławnej matce. Nie ufałam temu człowiekowi, ale też jakbym wyrosła ze świata fikcji, w który uciekałam, w którym się kryłam, który pomagał trwać, w pewnym stopniu rekompensował upokorzenia i ciężar egzystencji. W tej chwili uświadomiłam sobie, że mogę się obyć bez tej podpory. Co się stało, jakie oczywiste wartości zajęły owo puste miejsce, jeszcze do niedawna wypełniane zmyśleniami? Nie rozumiałam.

– Mam dla ciebie lepszą i szmalcowniejszą robotę.

– Jaką?

– W twoim fachu. Z przeciętnego skoku będziesz żyła jak cygański baron i jeszcze ci pozostanie więcej niż kilka pensji u Slodana.

– Już nie nadaję się na kunę.

Zaczęłam podejrzewać, że kryzys nie stanowił jedyne powodów moich dodatkowych obowiązków. Może przez nie mam szybciej dojrzeć do zamierzonych przez nich zadań.

– Kiepsko znam język.

– Ale dobrze rzemiosło. Zawsze dostaniesz dokładny plan...

– Za doskonały namiar zarobiłam puszkę aż do skutku! Jeśli tu również będziesz dawał tak znakomite, wolę nie zaczynać.

– Znasz mnie?

– Ten kwiat nazywa się grąźel – wskazałam na sygnaturę pod szkicami tapetującymi ścianę.

– Ach to! Nawet nie moje prace, ale skoro wiesz, kim jestem, tym lepiej. Łatwiej się dogadamy – maskował rozczarowanie z rozszyfrowania swojej wielce zakonspirowanej osoby.

– Słucham – zastanawiałam się, gdzie może trzymać moje papiery. Chyba nie nosi ich przy sobie.

– Żadne wielkie rzeczy. Pasówka. Zamożne mieszkania. Nawet nie bogate, tylko dostatnie. Do tego nie potrzeba znajomości francuskiego. Rzucisz Demoiselle i nigdy się tam nie pokażesz, i nigdy nigdzie nie wspomnisz o pracy u Slodana. Wynajmiesz sobie kawalerkę na mieście, będziesz miała moc czasu. Pieniądze i wolność, oferta nie do pogardzenia.

– Ile gęb do podziału?
– Powiedzmy, pięć osób.
– Siebie liczysz podwójnie?
– Nie twoja sprawa. Takie są nasze warunki, możesz je przyjąć albo nie.
– Jeśli nie przyjmę, Slodan mnie wyrzuci?
– Dlaczego miałby wyrzucać? Jest z ciebie zadowolony. Jeszcze nie widział takiego robola.

– Tylko uważa, że będzie miał większy pożytek, jak mnie wypuścicie na mieszkaniówkę?

Liczyłam w myśli, ile mam pieniędzy w portmonetce. Dwieście franków i jakieś centymy. Trochę szkoda, ale, było nie było, odżałowałam i niepostrzeżenie upuściłam ją pod fotel, na którym siedziałam.

– Slodan nie ma z tym nic wspólnego. Może nawet zechciałby cię zatrzymać.
– W jaki sposób?
– Syndykat ma swoje sposoby – straszył Grażel.
– Syndykat zajmuje się pomywaczkami w burdelach?
– Wszystkim, co w branży przynosi dochody.
– Mogę się nagle rozleniwic.
– Nie radzę. Dadzą ci baty. A marokańscy chłopcy syndykatu lepiej władają nożami niż ty, zapewniam.

– Wobec tego, jak mam stamtąd odejść?
– Zmyjesz się po angielsku i przyjdiesz do starej na Clignancourt. Ona cię urządzi w innej dzielnicy, a ja do ciebie trafię. Więc kiedy?

– Po wypłacie, jeszcze tylko parę dni. Z jakiej racji mam darować Slodanowi ciężko zapracowane pieniądze.

– Zgoda. A teraz muszę cię przeprosić, jestem umówiony na wieczór.

Nie wierzyłam, żeby Grażel organizował wszystko bez wiedzy i zgody Slodana. Gdybym nie zgromadziła innych spostrzeżeń, powiedziałyby mi o tym już sama tylko skwapliwość, z jaką Slodan przydyrzał do mojej piwnicy, zawiadamiając o telefonie. Mają mnie za głupiego, ułożonego do pasówki zwierzaka. Tacy ograniczeni, tacy zarozumiali? A może poczucie, że są mądrzejsi od podobnych mnie, jest im potrzebne do życia. W każdym razie pomysł należał do Grażela. Slodan nie mógł wiedzieć. Moim fachim nie chwaliłam się przed nikim.

Od Kuny oddaliłam się w czasie i przestrzeni i tym, co się dokonało wewnątrz mnie, a

jednak przeszłość upomniała się o moje dzisiaj. Pieniądze i wolność, syndykat i marokańskie noże, obietnice i groźby.

Trzeba było aż tak brutalnej propozycji, aby dotarło do mnie proste prawo. Jeśli robisz w gnoju, utyłasz się. Dopóki nie oderwę się od środowiska stręczycieli, złodziei, kurewskich monopoli i Grażela, nigdy, nawet na końcu świata, nie zaznam spokoju. Zawsze będą czegoś ode mnie żądać albo zmuszać do usług siakich lub owakich, ale zawsze po drugiej stronie kodeksu, gdyż takie jest ich życie.

Musiałam odzyskać papiery.

Powinnam działać natychmiast, póki Grażel nie podejrzewał mojej wolty i nie było go w domu. Okazja mogła się więcej nie powtórzyć, ale nie wolno już pokazać się w Demoiselle, muszę poświęcić bliską wypłatę i wszystkie kupione bez sensu łachy. Medalion i pieniądze zawsze nosiłam ukryte przy sobie, nie ufałam trwałości gruntu na placu Pigalle.

Start!

W sklepiku obsługującym licznych w tej okolicy ebenistów, snycerzy i stolarzy nabyłam narzędzia kształtem najbardziej zbliżone do wytrychów. Szczęśliwie nie wlażłam w oczy konsjerżce i bez przeszkód wspięłam się na mansardę Grażela. Jedyne lokale na poddaszu, wokół same strychy służące do suszenia bielizny, co sprzyjało mojemu zamiarowi.

Zadzwoiłam kilka razy. Spokój. Wzięłam się do roboty. Nie chciałam myśleć, co zrobię, jeśli nie znajdę swoich papierów. Uporałam się z pierwszym zamkiem, kiedy na dole zabrzmiały kroki, drewniane ciągi schodów odbijały je jak studnia. Szły, narastały, pogłos dudnił już na ostatnim podejściu pode mną i... zatrzymały się. Dzwonek, skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi. Cisza.

Hałasowało tylko moje tętno. Dźwignęłam się ze stopnia wiodącego na górę, spod nabitej antabami furty zawartej kłódką, gdzie przysiadłam, że niby czekam na gospodarza. Nogi miałam ciężkie, jak z ołowiu, bałam się, chociaż pod fotelem zostawiłam pretekst, portmonetkę. Ale Grażel, wprawdzie salonowy urka, pochodził jednak z branży i na takich zgubach mógł się znać. No i ten drobiazg, otwarty jeden rygiel.

Ostatnie podejście. Ustąpił drugi zamek. Z wdzięcznością wspomniałam Dziadka. Wspomóż, Święty Antoni – westchnęłam do złodziejskiego patrona. Teraz znajdowałam się na przedmieściu jego imienia i nie przyszłam po cudze, tylko odzyskać własne, więc powinien mnie wesprzeć także jako specjalista od zgub.

Wsparł.

Moje papiery odnalazłam w pierwszym miejscu, do jakiego zajrzałam. W przegrodzie bretońskiej skrzyni, w ogóle nie zamykanej na klucz. Zabrałam też portmonetkę.

Opanowałam się, chociaż miałam wielką ochotę coś zgrandzić albo przynajmniej uszkodzić, i po raz pierwszy w życiu opuściłam mieszkanie nie tknąwszy cudzego dobra. Bardzo dziwne uczucie.

Zapadł zmierzch o barwie bzu, lawendowy, mówią o nim paryżanie. Zbudziłam się z euforii wędrując wzdłuż wysokiego muru. Szłam, dokąd nogi niosły, i teraz nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem. I znów fala radości. Nareszcie wolna, mogłam robić, co chciałam, nie czekała mnie noc na tratwie z przegniłych szczebli zalewanej pomyjami.

Weszłam w uchyloną furkę, wprost na Tantum ergo śpiewane przez kobiety w białych szatach. Śnieżne podwiki, welony. Zakonnice. Po nabożeństwie odpłynęły w uroczystym szyku. Pozostały cztery w czerwonych płaszczach na habitach.

Siadłam w stalli. Miałam zamiar dekować się tu tak długo, jak długo była otwarta kaplica. Mniszki zastygłe w medytacji trwały do rana, aż znowu zjawił się orszak w niepokalanej bieli, śpiewał Tantum ergo, a po modlitwach pozostawił nową zmianę w szkarłatnych okryciach.

Dopiero wtedy dowiedziałam się, kto mi udzielił gościny w pierwszą bezdomną noc.

Cmentarz. Picpus.

Przechodzi się do niego przez klasztor i ogród, aleją lip przez bramę Campo santo. Spoczywa tu kawał historii dwóch kontynentów, Margrabia Gilbert de La Fayette, jego żona Adrianna, ich dzieci, wnuki i zstępni. Obok grobu generała Ameryki i Francji łopocze gwiaździsty sztandar.

Oddzielony murem, wznosi się kopiec zbiorowej mogiły ofiar Terroru. Leżą w niej oprócz tysiąca trzystu innych trzy kobiety rodu de Noailles, matka, babka i siostra Adrianny de La Fayette, ścięte przez gilotynę na pobliskim placu de la Nation, wówczas noszącym miano du Trône.

Założony podczas Terroru zakon Adoracji Najświętszego Sakramentu, a osadzony na Picpus w pierwszych latach Dyrektoriatu za przyczyną pani de La Fayette i pozostałych przy życiu członków rodzin pomordowanych, od dwustu lat w nieustannej modlitwie czuwa nad tym cmentarzem.

– Ja do pani, tylko brakowało mi odwagi, ale już nie mam wyjścia. Pochodzę z Polski.

– I pewno chcesz zostać śpiewaczką.

– Nie, zupełnie nie mam głosu.

– Coś nowego. Wszystkie nachodzące mnie rodaczki pragną zostać artystkami operowymi. Fatalnie mówisz po francusku.

– Nazywam się Warega – powiedziałam po polsku.

– Nosisz nazwisko Warega i dlatego oczekujesz ode mnie pomocy?

– Nie jestem żebrakiem, chcę pracować.

Taksowała mnie spojrzeniem, po gospodarsku, jak przedmiot może nawet przydatny, ale jej niepotrzebny i nie budzący zaufania. Przystojna, zadbana kobieta z zimnymi oczyma. Twarz pod makijażem tak kunsztownym, aż prawie niewidocznym, gładka, bez zmarszczek, a jednak niemłoda. Rzęsy za gęste, za długie i zbyt wywinęte, by mogły być prawdziwe, masywna sylwetka odziana w wyszczuplającą czerń, kostium obszyty jakimś futrem o krótkim włosie i zamszowe czółenka na bardzo wysokich obcasach, dla wydłużenia krótkich, grubych w kostce nóg.

Czy jest moją matką, ile ma lat, pięćdziesiąt, więcej, w jakim mogła być wieku wydając mnie na świat? W myśli przeprowadziłam przybliżony rachunek.

Za stara! Zapis w mojej karcie zdrowia, pochodzący z niemowlęctwa, stwierdzał zespół cech wskazujących na urodzenie przez zbyt młodą matkę.

Lekarze mogli się mylić, ale czy dojrzała, zamożna i niezależna kobieta porzuci swoje dziecko? I dlaczego na jej widok żywiej nie zabiło moje serce, i dlaczego zamiast święta we mnie tylko zwyczajna ciekawość; chłodno tropię jej defekty, liczę lata i karaty na palcach.

– Domagasz się ode mnie pomocy, bo wyczytałaś na afiszu albo gdzieś tam, że także nazywam się Warega.

– Nie na afiszu. Miałam medalion z pani fotografią i nazwisko wypisane na przylepcu, gdy siedemnaście lat temu znaleziono mnie na progu warszawskiego domu dziecka.

– Pokaż ten medalion – żadnego poruszenia.

– Zastawiłam w lombardzie.

– Kwit?! – energicznie wyciągnięta ręka. Na palcu skrzesał ognie brylant, tak samo duży jak kolczyki w uszach, rozświetlające u nasady małżowiny dość jeszcze wyraźne szwy po odmładzających cięciach.

Podalam kwit. Podobnym tonem zażądała moich dokumentów.

– Co to za dziwny paszport?

– Prawo pobytu. Załatwił je pan André Constant, deputowany z departamentu Alpes-

Maritimes, którego poznałam w Nicei. Może pani sprawdzić.

– Sprawdzę – mówi, ale zaprasza do domu.

W hallu z jazgotem wypadają na mnie dwa pekińczyki i stają jak wryte, wytrzeszczając oczy. Widać nie wiedzą, jak potraktować nie spotykanego tu stwora.

– Co umiesz? – badała Vera.

– Znam krój i szycie.

O nauczonym i pogardzonym w puszcze rzemiośle przypomniałam sobie po zaprawie w Demoiselle. Ale nikt nie potrzebował moich rąk, nawet nikt nie chciał sprawdzić kwalifikacji.

Wynajęłam najtańszą z możliwych izbę na poddaszu, oszczędzałam na komunikacji, lecz pieniądze wyciekały, a pracy nie mogłam znaleźć, chociaż gotowa byłam wziąć każdą.

Szerzyło się bezrobocie. Szerzyła się ksenofobia. Coraz głośniejsze domagano się odesłania gasterbeiterów, skąpiono zajęcia cudzoziemcom rezerwując wolne „miejsca Francuzom.

Nie opuszczałam rąk.

Codziennie przez kilka godzin szukałam zarobku, kilka spędzałam w bibliotekach, resztę poświęcałam miastu. Chodziłam wszędzie, gdzie można było dostać się bez płacenia. Późnym wieczorem ścigałam na swoją facjatę. Nie miałam do kogo się odezwać albo usłyszeć bodaj słowo.

Legiwałam na łóżku, patrzyłam w sufit z żarówką w siatkowym kagańcu, odsuwając strach o dzień jutrzejszy, uciekałam myślami w przeszłość, tęskniłam do Jeziora, które stało się symbolem szczęścia.

Niebawem skończyły się pieniądze. Musiałam opuścić strych. Zastawiłam medalion z sześciomiesięcznym terminem wykupu i zapłaciłam abonament w domu noclegowym. Starczało na chleb, na łaźnię, wędrowałam po archipelagach książkowych światów. Nie czułam się nieszczęśliwa. Ale i to przeminęło. Za cały majątek pozostał kwit z lombardu.

Nie dojadłam.

Czasami coś zarabiałam dorywczo, czasami udało się zjeść zupę w Caritasie, czasami udawało się zgrandzić chleb. W jakiejś książce z czasów moich pierwszych odkryć pisanego słowa przeczytałam, że w drugiej Rzeczypospolitej nie karano za kradzież chleba, więc teraz poprzestawałam na nim, chociaż nie obowiązywały tu owe prawa i chociaż ścigałam z lad nie zgrzebny razowiec, tylko croissanty, bagietki i wielkie rogate z drożdżowego ciasta.

Więc kradłam delikatne bułki i nie z samego moresu przed puszką nie wyciągałam ręki po nic innego. Grałam sama ze sobą, jak długo wytrzymam w pędzie ku lepszemu, jak długo zdołam się oprzeć przeciwnościom, jak długo wystarczy woli i jak to jest, kiedy człowiek

nawet w ostatecznej potrzebie nie tknie cudzego.

Trwałam.

Przecież nie może tak być ciągle. Odwróci się wreszcie zła karta. Ale nic się nie zmieniało, i przyszedł dzień, że z głodu nie mogłam skupić się nad książką. Pozostała nadzieja ostatnia, oszczędzana i wciąż odsuwana na później, na czas jeszcze gorszy, na czarną godzinę, jak jedyny pieniążek biedaka, nadzieja, która pomagała wegetować o kradzionym chlebie. Vera Warega.

Groziłam Panu Bogu, sobie i wszystkim świętym, że jeśli i to zawiedzie, spaszuję. Wrócę do Grażela, przyjmę jego warunki. Żeby jeszcze zatrzymać bieg rzeczy i dać szansę Opatrzności, przez parę dni przystawałam pod furtami bliższych i dalszych sąsiadów śpiewaczki, lecz nie spełniły się marzenia. Nikt nie wyszedł, nie obdarzył uwagą i nie zaofiarował pracy.

Przerwałam targ z losem. Przedostałam się do jej ogrodu i czekałam tak długo, aż ktoś wyszedł, bo nie otworzono by drzwi osobie tak wyglądającej jak ja i nikt nie byłby ciekaw, co mam do powiedzenia.

Teraz odszorowana, z umytą głową i porządnie opiłowanymi paznokciami, odziana w kąpielowy szlafrok z miękkiego jak puch frotté, pachnę doskonałym mydłem, płynem kąpielowym i staram się jeść jak człowiek.

Zanim się doprowadziłam do porządku, Vera zdążyła wydzwonić swojego agenta, a on wykupił z lombardu medalion.

– Ależ to mój pendentif? – woła Vera na widok klejnotu i naciska zatrask scalający dwie połówki złotego małża. Tęczujący kamień na jej ręku sieje światło na długie paznokcie pokryte lakierem barwy konchy i sękaty palce. Widocznie na odkształcone stawy żadna medycyna, nawet upiększająca, nie ma sposobu.

– Tak, mój. Nie mam wątpliwości.

Ustaje i przyspiesza moje serce. Bije o zębra jak o koronę dzwonu. Jedzenie więźnie w gardle, nie mogę odetchnąć, nie mogę oderwać od niej oczu i wszystko widzę dokładnie, jak przez powiększające szkło.

– Skąd go masz? – żadnego wzruszenia na jej gładkiej, pięknej, nieprawdziwej twarzy.

– Mówiłam pani.

– Ukradziono mi ten medalion. Dawno temu. Rzeczywiście, ciebie mogło jeszcze nie być na świecie. Ty obsadziłaś w nim moją fotografię?

– Nie. Znajdowała się w środku, odkąd pamiętam.

– Więc kto to zrobił?

– Moja matka! Zostawiła swój portret, żebym w przyszłości wiedziała, jak wygląda.

– Ależ dziecko, nie jestem twoją matką! Nawet nie nazywam się jak ty. Moje nazwisko brzmi zupełnie inaczej. Warega jest pseudonimem scenicznym – wyjaśnia, ale już innym tonem, jakby się tłumaczyła ze sprawionego zawodu.

Cios między oczy! Umiera nadzieja. Jednak wierzyłam?! Przecież sama nie byłam przekonana, czy ta kobieta jest mi człowiekiem najbliższym. Lecz ogromna różnica zalega między niepewnością a utratą wszelkich złudzeń. Łamie się i zamazuje obraz Very siedzącej z nieszczęsnym klejnotem w dłoni, moim jedynym dziedzictwem, dumą i wartością niewymierną w karatach. Czuję, jak po twarzy toczy się coś mokrego, i dopiero uświadamiam sobie, że płaczę. Ale mnie wzięło.

– Przepraszam, zaraz się opanuję.

– Nie musisz się wstydzić tych łez. – mówi jakoś miękko i podaje chusteczkę.

– Gdzie pani ukradziono medalion? – cień przecucia gaśnie, zanim zdążyłam go sobie uświadomić.

– W Bristolu, warszawskim hotelu. Wtedy, w wiele lat od wyjazdu z kraju, po raz pierwszy mnie zaproszono. Byłam już sławna. Występowałam na wielkich scenach świata, gdy wreszcie zdecydowali się zauważyć mnie i rodacy. Śpiewałam wówczas Halkę, Aidę i Traviatę, prawda mamó?

Wtulona w fotel z wysokim oparciem, zdająca się drzemać stara kobieta uchyla ptasie powieki.

– Prawda. W sześćdziesiątym piątym roku, Werosiu. Zginęła biżuteria, moja puchowa kapotka, pamiętasz, kupiłaś ją w Szwajcarii na rok przedtem. Ukradli nawet wycinki z recenzjami, leżały w walizie, w tece z krokodyla, pewno myśleli, że taki duży pugilares na papierkowe pieniądze. Nawet serweta z apartamentu na coś się przydała. Ale złodziei nigdy nie złapali. Nam tylko ubezpieczenie adwokat wyprawował, chociaż ani połowy szkody się nie zwróciło – wspomina starsza pani i znowu przymyka oczy.

Ma na sobie ciemną spódnicę sięgającą ziemi, naszytą trzema pasmami aksamitki, wypuszczoną na wierzch luźną bluzkę z wzorzystego perkalu, serdak obszyty barankiem, sznurek koralu na cienkiej szyi i suchą, jakby przydymioną twarz starej Indianki pod kaszmirową chustą omotującą głowę.

Wygląda jak z innej sztuki na tle gabinetu prób, uszczelnionego korkową izolacją, z pianinem i dużym lustrem zajmującym całą ścianę, pełnego szaf, złożonych koszy po kwiatach, zasuszonych bukietów za szkłem, różnojęzycznych afiszów, fotosów i innych pamiątek znaczących zwycięski pochód divy przez sceny świata.

– Niech ona zostanie, Werosiu, będzie mieszkać ze mną – znów rozchyła powieki starego ptaka.

Dom ma trzy pokoje z garderobą i kąpielowym na piętrze, salon, ów pokój ćwiczeń, hall, łazienkę na parterze, a przy kuchni pomieszczenie dla służby zajmowane przez panią starszą. Wchodzi się tam wprost z ogrodu. Jedna izba z wnęką. Króluje w niej łóżko nakryte samodziałową kapą, ze stertą poduszek w białych powłóczkach z szydełkową wstawką, ułożonych jedna na drugiej. Chłopskie łóżko usłane wyprawnymi piernatami, jakie pani starsza przytaszczyła z ubogiej kieleckiej wsi pod Paryż, gdy wreszcie sławna i urzędzona córka ściągnęła ją do siebie.

Do dzisiaj ta pościel jest ozdobą i niewymierną wartością, bo chociaż matka Very skończyła osiemdziesiąt lat, pamięta, jak hodowała stadko gęsi, jak podskubywała je jesienią i wiosną, darła i składała pierze, i ile drobiu musiała sprzedać, by kupić tkaninę na wsypy. Trzęsie się jeszcze nad nimi i dlatego, że to ostatni i jedyny skrawek jej młodości, jej chaty i jej wsi na świętokrzyskim pogórze.

Jest stara, mądra i dumna. Urodziła słowika.

Wieczorami rozmawiają z córką na przeszklonej werandzie, pełnej pnących roślin. Przywykłe do samotności, nie pamiętają o moim istnieniu, przez uchylone skrzydła szyb ich głosy swobodnie docierają do mnie.

Starsza pani w ogóle mało sypia i kładzie się późno. Vera, po powrocie z przedstawienia, dopiero wycisza w sobie napięcie. Pracuje ciężko, zżera ją nieustanna walka o utrzymanie się w czołówce, za każdym razem pozostawia na rampie kawałek życia.

– Dziewczyna sprawuje się jak należy – raportuje pani starsza. – Lejbik wymodziła z dwóch poprzecieranych. Umyślnie nowej materii nie dałam, żeby zobaczyć, jaka z niej szwaczka, i sklepała bardzo udatny kaftanik – tak nazywa swoje luźne bluzki z długimi rękawami z wzorzystych perkali i satyn.

– Dobrze, jeśli umie szyć – ziewa Vera myśląc o czym innym.

– Daj jej jaką swoją starzyznę, niech popróbuje, a to tyle na stroje wydajesz.

Obie są oszczędne, drobiazgowo i bardzo szanują przedmioty. Pani starsza strzeże dorobku córki i dba o jej interesy, jak kiedyś o swój ubogi zagon i strzechą krytą chatę, najlepiej posyty dom na pogórze, co wspomina do dziś. Ta troska o dobytek utrzymuje w niej energię i chyba jest głównym źródłem żywotności, mimo podeszłego wieku.

Z początku moje obowiązki są nieokreślone.

– Matka sama kupuje na bazarze, byłaby nieszczęśliwa, gdybym płaciła dostawcom – zawiadamia mnie Vera. – I nie uznaje samochodu.

– I tak nie umiem prowadzić.

– Będziesz musiała się nauczyć, konieczne przy paryskich odległościach.

Na niedaleki targ chodzimy codziennie. Pani starsza łaskawie jak królowa odbiera ukłony sprzedawców. Jest to jej promenada i życie towarzyskie, i smak sukcesu.

Zanurzamy się w zgiełk.

Gwar, feeria barw i fale zapachów. Sałata francuska, chińska, podobna do liści mniszka, belle dame – piękna pani, czyli srebrzysta lebioda, szparagi i najróżniejsze lodygi, kłacza, bulwy, jakich nigdy nie widziałam.

Owoce z Francji i całego świata. Jabłka z Normandii i afrykańskie ananasy z zielonym czubem, obłe avocado obok ociekających sokiem melonów. Greckie oliwki prosto z beczki, nabuzowane słońcem pomidory z Majorki.

I owoce morza. Pryzmy jeży morskich, krewetek, raczków, muli z Langwedocji hodowanych w morskich rozlewiskach; różowe kraby obłożone morszczyzną, langusty jak potwory ze złego snu.

Szynki westfalskie, ze Szwarzwaldu, z Yorku, paryskie, parmeńskie, z Piemontu, suche wędliny, salami z Owernii. Wieprzowina i wołowina podzielone wedle gatunków, tusze baranie i jagnięce, drób nadziewany orzechami, śliwkami, cząstkami pomarańczy i całe stopy małych ptaszków, każdy otulony płatkami słoniny.

Podążam za panią starszą, jestem nie tylko tragarzem, codzienne sprawunki nie są ciężkie, większe zakupy robi się co kilkanaście dni; idąc tak za nią i wkładając do torby wybrane przez nią wiktuały, podkreślam jej status pani posiadającej stałą służącą. Jedną z niewielu przyjemności ubogiej wyrobownicy, która przez całe życie pracowała u innych i dla której dostatek przyszedł za późno.

Dotychczas towarzyszyła pani starszej tylko raz na dekadę – gdy rzeczywiście trzeba było dźwigać – dochodząca Katalonka, płatna od godziny. Teraz ubywa jej ten zarobek i jeszcze o wiele więcej, kiedy pani starsza mnie powierza sprzątanie.

Dostałam tysiąc franków miesięcznie, mogłam je zaoszczędzić, za utrzymanie nie potrącano.

– Za szycie płacę oddzielnie – powiedziała Vera. – Zapisuj, jak się uzbiera równowartość, maszyna do szycia jest twoja.

Był to wieloczynnościowy Singer, na którym dotychczas pani starsza reperowała swoje nieśmiertelne serże, satyny i bieliznę pościelową.

Vera zaprowadziła mnie na strych i otworzyła jeden z kufrów. Buchnęło naftaliną, pieczołowicie ułożone leżało nie używane ubranie.

– Wybieraj, co chcesz!

Potrzebowałam przynajmniej czegoś na zmianę. Miałam wyłącznie to, co na sobie. Dżinsy, kurtkę i bawełnianą bluzkę, kupione przez Verę na samym początku, bo moje złachmanione szmaty, zaraz jak tylko je zdjęłam przed pierwszą kąpielą, pani starsza kazała zakopać Katalonce w kącie ogrodu.

– Nieźle zrobione – Vera obejrzała rzeczy, które przerobiłam dla siebie. W kilka dni później zabrała mnie na pokaz mody.

Comtessa nie należała do czołówki firm jak Laurent, Cardin czy Dior, ubierających królowe, żony prezydentów, milionerki i niewielką grupę światowego establishmentu, jednak utrzymywała się w warstwie ekskluzywnej, co nie przeszkadzało jej prezentować kolekcji, z których można było kupić cały model, pół, ćwiartkę, ósemkę, a nawet jedną dziesiątą. Co znaczy, że odpowiednio do opłaty od jednej do dziesięciu pań mogło szpanować w powielonym modelu, resztę nie zakupionych projektów, po przystosowaniu do produkcji seryjnej, Comtessa sprzedawała przemysłowi konfekcyjnemu, z czego zresztą żyła.

Panie o statusie Very stanowiły raczej reklamę: u nas ubiera się słynna diva, zaś Weronika biadała, że jej nie stać na Comtesse, chociaż stroiła się tam już trzeci dziesiątek lat.

Weszliśmy do biało-złotego przedsionka.

– Nie wolno szkicować ani robić zdjęć – sprawdzał imienne zaproszenia mężczyzna w smokingu z kremowej mory.

Inny, także w tonacji słoniowej kości, sam szef, projektant i główny krojczy, witał każdą z przybyłych u progu dwuskrzydłowych drzwi i sadowił w salonie z wybiegiem dla modelek.

Sokami cytrusowymi i mokką częstowała skromnie przyodziana, nijaka dziewczyna, dobrana tak, by nie konkurowała wyglądem z klientelą. Poza wyjątkami, panie tu zgromadzone miały swoje lata, farbowane włosy, szwy po zabiegach kosmetycznych, plastikową masę wypełniającą zwiotczałą tkanę pod naciągniętą skórą twarzy, piersi i nie wiedzieć gdzie jeszcze. Wszystko dlatego, by nadać złudną jędrność ciała, przywrócić barwy młodości, ukryć nieusuwalne defekty związane z wiekiem i trudne sylwetki, zarówno te chude, jak i pulchne.

Tedy z wielką starannością dbano o ich samopoczucie.

Wprawdzie modelki były ładne, zgrabne i młode, ale przecież to tylko manekiny! No, i konieczność. Żaden jeszcze, najsubtelniejszy krawiec, nie zaryzykował prezentacji kolekcji na grzbietach starych kobiet.

– Urocza – zachwyciła się moja szefowa nieodpowiednią dla siebie suknią.

– Belle-de-nuit! – W złożonym karnecie Vera podkreśliła widniejącą obok nazwy trzycyfrową liczbę. Nie wiedziałam, co oznacza, ale nie pytałam, nie chciałam zdradzać ignorancji. Z pewnością nie była to ilość uszytych modeli, na zamkniętym pokazie prezentowano tylko pojedyncze egzemplarze.

– Nieskomplikowana, chyba i ty potrafiłabyś ją uszyć.

Mogło jej się tak wydawać, zwłaszcza zaprzątniętej ideą uczynienia mnie najbardziej użyteczną, skoro jadałam jej chleb. Ale gładka stola o najprostszej linii wymagała perfekcyjnej znajomości kroju, staranności uszycia, doboru tkaniny o odpowiedniej fakturze i nieuchwytniej iskry talentu, bez czego nie ma dobrego rzemiosła.

Belle-de-nuit wyróżniała się właśnie takim mistrzostwem i gamą fioletów falami jaśniejących ku górze. Cienie układały się w poprzek i ta cecha przekreślała przydatność sukni dla mojej szefowej. Wyglądały w niej jak zebra z wielkim zadem w kolorze maciejki.

– Bardzo wysmakowana, no i śmiało te poprzeczne płaszczyzny – podkreśliłam dyplomatycznie.

– Nie upieram się przy barwie, może być jednolita. Biskupia albo irys.

– Wtedy nie będzie to samo – przekonywałam. Właśnie walor, ten nie inny, stanowił nieodłączny element całości.

– Zobaczysz się po przymierzeniu toile.

Milczałam. Nie potrafię uszyć Belle-de-nuit. Na tyle znałam tajemnice zawodu, aby to wiedzieć, lecz nie miałam pojęcia, co znaczy toile.

Po pokazie Weronika zamówiła toile numer taki i taki, wymieniony w karnecie obok Belle-de-nuit. Zaklepała sobie połowę modelu, z trzydniową opcją na podjęcie decyzji, zaś nazajutrz posłał z Comtessy dostarczyć płaskie pudło.

Weronika zniknęła z kartonem opakowanym w papier udający kremową koronkę w swoim dźwiękoszczelnym gabinecie, lecz zaraz mnie zawołała.

– Jak mnie widzisz?

Stała przed lustrem służącym jej do korygowania mimiki i gestów w czymś przypominającym szatę pątniczą z liliowego materiału, w której po bliższym przyjrzeniu się rozpoznałam szlachetny krój Belle-de-nuit. Tak wyglądało toile – fantom tamtej sukni, uszyty z taniej tkaniny o zbliżonej fakturze, przystosowanej do gabarytów szefowej.

– Ech; nie masz wyobraźni – wzruszyła ramionami, kiedy wciąż milczałam.

– Jestem prostą szwaczką.

Belle-de-nuit uszyto jej z fiołkowego jedwabiu z ręcznym haftem w gamie lila, umieszczonym pasmem od lewego ramienia po rąbek. Suknia, chociaż inna od tamtej, wciąż

prezentowała indywidualność dobrego krawca, była bardzo droga, Weronika wyglądała w niej pięknie.

Ona te kosztowne fiolety kupiła na jedno przyjęcie.

Obyczajem przyswojonym od Francuzów życie towarzyskie prowadziła na mieście. Tradycji sprzyjają nieprzeliczone knajpy o bardzo różnym standardzie, właściwie dostępne dla każdego, zawsze otwarte, bo kiedy jedne kończą, inne właśnie rozpoczynają działalność.

W domu Very goście bywali rzadko. Od czasu do czasu, bez okazji patrona czy daty urodzenia, z czym się raczej nie obnosiła, spraszała tłum, który snuł się po ogrodzie i na przestrzał pootwieranym domu z kieliszkami, szklankami i talerzami.

Tym razem działo się podobnie.

Menu, od przystawek po melbę i sery, przyjechało furgonetką przystosowaną do grzania i chłodzenia, więc co miało być wrzące, było wrzące, a co lodowate, lodowate.

Zimny bufet nakryto w salonie, do gorącej kolacji na werandzie. Wszystkie niewykwalifikowane prace Vera zastrzegła dla mnie, za co o wcale niemałą pozycję zmniejszyła się rachunek. Odesłano kuchcika, pozostał kelner z sommelierem.

Na dworze zapalono festony chińskich lampionów, na stołach rozgorzały świece w kryształowych profitkach i kolorowych osłonach od wiatru.

– Ona kompletnie straciła głowę – mówiła jedna pani do drugiej.

Zbierałam za pergolą brudne naczynia, które goście pozostawiali w najróżniejszych miejscach. Nadstawiłam ucho, damy nicowały moją szefową. Rodaczki. Rozmawiały po polsku.

– Wiesz, ile zapłaciła za suknię! Trzy hafciarki pracowały, żeby zdążyć na ten wieczór. I co, czy on chociaż spostrzegł ten szyk?

– Mężczyźni są niewrażliwi na takie petit rzeczy. Jakby przyniosła pancerfausta, toby zauważył. Bywają i takie kobiety, to mężczyźnice! Kim on jest?

– Podobno pośrednik w handlu dziełami sztuki, podobno dekorator wnętrz, podobno należał do układów z wysoko postawionymi facetami w Peerelu, uplatanymi w korupcję i kradzieże. Pracownię na Saint Antoine kupił za zapomogę od Związku Niezależnych Plastików. Mówią, że załatwił to Dubinet, wzięty grafik, homoseksualista. Tylko jedno jest pewne, narzeczony Very jest bardzo przystojny i chronicznie brakuje mu pieniędzy.

– Ona wygląda na nieprzytomnie zadurzoną.

– Wszystkie jej romanse przebiegały ostro, ale to nie jest osoba zdolna kochać do utraty portfela. Najwyżej zrujnuje się na jeszcze jedną podobnie kosztowną suknię.

– Jest od niej ze dwadzieścia lat młodszy!

– A widziałaś kiedyś starych żigolaków?

Zimny bufet gonił resztkami. Na werandzie kelner szykował gorące danie. Panic oblegały lustra. Panowie rozpełzli się z kieliszkami po całym domu i ogrodzie. Z koszykiem wypełnionym brudnymi naczyniami, w nierzeczywistym świetle zielonego chińskiego smoka, natknęłam się na Grażela.

Nosił czarne aksamity i atłasową koszulę z miękkim kołnierzem podwiązanym welurowym szczytkiem krawata, guziki u gorsu łamały światło na siedem barw tęczy. Podejrzywałam, że koszulę pożyczył od Słodana.

– Nie uciekaj – zatrzymał mnie w szmaragdowej poświacie lampionu, jak na dnie akwarium.

– Jeśli ją okradniesz, powiem, kto namierzył! – rzuciłam się desperacko, żeby uprzedzić jego groźby lub szantaż.

– Głupia, ja chcę się z nią ożenić, ale kim ona jest dla ciebie?

– Krewną przez ksywę.

– Nie rozumiem.

– Moje nazwisko i jej sceniczny pseudonim są takie same.

– Tyle od dawna wiedziałem. Słuchaj, proponuję układ. Nie znamy się i nic o sobie nie wiemy. Włos ci z głowy nie spadnie, jeśli nie będziesz szkodzić.

Miał więcej do stracenia ode mnie, postawiłam warunek.

– Należy mi się zaległa pensja i moje ciuchy pozostawione w Demoiselle – najbardziej ze wszystkiego nie mogłam odżałować skórzanych spodni, kupionych w pierwszym dniu mojego marketingowego szaleństwa.

– Będziesz je miała.

Dotrzymał słowa. Przyszedł w dzień, kiedy Vera miała wolne. Właśnie plewiłam grządki w ogrodzie i to ja otworzyłam mu furtkę.

– Dwa tysiące minus należność syndykatu. Przelicz – zażądał.

– Dobrze jest – schowałam banknoty, brakowało, żeby Vera zobaczyła, jak biorę od niego pieniądze. A jednak coś dostrzegła, za firanką korkowego salonu przesunął się cień.

– Ubranie też odebrałem.

– Nie pójde po nie do twojego studio.

– Tutaj nie mogę przynieść paczki. Chyba rozumiesz – spojrzał w stronę okna, w którym znów coś ciemniało za przysłaniającą je gipiurą.

– Zostaw dla Musteli w bistro Chez Allard obok teatru Bobino.

Nadal przerabiałam kaftaniki i fartuchy starszej pani, wrębiłam ścierki i prześcieradła,

uszyłam sukienkę Katalonce nie biorąc od niej ani centima, czym ją sobie zjednałam, i nawet szlafrok Verze. Mimo to chyba nigdy nie kupiłabym obiecanego Singera, gdyby Weronika nie wystarała się dla mnie o zastępstwo garderobianych na małych, bulwarowych scenach. Miewałam kilka takich zastępstw jednocześnie.

W Paryżu teatry dysponują salą widowiskową, zapleczem, szatnią, rekwizytornią i obsługą techniczną, w tym garderobianą. Producent rozporządzający kapitałem wynajmuje całość, a sam angażuje reżysera i aktorów. Płaci, ponosi ryzyko oraz koszty własne. Oszczędza, na czym się da, ale bez garderobianej obyć się nie może. Lecz one też rodzą dzieci, chorują, miewają urlopy i przypadki losowe. Dzięki znajomościom Very korzystałam z takich okazji.

Zdarzało się kilka miejsc naraz z pracą na dwie, trzy godziny. Codziennie po zajęciach dzwoniłam lub wstępowałam do bistro obok teatru Bobino. Przyjmowano tu dla mnie zlecenia telefoniczne od znajomych i znajomych znajomych Very na zastępstwo, czasami tylko na parę dni, innym razem na kilka tygodni. Za fatygę wypłacałam się właścicielom Chez Allard szyciem.

I nagle się urwało.

– Nie było zamówień – wołał patron, gdy pojawiałam się w drzwiach. Z braku lepszego zajęcia siadałam w pobliżu aparatu. Czekałam.

– Nie martw się, masz zdatne ręce. Zadzwoń. Napij się kawy – stawiał przede mną filiżankę. Lokowałam się w kącie przy cynku i dalej czekałam na wezwania.

Nikt mnie nie potrzebował, mimo pełni sezonu. W dniu, którym wysnuło się ostatnie zastępstwo i nie miałam w mieście już nic do roboty, wieczorem zawołała mnie Vera.

– Moi przyjaciele już nie będą mieli dla ciebie pracy.

– Są ze mnie niezadowoleni?

– Nie w tym rzecz. Powinnaś wyjechać do kraju, tu nie masz żadnej przyszłości.

Nieraz myślałam o powrocie, chciałam jednak uskładać trochę pieniędzy, żeby mieć na początek, i wciąż odsuwałam ten nieokreślony dzień, w którym wsiądę do pociągu na Gare de L'est.

– Rozumiem. Jutro się wyprowadzę.

– Nie unoś się fałszywą ambicją. Pozostań, dopóki nie załatwisz formalności. Rozmawiałam ze znajomymi w konsulacie. Możesz wrócić do kraju bez żadnych konsekwencji. Nic ci tam nie grozi. Stan wojenny został zniesiony.

– Muszę iść własną drogą.

– Jaka to droga, jaka? Zakopać się na głuchej wsi i w kurnej chacie przerabiać stare szmaty! Chłop cię ciągnie, oczu nie mydli. A co za chłop? Przystojny i tylko tyle, ale najgorszy, jaki może być. Zero. Syn bonzy wysadzonego z siodła. Ni rajdowiec, ni rzeźbiarz, nawet porządnie ukraść nigdy nie umiał. Wiesz, kto on jest? Wałkoń! Wyrzucili go z klubu, odebrali poloneza. Skończył się, nim zaczął. Niedojrzały szczeniak!

– Szczeniak! Ma chyba ze dwadzieścia pięć lat.

– I co z tego? Są mężczyźni, co nigdy nie dorastają. On z takich. Wieczny chłopiec. Jest dzisiaj tam, jutro może być gdzie indziej, a ty jak raz się stąd wyniesiesz, meldunku nie odzyskasz. Co będziesz robiła, powiedz?

– Postanowiłam wyjechać. Nie przekonuj mnie, Nonna, to bezcelowe.

– Miałam dla nas świetne plany!

– Już nigdy nie bierz mnie pod uwagę w swoich projektach. Zmieniłam zawód, Nonna. Uciekałam nad Jezioro także przed Nonną, przed przedsiębiorczością Nonny, przed pomysłami Nonny. Kładłam między nas trzysta kilometrów, żeby nie być pod ręką, bo chociaż żywiłam dla niej sentyment, nie mogłam z nią mieszkać pod jednym dachem ani nawet w jej pobliżu. Pozostać tu oznaczało codzienne zmaganie się z jej pomysłami, przeciwstawianie się jej światu, obyczajom, środowisku, sposobowi życia.

Niezależność stała się moją największą potrzebą. Miałam powyżej uszu opieki, dość regulaminowych rygorów zbiorowego bytowania, dość miłosierdzia.

Wilk należał do zupełnie innego rozdziału. Zresztą, dawno przestał mnie obchodzić, tak mi się przynajmniej wydawało.

– Wypierasz się nas – obrazila się Nonna.

– Ma prawo do swojego życia. Daj jej spokój, Nonna – niespodzianie wsparł mnie Dziadek. Dotychczas ani słowem nie opowiedział się po żadnej stronie, chociaż zdawał się zawiedziony moim postępowaniem.

– Pewno, Dziadka obchodzą już tylko psy – z goryczą poskarżyła Nonna.

Dziadek miał nową pasję. Dwa młode wyżyły, które lały, gdzie stanęły, przydeptywały sobie uszy i zjadały każdy nieopatrznie porzucony but.

– Może wiesz, co z Lalką, Nonna?...

Telefonowałam do Sterni, lecz na pójście tam nie starczyło mi odwagi. Nie mogłabym

spojrzeć w oczy Ursynowi. Wobec niego wciąż czułam się winna, zwłaszcza że niczego nie dało się naprawić. Lalki już od dawna w ośrodku nie było. Miejsca jej pobytu nie znano. O Wilka nie zapytałam, lecz wygadywanie Nonny na niego sprawiło mi przykrość.

– Nie wiem, ale pozostawiła telefon jakiejś wiochy pod Nowym Dworem, na wypadek gdybyś się znalazła.

– Co ona tam robi?

– Nietrudno się domyślić. Przyszła do nas wystrojona. Pantofle z jaszczurki za czternaście tysięcy para, taka sama torba za dwanaście, kostium z peweksowskiego weluru, piętnaście dolarów metr, łańcuch z brelokami na szyi, zegarek wysadzany brylantami i grawerowana obrączka z dukatowego złota, szeroka niczym okucie na becze. Jak myślisz, skąd to ma? Na stajnię poszła albo w dewizowe dziwki – podsumowała Nonna, kryjąc urazę za rezerwę i tajemniczość Lalki. Tej samej Lalki, która schlebiała i głośno podziwiała Nonnę podczas odwiedzin w puszcze, a później w Sternie.

– Pewno wyszła za męża.

– Obrączkę może nałożyć sobie każda.

Nonna coś o tym wiedziała, sama nosiła gruby otok złota na serdecznym palcu, chociaż nigdy nikogo nie poślubiła, bo po trzydziestce kobieta nie zakontraktowana, jak twierdziła, jest towarem podejrzanej jakości. Skoro nie znalazła sobie pary, kryje się w niej jakiś feler. Nonna cierpiała tajemnie, że należy do takich, chociaż nie znajdowała u siebie braków.

Lalka umówiła się ze mną w Victorii. Trochę dała na siebie czekać. Kiedy weszła, zapaliła nostalgię w oczach mężczyzn i zmroziła spojrzenia kobiet. Lecz, jakby nieświadoma powszechnej uwagi, płynęła przejściem między stolikami w kostiumie z szafirowego weluru, podkreślającym złotawy ton skóry, koloryt i bogactwo włosów okrywających ramiona świetlistym kręgiem. Gestem podpatrzonym u gwiazd na starych filmach niedbale trzymała w rękę pęk puchatego futra, szal z dwóch srebrnych lisów spiętych mordami, wlokąc ogony po podłodze.

– Jesteś! – siadła Lalka i z wdziękiem skrzyżowała nogi opięte w przejrzysty nylon, w pantoflach z jaszczurki od najlepszego warszawskiego szewca.

– Jestem. I od razu mam przeprawę z Nonną.

– Puknij się, dziewczyno, brakuje ci prawdziwych zmartwień!

– Mam wobec niej dług wdzięczności.

– Jaki?! Że przez nią poszłaś do puszeki.

– Nikt siebie nie przeskoczy, ale była dla mnie dobra.

– Nie uznaję takich zobowiązań.

Lalka była jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej trzeźwa, jeszcze bardziej bezwzględna.

– Jeśli nie chcesz znowu iść na dno, nie możesz mieć sentymentów. Musisz odrzucić szemrane znajomości, wszystkie bez wyjątku! I nigdy nikogo z nich nie wpuścić na próg! Inaczej zgnoją ci życie. Zostaw Nonnę, dopóki nie staniesz na nogi, masz u mnie dach nad głową. Odejdź z tej buchciarskiej mety, w przeciwnym razie nie będę mogła ci pomóc.

Lalka trafiła swój wielki los. Miała męża, nowe życie i nowych ludzi wokół siebie. Odrzuciła dawne otoczenie jak zdarte ubranie, i tyle ją obchodziło, co znoszone szmaty. Nie czuła się niczym dłużnikiem, pozostała jedynym remanentem, dla którego gotowa była coś uczynić, pod warunkiem jednak, że zerwe z kryminogenną Nonną.

– Kochasz męża?

– Mnie kiedyś zażywali jak proszki – Lalka nie odpowiedziała wprost. Jej uczucia dla męża wyrażały się w tonacji andante. Rozsądna wymiana. Coś za coś, chociaż nie można też nazwać pełnym wyrachowaniem. Mąż dał Lalce wszystko to, czego nigdy nie miała, dom, dostatek, poczucie bezpieczeństwa, pozycję i opiekę.

– Jestem mu wdzięczna i za nic nie zrobię gnoja. Będę dobrą żoną i przyjacielem, urodzę mu dzieci. Udane dzieci. Po nim wezmą charakter, po mnie urodę.

Lalka skończyła zasadniczą szkołę i w tym samym ośrodku doskonalenia kadr rolniczych w pobliżu Steryń poznała swojego męża. Przyjeżdżał na seminaria i egzaminy, robił korespondencyjnie dyplom z ogrodnictwa.

Mąż Lalki ma sad i dwa tysiące metrów pod szkłem. Posiadał dwa razy tyle, połowę wydarli krewni pierwszej żony, bo mąż Lalki był bezdzietnym wdowcem, starszym od Lalki o osiemnaście lat.

Żeby nie mówiono, że wziął sobie gołą dziewczynę nie wiadomo skąd, na jej imię kupił przez adwokata sześćset metrów gruntu w pobliżu gospodarstwa. Wiano Lalki. Działka dość marna, trzeba ją dopiero uprawić i niemało zainwestować, zanim da plon, ale wielka to rzecz dla Lalki, która poza dziurawymi łachami nigdy nic w życiu nie miała.

– Zapisalam się na zaoczne technikum ogrodnicze – Lalka nie tylko z tytułu własności chciała posiadać ziemię. Kto pozna tajniki uprawy, nigdy nie zazna głodu. Rola z każdą wiosną odrodzi dostatek. Lalka nade wszystko bała się biedy.

– A na razie szpanujesz po Victoriach.

– Jestem tu drugi raz w życiu.

Jak już gdzie wychodzi, ubiera się ekstra, bo lubi, bo ma pozycję, bo odbija sobie za czasy łachmanów i upokorzeń. Ale ubranie żadna lokata. Moda często się zmienia, a mole

potrafią zeżreć nawet gronostaje. Tylko głupie zapychają szafy. Co innego biżuteria. Owszem, ma już co nieco. Trochę udało się mężowi uratować po nieboszczce przed zachłannością krewnych. Pierścionek i obrączkę kupił specjalnie dla Lalki.

Umówiła się ze mną w mieście z przezorności. Najpierw chciała się przyjrzeć, dowiedzieć. Przecież nawet nie słyszała, co robiłam na Zachodzie. Więc musiała się zorientować, czy może wpuścić mnie do swego domu.

– Rzadko bywam w Warszawie, więc jeśli już, to w najlepszych lokalach, czemu nie?

Może sobie pozwolić na kawę za dwie stówy, nawet na kieliszek koniaku w kategorii lux. Mogą sobie z mężem pozwolić i na więcej. Na przykład na sylwestra zadawali szyku na balu Marlboro. Nie wiem, co to takiego? Wielce wytworny ubaw dla elity. Ludzie bili się o karty wstępu, które u konia kosztowały po dychu na twarz. Po jakim dychu? Po dziesięć tysięcy złotych. Kryzys? Nie u wszystkich, jest jeszcze dość ludzi, co zbierają śmietaną. Oni z mężem też zbierają, ale uczciwą pracą.

– Później załowałam wydanych pieniędzy.

– Elita okazała się za mało pierwszorzędna?

– Nienadzwyczajna. Każdy myślał o sobie, że on jest ten lepszy. Paręnaście tysiączków w jedną noc, jak psu pod ogon. Lepiej było kupić zielone albo monetkę.

O Lalkę można być spokojnym. Lalka myśli o życiu praktycznie.

– Do Sterny nawet się nie wybieraj, Mustela. Jesteś tam za taką, co wykończyła trenera.

– Załatwili Ursyna?

– Rzucili się na niego jak na padlinę. Karierowicz, reklamiarz, tylko wyczyn. Żadnej roboty ideolo. Dla własnej sławy wypuścił zwierzaki, co dla nich ni honoru, ni ojczyzny. Zgnoili go, chociaż za sztafetę dziewczyny przywiozły trzecie miejsce.

– Jakby załapały pierwsze, nikt by go palcem nie ruszył.

Ale nie załapały, a moje zniknięcie stało się gwoździem do trumny. Brak roboty wychowawczej! Natomiast złodziejstw nikt nie zauważył. Księgowość Mamy była nie do ugryzienia, dziewczyny nie puściły farby, ale i tak Mamę posłano na rentę.

– Przy okazji trochę wyczesali Sternę. Poleciał też i mój Lux. Dobra okazja, bo właśnie wyplewili go z wysokiego urzędu. A ja jak tylko skończyłam siedemnaście, powiedziałam cześć. Przy Luxie, nawet gdyby zachował stanowisko, nie miałam widoków na przyszłość. Nie dla mnie mężczyzna na doskok, ale on tego nie rozumiał.

– Dziwka jesteś – powiedział.

– Zmiataj do żony – mówię – i zajmij się wychowaniem córek, żeby się nie

wykierowały jak ja.

– Do Nicei cię wozilem!

– Za klubowe pieniądze mogę ci urządzić wycieczkę dookoła świata i słowem nie wypomnę.

Po usunięciu Ursyna rozgorzała walka, kto ma wziąć sukcesję. Chętnych było wielu. Posada nadal uchodziła za szmalcową, ale panowie z zarządu klubu mieli właśnie inny projekt.

Właściwie, po co nam ten kłopot? – eksperyment nie zdał egzaminu, jest kosztowny, efekty znikome. Pochłania pieniądze i blokuje komfortowy obiekt.

Jesteśmy za biedni. Zbyt drogo Resocjalizacja przekracza możliwości ośrodka – uznali panowie, którzy nie tak znów dawno dowodzili zupełnie czegoś przeciwnego. Niechaj reedukuje właściwy resort. Oczywiście dziewczyny już wyszkolone i reprezentujące jakiś poziom Sterna zatrzyma i urządzi. Ale pozostałe, te, nad którymi ciążyły nie wykonane wyroki, niech wracają, skąd je wzięto.

Zaczęły się konferencje, posiedzenia, krążyła korespondencja. Ostro dążono do likwidacji szkółki, a ponieważ stan wojenny zamroził groźbę odebrania klubowi bungalowu, w zarządzie wymyślono nowe przeznaczenie pomnika działaczy. Na hotel.

Urządzi się wczasy w siodle za waluty wymienialne. Impreza rentowna, jest kryzys, trzeba zarabiać. Kto śmie w takiej sytuacji, nawet po odwieszeniu stanu, wyciągnąć rękę po zarabiający dewizy dom.

Do czasu rozstrzygnięcia plany nowego zagospodarowania budynku trzymano w ścisłej tajemnicy, lecz jak każda ścisła tajemnica ta również dotarła do zainteresowanych, tyle że w wersji jednoznacznej, najgorszej z możliwych, co znaczyło: wszystkie poniżej siedemnastu lat powrócą tam, skąd przyszły.

Na dziewczyny padł strach. Na swój sposób reagowały na utratę nadziei związanej z pobytem w ośrodku, a najgorzej te ze świeżego naboru.

– Ja powiedziałam adieu, bo już miałam odpowiedni wiek i Ryśka – tak ma na imię mąż Lalki. – Ale wiesz, w jaką rozpacz popadły młodsze, a także starsze, przecież nie miały się gdzie podziąć!

Jak kiedyś resocjalizacja, teraz najważniejsze były konie. Wszystko dla koni. Koń nie zre mięsa ani innych deficytowych artykułów, nie zagęszcza pokoi wyposażonych importem, nie trzeba go wozić do szkoły rolniczej ni płacić strawnego, koń nie ucieka za granicę z pierwszych międzynarodowych zawodów, koń się nie puszcza. A właśnie co bardziej zdesperowane zaczęły. Głupie, szukały po krzakach męża. Każda za stracha na wróble by się

wydała, żeby ją tylko chciał. I w ogóle popadły w trening horyzontalny.

Z jednostki wojskowej w Osadzie waliły chłopaki, zbierały ich Pingwiny, Raz wsiąkł patrol, potem wsiąkł drugi, który przyszedł szukać pierwszego. Odnalazł ich trzeci w rojstach nad rzeką z naszymi dziewczynami.

Dowództwo miało za złe obniżanie morale armii, zarząd Sterny zyskał nowe, niezbite argumenty, że resocjalizacja przez sport to utopia wymyślona przez żadnego profitów Ursyna, naprawdę zaś coś warte są tylko konie.

Boże! Już nie mogłam tego słuchać. Czułam się winna. Trąciłam kamyk, a on pociągnął lawinę.

– Nie zgadniesz, kto pierwszy ruszył na ratunek. Nasza pani od polskiego, z rolniczej!

Część dziewczyn przestała bywać w szkole, inne wprawdzie przychodziły, lecz siadywały w ławkach jak malowane lale i nie potrafiły odpowiedzieć na najprostsze pytania. Nigdy nie błyszczały erudycją, jednak zarabiały na swoje trójki bez żadnych ulg. Teraz groziły im niedostateczne.

Nauczycielkę poruszyła epidemicznie szerząca się atrofia. Dlaczego, co się nagle stało? Wyciągała dziewczyny na rozmowy. Milczały, bojąc się sankcji za rozpowszechnianie plotek. Nareszcie któraś puściła farbę.

– Ona pytała o ciebie, dowiadywała się o adres – przypomniała sobie Lalka.

Z drugiej pensji zarobionej w Demoiselle kupiłam trochę kawy, czekolady, herbaty i innych delikatesów. Wysłałam Nauczycielce. W załączonej kartce napisałam: „Może pani spokojnie przyjąć paczkę. Wszystko nabyłam za uczciwie zarobione pieniądze”. Adresu nie podałam. Nie chciałam, żeby dzielnica Pigalle nasunęła jej w związku ze mną jakieś dziwkowate skojarzenia.

To Nauczycielka uruchomiła Dyra i razem z nim zaalarmowali organizacje społeczne oraz kogo się dało.

Do resortu wpłynęły informacje zupełnie inaczej oświetlające problem, niż to sugerowali panowie ze Sterny. W rezultacie nieustępliwych zabiegów została powołana komisja, a na jej wniosek władze zarządziły kontrolę, która, między innymi, wykazała, że Sterna nie tylko nie dokłada do sierotek, lecz na nich zarabia. Przy okazji wyszły na jaw jeszcze inne niepiękne rzeczy.

I tak poległ kolejny zarząd.

Nowy odziedziczył konie, nostalgię do zielonych, ideę wczasów w siodle i sierotki obciążone opinią, że nie tylko przy lada okazji uciekają za granicę, wykańczają trenerów, osłabiają potencję armii, ale są pomorem i czarną śmiercią dla działaczy.

Jednak sierotki istniały i konie też. Dziewczyny oddano pod rękę nowego trenera, ale konie żarły owies i nic nie zarabiały. Wówczas okrojonej administracji pozostawiono w pawilonie zarządu dwa pokoje, zaś wygospodarowane pomieszczenia zasiedlono eksperymentem, natomiast bungalow przekształcono w hotel dla dewizowych jeźdźców.

– A stary Wilka wymanewrował się ze wszystkiego. Umarł na serce.

Ojciec Wilka zasiadał w Radzie Opiekuńczej eksperymentu, reprezentował kierownictwo Sterny.

– Zgubił go nadmiar stanowisk.

Docent, doktor, dyrektor generalny, prezes, członek ścisłego prezydium klubu i ekspert komisji kasacyjnej, przez dobre dwa dziesiątki lat ulegał szczególnemu rozszczepieniu osobowości.

Prezes występował o zakup, zatwierdzał i sprowadzał markowe samochody dla sekcji motorowej, działacz i członek prezydium podpisywał w imieniu, ekspert komisji kasacyjnej dyskwalifikował ledwo dotarte wozy jako rzęchy, klub ogłaszał przetarg, do którego stawał Dyrektor Generalny i zawsze miał pierwszeństwo. Następnie doktor docent, osoba prywatna, sprzedawała auta przez pośredników.

Nie działał sam. Takiej buchcie nie uradzi jedna czy dwie osoby. Funkcjonował cały klan, ludzie utytułowani i na stanowiskach. Łapówki, korupcja, fałszerstwa, przestępstwa celne i skarbowe, kandy administracyjne. To dopiero wielka granda. O takich na Pigallu mówiono, gros bonnets de la pęgre – grube ryby złodziejskiego podziemia.

Działki, domy, letniskowe habendy za bezcen, po symbolicznych cenach akceptowanych przez kupionych urzędników. I trik znany jak Polska długa i szeroka. Banal. Przecena materiałów budowlanych zwożonych z całego świata za ciężkie pieniądze.

Nonna przy nich prezentowała się skromnie. Ot, detalistka.

– Podobno chciała go capnąć Jura. Skarb państwa położył łapę na wszystkim, nawet na polonezie i żaglówce Wilka. A on, odkąd w klubie dali mu do zrozumienia, że go nie chcą, zniknął z miasta. Słyszałam, ogacił szalas i nawet zimował na Miladzie. Ten kawałek ziemi ma po dziadku.

Przyjechał mąż Lalki, mężczyzna poważny, nieefektowny, dobrze ubrany i zabrał nas do ich domu pod Nowym Dworem.

– Sto dziesięć metrów plus weranda – objaśniła Lalka.

Połowę parteru zajmuje salon z kominkiem, urządzony kompletem hiszpańskich mebli. Miękka kanapa, fotele, chiński dywan, kolorowy telewizor i duży regał z książkami. Mąż Lalki jest człowiekiem czytającym.

Lalka zabrała mnie do sypialni. Sypialnia Lalki ma sprzęty białe i łososiowe jedwabne kołdry, kremowy kobierzec, lustro na pół ściany z konsolą też białą i przyborem kryształowym.

Lalka przebrała się w długą szatę z indyjskiego fularu i starannie wyczyściła oraz ulokowała na ramiączku swój welurowy kostium. Strzepnęła futrzany szal i pieczołowicie uczesała szczotką lisie ogony, zanim umieściła wszystko w czeluściach białej, wbudowanej w ścianę szafy.

– Tu jest łazienka, druga znajduje się przy kuchni – otworzyła drzwi pomieszczenia lśniącego glazurą i chromem.

Lalka zasłała obrusem stół w salonie, mąż Lalki przyniósł półmiski i nakrycia.

– Gosposiuje nam rencistka – powiedziała Lalka.

– I uczy Marysię gotować – uśmiechnął się mąż Lalki, a ja musiałam się przez chwilę zastanowić, o kim mówi. No, przecież o Lalce, ma na imię Maria.

– Tylko nie bardzo mam kiedy, bo trzeba dopilnować roboty w szklarni, a i samemu ręk dołożyć, do tego jeszcze technikum! – podkreśliła Lalka. Niech sobie nie myślę, z niej nie malowana lala, jest tu kimś.

Mój projekt wyjazdu na daleką wieś nie trafił jej do przekonania. Nie, nie wypominała mi Wilka, jak Nonna, jej zastrzeżenia były natury ekonomicznej.

– Co ty tam będziesz szyła, dziewczyno!

– To samo, co wszędzie.

– Widziałas pustki w sklepach, półki jak wymiecione i hewry w kolejkach, co wyłupują każdy gałgan. Później ta szmata kosztuje kilka, nawet kilkanaście razy drożej. Więc skąd tam na wsi mają brać materiały, z jakich ty chcesz im szyć ubrania.

– Ludzie muszą się w coś odziewać. Przyniosą przeróbki, reperacje.

– Z łataniny starzyzny nie wyżyjesz.

– Mam paryski szlif – pomyślałam o kaftanikach pani starszej, nocnych koszulach, flanelowych lizeskach patrony z Chez Allard i złachanych kostiumach bulwarowych teatrzyków. Gdyby nie przymus szwalni w dwóch rodzimych puszkowniach, gdzie wtłoczono mi jakieś pojęcie o zasadach kroju, nie potrafiłabym po tych paryskich doświadczeniach uszyć najprostszej rzeczy. Ale reklama jest dźwignią handlu.

– Zostań u nas, damy ci pokój na piętrze.

Za mieszkanie wypłacę się szyciem. Nie będę nadużywana. Wyrobią mi markę pośród bogatych plantatorów, będę obszywała ich kobiety, które nie mają czasu na jazdy do miasta, ale mają pieniądze i lubią mieć solidną rzecz zrobioną z bigłem. Krawcowa z paryskim

stażem i francuskimi żurnalami to jest coś. Zostanę kimś, poznam ludzi, nawet może się zdarzyć dobre zamążpójście.

– Jeść będziesz z nami, i tak gotuje się dniówkowym ludziom, jedna osoba więcej nie stanowi różnicy. Za życie pomożesz w szklarni, no nie, Rysiek? – zagospodarowuje moją egzystencję Lalka.

Rysiek poparł projekty żony.

– Dziękuję wam, ale muszę iść własną drogą.

– Przecież nawet nie masz żadnego papierka – zmartwiła się Lalka z bezpiecznych wyżyn swojego małżeństwa i ukończonej szkoły zasadniczej.

Moja droga wiodła przez cech. Potrzebowałam karty rzemieślniczej. A Lalka przesadzała z tym brakiem świadectwa. Miałam. Nawet do wyboru. Za dwa semestry szkoły ogrodniczej albo z trzeciej klasy podstawowej. Był to jednak za mały dorobek z wiedzy ogólnej, abym mogła stawać do egzaminu czeladniczego. Musiałam przedłożyć cenzurę ukończenia ośmiu klas. Jeśli jej nie posiadałam, istniało jeszcze jedno wyjście. Zdawać jako ekstern.

Nie mogłam. W każdym razie nie w najbliższym czasie. Wprawdzie znałam już wiele książek, a francuskich klasyków czytywałam w oryginale, lecz czarną magią były dla mnie na przykład ułamki albo zadanie o dwóch autach ruszających z odmienną prędkością z dwóch różnych miejscowości.

Znalazłam się w martwym punkcie.

Iść na garnuszek do Lalki, wysługiwać się i usiąść w ławce na kilka lat? Nie mogłam tego zrobić Nonnie, nie mogłam jej porzucić dla koleżanki, która wyszła za mąż za bogatego człowieka. Zresztą już nie wyobrażałam sobie życia zależnego od regulaminów, obojętne, państwowych czy cudzej rodziny.

– Dziadku, pilnie potrzebuję biało – nie widziałam innego wyjścia, tylko kupienie szkolnego certyfikatu. – I nic nie mów Nonnie.

– Wypisz dane i stopnie, jakie chcesz mieć – zażądał.

Pod koniec tygodnia przyniósł cenzurę na moje imię, trochę podniszczoną, cenzurę trójkową z dwiema czwórkami i jedną piątką na okrasę, taką w sam raz. Był to prezent od niego na moją nową drogę życia, sam zapłacił i nie przyjął zwrotu wyłożonej sumy.

Zdałam egzamin na kartę rzemieślniczą.

Nad Jezioro pojechałam nocą, do granic możliwości wypełnionym pociągiem, w bardzo brudnym i bardzo zniszczonym wagonie. Ludzie i bagaże, cierpliwi ludzie o śpiewnej mowie, zalegali przejścia pośród ławek, złącza między wagonami, ubikacje.

Za Białymstokiem zaczyna się Polska jednotorowa. Pociąg przez kilka godzin kuśtykał po tym jedynym torze, ustępował z drogi na mijankach, nabierał tchu na małych zaszytych w lasach stacjach, dreptał pod semaforami.

O świcie wtoczyłam się w równie zapelniony i rozpadający się autobus. Wsiadłam za wsią zatopioną w puszczy i zanurzyłam się w zieloność, łagodnie przesiewając słońce. Droga wiodła jarami przez morenowe wzgórza, wijącym się duktem pod złączonymi ramionami świerków, rozjaśnionych dzierganiami tegorocznych przyrostów.

Z nagrzanej ścieżki pierzchła żmija, śpieszyła skrętami oliwkowego ciała i znikła w dziurze pod nawilgłym mchem. Młody gad – pomarańczowa błyskawica na grzbiecie miała barwę zgaszoną – przywiódł na myśl nie wiadomo gdzie zasłyszany czterowiersz:

Wszystko w życiu przewycięża i niezłomnie /trwa miłość o mądrości węża i odwadze lwa /Najmocniejsza z tarcz oręża, co niezłomnie trwa/ miłość o mądrości węża i odwadze lwa.

Miłość.

Miłosz.

Kocham Wilka i nic na to nie poradzę, uświadomiła mi to nawet mała żmija spotkana na ścieżce. Tak, idę do Wilka! Wmawiając sobie obojętność, szłam do niego od bardzo dawna i nie istnieje nic ważniejszego na świecie.

Co mi wróżysz, rozumny gadzie? Ludzka obmowa przypisała ci diabelską przewrotność. Tępiomy i prześladowany, umykasz przed nienawiścią, osaczony, bronisz się w jedyny sposób, w jaki wyposażyła cię natura. Nie krzywdźcie żmij, nie gonią za wami z kijem, nie tłuką kamieniami, nie rozjeżdżają oponami po leśnych gościńcach.

Dziękuję ci, żmijo, pomogłaś mi. I ty pozostaniesz w ojczyźnie mojego serca.

Szłam. Gdybym chciała, mogłabym nawet frunąć, miałam skrzydła. Nie byłam niepotrzebna na świecie, kochałam Wilka, kochałam takiego, jakim jest, nieudanego rajdowca, niedorobionego rzeźbiarza, co nawet porządnie nie umiał ukraść i nie ukończył żadnej szkoły.

I odsłoniło się Ono. Jezioro. Karbowane lekką bryzą, w złotym otoku kwitnących kosaćców, w diademie lasu. Było tu, kiedy marzyłam o miejscu na podium i kiedy nie kochałam Wilka, i kiedy kochałam się z Michelem, i kiedy kochałam się z marokańskim chłopcem z gangsterskiego syndykatu, i gdy tęskniłam za miłością, i gdy goniłam za sławą, i kiedy tułałam się po świecie. Tak samo w trzcinach gospodarowały kaczki, ze świstem powietrza ciężkim lotem cięły niebo łabędzie, krzyczały sternity, bezpieczne pływało pisklę nurka wtulone między skrzydła matki. I można było dotknąć ciszy. Ono żywiło dookolne

lasy, zwierzęta, ryby, ludzi, dawało przytulisko ptakom, istniało, zanim pojawiłam się na ziemi, i będzie zawsze. Wróciłam.

Na Miladzie pod oplecionym dziką różą grądem, jakby wyrastając z zielonego zbocza, nie skaleczonego żadnym narzędziem, stał zrab podmurówki. Nie tknięte obróbką otoczaki dobrane kształtem, wielkością i barwą, drobinami miki iskrzyły się w słońcu. Nad głównym otworem wejściowym, wpojony między głązy niczym znak rodowy, widniał kamienny dysk chłopskiego żarna. Bardzo piękny był ten zaczątek domu i odsłaniał nie znaną mi część Wilka, może tę najlepszą, czułą na urodę natury.

Do wiaty, wypełnionej grubymi balami, przylegał zbity z tarcic szałas. Pod spadzistym dachem z papy, patrzył na świat małym, mętym okienkiem.

Weszłam.

– Pelka! Przepraszam, Mustela.

– Może być Pelka, nie imię zdoła człowieka.

Wilk wyglądał jak wykuty z miedzi. Nagi do pasa, z wyraźnym rysunkiem mięśni pod skórą wytrawioną słońcem. U jego nóg leżał pies. Duży podpalany kundel z sierścią puszystą jak u syberyjskich wilczurów. Zmarszczył nos, uniósł czarną wargę i pokazał dwa rzędy spiczastej bieli, z głębi piersi dobył narastający głuchy grzmot, jakby uruchomił lawinę.

– Cicho, Maczek, to swój! – powiedział Wilk.

Grzmot został połknięty z głośnym mlaśnięciem i w tym samym momencie miałam uśmiechnięty psi pysk przed oczyma, a łapy na ramionach. Przejechał mi jęzorem po twarzy od czoła do brody.

– Maczek! To młody i jeszcze głupi pies – usprawiedliwił go Wilk.

– W życiu nikt mnie tak nie witał! – pies uruchomił ogon i podtykał pod rękę trójkątny łeb.

– Rozgość się! – Wilk podsunął taboret po drugiej stronie stołu, płaszczyzny zbitej z heblowanych desek, jedną krawędzią umocowanej do ściany pod podłużną szybką, owym mętym okienkiem, drugą sięgającą miejsca, gdzie siedział, materaca położonego na stelażu z desek i nieokorowanych pieńków.

– Skąd spadasz?

– Prosto z Paryża – zagadał mój snob.

– Co tu robisz?

– Przyjechałam do ciebie, Wilk.

– Do mnie, do mnie? – wykrzywił się i nagle ukrył twarz w dłoniach.

Objęłam go, pachniał mozołem, cementem i wódką, ale nie alkohol płakał za niego.

To ulął się żal. Płakał przeciw ludziom, co się od niego odwrócili, przeciw fałszywym przyjaciółom, interesownym dziewczynom, pochlebcom, co przy nim korzystali, a potem z dnia na dzień stali się Katonami. Płakał z rozczarowania, upokorzeń, goryczy, z surowości bytowania, do którego nie przywykł, codziennego znoju bez końca, z samotności.

I to także był Wilk, jakiego nigdy nie znałam.

Sam wznosił to ciasne pomieszczenie. Sam toczył głazy na podmurówkę domu, zmagął się ze sobą, z oporną materia, ze snycerskim kunsztem.

Minęła bezpowrotnie jedna egzystencja, bogata i nieodpowiedzialna, zaczęły się trudne początki życia na serio, na własny rachunek. Ciężka robota i niedostatek podcinały wolę, kruszyły wytrwałość, lecz znów się dźwigał, pracował. Mówiło o tym przemieszanie przedmiotów zbytku z prymitywem i ubóstwem, a wszystko jak przysypane pyłem, rozrzucone nieporządnie lub poskładane też byle jak.

Nie dokończone, pokryte rzeźbą oparcia, zagłówki, poręcze, zapowiedzi przyszłych sprzętów wały się po kątach, bo Wilk nie nawykł do systematycznego wysiłku. Mimo to zrobił już, co zrobił, i jak nadzieja jaśniał plan domu przypięty na rajzbracie.

– Jestem trochę zmęczony i podпиты. Chodź, pokażę ci moją robotę – wstydził się chwili słabości, łez, których nie zdołał powstrzymać.

Dwa lata kładł podwaliny i budował kamienny zrąb. Wiosną nad jedną izbą położył pierwsze płyty sklepienia, a dzisiaj je umocnił. Od świtu rozrabiał zaprawę, przewoził taczka po torze z tarcic wznoszącym się pochyło do trzech metrów nad ziemią, i lał płynny cement na żelbetowe tafle. Sam. Wszystko sam, jak postanowił, gdy uciekał z Warszawy z podwójnym piętnem pasożyta i syna swojego ojca.

W tej najpierwszej izbie ściany i otoczków zaciągnie białym tynkiem, zrobi powalę drewnianą, podłogę z cegły prasowanej, ciemnoczerwonej, o barwie, jaką daje specjalnie sycona i wypalana glina. Nieprędko zdobędzie się na ów materiał. Taka pojedyncza cegła kosztuje trzydzieści złotych. W następnym roku może już być droższa. Pieniądze dopiero musi zarobić. Na razie bodaj ugnieść polepę, żeby się tu przenieść przed chłódami. Nadojadły dwie zimy w budzie, gdzie bez przerwy trzeba palić w żeliwnym piecyku z blaszaną rurą, w przeciwnym razie woda zamarza w wiadrze, mleko rozsadza ładyszkę, kostnieją ręce i nie można utrzymać dłuta.

– Napijesz się?

– Napiję, za święto pierwszego sufitu.

– Stropu – z kąta budowanej izby wyciągnął z piachu butlę z chłodnym białozłotym płynem.

Piliśmy wódkę zaprawioną zieleń trojanki, kochaliśmy się, kąpali w Jeziorze i jedli zupę z puszki, regeneracyjną zupę drwali rozdawaną im przez leśnictwo, którą oni gardzili i odsprzedawali Wilkowi za mały grosz.

Pozbawioną wszelkiego smaku i zapachu gęstą bryję ryżową z kawałami dziczego mięsa doprawiałam wodą, tymiankiem i rozmarynem. I nie istniało nic wokół. Może nawet był jakiś świat za Miladą, lecz zupełnie nas nie obchodził.

Obudziłam się nad ranem. Szczęście trwało, obok mnie spał Wilk. Wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć. Podniosło mnie z posłania skomlenie pod drzwiami.

Maczek!

Żeby tylko nie obudził Wilka! Wymknęłam się na dwór. Ale pies nie wprasał się do szalasu, pobiegł przodem przywołując mnie szczęknięciami.

Poszłam za nim. W olsie, na byle jak skleconym z kamieni palenisku, podskakiwał przedpotopowy kociołek, połączony z baniakiem płataniną miedzianych jelit, z jednego końca rurki kapał destylat. Coś niewłaściwego działo się z urządzeniem pod wpływem buzującego ognia. Widocznie Wilk nie wstał w porę, zaś ten czworonożny współnik, pozostawiony na straży, przybiegł go upomnieć.

– Pędzisz z nim bimber, ty kryminalny kundlu!

– Hau!

Porwałam wiadro, chlusnęłam wodą w płonące drwa, przyniosłam następne, zalałam ogień. Wzbierała we mnie czarna furia. W co się ten kretyn, ten wałkoń, bawi. Pilno mu do puszki.

Przewróciłam naczynia, wylałam zacier, niszczyłam, rozbijałam metalowe kieszki, waliłam kamieniem w chłodnicę. Razem ze mną szalał Maczek, tańczył, biegał, skakał i naszczekiwał.

– Co wy wyprawiacie, Pelka! – wpadł między nas Wilk, widocznie obudzony ujadaniem psa.

– Idioto, tęsknisz za mamrem, dawno glin nie widziałeś. Teraz już nie będzie komu wyciągać cię z pudła!

– Furiatka, wściekła kocica! – odepchnął mnie, zebrał pogięte rurki i odszedł gwizdząc na psa, a to przewrotne zwierzę zabrało się razem z nim nawet nie spojrzawszy na mnie.

Chłodna woda Jeziora przywróciła mi jasność myślenia.

I co najlepszego zrobiłam? Wielkie rzeczy, trochę samogonu. Na takim odludziu, nocą, nikt nie poczuje oparów destylacji. A co on ma robić, jeśli chce wypić. I za sto lat nie zbuduje domu, jeśli będzie kupował monopolową. Fakt.

Musiałam niszczyć to cholerne urządzenie? Kończyła się woda w chłodnicy, samo ze siebie by je szlag trafił, więc dlaczego?

Było mi głupio, ale nawet nie miałam komu tego powiedzieć. Wilk znikł razem ze swoim czworonogiem. Tylko w szalasiu na stole pozostał dzbanek z mlekiem, chleb i kostka masła.

Chciało mi się płakać. Dlaczego każde spotkanie z Wilkiem kończyło się draką? Musiałam stamtąd iść. Przecież dlatego wyszedł, aby mnie po powrocie nie zastać, inaczej pozostawiłby chociaż słowo. Może nawet nie oddalił się zbyt daleko, siedzi gdzieś w olsie i czeka, aż sobie pójdę.

Wyrosłam już ze szczęśliwego infantylizmu, gdy wszystkie zachowania innych ludzi tłumaczyłam na swoją korzyść. Wiedziałam, najgorsze, co mogę zrobić, to zostać tutaj i czekać na niego. Więc tylko jak małą kotwicę pozostawiłam kartkę.

Nie gniewaj się, Wilk, postaraj się mnie zrozumieć. A w ogóle mi głupio. Ale cokolwiek by się działo, jestem twoim przyjacielem. Jadę do gminy starać się o pracę i dach nad głową, dam ci znać, jeśli się urządzę.

Nie miałam skrzydeł, gdy opuszczałam Miladę.

W gminie przyjęto mnie podejrzliwie. Krawcowa z Warszawy chce się osiedlić na wsi. Naczelnik obejrzał świeży dyplom, i meldunek i usiłował przejrzeć, co mnie naprawdę sprowadzało. Może w ogóle nie umiem szyć, a może chcę się ukryć przed jakąś odpowiedzialnością, a może to przykrywką, nie daj Boże, dla jakiejś politycznej działalności.

– Bo wiecie, obywatelko, my tu nie tolerujemy wyrotowej roboty.

– Nie należę do żadnej organizacji.

– Źle, trzeba się włączyć pozytywnie, ojczyzna w potrzebie.

– Najpierw muszę mieć dach nad głową. Wychowałam się w domu dziecka, na mieszkanie musiałabym czekać ze dwadzieścia lat.

– Lokalu ja wam nie dam.

– Nie przyszłam po darowiznę, chcę się dowiedzieć, w jakiej wsi nad Jeziorem nie ma krawcowej.

– Koniecznie nad Jeziorem?

– Koniecznie, wołałabym jednak nie startować od konfliktu z którąś z tutejszych szwaczek.

Naczelnik zawołał referenta podatkowego, ale jego rozeznanie było mizerne.

– Chciałabym osiąść na Miladzie.

Na Miladzie mieszkała od lat zarejestrowana krawcowa. Nie miałam wyboru,

pozostawała Mikołasza. Mikołasza z dygnitarską kolonią, zamożna wioska rozsiadła pośród morenowych wzgórz. Leży na wprost Milady, oddzielonej Jeziorem, dalekiej, niewidocznej z brzegu.

– Taka młoda, a u nas ni kina, ni teatru, ni kawiarni, nawet w bibliotece pustawo. I zimy srogie. Długo tu nie wytrzyma.

– Czas pokaże, panie naczelniku. Może męża znajdę. Dziewczyny ze wsi uciekają.

– U nas kobiety ciężko pracują, a widzi mnie się obywatelka nienawykła do polowej roboty.

– Zrobią za mnie w polu, szyciem się wypłacę.

– Owszem, można. Praktykuje się taki odrobek. Jednak musicie najpierw mieć lokal, gdzie mieszkać i pracować – po części urzędowej uczłowieczył się naczelnik.

– Wynajmę jaki kąt.

– Macie środki na początek?

– Mam – przed nim nie pochwaliłam się Paryżem ani żurnalami.

– Lepiej kupić dom z rencistą – poradził naczelnik.

Mikołaszę zastałam wyludnioną.

Wszyscy, kto miał ręce i nogi, byli w polu, sadzili Wirginię. Kiedy nadejdzie czas kwitnienia, wioskę opasze step o barwie koralu. Żyli z tytoniu, ale, poza flancowaniem, przeważnie pracowały przy nim kobiety i dzieci. Kapryśna roślina wymagała żmudnych starań, ręcznych zabiegów z wciąż ugiętym grzbietem.

Niemęska to rzecz plewienie czy motykowanie. Co innego rzucać ziarno w ziemię. Obojętnie, czerpiąc ręką z płachty jak dziadowie czy powożąc siewnikiem; orać, kosić i składać w sąsiek. Nawet zbieranie dojrzałych liści nie przynosi ujmę mężczyźnie.

A jednak dostatek wieś czerpała z tytoniu. I jeszcze z Jeziora. Ale o tym nie mówiło się głośno. Korzyści z wielkiej wody należały do ryzyka i bezksiężycowych nocy pod opieką Wielkiej Niedźwiedzicy, pożytek z plantacji nie lękał się dnia, a choć żywił urząd skarbowy, dostarczał też dodatkowych zarobków.

Jesienią, po zbiorach, na pełnych obrotach ruszała przetwórnia i sezonowo zatrudniała ludzi ze wsi aż do wiosennego sadzenia. Zanim koguty podjudziły się na grzędach, po domach terkotały budziki, kobiety wychodziły w ocmę i obsiadały miejsca w autobusie przysyłanym przez fabrykę. W roztopy, w śnieżycę bywał jedyną jako tako regularną komunikacją z miastem odległym o cztery dziesiątki kilometrów.

Nie znające wytchnienia, zaharowane kobiety chwaliły sobie przetwórnię. Wożono je tam i z powrotem za darmo, w akordzie zarabiałały do dwunastu tysięcy na miesiąc i

codziennie dostawały mleko. Więc zrywały się przed drugim kurem, przysypiały podczas drogi, rzetelnie po gospodarsku krajały Wirginię, na chybcika wypijały służbowe mleko od cudzych krów, a po powrocie najpierw biegły z wiadrami do obór, gdzie ryczały nie dojrane ich własne.

Babka z Mikołszy już nie hodowała bydlatek. Potrzebne ździebko mleka brała u sąsiadów.

– Szuka kogo? – zagadnęła zza płotu. Przyglądała mi się niebieskimi jak niezapominajki oczyma.

– Mieszkania.

– Niech wejdzie – zaprosiła.

W kępie dzikiego bzu i wybujałych krzewów jaśminu stała jej chata pod gontem z rzezanymi w ornamenty nadprożami i płaskim kamieniem zamiast stopnia u wejścia. Miała przestronne izby o małych oknach, żeby w mroźne zimy nie uciekało ciepło i nie paliło słońce w upalne lata.

– Z daleka Bóg prowadzi? – zagaiła Babka, jak każe stary obyczaj.

Babka. Tak się do niej zwracają mieszkańcy Mikołszy i pobliskich leśnych przysiółków. Pod tym imieniem jest bardziej znana niż pod nazwiskiem.

Zanim nastały akuszerki i szpitale dla wiejskich położnic, po wsiach bywały tylko Babki. Tak je nazywano. Babka z Mikołszy kilka pokoleń wywiodła na świat, ludzie po pięćdziesiątce to wszystko jeszcze jej dzieci. Zdarza się i teraz, gdy śniegi zawieją albo jesień roztopi, że ani przejechać, a nowemu życiu pilno na ten padół, wezwana Babka każe gotować gary wrzątku i jej opierchle, ciemne jak kora ręce pierwsze biorą krzyczącą drobinę albo wymierzają klapsy, jeśli zatrważająco milczy. Dlatego Babka jest wielce szanowana. Posiwiali mężczyźni i kobiety o pobrużdżonych twarzach mają wzgląd na tę, która pomagała im wydobyć się z matczyego brzucha i przewiązywała pępki.

– Teraz toby ze dwa miliony – oceniła Babka swoją siedzibę wraz z siedliskiem liczącym pół hektara.

– Nie mam tyle pieniędzy.

Nawet jeśli sprzedałabym na czarnym rynku wszystkie zarobione w Paryżu franki, zebrałabym około pięciuset tysięcy, ale, poza maszyną do szycia i skromnym zapasem odzieży, nie miałam nic, nawet jaśka pod głowę. W sklepach straszły nagie półki, kwitła spekulacja, poduszka z którejś ręki kosztowała dziesięć tysięcy, kilogram kawy sześć, przeciętne buty osiem, średnia zarobków wynosiła około dwunastu tysięcy, najniższa renta cztery.

– Przepraszam panią – otworzyłam drzwi.

– Co taka prędką, niech siada, pomówim.

Babka zagadując mnie zza furty już wiedziała, że chcę się w Mikołaszy osiedlić, usłyszała o domu dziecka – wieść wyprzedziła mnie, zanim tutaj przyszłam z gminy.

O puszkowniach nie wspomniałam.

– Ja też sama. Dzieci po świecie, do matki raz na rok, a i to nie zawsze przyjadą.

Właściwie Babka nigdy nie była zdecydowana tak naprawdę sprzedać dom. Sama przed sobą udawała, że się go wyzbędzie, jak ją na potomstwo zgniewało, i nic niewdzięcznym, nieczułym, o matce nie pamiętającym po sobie nie zostawi. A teraz w kryzysie, kiedy pieniądz taki słaby, nawet jak się na rodzonych rozzali, kupców nie szuka. Zresztą, Babce żaden duży pieniądz nie jest potrzebny. Co do życia niezbędne, ma z naddatkiem, bo jeszcze i babkowanie się zdarza.

Rachunki ze światem już pozamykała i jest przygotowana na wszystko.

Na strychu stoi solidna, dębowa trumna, w środku wiórami wymoszczona i płótnem obita, nawet z koronkową kapką pod głowę. W skrzyni brązowa suknia służebnicy trzeciego zakonu świętego Franciszka, w parafii dawno opłaciła miejsce wiecznego spoczynku obok nieboszczyka męża i czterdzieści gregoriańskich mszy. Nikomu nie jest nic dłużna, czyni miłosierdzie, w miarę sił świadczy bliźnim i odpuściła winy swoim winowajcom. Więc spokojna o sprawy wieczne, cieszy się życiem.

– Możesz u mnie mieszkać – zaprosiła Babka.

Po drugiej stronie sieni letnia kuchnia i duża izba stały nie zamieszkane. Pająki snuły pajęczyny, podłogę inkrustował zaschnięty pomiot kokoszek zakradających się do poślądu stojącego w worku. Pustki, jak je nazywała Babka, służyły za spiżarnię i skład nieprzydatnego, sprzętu, którego Babce szkoda wyrzucić, gromadziła tam też drwa na zimę, bo na gumno Babce ciężko chodzić, kiedy zawieją śniegi.

– Trzeba wybielić i oporządzić, zwieziesz się na czyste.

– Nie bardzo mam co zwozić.

Babka obudziła mnie o szarówce, do wschodu słońca przeglądała rupiecie i rozsądzała, które na strych, a które na spalenie. Kiedy je wynosiłam, ona dobyte z szopy snop pszennej słomy, wybrała dorodne kłosa, ułożyła w kiście, skrępowała sznurkiem łądygi, przycięła knowie i zanurzyła w gotującej wodzie, aby nabrały elastyczności. Tak powstały pędzle.

– Glinkę trzeba dobrze usycić – pogadywała Babka.

Glinką nazywała kredę ugniecioną w gomółki. Pokruszone rozrabiała mieszaniną wody, mleka i gotowanej papki z żytniej mąki.

– Ty zaczynaj górą, ja za tobą będę chlapać dołem – przysiadła na stołeczku pod ścianą, maczała w roztworze pędzel i pokazywała, jak się bieli.

Po trzech dniach w czystych izbach rozwiesiliśmy wiehcie świeżej mięty i macierzanki, schły i jaśniały wyskrobane z kurzego łąjna, wyszorowane ługiem podłogi z nie malowanych desek, wsparty na dźwigarach sufit ze zbrązowiałego drewna ciepło kontrastował z białymi ścianami. W wymytych szybkach otwartych okien czerwono palił się zachód. Mój pierwszy w życiu własny kąpiel.

Pachniało ziołami, wietrzejącą kredą i klejem z chlebowej razówki, ode wsi niósł się brzęk wiader, głosy ludzi i zwierząt, w domach zapalały się światła, z kominów smużył dym.

– Pelka, wieczera! – wołała przez sień Babka i cieszyła się, że dzisiaj nie będzie jadła sama. Trudno jej do tego przywyknąć, nawet po latach wciąż pamiętała, jak do miski zasiadało ośmioro.

Pod płytą ogień pożerał drwa, gorzały węgle wyprysnęły do popielnika, Babka nałożyła do talerzy zacierkę na mleku, przez uchylone drzwi wszedł na puentach kot i powiedział: mrau!

– Kici, kici, kici – zaprosiła Babka i nałala mleka do puszki po konserwie.

To już się kiedyś zdarzyło, tak dzieje się szczęście.

Obudziłam się wcześniej. Babkowym siedliskiem zbiegłam do Jeziora, po siwej od rosy trawie ciągnęłam matowy ślad. Zanurzyłam się w wodę wymijając kolonie ślimaków w ostrych muszlach, rozetami zalegające złocisty piasek dna.

Później długo patrzyłam ku niewidocznej Miladzie. Od Wilka ani znaku życia i próżno wypatrywałam łódki z tamtej strony. Dlaczego nie osiadłam gdzieś bliżej, tylko oddzieliłam się od niego całym Jeziozem. Pożyczyć kryję u sąsiadów i popłynąć, nie męczyć się trudnym oczekiwaniem?

Nie!

Musisz się o mnie starać, Wilk, co łatwo przychodzi, nie jest cenione – mówiłam do nieobecnego i noga za nogą wracałam do chaty.

– Babko, jak długo idzie list na drugą stronę Jeziora?

– Różnie. Zdarzy się i tydzień.

Minęło kilkanaście dni, odkąd wysłałam kartkę do Wilka.

– Jak cię nawidzi, przyjdzie.

– O kim wy. Babko?!

– Już ty wiesz, o kim. Jeśli o ciebie nie stoi, pisanie też nie pomoże. A jak będziesz do niego latać, najwyżej co wylatasz.

- Jak wylatam, będę hodowała.
- Dziecko powinno mieć ojca.
- Będę mu ojcem i matką, i domem.
- Eee tam! W prawdziwym domu, powinien być mężczyzna, byś nie zaznała samotności, z którym będziesz się kochać w zimowe noce, który podzieli z tobą chleb, zmartwienia i radość, któremu można ugotować zupę, zrobić sweter, uszyć koszulę i który da ci dzieci. Tak zrządził Bóg i tak stanowi natura. Czekał, dola cię nie ominie, lecz do mężczyzny nie chodź!
- Ciężko czekać. Babko.
- Pod chłopcem koń, a pod dziewczyną ława!
- Świat zmienił się, Babko, od waszych czasów.
- Nie na tyle, żebyś, dziewczyno, za chłopem pędzała. Weź się ty lepiej do roboty, ludzie szycia nanieśli.

12

Niebo kipiało światłami. W miarę jak mierzchły czerwienie zachodu, otwierały się następne, błyszczące oka. Odbite w Jeziorze wyglądały niczym pył otrząśnięty z mlecznej drogi.

Każda dusza opuszczająca ziemię zapala jedną astralną latarnię, dlatego wciąż ich przybywa. Dopiero tak uczyniona światłość uwalnia ją od tęsknoty za cielesnością. Najwięcej dusz zdąża pod sklepienie niebieskie w sierpniu, stąd w ósmym miesiącu roku firmament jarzy się najbardziej – pogańsko kiedyś bajała Babka.

Pochodzenie klechdy wywodziła od Jadźwingów, ludu, po którym zaginął język, obyczaje i wszelka kultura, pozostały tylko kurhany z kośćmi poległych wojowników, nieliczne słowa w mowie mieszkańców wiosek wokół Jeziora i przypisywane im legendy.

Może i Nonna dosięgła już swojej gwiazdy.

Trzy miesiące upłynęły od jej pogrzebu, ja nie potrafię uładzić się sama ze sobą. Wtedy nie mogłam się zgodzić na ukrycie w obejściu Babki niebezpiecznego złota. Czy teraz, wiedząc już, co się stało, postąpiłabym tak samo, to inna rzecz. Może jeszcze na ten raz odwróciłabym kolej wydarzeń.

Dla mnie los okazał się łaskawy. Ominęły mnie dochodzenia, zarówno w jednej, jak i

w drugiej sprawie.

Nie połączono też imienia Very z mężczyzną, który zginął pod Płoną Skalą. Grażel odszedł w niepamięć. Widać nikt nie pragnął go rozpoznawać, a już najmniej jego dawni przyjaciele. Sprawa potoczyła się rutynowo w przegródce: wypadek drogowy.

Po zawiadomieniu o pożarze najwcześniejszym autobusem zabraliśmy się z Dziadkiem w drogę.

Wilkowi nie dałam znać o wyjeździe. Zakładał na Miladzie instalację elektryczną, nie chciałam go odrywać od roboty. Także ze wszystkich innych względów Wolałam, aby mi nie towarzyszył. Miałam zamiar powrócić przed niedzielą. Wtedy, jeśli Jezioro będzie łaskawe, przyplynie po mnie łódką, jeśli rozhušta je wiatr, przyjedzie naokoło starym willisem, wyglądającym jak podkasany na swoim wysokim zawieszaniu. Własnym!

Kupił go za pieniądze zarobione snycerką, sam wyremontował, przerobił na kombi i pomalował na granatowo.

W Warszawie nikt nie wiedział i nie umiał powiedzieć, kiedy medycyna sądowa odda szczątki Nonny. Trzeba było gdzieś mieszkać, w zwarzonym przez żar ogrodzie ocalał tylko składzik. Dziadek zaczął się tam urządzać, nie chciał przenieść się do Kardynała.

– Nie mam zamiaru siedzieć na kupie u faceta z hewry – zasłaniał się zasadą.

Kardynał nie nalegał. Kardynał z żalu zamknął się w sobie. W ogóle małomówny, teraz prawie oniemiał. Kochał Nonnę, latami czekał, aż, zawiedziona na innych, wreszcie doceni jego ciche, nieefektywne, solidne uczucie. Nie doczekał się. Starszy od niej o dwadzieścia lat, na progu starości spostrzegł się, że jest sam i bez nadziei.

Pojechałam do Lalki.

– Weźmiesz nas na kilka dni?

– To znaczy, kogo? – siedziała w fotelu, w luźnej maskującej szacie do ziemi, z bardzo wypukłym już brzuchem i niezmienną piękną twarzą. Srebrnym dzwonkiem na kościanej rączce przywołała gosposiującą im emerytkę i zarządziła podanie jedzenia.

– Mnie i Dziadka.

– Ciebie tak, starego złodzieja nie. I powiedz, jak długo jeszcze zamierzasz go niańczyć.

– Przecież trzeba pomóc.

– Z takimi nie wolno się zadawać, wciągają jak trzęsawisko.

– Uodporniłam się.

– Ty tylko spójrz na siebie. Przecież nie możesz się od nich odzepić, nawet pogrzeb musisz jakiejś buchciarze urządzić, a ten okropny staruch do samej śmierci ci z karku nie

zlezie i uprze się żyć ze sto pięćdziesiąt lat. Wspomnisz moje słowo!

– Bywaj, Lalka.

– Zaczekaj! Co ci tak pilno. Nie gniewaj się, musisz mnie zrozumieć.

Rozumiałam ją i nie czułam żalu. Strzegła swojego szczęścia. Oczekiwała dziecka, czyniła, co w jej mocy, żeby urodziło się zdrowe, ładne i mądre.

Przyglądała się kwiatom i pięknym reprodukcjom, prosiła męża, by głośno czytał pogodne historie ze szczęśliwym zakończeniem, gdy wieczorami szyła kaftaniki i dziergała śpioszki. Wyrzekła się telewizji, żeby kielkującemu życiu nie zaszkodziły widoki wojen, gwałtów, rzezi i zapowiedzi nieszczęść.

– W porządku. Lalka. Dbaj o małe!

– Nie puszcze cię tak z pustą ręką – obdarowała mnie paczką z żywnością, pożyczyła koc i elektryczny czajnik, a Rysiek, mąż Lalki, odwiózł mnie pod zgliszcza domu Dziadka.

Tymczasem starszy pan zagospodarował się w ocalałym składziku. Latami stał tutaj tapicerski materac ze starego tapczana. Omieciony z pajęczyn, ustawiony poziomo dał się adaptować na zupełnie znośne legowisko. Kardynał przyniósł turystyczne łóżko z aluminiowych rurek, dwa śpiwory, fajerkę z gazową butlą i garnek.

– Nie z facjantu, nabyte dawno, za pieniądze – wymamrotał do swojej brody, łypiąc na mnie ponuro. Miało znaczyć, że nie, pochodzi od pasera czy z pierwszej złodziejskiej ręki, tylko ze sklepu. Kardynał, chociaż tego wyraźnie nie mówił, miał mnie za zakałą i obcą. Zdradziłam środowisko.

Dziadek w ogóle nie chciał słyszeć o opuszczeniu pogorzelniska, z czym nie liczyłam się szukając pomocy u Lalki. Teraz zapowiedział kategorycznie. Nigdzie się nie ruszy. Jest woda, elektryczność i początek czerwca.

– Kilka dni i ty wytrzymasz. Po pochówku wrócisz do siebie. Masz swoje życie. Jeśli nie wyszykuję sobie nic cieplejszego, przezimuję u ciebie, ale przez lato pozostanę tutaj i więcej o tym nie mówmy.

– Dziadku, chcesz szukać złota Nonny – nareszcie domyśliłam się przyczyny jego nieustępliwości.

– Pewnie. Teraz należy do mnie i do ciebie.

– Zrzekam się swojego udziału.

– Zobaczymy, co powiesz, jeśli je odnajdę.

– Nigdy mi o tym nie mów. Przysięknij!

– Nie dowierzasz sobie?

– Nie dowierzam. I pamiętaj, jeśli nie życzysz mi źle, ani słowa Wilkowi.

– Nie ufasz mu.

– Człowiek jest słaby, Dziadku.

Nowe ja Wilka było świeże jak młoda skóra na oparzonym ciele. Należało oszczędzać mu pokus. On albo zbuduje swój dom, albo nie, ale dom za kradzione pieniądze stałby się jego ostateczną klęską.

Nonna, lubiąca liczne towarzystwo, kondukt miała niepozorny. Za melexem wiozącym trumnę szły trzy osoby. Dziadek, Kardynał i ja. Tylko ci, którzy naprawdę ją kochali.

– Kuna, zanim odjedziesz, zobacz się ze śpiewaczką. Spróbuj wysondować, czy szuka Grażela. Powinnaś wiedzieć, jak się sprawy mają. Z pewnością będą cię jeszcze przesłuchiwać – powiedział Dziadek.

– Ma prawo odmówić zeznań – niespodziewanie wmieszał się Kardynał.

– Nie prosiłem ciebie o radę! – rozżłościł się Dziadek.

Nie przyszło mi na myśl szukać przyczyny ich starcia ani dopatrywać się ukrytego sensu w uwadze Kardynała.

– Też mogę potrzebować namiaru od artystki. Nie obejdzie się bez gadania z łapsami, a lepiej ich sobie nie zrażać, bo to od nich będę potrzebował biało do fajerkasy.

Poszłam do Victorii.

Vera powitała mnie chłodno, jak natręta. Nic się nie zmieniła, nadal popadała w poranne depresje, neurotyczne rozpamiętywania, podczas których drobne niepowodzenia urastały do rozmiarów katastrofy. Z taką samą mocą dręczyły wspomnienia własnych i wyrządzonych innym krzywd, zniewag i upokorzeń, doznanych zarówno wczoraj, jak i czterdzieści lat temu. Wszystko to osaczało, było świeże i bolące jak obnażony nerw.

Na początku dnia należało ją raczej omijać, lecz nie miałam wyboru. Tylko o tej porze bywała osiągalna.

– Dlaczego mnie nachodzicie! Niedawno była twoja matka.

– Moja matka, jak wyglądała?!

Vera opisała Nonnę w jej olśniewającym, światowym wydaniu.

– Po co ona do pani przyszła?

– Obgadać Marcina. Suchej nitki na nim nie pozostawiła. Przeżywała go Grażel i chociaż nikt jej nie prosił, opowiadała, że popełniał pospolite przestępstwa. Podobno uciekł do Paryża, bo grunt zaczął mu się palić pod nogami.

– Przedstawiła się jako moja matka?

– Tak. Jestem matką Musteli – powiedziała. – Bardzo była z ciebie dumna, bardzo chwaliła. Podobno zarabiasz dużo pieniędzy i jesteś bardzo dobrą córką. Niedługo masz

wyjść za mąż za zamożnego chłopca, rzeźbiarza, który ma posiadłość i dom nad Jeziorem.

Zamarłam. Tylko w głębi świadomości eksplodowały fakty: Nonna najlepsza Kuna w mieście, szczur hotelowy, przedmioty ukradzione Verze razem z wycinkami recenzji ilustrowanymi jej fotografiami w operowych kostiumach z jej scenicznym nazwiskiem.

W szarej teczce wędrującej wraz ze mną od Domu do Domu, istnym garbie dromadera, znajdowało się i takie stwierdzenie lekarskie: dziecko zbyt młodej matki. I słowa Nonny: – Aż tak jej nienawidzisz, przecież cię wydała na świat i wyposażyła w cennosc. I niedawne stwierdzenie Kardynała: – Ona ma prawo odmówić zeznań. I wściekłość Dziadka na niego, niewspółmierna do niewinnej uwagi.

Byłam ślepa. Nic nie rozumiałam, a może tylko skutecznie broniłam się przed prawdą, żeby nie znienawidzić. Moje serce przeczuwało, pewno dlatego tak bardzo garnęłam się do nich, a może garnęłam się do nich, bo jedynie oni okazywali mi trochę zainteresowania.

Zamęt.

I radość. Mam prawdziwego dziadka. Pra – ale nie przyszywany. I poczucie nieszczęścia, utraciłam Nonnę! I furia, to Oni, moi najbliżsi, skazali mnie na poniewierkę, na straszne dzieciństwo, na sieroctwo, na los Kuny. Żal i niechęć, pragnienie zemsty i czułość.

Uciekać od starego urki, niech szejnie na zgliszczach swojej buchciarskiej habendy, niech dosięgnie go taka podła, samotna starość, jakie mnie zgotowali dzieciństwo. Ale zaraz fala ciepła zmywa tamto uczucie żrące jak kwas. Biec do niego, jedyne bliskości człowieka, mojego Pra. Miotana sprzecznościami, stałam jak słup, nie mogąc się pozbierać.

– Co ci jest? – zdziwiła się Vera.

– Nie, nic. Muszę już iść.

– Zaczekaj – odsunęła tacę z nie tkniętym śniadaniem. – Napijesz się kawy?

– Dziękuję, nie.

Wygladziła adamaszkowy obrus z haftowanym znakiem Orbisu; Ważyła coś w sobie, jakby nie mogła zdobyć się, by powiedzieć to na głos.

Nosiła bardzo piękne japońskie kimono, uczesana i umalowana bez zarzutu, w uszach i na palcach miała swą zwykłą sumę karatów i mimo eleganckich osobistych drobiazgów łagodzących sztampe hotelowego pokoju, otaczała ją przygnębiająca atmosfera opuszczenia i rezygnacji.

– Może wiesz, jak się wiedzie Marcinowi? – niczym ość wykrztusiła imię Grażela.

– Nie wiem.

– Wrócił czy nadal przebywa we Francji?

– Nie mam pojęcia.

– Zgubiłam go z oczu zimą w Chamonix, myślałam...

Później nie bardzo umiałam sobie przypomnieć, jak stamtąd wyszłam. Zwrócona ku sobie, do środka, na dodatek znajdowałam się wewnątrz przezroczystego, ale bardzo szczelnego klosza. Chociaż widać, co się dzieje wokoło, nie odbiera się z zewnątrz żadnych sygnałów. Dostrzegana rzeczywistość może i istnieje, lecz mnie nie dotyczy.

Próbowałam myśleć rozsądnie.

Nie należy brać poważnie tego, co divie naopowiadała Nonna. Przyszła zemścić się na Grażelu, głupio, po babsku, bijąc na oślep bez rozeznania. Nawet nie zadała sobie trudu, aby na wstępie zorientować się w układach.

Oko w oko ze sławą poczuła się gorsza, nic nie znacząca, pospolita. Daleko jej do tej świetnej, bogatej kobiety, noszącej brylanty bez obawy, że ktoś je rozpozna albo każe tłumaczyć, skąd wzięła. Żeby się podeprzeć, z miejsca wymyśliła coś, czego tamta nie posiadała. Córkę. Nadałam się. Nie byłam abstrakcją. Vera mnie znała.

Pasowało do Nonny. Zawsze miewała niezwykle przeżycia, nadzwyczajne spotkania. Zmyślenia, fantazje i zamierzone, przemyślane w szczegółach łgarstwa w jej opowiadaniach przeplatały się i zazębiały ze zwykłymi wydarzeniami, dodawały blasku egzystencji nie dorównującej aspiracjom.

Trzeba nad tym przejść do porządku i nie wspominać Dziadkowi. Postanowienia starczyło akurat do pogorzeliska.

– Urodziła mnie Nonna, prawda? Tylko nie kłam! – tak bardzo nie pasowała do owej roli, że nie powiedziałam o niej moja matka.

– Kto ci napłóttł. Kardynał?!

– Dziadku, o coś pytałam!

– Tak.

– Dlaczego sam mi nie powiedziałeś?

– Po co ci taka prawda, po co! Zwłaszcza teraz, skoro ona nigdy nie pozwoliła, abys się dowiedziała. Dorosłaś, nie potrzebujesz ani jej, ani mnie. Zresztą jej już nie ma. Nie płacz! Powiem ci jedno. Przy niej, gdyby nie umarła, niełatwo mogłabyś żyć po swojemu, inaczej niż ona. I chociaż brzmi paskudnie, dla ciebie lepiej, że jej nie ma na świecie.

– A komu było lepiej, gdy mnie porzuciliście?

Milczał.

– Pewno, nawet z nie tresowanej sroki większy pożytek niż z niemowlaka. Niech się odchowa z gówien na społecznym kotle, dopóki nie dorośnie do Kuny!

– Póki Nonna nie przywiozła cię do domu, nie wiedziałem o twoim istnieniu.

- Nie orientowałaś się, że spodziewała się dziecka? Nie wierzę!
- Nie. Zniknęła, zanim stała się brzemienna, i nie pokazała się w domu przeszło rok.
- Ile miała lat?
- Czternaście.
- Kim był mój ojciec?
- Wałkoń, niewiele starszy od niej. Gonilem go precz, przez to uciekła!

Zamieszkali w nieczynnej kotłowni. Nonna szczerowała po hotelach, z tego żyli. Gdy ciąża stała się widoczna, chłopak uciekł i więcej się nie pokazał.

– Obwieś! Ładny! I to jej pozostało, słabość do gładyszy. Zresztą, nie muszę ci mówić, sama pamiętasz. Wieczna miłośnica, nieustanna narzeczona. Czegoś jej nie dostawało. Dbała o ciebie, jak potrafiła.

– Z doskoku. Dlaczego kryła przede mną prawdę?

– Najpierw bała się, boś ziała jak smok na takie matki. Znienawidzi mnie, powiedziała. Powiem, jak będzie starsza, rozumniejsza. Później starała się omotać Grążela, znów strach przed chłopem. Panny z dzieckiem nie weźmie! Jak podrosłaś, taka duża córka postarza. A powód, po mojemu, był wciąż ten sam. Ona nigdy nie dojrzała do odpowiedzialności za dziecko.

– Powiedziała ci, gdzie mnie urodziła?

– Tak.

Przyszłam na świat u Boduena. W Domu dla podrzutek, założonym u schyłku ubiegłego stulecia. Wówczas przy furcie znajdowało się ruchome, drewniane koło. Wystarczyło położyć zawiniątko z niemowlakiem i zakręcić. Obrót przenosił go na drugą stronę parkanu. Jeden ruch ręką i matka mogła uciec, pozbywszy się piętna.

Od kilku dziesiątków lat nie ma już u Boduena obrotowej tarczy przy wejściu i nikt nie nazywa placówki zakładem dla podrzutek.

Niezamężne matki, zwłaszcza młodociane, na długo przed i po rozwiązaniu znajdują tam wraz z dzieckiem mieszkanie, opiekę, pomoc. Udzielono jej także Nonnie.

Ale ona chciała jak najprędzej uwolnić się spod opieki Domu i obowiązków matki. Zaraz po urodzeniu dziecka przemyśliwała, jak się go pozbyć. Pomysł podsunął przypadek. W gazecie przeczytała wywiad z Verą. Bogata artystka mieszkająca stale za granicą i przemierzająca świat! To podziałało na wyobraźnię. Bo Nonna chciała dobrze dla swojego dziecka, byle tylko samej się nim nie zajmować.

Splądrowała apartament śpiewaczki. Małe zaopatrzyła w adamaszkową pieluchę, pseudonim, o którym nie wiedziała, że nie jest nazwiskiem, i złoty medalion, w który włożyła

fotografię wyciętą z recenzji, znalezionej w tece z krokodylowej skóry. Dopiero tak wyposażone dziecko, owinięte w puchową kurtkę, porzuciła na stopniach Domu niemowląt w innej dzielnicy miasta.

Nad Jeziorem sklepienie jarzy się gwiazdami, najjaśniej błyszczą Wielka Niedźwiedzica, pas mlecznej drogi lśni odbity w wodzie.

– Czego szukasz na niebie? – odzywa się Wilk. Nie usłyszałam, jak nadeszli z Maczkiem.

– Gwiazdy Nonny – mówię. Nie umiałam myśleć o niej matka.

– Chodź do domu, Pelka – niezgrabnie pogładził mnie po głowie. Nie, nie potrafi mówić czułych słów, ale nie usłyszałam nic złego o Nonnie, gdy dowiedział się, kim naprawdę dla mnie była. – Staraj się pamiętać tylko dobre chwile – poradził.

– Wieczór robi się zimny, chodź do domu – powtarza.

Nasz dom to wciąż jeszcze buda z ukośnym dachem pod papą. Z pierwszymi chłodami powrócimy do Babki w Mikołaszy i zabierzemy na prezimowanie mojego Pra. Jesienią i zimą będziemy zarabiali pieniądze. Wilk snycerką, ja szyciem aż do wiosny. Latem prawie nie miewam roboty. Kobietom zajętych w polu nie w głowie nowe stroje, nawet śluby i chrzty odkładają na czas po zbiorach. Chyba że zdarzy się przypadek losowy. Wtedy odnajdują mnie na Miladzie, gdzie budujemy dom. Nadal brakuje w nim tynków na ścianach, szalówki na stropie i klinkierowej cegły na podłodze pierwszej izby, ale z czasem wszystko zrobimy.

Zbudujemy dom ciepły i przestronny, dający radość. Nie zniszczymy żadnej rośliny ani moreny, ni nadbrzeżnego olsu. I będziemy mieli dzieci. Wychowamy je tak, żeby krzywdziły słabszego, nie upokarzały zależnych, bez różnicy, człowiek czy zwierzę, i żeby kochały Jezioro.